

Kto jak **głosował** | **Cielecka** o eutanazji | Fenomen **Sulejówka**  
Panika w **państwowych spółkach** | Poezja i proza **nagrobków**

Szukaj  
„Polityki”  
z książką



POLITYKA.PL

# POLITYKA

TYGODNIK, nr 44 (3437), 25.10–1.11.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Pożegnanie z władzą

Co się dzieje w PiS  
po wyborczej  
porażce s. 16



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

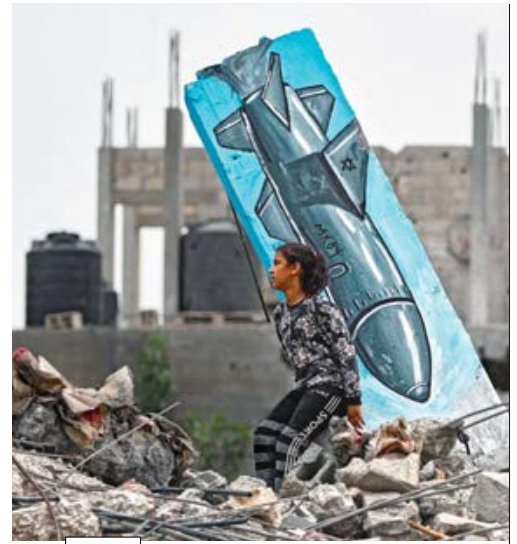




12–29

**WYBORY 2023:**  
wygrani i przegrani


30

**Co mówią**  
nagrobki


50

**Widok**  
z Gazy

## Wybory 2023

- 12 Rafał Kalukin **Moc suwerena**  
16 Wojciech Szacki  
**PiS: rozliczenia po porażce**  
20 Malwina Dziedzic  
**Koalicyjna układanka**  
22 Ryszard Łuczyn **Lewica: między**  
**rozczarowaniem a nadzieją**  
24 Marcin Kotodziejczyk  
**Wszyscy jesteśmy z Sulejówka**  
26 Ewa Wilk **Powyborczy poradnik**  
**psychologiczny**



## Społeczeństwo

- 30 Zbigniew Borek **Trendy cmentarne**  
34 O spektrum autyzmu  
u dziewcząt opowiada  
psychiatra dr **Justyna**  
**Szyburska**  
37 Violetta Krasnowska  
**Zły dotyk matki**  
40 Krzysztof Potaczała  
**Ostatni bieszczadzki**  
**baca?**



## Rynek

- 44 Adam Grzeszak **Jak się żyło**  
**ze spółek Skarbu Państwa**  
47 Joanna Solska **Pracownicy**  
**nie chcą wracać do biur**

## Świat

- 50 Ala Qandil **STREFA GAZY**  
**Tragedia cywilów**

- 53 Piotr Łukasiewicz **UKRAINA – ROSJA**  
**To będzie długa wojna**  
58 Jacek Kubitsky **SZWECJA** **Nieudany**  
**eksperyment z imigrantami**  
60 Krzysztof Kubiak **KORSYKA**  
**Wyspa zbuntowana**

## Nauka/projektpulsar.pl

- 64 Rozmowa z prof. **Dariuszem**  
**Jemieliakiem**, badaczem  
dezinformacji i ruchów  
antyszczepionkowych  
67 Wojciech Mikołuszko **Nowa definicja**  
**zarodka ludzkiego**

## Historia

- 72 Co można zobaczyć w polskich  
albumach fotograficznych,  
opowiada prof. **Błażej Brzostek**  
75 Adam Krzemiński **Izrael: 50 lat temu**  
**wybuchła wojna Jom Kipur**

## Kultura

- 82 Rozmowa z wokalistką, kompozytorką  
i autorką tekstów **Daria Zawiałow**,  
która właśnie wydała nową płytę  
86 Mirosław Pęczak  
**Oniryczny śląski underground**  
88 Rozmowa  
z **Magdaleną**  
**Cielecką**,  
odtwórczynią głównej  
roli w filmie „Lęk”  
poświęconym eutanazji



- 91 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

## Nagrody Naukowe POLITYKI

- 92 **Po raz 23. wręczyliśmy**  
**nasze stypendia**

## Ludzie i style

- 100–105 • **Samotni chłopcy**  
• **Co to jest promptografia**  
• **O pakowaniu mandżurów**  
• **Biegi po schodach**  
• **Osobliwe bibeloty**  
• **Epitafia po wspinaczach**  
• **Wino bezalkoholowe**

## Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy  
• **8** Ludzie i wydarzenia • **78** Afisz  
• **95** Sulej • **96** Hartman • **97** Lis  
• **98** Tym • **106** Polityka i obyczaj

CZWARTEK

2

LISTOPADA

**UWAGA, CZYTELNICY!**  
**Następny numer POLITYKI (45)**  
w wydaniu papierowym ukaże się  
**w czwartek 2 listopada.**

# 1 NA 3 OSOBY ZACHORUJE NA PÓŁPASIEC<sup>1,\*</sup>



Każdy, kto przechorował ospę wietrzną, nosi w sobie uśpionego wirusa, który może wywołać **PÓŁPASIEC**<sup>2</sup>.



Półpaścowi może towarzyszyć **DOTKLIWY BÓL**, przez część pacjentów określany jako najgorszy z możliwych<sup>3</sup>.



Intensywny ból może się utrzymywać przez **WIELE MIESIĘCY, A NAWET LAT**<sup>2, \*\*</sup>.



Ryzyko zachorowania gwałtownie **WZRASTA PO 50. ROKU ŻYCIA**<sup>2</sup>.

Poznaj czynniki ryzyka rozwoju półpaśca



## Masz 50 lat lub więcej?

## Zapytaj lekarza o szczepienie przeciw półpaścowi.

**PÓŁPASIEC**  **stop**

Dowiedz się więcej na:  
[www.POLPASIECstop.pl](http://www.POLPASIECstop.pl)

\*Dane szacunkowe zachorowań na półpasiec w ciągu całego życia pacjentów na podstawie publikacji Harpaz R i wsp. MMWR Recomm Rep 2008;57:1-30.

\*\*Jest to powikłanie określane jako neuralgia popółpaścowa.

1. Harpaz R i wsp. MMWR Recomm Rep 2008;57:1-30; 2. E. Kuchar; Półpasiec, <https://www.mp.pl/pacjent/choroby-zakazne/choroby/zakazenia-wirusowe/158210,polpasiec> (dostęp: wrzesień 2023) Dd; 3. Curran D i wsp. J Gerontol A Biol Sci Med Sci 2019;74:1231-1238.

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej oraz zastąpić konsultacji z lekarzem, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać Departamentowi Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel.: + 48 22 49 21 301, faks: + 48 22 49 21 309, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu [www.urpl.gov.pl](http://www.urpl.gov.pl) lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego dotyczy zgłoszenie. GSK Commercial Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 53, 02-697 Warszawa, tel: 22 576 90 00, fax: 22 576 90 01, [pl.gskc.com](http://pl.gskc.com)



## SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

## Wybory nierówne i niesprawiedliwe

Najbliższa polityczna przyszłość rysuje się tak jasno, że nawet słynny jasnowidz Jackowski nie ma o niej nic odkrywczego do powiedzenia. Jackowski przyznaje, że dla niego jako jasnowidza było oczywiste, że PiS wygra, ale nie będzie rządził, dlatego w rozmowie z „Faktem” bardzo jasno oświadcza: „Koalicja PiS z kimkolwiek jest niemożliwa”.

Dobrze, że Jackowski się w tej sprawie wypowiedział, w końcu luźne analizy publicystów i politologów to nie to samo, co ugruntowane widzenia powszechnie szanowanego jasnowidza. Zwłaszcza że Jackowski zwykle się nie myli; pod koniec kampanii oświadczył, że PiS „będzie z wyników wyborów zadowolony” i trafił w punkt: wszyscy widzieliśmy, jak po ogłoszeniu wyników najważniejsi politycy tej partii wesoło klaskali, nie będąc w stanie powstrzymać eksplozji radości ze zwycięstwa.

Była to radość w pełni uzasadniona, biorąc pod uwagę, że potwierdziły się ostrzeżenia premiera Morawieckiego, że wybory nie będą równe i sprawiedliwe. Po pierwsze, bardzo niesprawiedliwe było to, że młodzież, zamiast siedzieć w domu, w tak wielkiej liczbie poszła na wybory i oddała tak

mało głosów na kandydatów Zjednoczonej Prawicy. Politycy ZP nie kryją, że się na tej młodzieży zawiedli; najwyraźniej nie dorosła do lansowanego przez Jarosława Kaczyńskiego modelu demokracji, który – jak wyjaśnił prezes – polega na tym, „żeby nas popierać, a nie przeszkadzać”.

Po drugie, niesprawiedliwa była rażąca nierówność w dostępie do mediów, a konkretnie to, że opozycja mogła liczyć na wsparcie telewizji TVN, w której pracują prawdziwi dziennikarze, a obóz ZP był skazany na prymitywną, kłamliwą szczytnię, jaką jest TVP, o której nawet znany pisowski publicysta Marcin Wolski powiedział, że uprawia „propagandę na gorszym poziomie niż w latach 70.”.

Po trzecie, uwagę zwraca brak równości w dostępie do urn, bo dlaczego prezesowi Kaczyńskiemu inni głosujący po chamsku utrudnili oddanie głosu, odsyłając go na koniec kolejki, w wyniku czego musiał odstać swoje tak jak wszyscy, gdy tymczasem Donald Tusk bez żadnego powodu został przez tłum przepuszczony i w ogóle nie musiał stać. No i po czwarte, z jakiej racji młodym wyborcom opozycji, czekającym do trzeciej w nocy przed komisją we Wrocławiu Jagodnie, rozdawano za darmo gorącą pizzę, podczas gdy w innych miejscach wyborcy PiS, często ludzie starzy i schorowani, musieli głosować, mimo że nikt im niczego nie rozdawał, bo – jak ich zapewniono – to, co mieli od rządu dostać, już dostali.



## Australia i Nowa Zelandia

Zachód słońca przy Ayers Rock, kultowy budynek opery w Sydney, tańce Maorysów, misie koala, parki narodowe, fiordy, lodowce, gorące źródła i wspaniała przyroda.

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Australii. **Dz. 2** Przyłot do Melbourne. **Dz. 3** Melbourne. Zwiedzanie miasta i powitalna kolacja. **Dz. 4** Melbourne. Wizyta w winnicy w dolinie Yarra oraz spotkanie z sympatycznymi misiami koala i pingwinami na wyspie Philip. **Dz. 5** Melbourne – Ayers Rock. Przelot w głąb australijskiego interioru. **Dz. 6** Ayers Rock. Wschód słońca nad Ayers Rock i wycieczka po górach Olgi. Kolacja na świeżym powietrzu z widokiem na Ayers Rock. **Dz. 7** Przelot z Ayers Rock do Sydney. **Dz. 8** Sydney. Wycieczka po mieście, spacer do plaży Bondi, zwiedzanie opery w Sydney i zwiedzanie portu. **Dz. 9** Sydney. Dzień do własnej dyspozycji lub możliwość wycieczki fakultatywnej w Góry Błękitne. **Dz. 10** Przelot do Queenstown w Nowej Zelandii. **Dz. 11** Queenstown. Wycieczka do fiordy Milford Sound. **Dz. 12** Queenstown. Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Queenstown – Fox Glacier. Lot helikopterem nad lodowcem Fox Glacier. **Dz. 14** Lodowiec Fox Glacier – wąż Hokitika. Spacer do punktu widokowego na lodowcu Fox i wędrownka do wężu Hokitika. **Dz. 15** Hokitika. Pociąg transalpejskim przez Wyspę Południową do Christchurch. **Dz. 16** Christchurch – zwiedzanie miasta. Przelot do Rotorua. **Dz. 17** Rotorua. Obszary termalne Te Puia. Wizyta w maoryskiej wiosce i tradycyjna „kolacja-Hangi”. **Dz. 18** Rotorua – Auckland. Wizyta w Hobbintonie, miejscu zdjęć do filmu „Władca Pierścieni”. **Dz. 19** Auckland. Wycieczka po mieście i pożegnalna kolacja na 52 piętrze Sky Tower. **Dz. 20** Auckland. Podróż powrotna. **Dz. 21** Przyłot do Warszawy.

**21 dni | Wyloty z Warszawy 21/02, 23/10 2024, 26/02 2025**

od **39.998,-**



## Nowy Rok w Rzymie

**Program wycieczki:**

**Dz. 1** Przelot z Warszawy do Rzymu. Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Kolacja w hotelu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, następnie czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem w postaci włoskich przekąsek i wina (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Wylot z Rzymu do Warszawy.

**5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2023**

**5.298,-**



## Cuda natury Zachodniego Wybrzeża USA

**NOWOŚĆ**

**Program wycieczki:** **Dz. 1** Przelot z Warszawy do Los Angeles. **Dz. 2** Los Angeles. **Dz. 3** Los Angeles – Palm Springs – Park Narodowy Joshua Tree – Laughlin. **Dz. 4** Laughlin, Route 66, Wielki Kanion, Cameron Trading Post i Tuba City. **Dz. 5** Tuba City, Horseshoe Bend, Glen Canyon Dam i Park Narodowy Bryce Canyon. **Dz. 6** Bryce, Park Narodowy Zion i Las Vegas nocą. **Dz. 7** Las Vegas. Dzień wolny. Możliwość wycieczki do Zapory Hoovera. **Dz. 8** Las Vegas, Park Narodowy Doliny Śmierci i Tulare. **Dz. 9** Tulare, Park Narodowy Sequoia, Park Narodowy Kings Canyon i Manteca. **Dz. 10** Manteca – San Francisco. Zwiedzanie miasta, jeśli czas pozwoli. **Dz. 11** Przyłot do Warszawy.

**11 dni | Wylot z Warszawy 23/04 2024**

**15.998,-**



# Nie zepsujcie tego



**Jerzy Baczyński**

**A** może „nie zepsujmy”? bo apel ten kieruję nie tylko do liderów trzech ugrupowań, negocjujących właśnie utworzenie nowego rządu, ale także do nas, wyborców opozycji, od których nadchodzące tygodnie będą wymagały i cierpliwości, i wyrozumiałości. Nastrój zwycięstwa, wielkiej nadziei, świątecznego entuzjazmu łatwo może się ulotnić, zmienić w rozczarowanie. Przegrani politycy PiS i nietknięte jeszcze zmianą media rządowe już stają na głowie, żeby wylać i nagłośnić jakiegokolwiek różnicę zdań w obozie zwycięzców. Wystarczy popatrzeć, jak w tym celu jest wykorzystywany choćby temat aborcji. W dodatku do atakowania „rządów Tuska” (tak jakby ten rząd już istniał) ochoczo włączają się ulubieni przez nas publicyści symetryści, wytykając a to walkę o stołki, a to nieprzygotowanie do rządzenia, a to nierealizowanie składanych w kampanii obietnic. W mediach społecznościowych roi się od spekulacji kadrowych, rzekomo pewnych przecieków o powrocie „starej ekipy Ewy Kopacz” czy „już planowanych oszczędnościach”. Chciałoby się powiedzieć: hola!, minęło zaledwie dziesięć dni od wyborów; będziemy mieli jeszcze dużo czasu, żeby krytykować nowy rząd – kiedy wreszcie powstanie – na razie wypadaloby się po prostu cieszyć tym, co wydarzyło się 15 października.

Wtedy zaskoczenie było tak duże, wyniki przyszły tak późno, że zabrakło oddechu obywateli świętowania. A przecież wyborcom opozycji, po ośmiu latach kolejnych przegranych, zwyczajnie należała się feta. Więc jeszcze raz przypomnę „cuda niedzielnej nocy”: ustanowiony został historyczny rekord wyborczej frekwencji, niemal 75 proc., a w wielu miejskich komisjach wyborczych niebywałe 90 proc. Do głosowania, łamiąc wszelkie przedwyborcze stereotypy i prognozy, poszło proporcjonalnie więcej młodych niż starszych, a miasta zmobilizowały się bardziej niż wieś. Partie demokratycznej opozycji uzyskały 11,6 mln głosów, o 4 mln więcej niż obóz władzy, a to przełożyło się na 248 mandatów, aż o 54 ponad zdobycze PiS (analiza wyników s. 12). Jednak równie ważne jak liczby były emocje tego dnia: długie kolejki ludzi, którzy w setkach komisji w kraju i za granicą godzinami czekali na możliwość oddania głosu; dziesiątki tysięcy mężów zaufania i obserwatorów poświęcających swój prywatny czas, aby pilnować rzetelności wyborów; tłumy taktycznie podróżujących do innych okręgów (reportaż z Sulejówka s. 24), aby wzmocnić siłę głosu; wolontariusze organizujący kampanie profrekwencyjne. Opozycja otrzymała wielki emocjonalny kapitał poparcia. Piszę „opozycja”, choć – jak twierdzi PiS i jego media – „nie ma takiej partii”: są trzy odrębne koalicje, składające się łącznie z 10 partii. Formalnie się zgadza, politycznie to kompletna nieprawda.

**S**ocjolog prof. Przemysław Sadura stale przypomina, że jedyną masową emocją polityczną po stronie opozycji był „antyPiS”, chęć odsunięcia skompromitowanej, „dziaderskiej” władzy. Wyborcy głosowali co prawda na trzy opozycyjne komitety, bo były trzy listy, ale akurat ta formacja, która miała najbardziej wyrazisty program, czyli Lewica, poniosła porażkę (analiza s. 22). O wyborze

między KO a TD też raczej nie decydowały trudne do zapamiętania różnice programowe, bardziej stosunek do liderów, a przede wszystkim silny trend ratowania Trzeciej Drogi. Hasło Hołowni i Kosiniaka: „Albo Trzecia Droga, albo trzecia kadencja PiS”, okazało się bardzo skuteczne. To był rodzaj perswazji, nawet szantażu emocjonalnego, że jeśli Polska 2050 i PSL nie przekroczy 8-procentowego progu, cały wielki kampanijny wysiłek opozycji pójdzie na marne. Nie odbiera to zasług zwłaszcza Szymonowi Hołowni, który świetnie wypadł w telewizyjnej tzw. debacie liderów, ale przenosiny z lewicy i z PO na Trzecią Drogę były ewidentne. Każdy z moich znajomych, których pytałem, albo sam miał taki dylemat, albo zna kogoś, kto „przez rozum” głosował na TD. To potwierdza, że dla ogromnej większości (poza nielicznymi mocno ideowymi środowiskami), istotniejsze niż niuanse programowe było wspólne zwycięstwo nad PiS. Powstająca koalicja rządowa ma więc własny spójny elektorat. 15 października ujawniła się Partia Opozycja.

To powinno ułatwić sprawne tworzenie nowego rządu: przede wszystkim jest bezdyskusyjny kandydat na premiera, czyli Donald Tusk. Przesądza o tym i dwie trzecie opozycyjnych mandatów, jakie zdobyła kierowana przez niego KO, i osobiste rekordowe 538 tys. głosów, i Marsz Miliona, i pozycja w Unii Europejskiej, i doświadczenie premierostwa, i klasa polityczna. Gdyby nie Tusk, nie byłoby tego zwycięstwa. On sam tego nie powie, a i „koledzy z opozycji”, z których każdy ma sporych rozmiarów ego, też tego nie powiedzą. Na szczęście, poza jakimiś odosobnionymi głosami, nikt poważny z trójkoalicji nie kwestionuje przywództwa Tuska. Trwają uzgodnienia dotyczące obsady funkcji marszałków oraz ministrów (więcej s. 20), ale liderzy koalicji na razie spisują się w nich bardzo dobrze, nie dają się sprowokować do publicznych medialnych licytacji, nikomu nie puściły nerwy, nikogo nie poniosła ambicja. Wszyscy wiedzą, w jakich warunkach odbywa się przejmowanie rządów; były szef CBA, powołując się na sygnalistów, właśnie ostrzegł, że odchodząca ekipa może sięgać także po materiały i prowokacje służb specjalnych. Bez złudzeń: politycy i urzędnicy PiS (choć już chyba pogodzili się z utratą władzy, analiza s. 16) wykorzystają każdy pretekst, aby maksymalnie opóźnić i utrudnić start nowej ekipy, skłócać, kompromitować, sabotować. To jest dziś główne zagrożenie.

**W**brew pozorom akurat priorytety programowe nowego rządu czy podział ministerialnych stanowisk nie powinny być podłożem głębszych konfliktów w koalicji. Lista zadań jest oczywiście i dostatecznie długa, aby wystarczyła nie tylko na najbliższe 100 dni, ale i sto tygodni. Wiadomo: pieniądze z KPO, przywracanie praworządności, audyt finansów publicznych, przegląd inwestycji, odpartyjnięcie mediów rządowych, spółek Skarbu Państwa i administracji, podwyżki dla nauczycieli i w sferze budżetowej. W maju liderom opozycyjnych partii przekazałimy w POLITYCE dokument (wieniący wielomiesięczne prace ekspertów), który zawierał 240 rekomendacji programowych dla przyszłego demokratycznego rządu. Podobne prace toczyły się pod egidą Fundacji Batorego, także w rozmaitych zawodowych środowiskach. Problemem jest raczej to, że po rządach PiS nie wiadomo, w co najpierw włożyć ręce. Dlatego też podział resortów to nie będzie w nowym rozdaniu przydział łupów i przywilejów, ale na ogół niewdzięcznych zadań, jak dla ekipy sprzątającej po rozpasanym bankiecie.

Nie można też dopuścić, aby realizacja wspólnego planu naprawy państwa została zakłócona czy sparaliżowana przez rywalizację w przyszłorocznych podwójnych wyborach, samorządowych i europejskich. Pakt senacki pokazał już, jak skuteczny może być personalny i polityczny sojusznik dzisiejszej opozycji. A przecież za rok ruszy już prekampania prezydencka. To będzie pierwsza próba rewanżu PiS za wybory 2023 r. i za jakiś czas i w tej sprawie koalicja powinna zacząć się dogadywać. Wyborcy dali silny demokratyczny mandat „zjednoczonej opozycji”. I tylko takiej. Dobrze byłoby tego nie zepsuć.

# IKEA – Made in Poland

OGŁOSZENIE PŁATNE

Co 5. mebel IKEA na świecie jest wyprodukowany w polskiej fabryce. Pierwsze z nich, ponad 60 lat temu, powstały w Radomsku – 29 lat przed otwarciem pierwszego sklepu IKEA w Polsce. Oto 3 fakty o IKEA, które mogą Cię zaskoczyć.

## Światowa produkcja w polskich fabrykach

Najbardziej znane meble IKEA, takie jak HEMNES, HAVSTA, IVAR, MALM, LACK, EKET i KALLAX mają znaczek „Made in Poland”.

Ponad 20% mebli IKEA używanych na świecie, od Ameryki po Japonię, powstało w Polsce. 9 na 10 stolików LACK czy szafek EKET zostało wyprodukowane w jednej z polskich fabryk. Podobnie jak co drugi z kultowych foteli STRANDMON.

Mebel IKEA są nie tylko świetnie wykonane przez polskich specjalistów. Niektóre z produktów wyszły spod ręki polskich projektantów. W Lubawie powstał innowacyjny sposób montażu nóg do stołów LISABO (wzornictwo nagrodzone prestiżową Red Dot Design Award) bez śrub i wkrętów.

## IKEA powstała w Polsce

Tak powiedział założyciel IKEA. Gdy przyjechał pierwszy raz do Polski, w 1961 roku, prowadził niewielką jeszcze firmę. Kamprad złożył wtedy

pierwsze zamówienie na krzesła ÖGLA, produkowane w fabryce w Radomsku. Już 13 lat później w Polsce produkowanych było 169 modeli mebli, które następnie były eksportowane m.in. do Danii, Szwajcarii czy Niemiec Zachodnich.

W tym roku IKEA obchodzi 80-lecie powstania. Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek na świecie. Ingvar Kamprad zawsze podkreślał, że bez współpracy z polskimi przedsiębiorcami nie byłoby to możliwe.

IKEA jest dla Polski drugim domem i miejscem, w którym firma wciąż chce inwestować. W roku finansowym 2022 spółka IKEA zapłaciła podatek CIT w wysokości 180,3 mln zł, a łączne składki na ubezpieczenie społeczne w tym okresie wyniosły 309,1 mln zł. Łączna wartość inwestycji przekroczyła pół miliarda złotych, a w bieżącym roku przekroczy 700 mln zł.

## Mebel, dzięki którym rozwijają się polskie biznesy

Fabryka mebli giętych FAMEG – ta, w której Kamprad złożył pierwsze zamówie-

nie – działa do dziś. Takich przykładów jest więcej – np. firma COM40 rozwinęła się dzięki współpracy z IKEA. Dziś zatrudnia ponad 4000 osób i produkuje milion sof rocznie.

Blisko 200 polskich przedsiębiorców wytwarza i dostarcza produkty dla IKEA. Wspólnie z nimi IKEA tworzy niemal 100 000 miejsc pracy w Polsce.

IKEA w Polsce ma też 16 własnych fabryk, zatrudniających łącznie blisko 9000 osób. Między innymi w Goleniowie, Lubawie, Orli, Resku, Stalowej Woli, Stepnicy, Wielbarku. Do tego zespół fabryk meblarskich w Zbąszynku, Babimoście i Zbąszyniu, który jest jednym z największych tego typu kompleksów na świecie.

Fabryki IKEA w Wielbarku i Lubawie są drugimi największymi pracodawcami w woj. warmińsko-mazurskim. W tych dwóch fabrykach powstaje aż 10 mln mebli rocznie. Fabryki IKEA są też jednym z największych pracodawców w woj. lubuskim czy zachodniopomorskim.

# Hej!

Światowy design.  
Świetnie wykonany w Polsce.



STRANDMON  
Fotel uszak  
**899,-**

© Inter IKEA Systems B.V. 2023

Lepiej pomyślany dom



## Wybory 2023: zaskakujące zwycięstwa i spektakularne klęski

Do Sejmu wrócił Donald Tusk – ale to było oczywiste. Zaskoczeniem jest liczba głosów, które otrzymał – ponad **538,5 tys.**, czyli więcej niż cała warszawska lista PiS. Jeszcze więcej osób – blisko **628,5 tys.** – głosowało na Adama Bodnara, byłego RPO, kandydata paktu senackiego z okręgu obejmującego cztery warszawskie dzielnice: Białołękę, Bielany, Śródmieście i Żoliborz, oraz zagranicę i statki.

Jarosław Kaczyński zdobył ponad **177 tys.** głosów. Był „jedyńką” w Kielcach, w woj. świętokrzyskim, bastionie PiS, gdzie partia wygrała wybory parlamentarne pięć razy z rzędu. Prezesowi udało się co prawda pobić dotychczasowy rekord ustanowiony przez Przemysława Gosiewskiego w 2007 r., ale to marny powód do radości, bo w całym województwie PiS straciło dwa mandaty. Jeden z nich odebrał partii Kaczyńskiego Roman Giertych, startujący z ostatniego miejsca listy KO (ponad **23 tys.** głosów, drugi wynik na liście).

Okazało się zarazem, że wybory niekoniecznie wygrywa się w Końskich, bo o tym, że Zbigniew Koniusz, wojewoda świętokrzyski startujący z list PiS, nie wejdzie do Sejmu, zadecydowały ostatecznie wyniki z czterech tamtejszych obwodowych komisji. Do parlamentu nie dostało się zresztą więcej kandydatów i kandydatek, które – zdawać by się mogło – mandat miały w kieszeni. **Tadeusz**

**Cymański**, który niedawno powrócił do PiS z Suwerennej Polski, posługujący od 1997 r. (z przerwą na PE), przegrał w Gdańsku z Jarosławem Sellinem (także z PiS) równo o 100 głosów. Po raz pierwszy od 1991 r. w Sejmie nie zasiadzie łódzka posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska (KO). Mandatów nie dostali również m.in.: Jacek Protasiewicz (startujący z list TD), Paweł Poncylljus (KO), Jadwiga Emilewicz (PiS), Przemysław Czarnecki (PiS, syn europosła Ryszarda Czarneckiego), Artur Dziambor (TD), Anna Maria-Siarkowska (Konfederacja), Robert Bąkiewicz (PiS), Dobromir Sośnierz (Konfederacja), Aleksander Pocię (dotychczasowy senator KO, dla którego nie było miejsca w pakcie, więc trafił na 20. miejsce na warszawskiej liście do Sejmu) oraz **Janusz Korwin-Mikke**

(Konfederacja). Ten ostatni w warszawskim obwarunku – obejmującym powiaty wokół stolicy – zdobył dwa razy mniej głosów (niewiele ponad **9 tys.**) od politycznej debutantki Kariny Bosak (ponad **20 tys.**), prawniczki Ordo Iuris i żony jednego z liderów Konfederacji.

Jeśli już jesteśmy przy obwarunku, to warto odnotować, że KO odbiła go z rąk PiS. W 2019 r. partia Kaczyńskiego zdobyła tu sześć spośród 12 mandatów. Teraz cztery – tyle samo co Koalicja. Lidera listy KO Jana Grabca (ok. **62 tys.** głosów) wyprzedziła tu Kinga Gajewska (blisko **82 tys.**), którą policja wepchnęła do radiowozu podczas wiecu PiS w Otwocku. Z Sejmem pożegnał się natomiast Andrzej Rozenek, bo 311 głosów przesądziło, że KO nie wzięła tu piątego mandatu. To pokazuje, że niekiedy naprawdę niewiele brakowało. Adam Koperski z Lewicy przegrał w Bielsku-Białej z Bronisławem Fołtynem z Konfederacji, bo na Lewicę głosowało tam **34 601** osób, a na Konfederację – **34 909** (więcej o 308).

Pojawiły się za to nowe nazwiska. Najgłośniejszy jest o **Łukaszu Litewce**, popularnym w mediach społecznościowych sosnowieckim radnym startującym z ostatniego miejsca na lewicowej liście, który zdobył blisko dwa razy więcej głosów (**40 tys.**) od „jedyńki”, czyli lidera Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego (**22 tys.**). Chyba nikt się tego nie spodziewał, bo Litewka nie został nawet zaproszony na wieczór wyborczy Lewicy, a gdyby nie jego wynik, to Czarzasty w ogóle nie dostałby się do Sejmu. Kolejne zaskoczenie z Lewicy: Daria Gosek-Popiołek, która jeszcze przed głosowaniem zapowiadała pokoleniową i genderową zmianę w polityce – zdobyła w Krakowie prawie **40 tys.** głosów, wyprzedzając lidera listy Macieja Gdulę (**16 tys.**) i zdobywając jedyny lewicowy mandat w tym okręgu.

O „świeżej krwi” mówił też trzy dni po wyborach Szymon Hołownia, chwając się, że trzy czwarte polityków i polityczek, których wprowadził do parlamentu, nigdy wcześniej w nim nie zasiadało, w tym najmłodszy poseł tej kadencji: 24-letni **Adam Gogoła**.

Najmłodszy z PiS jest Michał Moskal (29 lat), a z KO – **Aleksandra Wiśniewska** (też 29 lat). W Lewicy najmłodszy jest wspomniany już Litewka (34 lata).

Hołownia sam zadebiutuje jako poseł, po tym jak zdobył na tradycyjnie piśowskim Podlasiu blisko **80 tys.** głosów – najwięcej w województwie. Lider list PiS Jacek Sasin zdobył od niego **20 tys.** głosów mniej. Z podlaskiej listy Trzeciej Drogi do Sejmu weszła też Barbara Okuła, przedsiębiorczyni z Białegostoku (od 15 lat prowadzi sieć sklepów z zabawkami). Zdołała co prawda tylko **3482** głosy – najniższy wynik, który pozwolił zdobyć mandat – ale podźwignął ją imponujący wynik Hołowni. „Świeżą krewią” z Polski 2050 jest np. Norbert Pietrykowski – 49-letni przedsiębiorca, polityczny nowicjusz, który w okręgu bydgoskim wykrcił lepszy wynik (**27,5 tys.** głosów) od Pawła Szrota (niewiele ponad **20 tys.**), lidera listy PiS, a także szefa prezydenckiego gabinetu. Wyborcy partii Kaczyńskiego głosowali tu raczej na Łukasza Schreiber, sekretarza stanu w KPRM, który zdobył ponad **44 tys.** głosów, ale Szrot mandat też dostał.

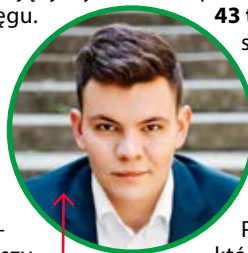
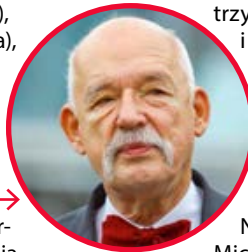
W sensacyjnym starciu „jedynek” w okręgu piotrkowskim vs **Bogusław Wołoszański** vs Antoni Macierewicz – zwyciężył prowadzący „Sensacje XX wieku”. Zdołał ponad **35 tys.** głosów, Macierewicz – niespełna **33 tys.**

Nadspodziewanie słaby wynik uzyskał natomiast Sebastian Kościelnik (niewiele ponad **300** głosów), startujący w Warszawie z list KO kierowca Fiata Seicento, które w 2017 r. zderzyło się z kolumną rządową Beaty Szydło. Kilka dni przed wyborami zawiesił nieistniejącą i tak w zasadzie kampanię, informując, że jego proces może zostać wznowiony.

Z opolskiej listy PiS wprowadził czterech posłów, w tym Pawła Kukiza (ponad **43 tys.** głosów) i Janusza Kowalskiego (**14,5 tys.**). W Lubuskiem zwyciężyła KO, ale mandat z list PiS zdobył m.in. skompromitowany poseł Łukasz Mejza (**10,1 tys.**).

Do Sejmu dostał się też Dariusz Matecki z Suwerennej Polski (blisko **15 tys.** głosów), który zabrał mandat prezesowi PiS w Szczecinie Leszkowi Dobrzyńskiemu (18-letni staż w Sejmie, niespełna **12 tys.** głosów). Matecki zasłynął niedawno „ostrzeżeniem” dla aktorów grających w „Zielonej granicy”, których porównał do kolaborantów w czasach okupacji.

NORBERT FRĄTCZAK





## PKW do wymiany

**P**aństwowa Komisja Wyborcza do dymisji! – takie żądania padają głównie ze strony komisji wyborczych, które pracowały za granicą. Wojciech Hermeliński, sędzia TK w stanie spoczynku, były szef PKW, nie jest zaskoczony: – *Gdy patrzę na to, co działo się podczas wyborów, to niestety trudno się temu dziwić. Nie może być tak, że członkowie komisji za granicą godzinami czekają na odpowiedź z Warszawy i śpią na podłodze. To był skandal.*

Wśród Polonii padł frekwencyjny rekord – ponad 600 tys. głosujących (KO – 45 proc., PiS – 16 proc.), ale to nie może usprawiedliwiać chaosu. Pełne wyniki wyborów poznaliśmy dopiero we wtorek rano. Tantejsze komisje miały 24 godziny od momentu zakończenia głosowania – podobnie jak w poprzednich latach – aby policzyć głosy Polonii. Teraz doszły karty z referendum, a zgodnie ze zmianą prawa przeprowadzoną przez PiS każdą kartę wszyscy członkowie komisji musieli oglądać z każdej strony. Gdyby nie zdążyli w ciągu doby wysłać protokołów, głosy zostałyby uznane za nieważne. Stanęli na wysokości zadania, ale potem godzinami czekali na zatwierdzenie protokołów przez Okręgową Komisję Wyborczą w Warszawie. Po sieci krążyły zdjęcia śpiących na podłodze osób, które po maratonie wyborczym czekały na sygnał ze stolicy. O północy z poniedziałku na wtorek OKW wciąż nie zatwierdziła 330 z 1248 nadesłanych protokołów.

W poniedziałek późnym wieczorem interwencję podjął poseł KO Michał Szczerba. Przewodniczący komisji Łukasz Kluska (neoseldzia SO w Warszawie) tłumaczył mu, że zespół pracuje od po-



nad 20 godzin, więc prace idą wolno. Mało tego, to zmęczeni informatycy chcieli przerwać pracę i dopiero po negocjacjach zgodzili się zostać. Okazało się też, że komisja pracuje tylko w połowie swojego dziesięcioosobowego składu. Szczerba zażądał powrotu wszystkich członków, a w sprawę włączyła się PKW. Dopiero wtedy zaczął pracować pełen skład. „Nie mieliśmy w ogóle na to wpływu, ale mocno nas zabolowało patrzeć,

w jakich warunkach wyborcy oddają głos” – tłumaczyła długie kolejki Magdalena Pietrzak, szefowa Krajowego Biura Wyborczego (zapewniającego obsługę PKW). Argumentowała, że zgodnie z przepisami Kodeksu wyborczego za wszystko odpowiada wójt, burmistrz lub prezydent miasta. Choć jeśli chodzi o to, w jakim lokalu odbywa się głosowanie, to odpowiedzialne są i gmina, i KBW. Gminę na obwoły do głosowania dzieli komisarz wyborczy. On wydaje postanowienie o tym, jaki obwód obejmuje dane ulice, a więc ilu w obwodzie będzie wyborców. W postanowieniu wskazuje też siedzibę komisji. Wójt, burmistrz czy prezydent ma możliwość wpływu na decyzję komisarza, bo przedkłada mu informacje, zanim ten wyda swoje postanowienie. Jeżeli więc dany lokal, w którym już odbywały się wybory, jest za ciasny, to powinno dojść do zmiany siedziby obwodowej komisji wyborczej. Widać zabrakło w tym zakresie współpracy.

**S**ędzia Hermeliński rekomenduje zmianę składu PKW. Dziś większość jej członków jest z nadania politycznego. A politykę od organizacji wyborów i kontrolowania przebiegu głosowania należy bezwzględnie oddzielić. (DĄB.)

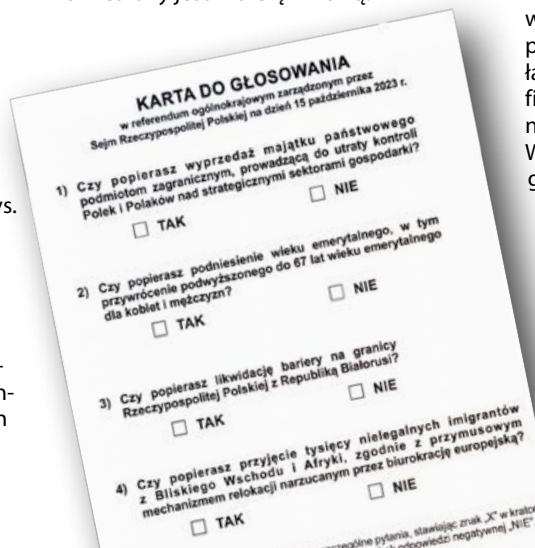
## Referendum: czerwona kartka dla PiS

**P**róbując opisać referendum językiem matematyki, trzeba powiedzieć, że było nieudane do kwadratu. Pomimo rekordowej frekwencji wyborczej (74,38 proc.) w samym referendumi udział wzięło zaledwie 40,91 proc. uprawnionych. Wynik w liczbach bezwzględnych oznacza, że ponad 9,8 mln głosujących nie zdecydowało się pobrać karty do udziału. Karta referendalna okazała się czerwona kartką dla rządzących. I właściwie w tym miejscu można byłoby skończyć pastwienie się nad tą polityczną pomyłką. Ale dalsza zabawa cyferkami jest pouczająca. Suma wydanych kart: 12 mln 139 tys. o zaledwie 4,5 mln przekroczyła liczbę głosów oddanych na PiS. Z kart wynika, że wyborcy bojkotowali referendum również w zacinu miejsc do głosowania. W przypadku każdego z czterech pytań liczba głosów nieważnych to ponad 800 tys. W efekcie realnych głosów padło tak naprawdę 11 mln 200 tys.

Odpowiedzi na same pytania też są pouczające. Na trzy pytania – te dotyczące wyprzedaży majątku państwowego, likwidacji bariery na granicy i relokacji imigrantów – rozkład głosów jest niemal identyczny. W każdym ok. 10,8 mln głosujących

odpowiedziało „nie”. Kolejne 300 tys. odpowiedzi było na „tak”. Ciekawie rozłożyły się głosy w przypadku pytania: „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?”. W tym wypadku ponad 600 tys. głosujących odpowiedziało na „tak”.

**P**iS na referendum nic nie zyskał. Zwłaszcza kiedy okazało się, że rząd, który straszy uchodźcami, sam po uszy zamieszany jest w aferę wizową.



Negatywny wpływ afery na wynik partii potwierdził w trakcie wystąpienia na zjeździe klubów „Gazety Polskiej” Jarosław Kaczyński. Powiedział, że po ujawnieniu afery wewnętrzne sondaże PiS wskazywały nieustanny spadek poparcia. Jednak byli tacy, którzy na referendum zbili kokosy. W finansowanie kampanii referendalnej zaangażowały się spółki Skarbu Państwa. Za ich pieniądze plakaty i broszury wydrukowała m.in. Fundacja Niezależne Media, którą założył Tomasz Sakiewicz, naczelny „GP”. Do powiatu lubelskiego przesłano wiele banerów mobilizujących do udziału w referendumi. Zawisły tylko w jednej gminie w tym powiecie. Miliony wydane na referendum rozplynęły się w wyborczej mgle. Co było tym łatwiejsze, że PKW nie będzie badała finansowania referendum tak, jak bada finansowanie partii politycznych i kampanii. W przypadku referendum nie ma takiego obowiązku.

**R**eferendum – mechanizm, który miał demokrację zwiększać – po raz kolejny zostało wykorzystane do doraznej, cynicznej polityki. Trudno się dziwić, że w politycznym meczu wyborcy kontra referenda wynik jest 4 do 1. Od 1989 r. tylko jedno referendum – związane z akcesją do UE – było wiążące. (JULL)



## Ile głosów taktycznych na Trzecią Drogę

**R**ezultat Trzeciej Drogi jest jedną z największych niespodzianek tych wyborów. Zwolennicy opozycji prawie do końca drżeli o wynik sojuszu Polski 2050 i PSL, który zdecydował się startować jako koalicja. A to oznaczało konieczność przeskokowania 8-proc. progu, a nie 5-proc. jak inne partie. Porażka TD mogłaby otworzyć drogę kolejnej kadencji PiS – tak jak w 2015 r. 7,5 proc. koalicji lewicowej, która nie weszła do Sejmu. Dlatego wielu wyborców opozycji zapowiadało taktyczne głosowanie na Trzecią Drogę, choć inne ugrupowania były im bliższe. Zgodnie z badaniami motorem działania dla dużej części elektoratu opozycji było bowiem odsunięcie PiS od władzy, różnice między partiami nie były tak istotne. Wyborcy opozycji w dużej części byli też dobrze poinformowani i świadomi skutków swoich decyzji, stąd np. względna popularność tzw. turystyki wyborczej.

Na koniec TD pokonała próg z wielkim zapasem, osiągając 3,1 mln głosów, czyli 14,4 proc. Na ile to efekt właśnie głosowania taktycznego, a na ile dobrej końcówki kampanii czy innych czynników? Nikt tego nie zbadał, ale pewne wnioski można wyciągnąć na podstawie badania *exit poll* firmy Ipsos oraz ostatnich sondaży przed wyborami. Sondaże TD po zawiązaniu tego sojuszu w lutym 2023 r. sięgały 15 proc., ale szybko zaczęły spadać, by w lecie osiągnąć wartości jednocyfrowe. Odbiły dopiero na kilka tygodni przed wyborami, choć jeszcze 5 października

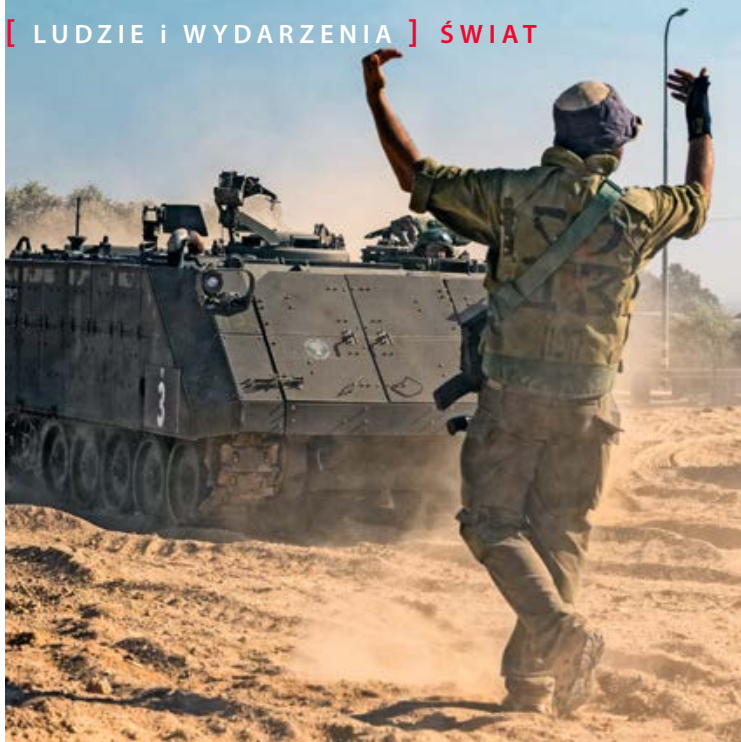
media pisały o sondażu wewnętrznym KO, w którym TD zyskiwała tylko 6–7 proc. Co nam mówi *exit poll*, czyli badanie przeprowadzone już w trakcie wyborów? Warto zwrócić uwagę na przepływy wyborców między tymi i poprzednimi wyborami do Sejmu. Na TD zagłosowało teraz prawie 15 proc. wyborców KO i prawie

13 proc. elektoratu Lewicy z 2019 r. Oczywiście nie wiemy, ilu z nich głosowało taktycznie, wielu z nich po prostu mogło zmienić ulubioną partię. Jeśli zsumujemy te przepływy w liczbach bezwzględnych, to zupełnie teoretyczny, maksymalny pułap głosowania taktycznego to ok. 1 mln wyborców, czyli około jednej trzeciej elektoratu TD.

**R**ealnie jednak musiało to być mniej. Równoległe na korzyść TD działały bowiem dwa inne czynniki. Po pierwsze, dobra końcówka kampanii – w tym występ Szymona Hołowni w tzw. debacie TVP, a zwłaszcza jego korzystny odbiór medialny. Ważne były też słowa Donalda Tuska, który na ponad tydzień przed wyborami zaapelował do zwolenników TD i Lewicy, żeby głosowali na swoich wybrańców. Dobry nastrój wokół całej opozycji wykreował Marsz Miliona Serc 1 października, tego dnia przywódcy opozycji wspierali się nawzajem. Po drugie, większy od spodziewanego był wzrost frekwencji (74,4 proc. w porównaniu z 61,7 proc. cztery lata temu). W wyborach wzięła udział duża liczba osób, które wcześniej niewiele lub nieregularnie interesowały się polityką. Dla nich oferta TD, która pozycjonowała się jako partia pośrodku politycznego spektrum, mogła być atrakcyjna. Polska 2050 i ludowcy promowali się też jako partie popierające liberalne rozwiązania (np. dobrowolny ZUS dla przedsiębiorców). Mogli przejąć część antyopodatkowego elektoratu, który wcześniej kręcił się wokół Konfederacji, a później od niej odpadł.

Zgodnie z *exit poll* TD zdobyła sporą grupę nowych wyborców, którzy w 2019 r. nie głosowali (18 proc.) lub „nie pamiętali” – albo nie chcieli pamiętać – na kogo głosowali (23 proc.). Nie udało się natomiast, wbrew zapowiedziom **liderów TD**, pozyskać elektoratu, który odpadł od PiS – tylko 3 proc. elektoratu tej partii z 2019 r. wybrało w 2023 r. trzeci drogowców.

ŁUKASZ LIPIŃSKI



## Bilans odwetu

**K**ampania w Gazie może potrwać miesiące, zapowiada Yoav Gallant, minister obrony Izraela. W ataku palestyńskiego Hamasu z 7 października zginęło 1,4 tys. osób, napastnicy uprowadzili do Gazy ponad 200 zakładników. Natomiast bilans odwetu u progu trzeciego tygodnia konfliktu to 320 ataków z powietrza przeprowadzonych przez izraelską armię. Władze Gazy mówią o ponad 4 tys. ofiar śmiertelnych, przede wszystkim cywilnych. Nie jest jasne, czyja rakietą trafiła w szpital Al-Ahli, gdzie – według lokalnego ministerstwa zdrowia – zginęło co najmniej 471 pacjentów i uchodźców szukających schronienia. Dane te są podważane jako propagandowo zawyżone.

**B**ardzo gęsto zaludniony region z 2,3 mln mieszkańców jest kompletnie odcięty od świata. Pierwsze ciężarówki z pomocą wjeżdżające od strony Egiptu to stanowczo za mało, by uśmierzyć głęboki kryzys humanitarny. Brakuje wody, żywności, leków i paliwa do szpitalnych generatorów. Ponad milion mieszkańców uciekło na południe Gazy, bo północ, jako matczynik Hamasu, ma być pacyfikowana przez siły izraelskie. Rząd jest zdeterminowany i przygotowany do ofensywy. Prezydent Joe Biden odwiedził Izrael i radził, by wystrzegać się błędów, które Ameryka popełniła po 11 września. Stany Zjednoczone namawiają też do opóźnienia inwazji. Potrzebują czasu, by prowadzić negocjacje w sprawie uwolnienia zakładników z amerykańskimi paszportami (dwoje zostało uwolnionych), dostarczyć pomoc Palestyńczykom i zabezpieczyć swoje interesy, zanim konflikt rozleje się na resztę Bliskiego Wschodu.

**S**zczyt pokojowy zwołany w Egipcie zamiast przełomu przyniósł potwierdzenie międzynarodowych podziałów w ocenie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Delegacje z państw arabskich wzywały do zatrzymania ofensywy i oskarżały Izrael, natomiast przedstawiciele Europy opowiadali się za skromniejszymi celami, w tym zapewnieniem bezpieczeństwa cywilom w Gazie. Podzielona jest także sama Europa. Ponad ośmiuset brukselskich urzędników napisał do szefowej Komisji Europejskiej list, w którym stawiają Ursuli von der Leyen zarzut o zbyt dużą stronniczość wobec Izraela. Jeszcze dobitniej swoje racje wykrzykiwali uczestnicy propalestyńskich manifestacji, które przeszły w weekend przez miasta na całym świecie.

Raport z Gazy – s. 50.

## Węgierski wyłom

Premier Węgier spotkał się w Pekinie z prezydentem Rosji. **Viktor Orbán** i ścigany przez Międzynarodowy Trybunał Karny **Władimir Putin** gawędzili o dostawach gazu ziemnego, ropy naftowej i rozbudowie przez Rosjan elektrowni jądrowej w Paksie. Decyzja Orbána wywołała wzburzenie wśród sprzymierzeńców Węgier z UE i NATO. Bardzo nieprzyjemne – skomentowała premier Estonii Kaja Kallas. – To sposób Putina – uznał prezydent Czech Petr Pavel – na rozbiście jedności Europy i całego świata demokratycznego, nie powinniśmy dać się nabrać na jego taktykę. Dyplomatyczne konwenanse porzucił David Pressman, amerykański ambasador w Budapeszcie. Stwierdził, że Orbán stanął po stronie Putina, którego wojska są odpowiedzialne za zbrodnie przeciwko ludzkości w Ukrainie.

Do spotkania doszło podczas forum zorganizowanego przez przywódcę Chin. Xi Jinping zaprosił najbliższych partnerów na świętowanie dziesięciolecia tzw. nowego jedwabnego szlaku, sieci połączeń infrastrukturalnych mających łączyć Chiny z Europą i Afryką. Xi mówi o „projekcie stulecia”, jednak inicjatywa najlepsze lata zdaje się mieć za sobą. Do flauty przyczyniła się rwąca łańcuchy dostaw pandemia i narastająca nieufność wobec zdradzających imperialne zapędy, coraz bardziej autokratycznych Chin. Pod hasłem rozbudowy szlaku wydano blisko bilion dolarów, ale po 2018 r. tempo inwestycji spadło prawie o połowę. Wiele krajów narzeka dziś na konsekwencje chińskich pożyczek. Budowały za nie lotniska, drogi i koleje, ale wydatki niekoniecznie nakręcają koniunkturę, a raty zostały. Chińczycy naciskają na wierzycieli, by spłacali w terminie, bo przez spowolnienie własnej gospodarki brakuje im kapitału.

Za to Viktor Orbán jest zachwycony. Był jedynym przedstawicielem Zachodu na forum w Pekinie. Odwiedził szefa koncernu Huawei, którego usługi i technologie są uważane przez szereg zachodnich rządów za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Huawei, oskarżane o przekazywanie danych chińskiemu rządowi, będzie wspierać węgierską „rewolucję cyfrową” i rozbudowywać swoje tamtejsze zakłady. Chińskie firmy wielu branż, zwłaszcza związanych z produkcją aut elektrycznych, z rozmachem inwestują nad Dunajem, co sprawia, że Węgry stają się nie tylko rosyjską, ale także chińską bramą do Europy.



## Nowa Zelandia bierze zakręt

W styczniu po pięciu latach niespodziewanie ustąpiła premier Jacinda Ardern, bo jak powiedziała, „wyładowały się jej akumulatory”. Była popikoną światowej polityki, wprowadziła ciepły, osobisty ton rządzenia oraz program marzeń progresistów. Dała sobie świetnie radę z covidem i z sytuacją po potwornej strzelaninie ekstremistów. Kiedy odchodziła, już psuły się nastroje, ale pewnie nie sądziła, że w październikowych wyborach jej Partia Pracy, która dotąd rządziła samodzielnie, dostanie połowę dotychczasowych głosów, a Nowa Zelandia będzie miała najbardziej prawicowy rząd w dziejach.

Jej następcą w fotelu premiera Chris Hipkins miał pod górkę: w styczniu były powódzie, w lutym tajfun, do tego szereg zbrojnych rabunków z udziałem gangów, a w okolicznościach aferałnych ustąpiło pięć członków gabinetu, w tym pani minister sprawiedliwości, która po alkoholu spowodowała wypadek drogowy. Ale przede wszystkim narastało poczucie, że sprawy idą w złym kierunku. Ardern rozbudziła nadzieje ponad miarę. Dwuletnie zamknięcie granic i izolacja źle podziały na gospodarkę, przyszła inflacja, a ceny nieruchomości poszybowały ponad przeciętne możliwości. Osią kampanii wyborczej była spadająca siła nabywca i rosnące koszty utrzymania.



Postcovidowe nastroje wykorzystała centroprawicowa Partia Narodowa, odwieczny rywal laburzystów (choć obie główne partie odnotowały silny spadek) i będzie rządzić w koalicji z libertarianami z partii ACT. Nowy premier **Christopher Luxon** to także postać dość nietypowa. Prawie debiutant w polityce, był do niedawna szefem nowozelandzkich linii lotniczych, a wcześniej przez lata za granicą menedżerem w czołowych koncernach. W stylu szefa wielkiej korporacji obiecał wyjście na prostą, obniżenie podatków i wydatków socjalnych. Nowy rząd zadeklarował, że nie ruszy reform społecznych byleby premier, ale przyhamuje z „maoryzacją”, promocją języka i kultury pierwszych mieszkańców tych wysp. Trochę tej Ardern żal.

## Długie miecze Ukrainy

Zaledwie jedną salwą pociski ATACMS przyniosły rekordowe straty rosyjskim bazom frontowych śmigłowców. Zniszczono ok. 20 maszyn, dziesiątki ludzi zostało rannych lub zabitych. Atak był zaskoczeniem. Rosja najwyraźniej zlekceważyła nieoficjalne sygnały, że Amerykanie po miesiącach wahań zdecydowali się przekazać Ukraincom najgroźniejszy system uzbrojenia, jaki w ogóle mają w wojskach lądowych. Na razie to pociski do rażenia „miękkich” celów i jeszcze nie o maksymalnym zasięgu. Przekazane Ukrainie rakiety przenoszą głowice kasetowe z setkami podpocisków na odległość 165 km. To jednak wystarczy, by z Zaporozża pokryć ogniem lotniska, składy i magazyny na całym korytarzu między Krymem a Donbasem.

Salwa przeciwko śmigłowcom pokazała, że Ukraińcy najpierw celują w to, co im najbardziej zagraża. Z czasem będą używać amerykańskich rakiet w bardziej wysublimowany sposób, o ile mają ich pod dostatkiem. Potajemne przekazanie ATACMS-ów oznacza, że administracja Joe Bidena doszła do własnej czerwonej linii. Dostrzega ryzyko przedłużającej się wojny i przed politycznie krytycznym

rokiem 2024 chce zwiększyć presję na Kreml. Również przez mobilizację Zachodu i dodatkowe pieniądze. Dlatego Biden w orędziu przestrzegał, że jeśli Rosji nie powstrzyma się w Ukrainie, będzie sięgać dalej – ku Polsce i krajom bałtyckim. Na spotkaniu z przywódcami Unii podkreślał, że obrona Europy jest kluczowa dla transatlantyckiego ładu. Ale po wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie amunicją przewidzianą dla Ukrainy musiał podzielić się z Izraelem, a z okrętów, samolotów i wyrzutni stworzył powietrzno-morski kordon, by nikomu nie przyszło do głowy interweniować z zewnątrz.

Strategiczny bilans wciąż sprzyja Kijowowi – Biały Dom chce Sna wsparcie Ukrainy wydać ponad 60 mld dol., kilkakrotnie więcej niż na pomoc Izraelowi. Ale Putin na przyszły rok planuje rekordowy budżet wojskowy w wysokości 6 proc. rosyjskiego PKB (ok. 110 mld dol.). Na razie wojska rosyjskie wciąż biją głową w mur. W lokalnej ofensywie pod Awdiijiwką koło Doniecka straciły już dwa bataliony zmechanizowane. To dowód, że również Ukraińcy w obronie bywają lepsi niż w natarciu. Tylko że nawet najskuteczniejsza obrona nie przywróci Ukrainie pierwotnych granic i nie zakończy tej wojny.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI  
Scenariusze wojenne – s. 53

# Moc suwerena

RAFAŁ KALUKIN

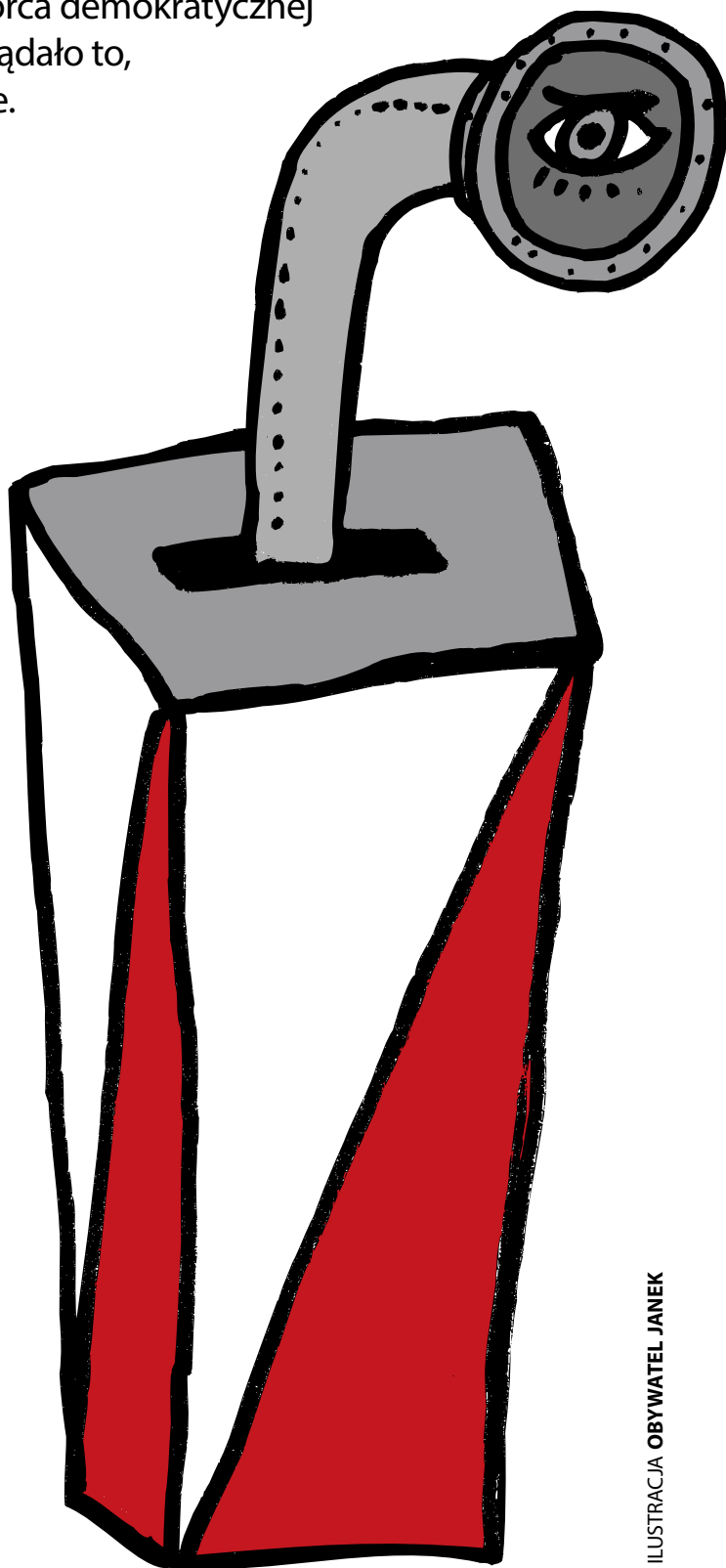
Jak pokazał 15 października, wyborca demokratycznej opozycji poczuł w sobie siłę. Wyglądało to, jakby Polacy zaskoczyli sami siebie. Co z tego może wyniknąć?

**P**olacy chcą zmiany władzy – ogłosiliśmy na okładce ostatniego przed wyborami numeru POLITYKI. Taki był najważniejszy wniosek naszego sondażu, w którym 61 proc. badanych opowiedziało się za zakończeniem rządów PiS, a tylko 26 proc. wolało kontynuację. Ogólne zmęczenie pisowską władzą było od dawna wyraźne, szczególnie jej nieudolnością, cynizmem, poziomem demoralizacji i prymitywizmem propagandy. Choć rządzenie już od dawna grzęzło w mule, to jednak sam PiS ciągle wydawał się nie do ruszenia, tak jakby ta ekipa posiadała sekret politycznej wieczności. W większości antypisowskie społeczeństwo nie miało zatem wielkiej nadziei, iż jest w stanie odstawić salonkę Kaczyńskiego na bocznicę.

**Brak wiary w pozytywny finał znajdował swój wyraz w badaniach.** Choćby w sondażu United Surveys dla wp.pl zrealizowanym na trzy tygodnie przed wyborami. Tylko niespełna co trzeci badany przewidywał któryś z scenariuszy przejęcia rządów przez opozycję. Wariant, w którym PiS wygrywa, ale rząd tworzy opozycja, przewidziało niecałe 12 proc. Według 45 proc. kampanijna rywalizacja miała się skończyć trzecią kadencją rządów PiS, chociaż raczej już nie samodzielnych. Najbardziej byli tego pewni – bo aż w trzech czwartych – zwolennicy partii rządzącej, którzy przejęcia władzy przez opozycję w ogóle nie brali pod uwagę. Opozycyjny elektorat był z kolei podzielony, optymizm mieszał się z pesymizmem mniej więcej pół na pół. I podobnie to widzieli wyborcy niezdecydowani.

Z deficytu wiary rodzi się opór materii, o którym politycy piszą później w memuarach jak o największym koszmarze. Bo jeżeli brakuje sprzyjającego społecznego nastroju, to choćby się kandydat dwoił i troił, niewiele będzie w stanie wykrzesać. Na każdym kroku spotyka go obojętność i nawet zaangażowanemu elektoratowi trudniej dogodzić, bo każdy szuka potwierdzenia swoich wątpliwości i obaw. Żeby kampania ruszyła z kopyta, coś musi w niej „kliknąć”, trzeba dotknąć jakiejś czulej społecznej struny. Ale jak już raz się uda, nagle wszystko zaczyna iść jak z płatka. Entuzjazm staje się zaraźliwy i na finiszu kampanii pojawia się mechanizm śnieżnej kuli. Do lidera nastroju zaczynają lgnąć chwilej zwolennicy innych partii oraz wyborcy *last minute*, którzy do tej pory nie chcieli się deklarować.

Pamiętamy to z przeszłości. Pewnie najboleśniej męczarnie Bronisława Komorowskiego w 2015 r. albo podcięte skrzydła KO cztery lata później, kiedy to porażka w wyborach europejskich stała się katalizatorem klęski w batalii o Sejm. Ale też pamiętne *gamechangers* epoki „pierwszego Tuska”, kiedy wskakiwał na wysoką falę po zwycięskiej debacie z Jarosławem Kaczyńskim (2007 r.) i objazdowym sukcesie „tuskobusa” (2011 r.). Z tej



ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK



perspektywy tegoroczna kampania była ewenementem, bo nikomu ani razu nie „kliknęło” i chyba trudno wskazać konkretnego *gamechangera*, chociaż z drugiej strony nie było też wielkiego grzęźnięcia. I kiedy wydawało się, że tak już będzie do końca, nagle zrodziło się coś wielkiego, zupełnie niespodziewanego.

**Kluczem do zrozumienia fenomenu tych wyborów była oczywiście frekwencja.** Ponad 74 proc. to absolutny rekord w dziejach III RP. Poszło w tych wyborach zagłosować aż 22 mln wyborców, czyli o blisko 3,5 mln więcej niż cztery lata temu. Chociaż najbardziej zaskakujące będzie porównanie z wyborami 2005 r., kiedy wyciągnięto z urn niespełna 12 mln głosów, z czego trochę ponad 3 mln na zwycięskie po raz pierwszy PiS. Teraz taki sam wynik uzyskała Trzecia Droga, której przez całą kampanię zagrażało widmo zejścia pod próg.

Legitymizacja przyszłej koalicji siłą rzeczy jest rekordowa. Łączny wynik KO, TD i Lewicy to aż 11,6 mln głosów. Dla porównania dawne koalicje PO-PSL cieszyły się poparciem 8,1 mln Polaków (2007 r.) oraz 6,8 mln (2011 r.), a w przypadku Zjednoczonej Prawicy było to kolejno 5,7 mln (2015 r.) oraz 8,1 mln (2019 r.) i teraz 7,6 mln. Wybory prezydenckie to zupełnie inna kategoria, ale nawet rekordowy mandat Andrzeja Dudy z drugiej tury starcia w 2020 r. – czyli 10,4 mln – został teraz pobity, i to o cały milion! To a propos spersonalizowanej figury „suwerena”, którą PiS uzasadniał konstytucyjne bezhołowie swoich rządów. Otóż dzisiejszy suweren okazuje się dużo postawniejszy od tamtego.

Skądinąd warto zauważyć, iż większość PiS zawsze była względna i wynikała jedynie z przelicznika D’Hondta przy podziale mandatów. Bo w procentach wynosiła ona kolejno 37,6 proc. (2015 r.) oraz 43,6 (2023 r.). Teraz KO, TD i Lewicę poparło łącznie 53,7 proc. wyborców, a więc mamy wreszcie do czynienia z większością realną.

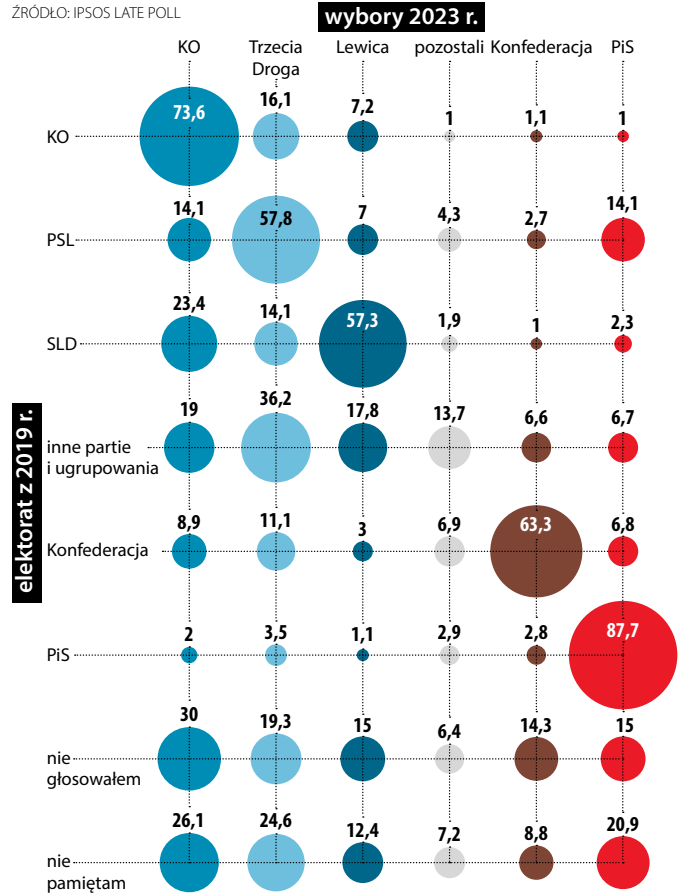
Ale warto też przyjrzeć się fragmentom, w czym pomogą nasze wyliczenia oparte na wynikach badania *exit poll* Ipsos. W przypadku samych tylko mężczyzn stojąca za nową koalicją większość jest minimalna (50,1 proc.), ale już wśród kobiet – całkiem okazała (56,7 proc.). W grupach wiekowych bywa z tym różnicami: młodzi przed trzydziestką popierają nową koalicję w blisko 63 proc., trzydziestoparolatkowie – w 57,5 proc., a – czterdziestoparolatkowie w 59 proc. U pięćdziesięcioparolatków poziom 50 proc. łącznego poparcia został przekroczony już tylko minimalnie, z kolei seniorzy wyraźnie słabiej popierają nowy układ rządzący (44,5 proc.).

Najmizerniej wygląda jednak legitymizacja przyszłej władzy na polskiej wsi: jedynie 40 proc. jej mieszkańców poparło ugrupowania demokratycznej opozycji. To się jednak zaczyna zmieniać już na poziomie małych miast (56 proc.), w średnich przekracza 60 proc., w dużych ośrodkach dobiega do 68 proc., a w metropoliach przebija sufit z wynikiem ponad 71 proc. Powraca oczywiście stereotyp, że PiS reprezentuje „starszych ze wsi”, a opozycja – młodsze roczniki z miast. Precyzyjniej byłoby jednak powiedzieć, że są to po prostu główne bastiony poparcia obydwu obozów, co skądinąd wiadomo od dawna, bo taki rozkład gwarantował PiS strategiczną przewagę. Wszak to właśnie wieś jest jak na razie zdecydowanie największym skupiskiem wyborców (40 proc. całej struktury), podobnie jak seniorzy w kategoriach pokoleniowych (trochę ponad 30 proc.).

**Co się zatem zmieniło, że pomimo utrwalenia tradycyjnych podziałów doszło do fundamentalnej zmiany?** Otóż zdecydowały drobne różnice, cząstkowe przesunięcia. Wiele nam już wyjaśniają same dane frekwencyjne. Udział w wyborach w porównaniu z 2019 r. znacząco wzrósł w niemal wszystkich

## Na kogo teraz głosowali wyborcy z 2019 r. (w proc.)

ZRÓDŁO: IPSOS LATE POLL



grupach wiekowych, a wśród najmłodszych i pięćdziesięcioparolatków wręcz fenomenalnie. Wyjątek stanowili seniorzy, w przypadku których wskaźnik frekwencyjny urosł o symboliczne 0,3 proc., co w istocie oznaczało regres, gdyż udział osób po sześćdziesiątce w całej puli zmniejszył się o 200 tys. Jak to wytłumaczyć? Najpewniej odcisnęło swoje piętno śmiertelne żniwo Covid-19, które najbardziej przeorało najstarszą kohortę wyborców. Z tej perspektywy widać, ile kosztowała odchodząca władzę jej nieudolność w walce z pandemią.

Drugim kamyczkiem do przyszłej kłęski był zakaz aborcji, który zantagonizował władzę z najmłodszym pokoleniem. Frekwencja w tej grupie skoczyła z 46 proc. w 2019 r. do obecnych 71 proc. Wtedy PiS nieznacznie w niej wygrało (26,3 proc.), teraz spadło na ostatnie miejsce (14,4 proc.). W liczbach bezwzględnych strata nie przedstawia się do prawda dramatycznie, bo to tylko o 100 tys. głosów mniej. Tyle że wszystkim innym ugrupowaniom wejście młodzieży na rynek wyborczy zapewniło istotne ekstrakrofity, a najbardziej zyskała KO (300 tys. młodych głosów więcej) i Trzecia Droga (również 300 tys. więcej, porównując z wynikiem wspólnej listy PSL i Kukiza w 2019 r.).

Wpływ zakazu aborcji już od dawna był oczywiście widoczny. Niemal równo z wybuchem ulicznej fali protestów słupki sondażowe PiS zjechały w dół i nigdy już nie wróciły do poziomu 40 proc. Tyle że opozycja raczej na tym nie zyskiwała, bo też pobudzonych politycznie młodych jest w strukturze wyborczej zdecydowanie najmniej, a do tego są nieufni wobec polityki. Można teraz odnieść wrażenie, że starsze pokolenia – obserwujące tamten bunt z życzliwym dystansem – po prostu potrzebowały ►

► czasu na porzucenie konserwatywnych nawyków, przekonania o rzekomej bezalternatywności „kompromisu aborcyjnego”, ale też nawykowego szacunku dla Kościoła, sentymentu za epoką JPII. Ostatecznie najwyraźniej jednak w sporej mierze uznały progresywną rację pokolenia swoich dzieci bądź młodszego rodzeństwa.

W grupach 30–39 lat oraz 40–49 powtarza się bowiem w tych wyborach ta sama prawidłowość: zyskują KO (za każdym razem o dodatkowe 200 tys. głosów) oraz PSL w mariażu z Hołownią (odpowiednio o 400 i 300 tys.). Traci zaś PiS: kolejno o 200 i 400 tys. głosów. Wyjątek od reguły to ubytki Lewicy, która w obydwu tych kohortach straciła łącznie 300 tys. głosów. Ale uprzedzając ciąg dalszy, w tych wyborach Lewica zyskała – i to symbolicznie – jedynie u najmłodszych. W pozostałych grupach odnotowywała procentowo i nawet w liczbach bezwzględnych straty. Wśród seniorów wręcz dramatyczne: aż 300 tys. jej zwolenników sprzed czterech lat teraz wyparowało.

Jak do tego doszło? Wyborczy sukces Lewicy z 2019 r. (ponad 12 proc.) opierał się jeszcze na dwóch filarach, czyli głosach młodych progresywnych wyborców z miast oraz resztkach potężnego niegdyś elektoratu nostalgii za PRL. Wydaje się, że ten ostatni właśnie opuścił scenę; głównie z przyczyn naturalnych, a swoje zrobiła pandemia. A Lewica zorientowana dzisiaj niemal wyłącznie na przecierające postępowe szlaki młode pokolenie skazana jest na niższe, bo taką mamy po prostu demografię. Podobnie jest zresztą z Konfederacją, która odwołuje się do wolnościowych aspiracji głównie męskiej części najmłodszego pokolenia, i pomimo czynionych prób nie była w stanie dotrzeć do starszych pokoleń. Do tego doszedł jeszcze specyficzny kontekst tych wyborów. Bo niewykluczone, że największym atutem Trzeciej Drogi była jej... słabość. Niejeden przerażony perspektywą jej utonięcia wyborca KO i Lewicy taktycznie przerzucił głos na ugrupowanie Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Ogólnie silna formacja Tuska aż tak tego nie odczuła, ale już lewicowcy musieli przełknąć statusową degradację z pozycji średniaka do malucha.

Ubytki głosów w młodszych kohortach PiS przynajmniej do pewnego stopnia zrekompensował wyciśnięciem dodatkowych rezerw wśród wyborców po pięćdziesiątce (dodatkowe 200 tys.) i seniorów (też 200 tys.). Tylko że sama jedynie KO zmobilizowała w obu tych grupach dwa razy więcej nowych wyborców! A dodajmy jeszcze dodatkowy uzysk Trzeciej Drogi, który szacujemy na 300 tys. PiS nadal jeszcze dominuje w bazie senioralnej, ale już nie jest to prymat aż tak jednoznaczny.

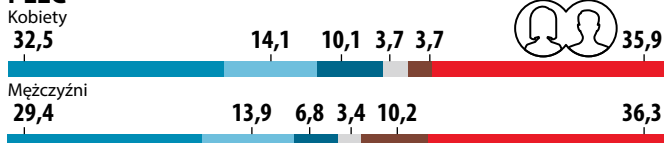
**Podobnie rozrzedzona została struktura poparcia na wsi.** Owszem, PiS wciąż pozostaje tam najsilniejsze, a nawet zdołało w tych wyborach zmobilizować dodatkowe 100 tys. wiejskich wyborców. Chociaż procentowo jego udział spadł z 56 do 48 proc., gdyż frekwencja poza miastami zwiększyła się aż o jedną czwartą. A to oznacza, że w znacznie większym stopniu posiliły się nadwyżką pozostałe partie (znów poza Lewicą). Najbardziej – o dziwo – KO, która rzekomo nie miała na terenach wiejskich czego szukać, a tymczasem znalazła tam pół miliona nowych wyborców! A drugie tyle w miasteczkach i średnich miastach, czyli wciąż w owej mitycznej Polsce lokalnej.

Paradoksalnie najmniejsze zwyżki partia Tuska odnotowała w metropoliach, ale to nie powinno zaskakiwać, gdyż były one mocno zmobilizowane już w 2019 r., co podniosło próg odbicia. Jeżeli jednak rzucimy okiem na ogólną strukturę poparcia KO, przyjdzie nam porzucić stereotyp formacji wielkomiejskich liberałów. Bo ponad połowa jej wyborców zamieszkuje wieś i małe miasteczka, a tylko nieco ponad jedna czwarta – wielkie miasta i metropolie. Slogan, że wybory wygrywa się w Końskich, znajduje

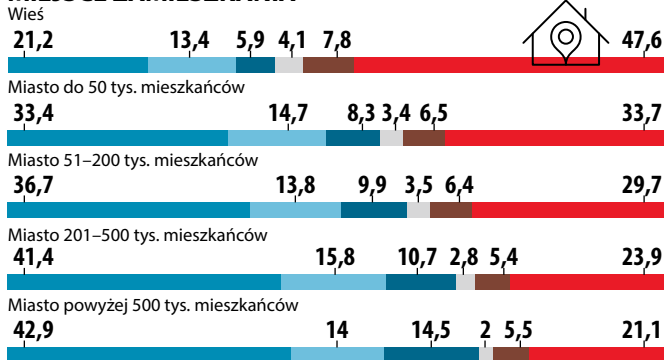
## Jak głosowali wyborcy (w proc.)

■ KO ■ Trzecia Droga ■ Lewica ■ pozostali ■ Konfederacja ■ PiS

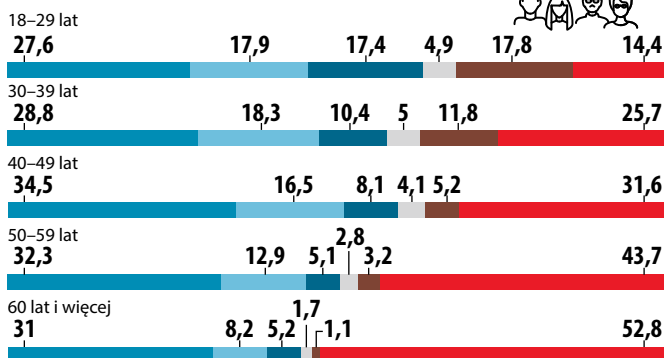
### PŁEĆ



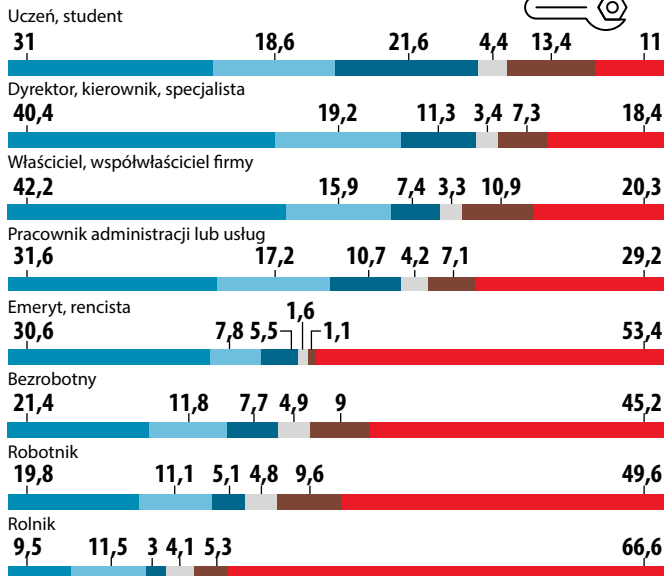
### MIEJSCE ZAMIESZKANIA



### WIEK



### GRUPA ZAWODOWA



ZRÓDŁO: IPSOS LATE POLL



więc potwierdzenie. KO to dzisiaj formacja rzeczywiście coraz bardziej ludowa, a nie tylko z deklaracji bądź faktu przynależności do Europejskiej Partii Ludowej.

W kategoriach małych, średnich i dużych miast PiS potraciło po ok. 100 tys. wyborców. Co nie byłoby aż tak kosztowne w sytuacji porażki Trzeciej Drogi. Widać jednak, ile dało w tych wyborach wejście na scenę Hołowni, dzięki któremu niezłe wyniki samotnego PSL sprzed czterech lat urosły teraz w koalicji dwukrotnie w małych i średnich miastach, trzykrotnie w dużych oraz czterokrotnie w metropoliach. Z subiektywnych deklaracji w badaniu Ipsos wynika, że przynajmniej co trzeci wyborca Trzeciej Drogi głosował wcześniej na KO, tylko co dziewiąty na PSL, co jedenasty na PiS, a co dziesiąty w ogóle nie poszedł do wyborów.

Ogólnie można jednak postawić tezę, że Hołownia miał istotny wpływ na frekwencyjne zwiększenie całej puli. PiS przede wszystkim zabiegał bowiem o utrzymanie przy sobie dotychczasowych wyborców, próbując zniechęcić całą resztę rozniecaniem paniki moralnej wokół Tuska. Lider KO musiał więc przede wszystkim odklejać propagandowe strachy, grając na pisowskim boisku – najpierw socjalnym, potem imigranckim. I jak widać, wiele z tego udało mu się zneutralizować. Tylko że bez Hołowni, który zaczął przejmować dla Trzeciej Drogi głosy trwale nieprzekonanych do Tuska wyborców antyPiSu, raczej trudno byłoby o przesądający sukces.

**Cóż się zatem stało, że nieufny wobec swoich możliwości elektorat antyPiSu w decydującej chwili poczuł moc suwerena?** Publicystycznych wyjaśnień pojawiło się sporo: telewizyjna debata, afera wizowa, przegrzanie kampanii PiS. Spróbujmy więc sięgnąć głębiej, posiłkując się zrealizowanym w dzień wyborów sondażem IBRiS, w którym wprost zapytano o czynniki motywujące do udziału w wyborach. Badanie zostało zrealizowane do wewnętrznych celów diagnostycznych.

W przypadku wyborców PiS sprawa wydaje się dosyć prosta. Trzy czwarte z nich poszło głosować przede wszystkim dlatego, że lubią partię Kaczyńskiego i dobrze jej życzą. W pisowskiej Polsce czują się świetnie, prawie wszystko im się podoba i mało co niepokoi. Z jednym wyjątkiem: aż 90 proc. tego elektoratu lęka się napływu imigracji spoza Europy. I był to również lęk silnie zaznaczony wśród wyborców głosujących po raz pierwszy, którzy – co wiemy z badania Ipsos – mniej więcej w jednej dziesiątej poparli PiS.

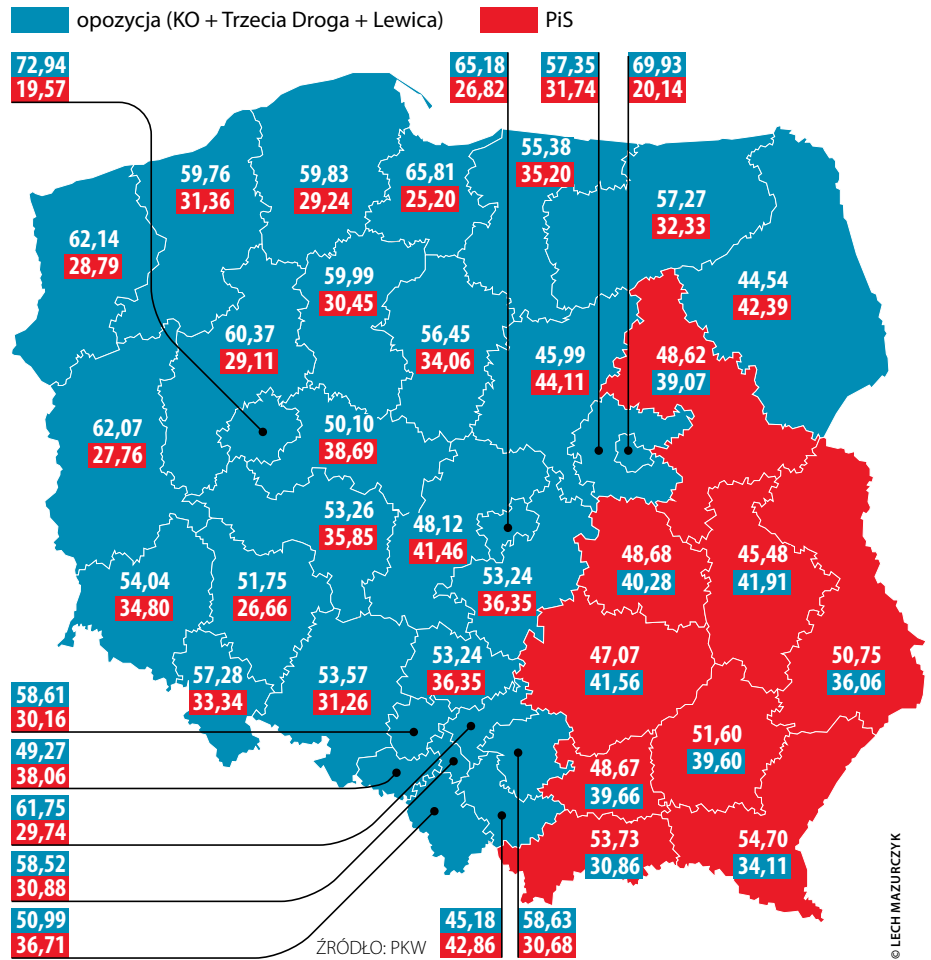
W przypadku opozycji identyfikacja z partyjnym szyldem była mniej znacząca. Tych wyborców zagnały do urn przede wszystkim lęki i obawy. Jeśli chodzi o zupełnie nowych wyborców, którzy dodatkowo zasilili tegoroczną pulę i przesądziła o zmianie, do głosowania skłoniły ich po kolei: ogólny lęk o przyszłość kraju (86 proc.), o stan polskiej gospodarki (84 proc.), wolność słowa (80 proc.), stan demokracji (78 proc.), także znikomy wpływ na decyzje władzy (74 proc.).

To zestaw ważnych wskazówek dla przyszłego rządu. Oczywiście niezbędne jest odbudowanie demokracji i praworządności,

podobnie jak zbalansowanie rozregulowanej rozdawnictwem gospodarki. To ostatnie raczej jednak w granicach rozsądku, bez nadmiernie ostrej cięć, bo prosty powrót do czysto oszczędnościowej logiki ponownie zmobilizuje elektorat PiS – teraz zapewne oszołomiony klęską, której się nie spodziewał. Bardziej ulotna wydaje się kwestia odzyskania poczucia kontroli nad własnym losem. Wieloletnia hegemonia Kaczyńskiego opierała się właśnie na żelaznym przeświadczeniu jego zwolenników, że PiS „spełnia

## Zwycięzcy w okręgach wyborczych

odsetek zdobytych głosów:



ŹRÓDŁO: PKW

© LECH MAZURCZYK

obietnice”. Co o tyle było prostsze, że prawica nic sobie nie robiła z ustrojowych i politycznych ograniczeń, gwałcąc niemal wszystkie cywilizowane reguły.

Byłoby jednak niedobrze, gdyby absolutna sprawczość prawicy została teraz wyparta przez liberalne „nie da się”. Co nie jest takie proste, bo Tusk po to przecież odzyskał władzę, żeby odejść od skrajnego woluntaryzmu PiS i odbudować instytucje kontrolne, jak również spójność polityki krajowej z europejską. Mimo wszystko pozostaje jednak do zagospodarowania przestrzeń politycznego sprawstwa. Wyborcy, którzy dali zwycięstwo opozycji, muszą mieć poczucie, że ktoś na kapitańskim mostku co prawda słucha obywateli, ale też mocno dzierży ster, a polski okręt nie dryfuje. I może to być największe wyzwanie tej kadencji.

RAFAŁ KALUKIN

# Droga do wyjścia

PiS oficjalnie wciąż jeszcze toczy wielką grę o trzecią kadencję.  
Ale już zaczął się czas rozliczania wyniku wyborów.  
Oraz planów na kolejne wyborcze próby.

WOJCIECH SZACKI

**K**ilka dni zajęło PiS-owi uznanie wyborczej porażki. Po 15 października trwał festiwal luźno związanych z rzeczywistością deklaracji o tym, że „będziemy rozmawiali ze wszystkimi”, że wszystko może się jeszcze zdarzyć, że dzisiejsza opozycja się nie dogada, że większość w Sejmie jest na wyciągnięcie ręki.

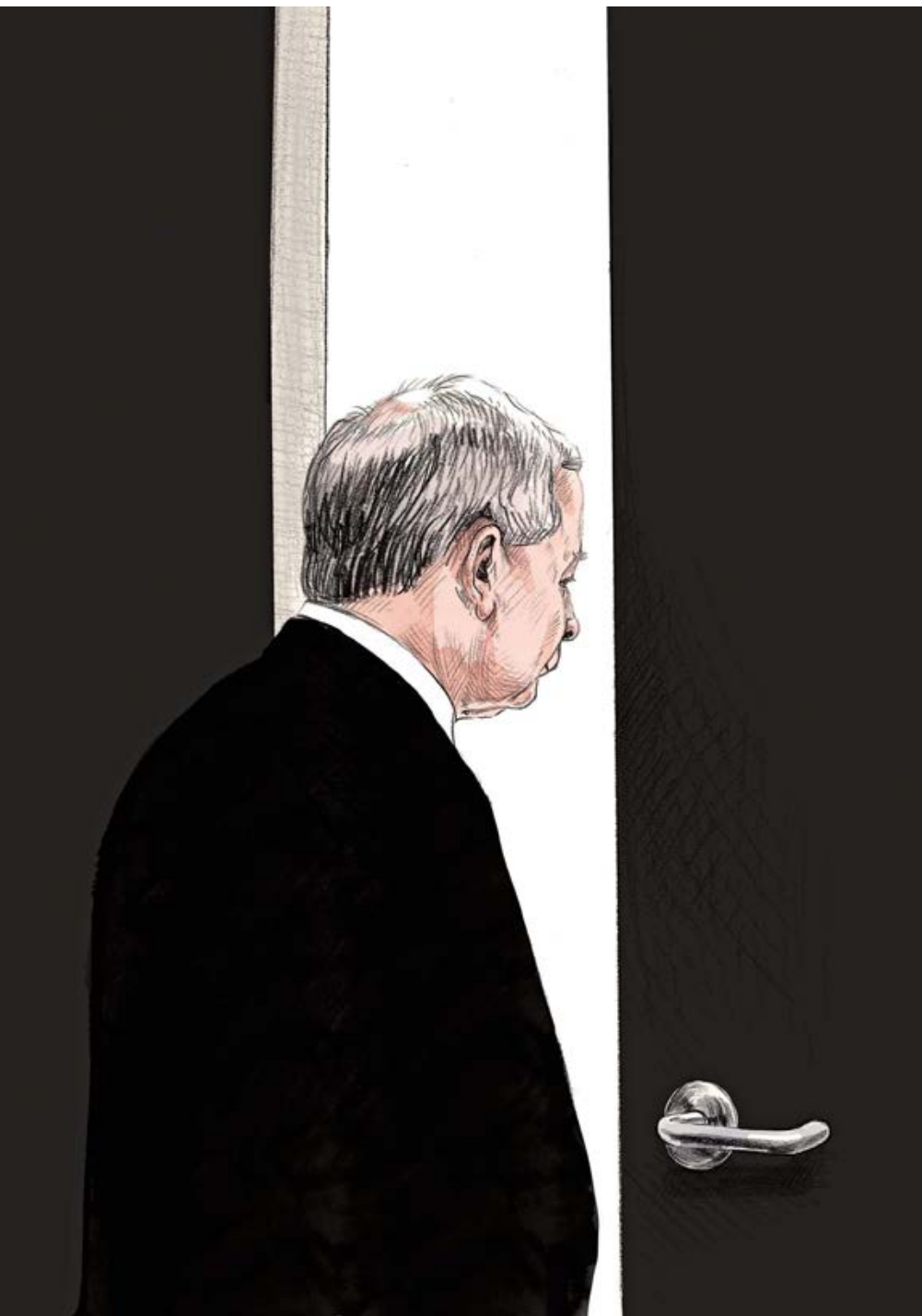
Politycy PiS odkryli w sobie nagle słabość do PSL, roili o grupie sprzyjających im posłów Koalicji Obywatelskiej, wspominali o negocjacjach z Konfederacją i Polską 2050.

Jeszcze 18 października minister edukacji Przemysław Czarnek w rozmowie z Polsat News oceniał, że bardziej prawdopodobna jest kontynuacja niż zmiana władzy, bo „w Sejmie jest przewaga posłów konserwatywnych i chrześcijańskich”.

Trwało to aż do piątku, do występu Jarosława Kaczyńskiego na zjeździe klubów „Gazety Polskiej” w Spale. Tam prezes uciszył skandujących jego imię, mówiąc, że słyszał to wiele razy w kampanii, a wynik wyborów był „dobry, ale nie bardzo dobry”.

Długo analizował przyczyny przegranej PiS, a racjonalne wyjaśnienia („Polska się zmieniła i powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski”, „pojawiła się konkurencja”, „byli ludzie, którzy zmęczeni się sporem PiS i KO i poparli Trzecią Drogę”, „zabrakło pruskiego porządku w naszej formacji”) przeplatał z teoriami spiskowymi i insynuacjami. Sugerował, że za Trzecią Drogą stoją „siły zewnętrzne” i że powinny się tym zainteresować służby; wspominał o wykreowanej w mediach „urojonej rzeczywistości”, w którą uwierzyło wielu Polaków; zaznaczył, że „ludzie nie głosują z wdzięczności”, i postraszył, że za chwilę zacznie się operacja likwidacji państwa, po której przy polskim rządzie zostanie kompetencja do wytyczania co najwyżej ścieżek rowerowych, a i to nie wszystkich.

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA





Kaczyński wyglądał na bardzo zmęczonego, a jego godzinne przemówienie nie było ani spójne, ani specjalnie mądre, ale jeden sygnał wysłał bardzo wyraźny – PiS szykuje się już do przesiadki do ław opozycyjnych. Może to jeszcze trochę potrwać, bo z pomocą prezydenta można opóźnić przekazanie władzy, ale zmiana ekipy rządzącej jest nieunikniona. Dzień później w Szczecinie w podobnym duchu wypowiedział się europoseł i szef kampanii parlamentarnej Zjednoczonej Prawicy Joachim Brudziński. Zadeklarował, że PiS „nie obraża się na demokrację”, nie stanie się „opozycją totalną”, ale będzie patrzył na władzę na ręce. W życiu PiS zaczyna się nowy etap.

## Pokampanijne rozliczenia

Po wyborach politycy PiS w publicznych deklaracjach wiele mówili o trzecim z rzędu zwycięstwie i znakomitym wyniku, ale w obozie władzy równolegle trwało już szukanie winnych.

W rozmowach z POLITYKĄ działacze wskazywali na różne błędy popełnione w kampanii. – *Finisz był bardzo słaby, po konwencji 1 października w Katowicach jakby zabrakło pomysłów* – twierdzi jedna z posłanek. Inny polityk dodaje, że sztabowi i rządowi nie udało się sprawnie odpowiedzieć na aferę wizową. Kolejni dorzucają: „fatalną kampanię referendalną”, „niespójną strategię wobec Konfederacji”, „przeoczenie wzrostu popularności Trzeciej Drogi”, „brak pozytywnego przekazu, ograniczenie się do ataków na Donalda Tuska”, „kompromitujące awarie dystrybutorów na stacjach Orleń”, „błędne wewnętrzne sondaże, które nie doszacowały frekwencji i przeszacowały wynik PiS” czy „toporną propagandę TVP”.

– *Ludzie na targowiskach pytali mnie, o co chodzi z nieruchomościami Mateusza Morawieckiego i jego żony. Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy ujawnić tego majątku, wyszliśmy na nieuczciwych* – mówi jeden z posłów.

Padają też zarzuty, że kampania w sieci – choć bardzo kosztowna i oparta na zaawansowanych technikach mikrotargetowania (spoty internetowe były zróżnicowane na poziomie powiatowym) nie angażowała emocjonalnie wyborców.

W tych wszystkich pretensjach i żalach kryje się część prawdy, ale jeszcze więcej – frustracji po przegranej i chęci odegrania się na konkurencyjnych koteriach i nie-lubianych politykach. Jak ktoś nie cierpi Morawieckiego, to podkreśla, że to ludzie premiera dominowali w sztabie, jak komuś nie po drodze z Adamem Bielanem,

to uderza w pomysł urzędzenia referendum, jak ktoś wojuje z lokalnym baronem, to pomstuje na skostniałe partyjne struktury. W poobijanym PiS – i obozie całej Zjednoczonej Prawicy – dają o sobie znać wszystkie wewnętrzne konflikty, których nie mało nagromadziło się przez ostatnie osiem lat.

Tymczasem, jak się chłodno popatrzy na kampanię i wynik PiS, to trudno nie dojść do wniosku, że partia Kaczyńskiego osiągnęła niemal wszystko, co mogła osiągnąć, będąc partią Kaczyńskiego i prezentując jego wizję świata, w którym wszyscy poza PiS to targowica i pacholki Berlina.

Kampania nie przyniosła zresztą większych zmian w sondażach – poparcie dla PiS, KO i Lewicy przez cały czas było bardzo stabilne, a Trzecia Droga wystrzeliła w górę w ostatnich dniach i w dniu głosowania.

– *Trzy razy próbowaliśmy innego podejścia w czasie tej kampanii* – mówi członek sztabu. – *W maju był ul programowy w Warszawie z waloryzacją 500 plus. Na początku września przez tydzień prezentowaliśmy obietnice, w tym program rewitalizacji osiedli z wielkiej płyty i dofinansowanie wycieczek szkolnych. W ostatnich dniach zaczęliśmy mówić o darmowym kursie na prawo jazdy dla uczniów ostatnich klas liceów. Nic z tego nie zadziało, sondaże nie drgnęły* – dodaje.

Podstawowym celem PiS na tę kampanię nie było zdobycie nowych wyborców; strategią z Nowogrodzkiej dawno temu – całkiem trafnie zresztą – uznali, że to będzie niemożliwe, że marsz do centrum byłby marszem donikąd, a jeszcze by zniechęcił część twardogłowej bazy wyborczej.

Pozostała więc walka o tych, którzy od PiS odwrócili się całkiem niedawno, już po wyborach parlamentarnych w 2019 r. i prezydenckich w 2020 r. I to się PiS-owi w sporej mierze udało. 15 października dostał 7,64 mln głosów (drugi najlepszy wynik jakiegokolwiek partii w wyborach parlamentarnych w III RP; więcej – 8,05 mln miał tylko PiS w 2019 r.).

Z badania *exit poll* firmy Ipsos wynika, że na PiS głosowało prawie 90 proc. wyborców tej partii sprzed czterech lat i ponad 80 proc. wyborców Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Żadna inna partia nie ma tak zdyscyplinowanego i tak wiernego elektoratu. Po ośmiu latach u władzy Platforma w 2015 r. dostała tylko 24 proc. głosów.

PiS stracił w porównaniu z 2019 r. ok. 400 tys. głosów, głównie w miastach – na wsi dostał (to już dane PKW) 3,62 mln głosów, praktycznie tyle samo co w poprzedniej kampanii (3,67 mln).

Osiągnął to pomimo zmian demograficznych (wyborców w Polsce było o 700 tys. mniej niż w poprzednich wyborach, wiele osób z najstarszej grupy wiekowej zmarło, a młodzi nie chcieli głosować na rządzących), pomimo kłopotów z Polskim Łądem i drożyzną, pomimo krytykowanej na wsi „Piątki dla zwierząt”.

Wynik PiS byłby zresztą nieco lepszy, gdyby jako komitet ogólnopolski nie wystartowała podkreślająca swoją prawicowość i kościelność Polska Jest Jedna. Ugrupowanie to zdobyło 350 tys. głosów (1,63 proc.), a najlepiej wypadło w okręgach, gdzie dominuje PiS (w okręgu nowosądeckim PJJ miał ponad 4 proc. głosów). Trochę głosów PiS stracił też na rzecz Bezpартijnych Samorządowców. To nie były czynniki decydujące, choć kilka mandatów Kaczyńskiemu pewnie uciekło.

Ale powtórzmy: PiS wycisnął ze swoich zasobów niemal wszystko, co było do wyciśnięcia. Nic nie wskazuje na to, że przy jakiejś innej kampanii, w alternatywnym świecie, Kaczyński mógłby dziś świętować początek trzeciej kadencji, zamiast mętnie tłumaczyć przyczyny porażki.

## Przyszła fala

Co zatem pogrzebało PiS? Polacy, którzy do tej pory nie uczestniczyli w wyborach. Nikt nie przewidywał takiej frekwencji, rekordowej w historii III RP. Do urn poszło prawie 22 mln wyborców (74,38 proc. uprawnionych), a PiS był największą ofiarą tej mobilizacji. Zdecydowana większość tych „nadmiarowych” wyborców zagłosowała bowiem na opozycję. Najniższa frekwencja była zaś w regionach będących bastionami PiS – wśród sześciu najsłabszych pod względem frekwencji województw były Podkarpacie, Podlasie, Lubelskie i Świętokrzyskie.

Teraz łatwo jest mądrzyć się o przyczynach tak wysokiej frekwencji, ale prawda jest taka, że przed wyborami nikt takiego obrotu spraw nie przewidywał – ani socjologowie, ani sztabowcy, niezależnie zresztą od barw partyjnych. W ostatniej prognozie PiS była mowa o frekwencji 66 proc., w KO jeszcze w dniu głosowania nikt nie wierzył, że frekwencja przebieje 70 proc.

Swoje zrobiło pewnie zmęczenie społeczeństwa po ośmiu latach rządów tej samej ekipy, która w drugiej kadencji sama wyglądała już na mocno zmęczoną; sukcesem okazały się akcje profrekwencyjne (zresztą zarówno propisowskie, jak i proopozycyjne).

W PiS popularna jest też teoria, że te wybory zostały przegrane już jesienią 2020 r., kiedy doszło do protestów ►



► po zaostrażającym prawo aborcyjne wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej. – *Ludzie wyszli na ulice także w mniejszych miastach i miasteczkach i poczuli swoją siłę. To wtedy notowania PiS spadły, a deklaracje udziału w wyborach poszły w górę. Minęły trzy lata, ale te rewolucyjne nastroje zostały – mówi sztabowiec PiS. A inny dodaje: – Przeszła taka fala, że nic nie mogliśmy zrobić.*

## Ci odlatują, ci zostają

Pierwsze kilkadziesiąt godzin po wyborach stało pod znakiem oczekiwania na szczegółowe wyniki – kto się dostał, kto nie, kto kogo przeskoczył pod względem liczby głosów, kto się wzmocnił, a kto osłabł.

PiS zdobył ostatecznie 35,4 proc. głosów, czyli o ponad 8 pkt mniej niż w poprzednich wyborach. Przełożyło się to na 194 mandaty, o 41 mniej niż w 2019 r. Procentowo PiS wypadł gorzej w każdym z 41 okręgów (w Nowym Sączu stracił aż 12 pkt proc.). Tylko w czterech okręgach dostał więcej głosów niż cztery lata temu (Toruń, Płock, Elbląg, Koszalin).

Reelekcję wywalczyli wszyscy ważni politycy PiS. Najwięcej głosów zdobył Kaczyński (177 tys. w okręgu świętokrzyskim). Ponad 100 tys. głosów dostali też Piotr Gliński (Warszawa), Mariusz Błaszczak (tzw. obwarzonek warszawski), Małgorzata Wassermann (Kraków), Przemysław Czarnek (Lublin), Mateusz Morawiecki (Katowice), Marlena Małąg (Kalisz) i Kacper Płażyński (Gdańsk).

Mandaty wywalczyli też Elżbieta Witek, Jacek Sasin, Ryszard Terlecki (choć przeskoczył go wyraźnie Arkadiusz Mularczyk), Mariusz Kamiński i Antoni Macierewicz. Obronił się Michał Dworczyk – bohater afery mailowej został zdegradowany na trzecie miejsce na liście wałbrzyskiej, ale i tak dostał tam najlepszy wynik spośród kandydatów PiS.

Z Sejmu zniknie kilkoro posłów o znanych nazwiskach, ale niewiele znaczących w partyjnych układankach: była wicepremierka Jadwiga Emilewicz, szef komisji obrony Michał Jach, wieloletni posłowie Zbigniew Girzyński i Tadeusz Cymański. Wybory przegrała też – o niecałe 150 głosów – Monika Pawłowska, która poprzednią kadencję zaczynała jako posłanka Lewicy.

Pojawi się trochę nowych twarzy: minister cyfryzacji Janusz Cieszyński, dyrektor biura prezydenckiego Michał Moskał, wiceministrowie bliscy Morawieckiemu (Paweł Jabłoński i Olga Semeniuik-Patkowska) oraz związany z Sasinem wiceminister aktywów Andrzej Śliwka. Na Wiejską

Dla Kaczyńskiego kluczem jest teraz utrzymanie jedności i spójności klubu oraz partii, gdy znika jeden z głównych czynników je spajających – władza.



dostało się też trzech współpracowników prezydenta: Paweł Szrot, Marcin Przydacz i Paweł Sałek.

Mocną – 18-osobową – reprezentację Suwerennej Polski wprowadził Zbigniew Ziobro. Mandaty z większym lub mniejszym trudem obroniła większość polityków tej partii (m.in. Janusz Kowalski, Sebastian Kaleta, Jan Kanthak czy Jacek Ozdoba), a dołączyli Dariusz Matecki, Marcin Romanowski i Sebastian Łukaszewicz. Mniejsze znaczenie będzie miała partia Bielana (czterech posłów) i grupa Kukiza (trzy mandaty).

## Nadzieja w koalicji chaosu

Dla Kaczyńskiego kluczem jest teraz utrzymanie jedności i spójności klubu oraz partii, gdy znika jeden z głównych czynników je spajających – władza. Nasi rozmówcy twierdzą, że prezes na emeryturę się nie wybiera (postulował to na razie jedynie nowy szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek). Bardziej prawdopodobne są zmiany na niższych szczeblach partyjnych władz; jakieś nowe twarze pojawiają się też zapewne wśród szefów sejmowych komisji, które obsadzi PiS.

Szefem klubu parlamentarnego zostanie być Terlecki, a zastąpi go zapewne Błaszczak. Kaczyński chce zwołać pierwsze posiedzenie klubu szybko, przed pierwszą sesją Sejmu, by wysondować nastroje posłów i sprawdzić układ sił.

PiS nie jest pewien, jak zachowają się ziobryńscy; według wp.pl rozważają oni powołanie własnego klubu, co byłoby końcem Zjednoczonej Prawicy i problemem politycznym dla PiS, bo straciłby moc samodzielnego podtrzymywania prezydenckiego weta. W partii Kaczyńskiego nie brakuje głosów, że ziobryńscy pójną w końcu na swoje, ale dopiero po wyborach

do Parlamentu Europejskiego w czerwcu przyszłego roku – na razie chcą, by z list PiS kandydowali ich obecni europosłowie Patryk Jaki i Beata Kempa.

Z wypowiedzi polityków PiS wyłania się też zarys planu na najbliższe tygodnie i miesiące. W krótkim terminie to przewlekanie momentu oddania władzy. Przy współdziałaniu z prezydentem może to potrwać prawie dwa miesiące od wyborów. PiS się spodziewa, że Andrzej Duda pójdzie na rękę i w pierwszym kroku nie wskaże Donalda Tuska, lecz kandydata prawicy. Odmienny ruch byłby niezrozumiałym dla wyborców prawicy i obciążałby prezydenta w ich oczach.

W tym przewlekaniu nie chodzi tylko o to, żeby różni pisowscy nominaci w ministerstwach i spółkach dostali o jedną pensję więcej i mieli czas na sprzątanie w papierach. Chodzi też o to, żeby skończył się powyborczy entuzjazm po stronie opozycyjnej, żeby donośniej wybrzmiały wszystkie kłótnie między przyszłymi koalicjantami, żeby w grudniu wszyscy byli już solidnie zmęczeni.

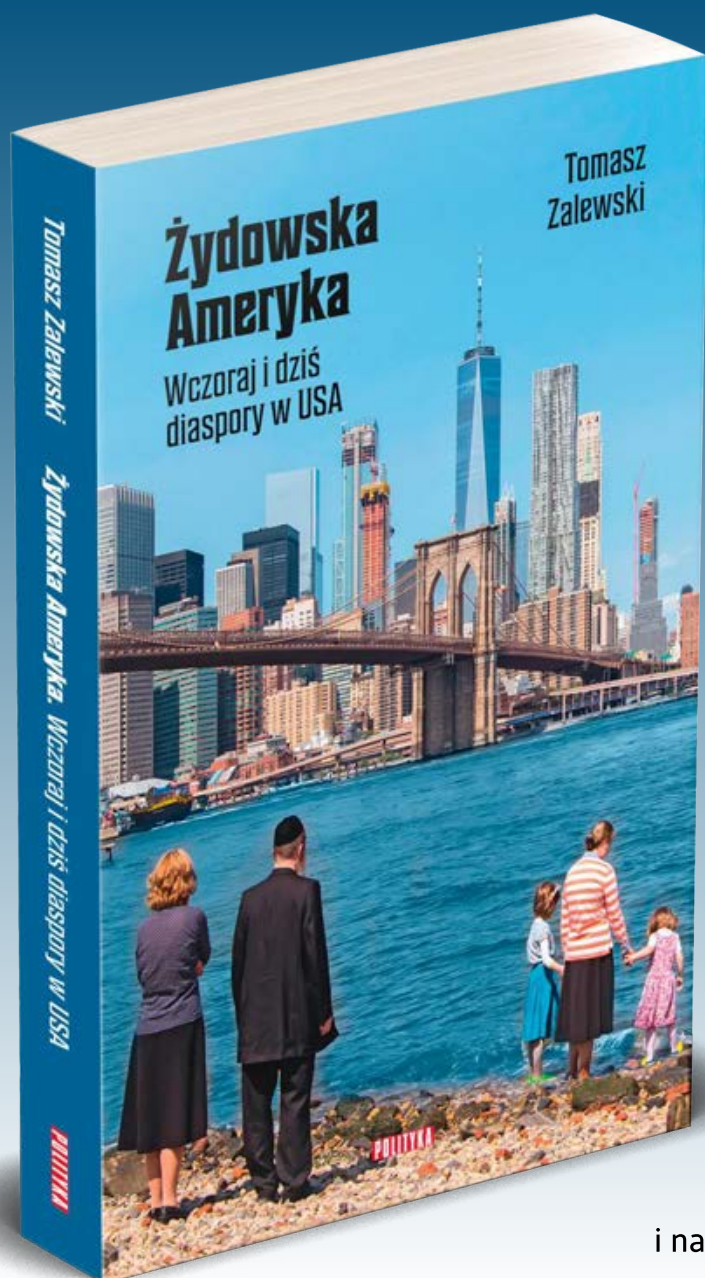
W krótkim i średnim terminie PiS będzie też grał na podziały w sojuszu KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, podkreślał różnice programowe między nimi; już dziś nazywa przyszły rząd „koalicją chaosu”.

Plan PiS zakłada też rozliczanie obietnic wyborczych – we wspomnianym przemówieniu w Spale Kaczyński analizował propozycje Tuska i nazywał je „wielkim kłamstwem”, argumentując, że Polski nie stać na takie wydatki. PiS liczy na to, że – także przez brak sprawczości, konflikty z prezydentem i niemożność przełamania jego wet – nowy rząd i partie go tworzące będą szybko traciły poparcie, a ci wszyscy „nadmiarowi” wyborcy, którzy wynieśli Tuska do władzy, zdemobilizują się. I że w wyborach samorządowych w kwietniu PiS-owi pójdzie już lepiej niż w parlamentarnych.

Ten plan nie musi się powieść, ale i nie musi się nie udać. Znaki zapytania po stronie PiS są liczne – forma polityczna i zdrowotna Kaczyńskiego, niewykluczone rozłamy i pęknięcia w klubie, konflikty po porażce. Jest wreszcie kwestia niedopasowania dzisiejszego PiS do tej „nowej Polski”, o której mówił prezes w Spale – i czy w ogóle ta ekipa z takim liderem jakoś się w tej Polsce intelektualnie i programowo odnajdzie. Z drugiej strony PiS – z klubem liczącym 194 posłów, prezydentem, Trybunałem Przyłębskiej, 26 mln zł rocznej subwencji, rozbudowanymi strukturami i ponad 7,6 mln zdyscyplinowanych wyborców – będzie najmocniejszą opozycją w historii III RP.

WOJCIECH SZACKI

# Poznajmy amerykańskich Żydów



Zbiorowy portret diaspory, opowiadający o najistotniejszych aspektach życia i problemach Żydów w Ameryce.

Nowa książka Tomasza Zalewskiego, wieloletniego korespondenta prasy polskiej w Waszyngtonie.

Do 7 listopada w sprzedaży w salonach prasowych z tygodnikiem

**POLITYKA**

Dostępna także w księgarniach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl) oraz jako e-book.

# Układanki

Donald Tusk, którego nowa sejmowa większość wskazała na przyszłego premiera, musi tak ustawić wszystkie parlamentarno-rządowe klocki, aby cała konstrukcja stała się trwała, funkcjonalna i odporna na wstrząsy.

MALWINA DZIEDZIC

**R**aporty otwarcia i audyty dopiero powstaną, ale i bez tego widać, że PiS zostawia po sobie spaloną ziemię: zadłużone i upartyjnione państwo, konflikty z sąsiadami i z Unią Europejską, podziały wewnętrzne. Równoległe trzeba będzie na nowo, i to szybko, organizować wiele obszarów – kontrolować, rozliczyć i porządkować. A i okoliczności nie będą łatwe, bo PiS ma prezydenta, państwowe instytucje, w których zabunkrował mnóstwo swoich ludzi, i rozbudowany aparat propagandy, który u kresu swoich rządów zamierza



dodatkowo wesprzeć (media publiczne są tylko jego częścią). Mówił o tym ostatnio sam prezes. W Spale podczas swojego pierwszego powyborczego wystąpienia Jarosław Kaczyński obwieścił: „Stoi przed nami ogromne wyzwanie, żeby stworzyć jednak media dużo większe niż obecna Strefa Wolnego Słowa” (czyli hojnie dotowane media Tomasza Sakiewicza). I zapewnił: „Ten nasz przekaz medialny będzie funkcjonować”.

Nic zresztą na tym medialnym polu na razie się nie zmieniło. Po pierwszym szoku związanym z przegraną PiS funkcjonariusze TVP z całą zajadliwością ruszyli

do ataku na nową sejmową większość. A równoległe ekipa z Nowogrodzkiej i KPRM siała dezinformację poprzez media prywatne (mechanizm tych kontaktów i suflowania dziennikarzom narracji ujawniono w tzw. mailach Dworczyka). To tam „wyciekały” doniesienia o próbie przekabacenia PSL, o stanowiskach dla ludowców i tym, jak wiele łączy ich z PiS. Rzecznik PSL nie nadażał z prostowaniem i wyśmiewaniem tych plotek, których nawet stanowcze dementi Władysława Kosiniaka-Kamysza do końca nie zatrzymało.

**D**oszedł też kolejny wątek: Paweł Wojtunik, były szef CBA, opierając się na informacjach, które ostatnio pozyskał, wystosował w sobotę w TVN24 cztery pytania do ministra Mariusza Kamińskiego, koordynatora specusług. Z ich treści wynikało, że tuż przed wyborami władza



mogła polecić służbom inwigilowanie przedstawicieli opozycji, ze szczególnym uwzględnieniem polityków Trzeciej Drogi. „Możemy mówić o ryzyku powstania spisku i zamachu ze strony przedstawicieli władzy wykonawczej, przy wykorzystaniu służb specjalnych, na legalnie, demokratycznie wybranych przedstawicieli władzy ustawodawczej” – konkludował Wojtunik. I nie byłoby to nic zaskakującego, biorąc pod uwagę fakt inwigilacji Pegasusem



polityków opozycji – w tym szefa sztabu KO Krzysztofa Brejzy – przed wyborami w 2019 r.

– *To wszystko zostanie sprawdzone. PiS jest w wielkim błędzie, myśląc, że takie sprawy nie pozostawiają śladów* – podkreśla Borys Budka. A jego ludzie alarmują o kolejnych instytucjach (ABW, wojsko, nawet Totalizator Sportowy) zamawiających... niszczarki. („Kaczyński, co wy tam palicie? Przecież kopie są już u nas” – dworował ostatnio na Twitterze/X Donald Tusk).

Dlatego po przejściu władzy na pierwszy ogień pójdą sprawy związane z praworządnością (bo to podstawa, aby „ruszyć z innymi tematami”, a przede wszystkim odblokować środki na KPO), a także – resortami siłowymi oraz kulturą, gdzie pierwszoplanowy jest problem mediów publicznych. Nowa ekipa rządząca nie może sobie pozwolić, aby wciąż manipulowano faktami i oczerniano przeciwników politycznych PiS, zwłaszcza że na horyzoncie są dwie kolejne kampanie: przed kwietniowymi wyborami samorządowymi oraz czerwcowymi do Parlamentu Europejskiego.

Ale jest jeszcze coś. – *Dla naszych wyborców sprawa TVP ma wymiar symboliczny. Słyszeliśmy to w kampanii, bo praktycznie każdy zna kogoś, kto ogląda tę telewizję, i widzi, jak wielkie szkody potrafi wyrządzić sączona tam agresja i propaganda* – opowiada jeden z członków władz PO. Choć na ostatnim zarządzie partii sprawa TVP w pewnym momencie stała się przedmiotem... żartów. – *Śmiałyśmy się, że tak często w „Wiadomościach” powtarzano, że Tusk i Platforma są „für Deutschland”, że biedny Ryszard Galla, przedstawiciel Mniejszości Niemieckiej, który od lat był w Sejmie, wypadł za burtę* – relacjonuje jeden z uczestników.

Pomysły na media publiczne na razie są dwa. Albo przywrócić układ we władzach spółek do stanu z początku stycznia 2016 r., opierając się na orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego Andrzeja Rzeplińskiego, który orzekł częściową



niezgodność z konstytucją pisowskiej ustawy medialnej – tym samym musieliby wrócić odsunięci wówczas prezesi (choć ówczesny prezes PR Andrzej Sienkiewicz półtora roku temu zmarł, więc musiałby ktoś inny wejść na jego miejsce). Albo postawić TVP i Polskie Radio w stan upadłości.

**T**akich łamigłówek jest mnóstwo. Do tego sam rozdział kompetencji pomiędzy trzy środowiska, różniące się światopoglądowo, też nie jest prosty, a wyborcy – jak przekonują politycy dotychczasowej opozycji – chcą przede wszystkim widzieć zgodę i współpracę, a nie wojnę o stołki. Dlatego wszystkie rozmowy koalicyjne odbywają się na najwyższym szczeblu. – *Donald chce uniknąć jakichkolwiek przecieków i spekulacji, bo to tylko wszystko komplikuje, więc nikt nic nie wie. Nawet nie pytamy o role dla nas, czekamy* – mówi



jeden z posłów KO. Choć przecieków i rozważań akurat nie brakuje. Mówi się np., że zgodnie z parytetem mandatów na prawdopodobnie 18 ministerstw w nowym rządzie co najmniej 10 przypadnie KO, Trzeciej Drodze – 4, Lewicy 2–3.

Ale trzeba pamiętać, że ta koalicyjna układanka to trzy polityczne bloki zespolone z mniejszych i większych ugrupowań. I tak: Koalicja Obywatelska to formacja czteropartyjna (PO, Nowoczesna, Inicjatywa Polska, Zieloni) poszerzona niedawno o AgroUnię, Nowa Lewica to połączenie dawnego SLD i Wiosny z dokooptowaną partią Razem i PPS, z kolei Trzecia Droga to nie tylko Polska 2050 i PSL, ponieważ w ramach tego drugiego członu są też przedstawiciele dawnej Koalicji Polskiej, czyli m.in. Unia Europejskich Demokratów i Centrum dla Polski. Już w samym opisie można się pogubić, nie mówiąc o tym, że trzeba z tych środowisk zbudować dobrze działający polityczny mechanizm.

Istotny będzie podział wpływów, który już w tym tygodniu powinien być częściowo znany. Chodzi przede wszystkim

o prezydium rządu oraz Sejmu i Senatu. – *Marszałka Sejmu raczej oddamy. Wiadomo, że Donald wolałby, żeby tę funkcję objął Borys Budka, bo to jego człowiek, do tego prawnik, ale dla dobra koalicji nie będzie się przy tym upierał. Tylko nasi koalicjanci muszą się porozumieć, kto powinien ten fotel objąć. Bo chętnych jest czterech: Hołownia, Kosiniak, Czarzasty oraz Zgorzelski [obecny wicemarszałek z ramienia PSL – red.] – relacjonuje jeden z członków zarządu PO. Jego zdaniem optymalnym rozwiązaniem byłoby, gdyby każdy z liderów, tj. Hołownia, Kosiniak i Czarzasty, wszedł do rządu w randze wicepremiera. Ale na to się nie zanosi. Bo stanowisko „drugiej osoby w państwie” to zbyt łakomy kąsek.*

Dla Hołowni miałyby to być trampolina do prezydentury, dla Kosiniaka – kolejny ważny punkt w całkiem bogatym już CV, dla Czarzastego – spełnienie politycznych ambicji i umocnienie nadszarpniętej słabym wyborczym wynikiem pozycji wewnątrz klubu Lewicy. Z kolei wspomniany Budka i tak długo nie nacieszyłby się stanowiskiem – Tusk już ponad dwa lata temu, przejmując z jego rąk Platformę, obiecał mu jedynek na wyborczej liście do PE.

Mniejszym zainteresowaniem cieszy się Senat – KO jeszcze przed wyborami na stanowisko marszałka izby wyższej szykowała Małgorzatę Kidawę-Błońską, ale i ten fotel Tusk jest gotowy poświęcić dla dobra koalicji. Tu – jak słychać – najbardziej pasowałaby osoba z lewicy, tyle że tam również trwa pozycjonowanie. Wielu lewicowców w fotelu marszałkini widziałoby Magdalenę Biejat, ale takie wzmocnienie razemowców nie byłoby z kolei na rękę Czarzastemu.

**W** tym układzie przypuszczalnie więc będzie tylko jeden wicepremier. Platformersi woleliby, żeby był to Szymon Hołownia. – *Hołownia mógłby być*

*np. takim zielonym wicepremierem, odpowiedzialnym za sprawy środowiska, klimatu – mówi jeden z członków władz PO. A jego kolega z zarządu partii dodaje: – W tym nowym Sejmie, przy PiS w opozycji, na stanowisku marszałka naprawdę potrzebny będzie ktoś doświadczony i twardy, kto nie będzie się bał odesłać Kaczyńskiego na miejsce, kiedy ten znów będzie próbował wchodzić na mównicę „bez żadnego trybu”. A Hołownia, mając w głowie marzenia o prezydenturze i narrację o „trzeciej drodze”, będzie raczej chciał być takim dobrym wujkiem i wszystkich godzić. Kosiniak jest bardziej zaprawiony w bojach.*

Tyle że obaj nasi rozmówcy uważają, że Hołownia nie zrezygnuje z fotela marszałka Sejmu (choć on sam mówi, że się nie upiera), więc to Kosiniak najpewniej zostanie wicepremierem i obejmie resort gospodarki. Co do pozostałych ministerstw, ten rozdział jeszcze trochę potrwa. I być może będzie łatwiejszy niż w przypadku tych najważniejszych państwowych funkcji. Politycy lewicy mówią, że chcieliby zająć się edukacją, polityką społeczną i mieszkalnictwem; Trzecia Droga – że ma dobrych kandydatów nie tylko od gospodarki, ale i do MSZ i MON. Choć czasu na wewnątrzkoalicyjne układanki może być mniej, niż początkowo zakładano. Jeszcze w połowie ubiegłego tygodnia szykowano się, że realnie nowa koalicja przejmie władzę dopiero w połowie grudnia – bo PiS wspólnie z Andrzejem Dudą zrobią wszystko, by maksymalnie odwlec powołanie Tuska na premiera. Ale w weekend do władz PO zaczęły docierać sygnały, że prezydent – po formalnych konsultacjach – może im pójść na rękę. Tym bardziej że liderzy KO, TD i NL na spotkanie do Pałacu będą szli z konkretną deklaracją współpracy, więc udawanie, że Morawiecki jest w stanie zbudować jakąkolwiek sejmową większość, byłoby dla Dudy kompromitujące.

Wygranie wyborów nie było łatwym zadaniem, ale naprawianie państwa po PiS będzie wymagało od liderów KO, TD i NL jeszcze więcej zmyślności, samozaparacia, a przede wszystkim skoordynowanej współpracy. Tu nie ma miejsca na dąsy i granie na siebie. Szczególnie że pierwsze wyborcze rozliczenia nastąpią już wiosną. Przedstawiciele nowej większości są przekonani, że na fali, która poniosła ich do wyborów 15 października, są w stanie odbić pisowskie sejmiki, a także wprowadzić do PE deputowanych, których nie będziemy musieli się wstydić. W interesie każdej ze stron demokratycznej koalicji jest to, aby ten układ się nie posypał. ■

Wynik tych wyborów nie tak miał dla Lewicy wyglądać. Co to oznacza dla tej formacji?

## Dwie opowieści Lewicy

RYSZARD ŁUCZYN

**M**ało kto wierzył, że uda się wyrównać rezultat sprzed czterech lat (12,56 proc.), ale sztabowcy zakładali, że wynik dwucyfrowy i trzecie miejsce jest w zasięgu ręki. Tymczasem lewicowcy zdobyli zaledwie 8,61 proc. głosów, daleko za Trzecią Drogą, a ich sejmowa reprezentacja zmniejszy się do 26 osób; to o 23 mniej niż wprowadzili w 2019 r. W „normalnych czasach” już mówiłoby się o wyborczych rozliczeniach, a niezadowoleni działacze spiskowaliby przeciwko liderom. Ale czasy są inne, bo zmiana ma wymiar historyczny. Zwłaszcza dla Lewicy, która po 18 latach od dymisji rządu Marka Belki może znów posmakować rządzenia. Minęły prawie dwie dekady, a w nowej parlamentarnej reprezentacji lewicowej koalicji nie będzie już prawie nikogo, kto widziałby od środka maszynę władzy. Dlatego w Lewicy są dziś dwie opowieści. Wyraźnie słyhać tę o rozczarowaniu, ale jest też druga – o nadziei.

Pierwsza z opowieści koncentruje się wokół szukania przyczyn wyborczego fiaska. Na Lewicę (czyli wspólny komitet wyborczy Nowej Lewicy Czarzastego i Biedronia oraz Lewicy Razem Zandberga i Biejątki) zagłosowało o 460 tys. osób mniej niż cztery lata wcześniej. Według badań *exit poll* – tegorocznego i z 2019 r. – poparcie spadło w każdej grupie wiekowej.

Im starsi wyborcy, tym częściej się od Lewicy odwracali: w grupie 18–29 lat poparcie zmniejszyło się o zaledwie 0,3 pkt (wyniosło teraz 17,4 proc.; zmiana była w granicach błędu sondażowego), ale już wśród głosujących powyżej 60. roku życia – aż o 4,8 pkt (z 10 do 5,2 proc.). A że najstarszych wyborców jest jakieś 10 mln, dwa razy więcej niż najmłodszych, to ich utrata była bolesna. Elektorat Lewicy radykalnie odmłodził, a jej najstarsi zwolennicy odeszli – albo do KO, albo zmarli.

**Nie pomogła rekordowo wysoka frekwencja.** Sprawiała bowiem, że do urn poszła duża grupa wyborców centrowych, bez bardziej sprecyzowanego ideowego profilu. Były to raczej osoby zmęczone długimi i pełnymi konfliktów rządami PiS, dodatkowo zirykowane jego skrajnie negatywną kampanią. Głosowały one więc raczej albo na formację domyślnego antyPiSu, czyli KO, albo na Trzecią Drogę, która na sztandary wzięła obietnicę zakończenia kłótni polsko-polskiej. Z nią właśnie politycy Lewicy wiążą kolejny powód słabego rezultatu. Jak tłumaczył jeden z działaczy, apel o ratowanie TD przed spadnięciem pod próg wyborczy okazał się „nad wyraz skuteczny”.

Sztabowcy Lewicy oparli kampanię na sześciu filarach programowych: prawach kobiet, świeckim państwie, pracy, usługach publicznych, polityce senioralnej i mieszkalnictwie. Zamiast „trzech tenorów” była „ekipa Lewicy”,

a liderzy zawsze na konwencjach występowali w mieszanych płciowo parach. Sztab promował też posłanki Lewicy jako markę samą w sobie. Jedno i drugie miało trafić do elektoratu kobiecego. W odpowiedzi na rosnącą Konfederację, Lewica postanowiła też bezpośrednio zaatakować skrajną prawicę, dążąc do stworzenia drugiej – obok PiS-PO – osi polaryzacji.

Kampania była dość zachowawcza, a jedynym chyba śmielszym ruchem była zorganizowana w Wiedniu konwencja na temat mieszkalnictwa. Mimo to w kolicji dominuje przekonanie, że nie była ona zła, a na wyniku zaciążyły okoliczności zewnętrzne. I fakt, trudno wskazać tu poważniejsze błędy; obroniła się też szeroko krytykowana decyzja o wystawieniu Joanny Scheuring-Wielgus do debaty telewizyjnej. Ale nad wynikiem trudno przejść do porządku dziennego. Zwłaszcza że będzie miał on konsekwencje także dla partyjnej kasy – subwencja spadnie z dotychczasowych 11,5 mln zł rocznie do nieco ponad 9,8 mln. A to przed nadchodzącym maratonem wyborów samorządowych (kwiecień 2024), europejskich (czerwiec 2024) i prezydenckich (połowa 2025) nie jest dobra wiadomość.

**W tej negatywnej opowieści są dwa niuansy.** Po pierwsze, radykalne zwiększenie obecności Lewicy w Senacie. Kadencję 2019–23 kończyła z jednym zaledwie senatorem (szefem PPS Wojciechem Koniecznym, który odnowił mandat), a w nowym



rozdaniu będzie ich miała aż dziewięć. Mandaty w izbie wyższej obejmą m.in.: współprzewodnicząca Razem Magdalena Biejał, szef Unii Pracy Waldemar Witkowski i wiceprezydent Włocławka Krzysztof Kukucki. Drugi niuans to dobre wyniki kandydatów (a bardziej kandydatek) partii Razem. W nowym Sejmie zabraknie całego szeregu znanych polityków Nowej Lewicy – zarówno z frakcji Wiosny (Maciej Gduła, Marek Rutka czy Anita Sowińska), jak i SLD (Arkadiusz Iwaniak, Marek Dyduch czy Przemysław Koperski). Tymczasem razemicy powiększają stan posiadania w Sejmie z sześciu do siedmiu mandatów, a w Senacie z zera do dwóch.

Tego sukcesu nie należy przeceniać, bądź co bądź członkowie Razem zdobyli w tych wyborach zaledwie 2,1 proc. głosów. Adrian Zandberg (nr 1 w Warszawie) i rzeczniczka Razem Dorota Olko (nr 4) zebrali łącznie mniejsze poparcie niż sam Zandberg w 2019 r. Ale duże zaangażowanie i sprawne kampanie pozwoliły polityczkom Razem w Warszawie, Krakowie (znakomity wynik Darii Gosek-Popiołek) i obwarzanku podwarszawskim (Joanna Wicha) prześcignąć konkurencję z NL. W gronie prześcigających nie było mężczyzn – dominacja kobiet w elektoracie Lewicy (62 proc.) sprzyjała odpowiednio rozmieszczonym na listach razemitkom. Do dobrego wyniku przyczyniło się też za pewne odmłodzenie elektoratu, który poparł relatywnie młodych polityków Razem, pożegnał zaś kilkoro starszych SLD-owców (choćby Marka Dyducha). Wreszcie, jak przyznają niektórzy w NL, większemu partnerowi nie pomogła frakcyjność.

Słaby wynik lewicowej koalicji trochę przysłania drugą opowieść. A to, obok zwiększenia reprezentacji w Senacie, szansa na powrót do władzy po – literalnie – całym pokoleniu. Podczas wieczoru wyborczego Czarzasty, najważniejszy z liderów koalicji, nie pozostawił wątpliwości, że jego formacja zamierza wejść do rządu. Po to też walczył się w wyborach, by brać władzę, kiedy jest ona w zasięgu ręki. Wejście do rządu daje szansę zdobycia doświadczenia, którego nie znajdzie się na studiach czy choćby w ławach opozycji. Poznania od środka ministerstw, relacji między instytucjami państwa, funkcjonowania korpusu urzędniczego. Pozwala na wzmocnienie partii, której ludzie trafiają do administracji (trzeba mieć nadzieję na obiecywane transparentne konkursy do władz mediów i spółek). Wreszcie też – co najważniejsze – Lewica może mieć wpływ na to, jak będzie wyglądała Polska.

Zgoda, koalicja z KO, Polską 2050 i PSL będzie trudna, a Lewica będzie

najmniejszym z partnerów. Konfliktów może być sporo – o prawo aborcyjne, małżeństwa jedнопłciowe, głębokość rozdziału Kościoła od państwa, politykę społeczną i podatkową, prawa pracownicze. Ale to żadna niespodzianka – wiadomo było, że partie nowej większości mocno się różnią. Ale po pierwsze, Lewica ma w razie potrzeby siłę blokującą. Po drugie, są postulaty łączące partnerów, i to nie tylko w obszarze przywracania praworządności czy rozliczeń po PiS (choćby zwrot w stronę OZE czy podwyżki dla budżetówki). Po trzecie, można wypracować podstawowe minimum programowe, a w sprawach dzielących negocjować i szukać rozwiązań kompromisowych. Tam, gdzie się da – w sprawie liberalizacji prawa aborcyjnego powrót do skompromitowanego „kompromisu” jest już niegodny i nic dziwnego, że to istotny obszar konfliktu.

Nie ma jeszcze pewności, że do koalicji rządowej wejdzie partia Razem. Sugerowanie, że formacji tej bliżej do PiS niż do nowej większości, jest nieuzasadnione, ale faktycznie, perspektywa wejścia do rządu Tuska wywołała wśród ważnych razemitów mieszane uczucia. Nie wszyscy w partii są też pewni, że politycy poraniej NL i pozostali, bardziej liberalni i konserwatywni partnerzy w ogóle chcą ich w rządzie. Poważnych sygnałów o planach wycięcia Razem z rządu nie ma – wręcz przeciwnie, niemniej niektórzy zaczęli zastanawiać się, czy nie lepiej zachować czystość ideową – nie wejść do nowego gabinetu i wspierać go tylko w wybranych inicjatywach. W końcu w 2015 r. partia powstawała w kontrze do dwóch formacji – SLD i PO. Z pierwszą już jest w koalicji, teraz miałyby współdziałać także z drugą.

**Ale tak jak przemianę przeszło SLD, tak i zmieniła się Platforma.** A niewchodzenie do rządu mogłoby mieć bardzo poważne konsekwencje. Podejmując taką decyzję, Razem ryzykowałoby rozpadem sojuszu z Lewicy. Czyli kryzysem wizerunkowym („Razem znowu osobno”), utratą wsparcia struktur NL i dostępu do subwencji (dostaje ją partia Czarzasteo i Roberta Biedronia) na początku maratonu wyborczego, którego Razem solo nie tylko by nie skończyło z satysfakcjonującym wynikiem, ale którego mogłoby nawet nie zacząć. Partia ma słabe karty, bo jej posłowie nie są potrzebni do stworzenia większości, ale biorąc udział we władzy, może pokazać wyborcom, że potrafi nie tylko ładnie opowiadać o swoich propozycjach, ale też wziąć się do roboty.

Do powstania nowego rządu daleko, ale powoli pojawiają się plotki o tym, które

resorty Lewica chciałaby wziąć. Mówi się o resorcie budownictwa (musiaby zostać wydzielony), rodziny, pracy i polityki społecznej, edukacji (Agnieszka Dziemianowicz-Bąk?), kultury (Joanna Scheuring-Wielgus?), sprawiedliwości (Krzysztof Śmiszek?) czy cyfryzacji (Krzysztof Gawkowski, wymieniany też jako kandydat na wicepremiera). Czarzasty, dotąd wicemarszałek Sejmu, prawdopodobnie chciałby awansować na marszałka; konkurencja – podobnie jak w przypadku części resortów – będzie jednak silna.

Niezależnie od nowego układu władzy, Lewicę czeka poważny namysł nad przyszłością. NL odczuła słaby wynik, a działacze odnotowali fakt, że Czarzastego w Sosnowcu wyraźnie wyprzedził nieznany ogólnopolsko Łukasz Litewka. Ale choć pojawiają się pytania o pozycję lidera, to mało kto wierzy w rychłe rozliczenia personalne, przynajmniej przed eurowyborami. To nie jest też dobry moment na głośną krytykę – stanowiska w administracji potrafią uśmierzyć ból po utracie mandatu. A to Czarzasty będzie miał największy wpływ na to, czy ból zostanie uśmierzony. Jako patron połączenia SLD z Wiosną i koalicji z Razem spaja też sojusz personalnie.

Ale kadencja współprzewodniczących NL kończy się za dwa lata, a partia spodziewa się zmiany generacyjnej; wyborcy chyba wręcz jej oczekują. Coraz głośniej mówi się też o perspektywie unifikacji – być może więc duet Czarzasty-Biedroń zastąpi tylko jedna osoba. Wśród potencjalnych kandydatów wymienia się Gawkowskiego, Dziemianowicz-Bąk czy Tomasz Tręlą. W bardziej długofalowych wizjach pojawia się jeszcze jedno nazwisko – Adriana Zandberga. Pewnie nie teraz, w końcu połączenie NL z Razem byłoby rewolucją, na którą partie nie są gotowe. Ale może w kolejnej rotacji?

Wątpliwości pojawią się nie tylko w odniesieniu do personalistów. W nieoficjalnych rozmowach politycy Lewicy zadają już pytania, na które będą próbowali znaleźć odpowiedź. Dlaczego koalicja straciła prawie pół miliona wyborców? Jak grać z liberałami i konserwatystami w rządzie, by zarazem pokazywać sprawczość i nie świecić oczami za działania niezgodne z programem partii? Czy Lewica pod kierownictwem Czarzasteo nie zbliżyła się nadmiernie do PO? Czy należy trzymać się opcji socjaldemokratycznej, czy konkurować z KO o większy zasób wyborców socjalliberalnych? Kolejne kampanie tuż za rogiem, więc lewicowcy muszą szybko wyciągnąć wnioski z wyborczego rozczarowania. Przed nimi nowa szansa. ■

# Wszyscy jesteśmy z Sulejówka

Podwarszawskie miasteczko jako bryk najnowszej historii Polski.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

**Scenografia.** W czwartek rano, dwa dni przed ciszą wyborczą, do magistratu zatelefonowano z Partii, że zaraz przyjeżdża osobiście prezes-wicepremier Kaczyński. Korytarzami przeleciał piorun kulisty. Należało błyskawicznie przygotować anturaż przemówienia prezesa, zapewnić mu bezpieczeństwo oraz frekwencję. Wybrano Glinianki, zrewitalizowany park, który zawsze sprawdzał się scenograficznie jako tło ludzi Partii. To właśnie tutaj Andrzej Duda ogłosił społeczeństwu głośną doktrynę umasowienia oczek wodnych. Z tej okazji załadniono puste Glinianki statystami. Nad stawem postawiono wędkarzy, którzy zwykle łowią za torami, bo cały wędkarski Sulejówek wie, że Glinianki to bezrybie. Łowili więc w zawstydzeniu. Na ławce posadzono emerytów w trakcie probabilistycznej rozmowy. Władza już miała Sulejówek przećwiczony, jako i matecznik, i makietę.

Prezes-premier Kaczyński okazał się mniej kłopotliwy. Przywiózł własną frekwencję i własnego pewniaka do Sejmu, Cieślukowskiego, członka Partii – oficjalnie „pracownika biurowego, asystenta prezesa Partii d/s koordynacji struktur w terenie oraz głównego specjalistę d/s floty i logistyki”. A gdyby ktoś pytał szczerze, to swego kierowcę. Prezes namaścił go jako wybitnego znawcę regionu, w którym leży Sulejówek. Policji było tyle, co na meczach wysokiego ryzyka na pobliskim stadionie Victorii Sulejówek. Wszystko się powiodło rytualnie – Kaczyński przypomniał, że Tusk jest do niczego i że jeśli zostanie

wybrany, zniszczy Polskę. Kawalkada limuzyn ruszyła do centrali budować bezpieczną przyszłość.

**Widoki.** Przy dobrej pogodzie z Sulejówka widać Warszawę, drapacze chmur na zachodnim horyzoncie. Remigiusz Górniak, wiceburmistrz miasta, zauważa, że tutejszy sejmowy okręg wyborczy nr 18 ma elementy absurdu, ponieważ leżąc 20 km od Pałacu Kultury, Sulejówek wybiera posłów aż pod wschodnią granicą Polski. Potem zdarza się, że w rozmowach ze stolicą wspierają miasto przedstawiciele zasiedleckich rubieży. Górniak sam jest z Warszawy. W Sulejówku mieszka pięć lat, pracując dla miasta jako bezpartyjny prawa ręką Arkadiusza Śliwy, burmistrza od 13 lat, długoletniego członka Partii.

Śliwa ma w radzie miasta większość pod nazwą własną Aktywni i Skuteczni. Ludzie ci mniemają, jak wskazuje lokalna opozycja, że są czystorękami politycznymi libero, co w przypadku nieprzewidywanych wyborów społeczeństwa Sulejówka zapewni im ciągłość świadczenia stosunku pracy u władzy. Otóż, mówi opozycja, to się okaże.

Obywatelski Sulejówek walczy wewnętrznie w internecie. Na prawdę i na wymysł, na krytykę i laurkę, na kulturę i obelgę. Są fora, na których się bywa, oraz takie, na których nie wypada – zależy od światopoglądu na miasto. Ale jedno wydaje się niepodważalne – Sulejówkiem Partia rządzi na sposób znany w całej Polsce, swoim sypie pieniądze pod nogi, nieswoich „butuje” i obraża, zawłaszcza na swój wyłączny użytek największe

słowa i symbole, jeśli sondaże wykażą, że to oplacalne dla Partii.

Nagle, na dwa dni przed wyborami, do miasta skłóconego jak Polska dociera wiadomość, że jadą tutaj głosować tłumy warszawiaków i innych nietutejszych. Jak zagłosują – nie wiadomo, ale już sam fakt, że jadą, że zadają sobie trud, jakiś taki immanentnie niepokojący. W centrali Partii musieli się w tym połapać wcześniej i przestraszyć, skoro premier-prezes Kaczyński znalazł czas, by wpaść ze świtą na Glinianki i na cito przypomnieć wyborcom, że Tusk to bezdyskusyjne zło.

**Powitanie.** W niedzielę, dzień wyborów, od wczesnych godzin porannych chodził po peronie stacji Sulejówek sympatycznie uśmiechnięty wiceburmistrz Remigiusz Górniak, bezpartyjny, i witał podróżnych.

Rozdawał turystom wyborczym wielkie, dojrzałe śliwki. Napływ od strony Warszawy był tak obfity, że śliwek starczyło na go-dzinę. Ludzie szli przez miasto w grupach, całe rodziny, single. Pogodni, rozgadani mimo zimna, jakby przywieźli ze sobą jakieś nieznanne święto. *Votum sulejówkum* w oczach rosoło do manifestacji zniechęconego przez Partię demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego.

**System.** Pomysł na głosowanie wyjazdowe pojawił się w mediach społecznościowych w kilku niezależnych grupach dyskusyjnych w sierpniu, dwa miesiące przed wyborami. Brzmiał prosto i sensownie, ale mógł być ryzykowny. Z miejsca stworzyli się stronnictwa pro i anty. Zwolennicy, wśród nich autorytety, przekonywali,



że skoro Partia majstrowała przy ordynacji wyborczej, aby efektywnie zmniejszyć się głos mieszkańców wielkich miast, to należy zabrać swój głos do mniejszych ośrodków, by nadać mu przewidziane konstytucją znaczenie („każdy głos jest równy”).

Przeciwnicy, wśród nich także autorytety, twierdzili, że ryzyko jest zbyt duże – turysta wyborczy może zmniejszyć szanse swojego kandydata w miejscu zamieszkania, ale jednocześnie nie pomóc kandydatowi na prowincji. Ta dyskusja trwała online do samej ciszy wyborczej, po wyborach trwa nadal, choć nie taka gorąca. Obie strony zgadzały się co do jednego – ordynacja w swoim obecnym kształcie jest zaburzona i nie oddaje społecznych realiów. Nie uwzględnia „korekty demograficznej”, czyli migracji wewnątrz kraju. Co powoduje, że w okręgach, z których ludzie się wyprowadzają, znacznie mniej głosów potrzeba, aby wybrać kogoś do parlamentu, niż w miejscach zaludniających się szybko, jak wielkie miasta. Zdominowany przez Partię Sejm wiedział o tym, ale nie podjął tematu. A wędrowni wyborcy wykorzystali tylko obowiązujące prawo – zamiast głosować w miejscu zamieszkania, można w miejscu pobytu, jeśli w przewidzianym ustawą czasie załatwi się odpowiednie zaświadczenia. Tego Partia nie przewidziała, zaplątała się o własne nogi.

Głos oddany w wielkim mieście waży mniej więcej 0,7 w stosunku do głosu wyborcy z mniejszego okręgu, mówi Konrad Maj, psycholog społeczny, sulejowianin, a to oznacza, że co trzeci głos w wielkim mieście idzie do kosza. To, co wydarzyło się w wyborczą niedzielę w Sulejówku, wywołało na pewno efekt psychologiczny. Wielkie święto demokracji, obywatele przeciwstawili się narzucanemu przez władzę myśleniu transakcyjnemu polegającemu na schemacie: zagłosuj na nas – dostaniesz pieniądze.

**Komisje.** Pojechaliśmy do lokalu wyborczego rodzinnie, córka głosowała pierwszy raz w życiu – opowiada Justyna Sadowska, mieszkanka Sulejówka – w południe była kolejka, więc zdecydowaliśmy, że zrobimy drugie podejście wieczorem. Justyna upiekła ciasto, przez internet zapraszała znajomych turystów wyborczych do siebie na kawę. Nad Sulejówkiem krążyło coś dobrego, nadzieja: w końcu przecież w 2020 r. Trzaskowski wygrał tu z Dudą w wyborach prezydenckich. W 2010 r. Komorowski wygrał z Kaczyńskim. A kolejka wieczorna była jeszcze dłuższa. Sadowscy zabrali ze sobą termosy, książki i stanełi

do głosowania. Stało się przyjemnie – opowiada Justyna – była jakaś radosna ekscytacja. Ludzie rozmawiali przyjaźnie, żartowali.

Marzena Nowogródzka, aktywistka, była przewodniczącą najbardziej obleganej w mieście komisji (SP 1 przy ul. Idzikowskiego), po wszystkim okazało się, że była to druga największa komisja wyborcza na świecie. Praca w nerwach, każdy każdemu patrzył na ręce – mężowie zaufania, obserwatorzy, media, członkowie komisji. Nowogródzka opowiada, że cały czas pilnowała pieczętki do stemplowania druków wyborczych. Od stemplowania dostała odcisków na dłoni. Pracowała od 5 rano w niedzielę do 16 w poniedziałek. – *Jestem dumna, że tyle osób przyjechało do nas głosować* – mówi kilka dni później – *wygrała demokracja*.

Jacek Zalewski, dziennikarz, był przewodniczącym komisji w innym lokalu wyborczym Sulejówka. Już ponad 30 razy przewodniczył komisjom, ale takiego chaosu organizacyjnego jeszcze nie widział. Przecież – dowodzi Zalewski – urząd miasta miał pełną świadomość, że tylu wyborców spoza miasta się dopisało. Wcześniej wiedział o tej bombie demograficznej. To wymagało poinformowania w piątek po południu, przygotowania członków komisji wyborczych, a nic takiego się nie wydarzyło. Nic nie zrobili w kierunku działań antykrzyzysowych. Wsadzili nas w komisjach na minę.

Około południa przewodniczący Zalewski własnoręcznie, na stole komisyjnym, rozdzielił zszyty urzędowo spis wyborców na połówki. W ten sposób udało się podzielić wyborczą kolejkę na dwie, tłum zelżał.

Gdy Zalewski zobaczył u stołu komisji wiceburmistrza Górniaka, który też odstał swoje w kolejce, nie omieszkał zareagować: o, jest sprawiedliwość dziejowa.

**Symbol.** Już po wyborach Zalewski na własny użytek policzył metodą D’Hondta, że gdyby wziąć po uwagę tylko głosy oddane w Sulejówku, KO wygrałoby z PiS stosunkiem mandatów poselskich 6:3. W wyborach senackich w mieście wygrałby kandydat Bezpartyjnych Samorządowców tylko dlatego, że nie był z PiS. Pakt Senacki nie miał kandydata w Sulejówku, zabrakło 17 podpisów przy rejestracji. I właśnie w tym mieście się cały wymierny sens turystyki wyborczej do miasta. Że ludzie wykazali inicjatywę – mówi Zalewski – że im się chciało przyjechać i poczuć się obywatelami demokratycznego państwa. Na zwycięstwo KO w okręgu potrzeba by było kilkunastu tysięcy wędrownych

wyborców, z których każdy zagłosowałby właśnie na KO.

W całym okręgu nr 18, w którego skład wchodzi Sulejówek, PiS zwyciężył z KO 7:2, Trzecia Droga zdobyła dwa mandaty, a Konfederacja jeden.

Remigiusz Górniak mówi, że turyści wyborczy byli jak połowa uprawnionych do głosowania mieszkańców miasta. Jacek Zalewski ma dokładne dane: do list wyborców w Sulejówku dopisało się 3672 ludzi, a z zaświadczeniami było dodatkowych 1626 osób, ale wśród nich byli także mieszkańcy sulejowianie zameldowani gdzie indziej. Internet oszałał: jedni piszą „zwycięstwo demokracji”, inni „ukradzione wybory” lub „geszeft Tuska”, czyli jak zwykle w Polsce. Wiceburmistrz Górniak nie ma wątpliwości: żadne zakłócenie demokracji, prawo zezwala głosować poza miejscem zamieszkania, ludzie wykorzystali możliwość prawną. Cztery lata temu w Sulejówku wygrało PiS (42,5 proc.) przed KO (30,35 proc.). W tym roku, dzięki przyjezdnym wynik się odwrócił. Pierwsze miejsce dla KO (39,8 proc.) drugie dla PiS (26,1 proc.).

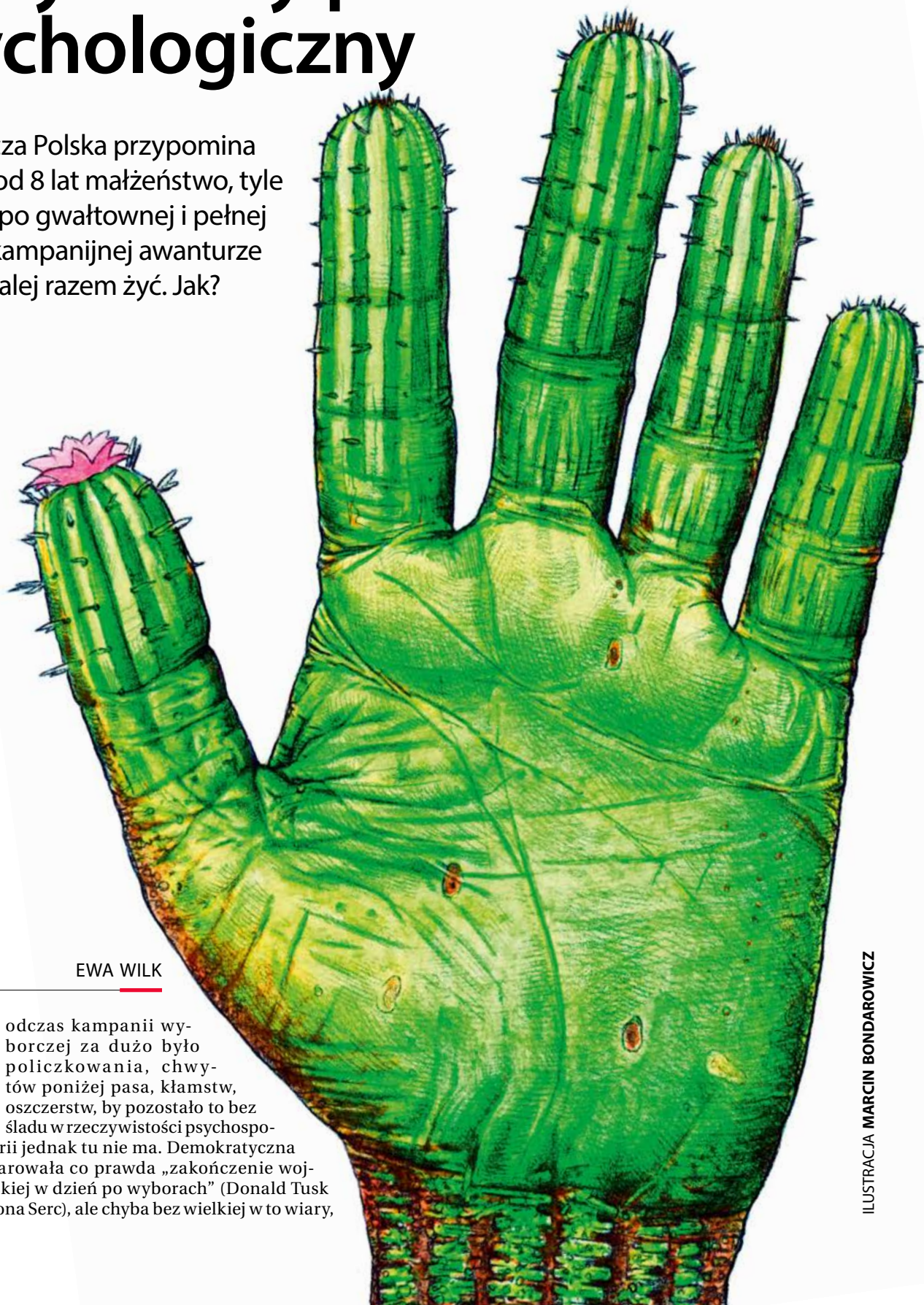
**Piłsudski.** Środa rano, trzy dni po wyborach, w centrum Sulejówka następna wycieczka szkolna składała kwiaty pod pomnikiem marszałka Józefa Piłsudskiego. Pomnik jest zrobiony tak, że do marszałka, przedstawionego dobitnie w towarzystwie małych córeczek, można się dosiąść. W Sulejówku marszałek mieszkał w dworcu zwanym Milusinem, teraz obok stoi nowoczesny budynek muzeum Piłsudskiego.

Piłsudski, jego dokonania wodzowskie i legenda, to coś, co Partia bardzo chciała przejąć na własny użytek, mówią demokraci z miasta. Partia ukochała sobie Sulejówek jako symbol, podsypywała pieniędzmi, wykorzystywała jako tło wystąpień politycznych właśnie przez tę symboliczność. Prezes-premier Kaczyński widział w sobie drugiego Piłsudskiego. To zawłaszczanie zaczynało się udawać, dziś już mało kto pamięta, że to nie Partia, ale jej poprzednicy u władzy w 2008 r. zdecydowali o budowie muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

Po wyborach w „Gazecie Wyborczej” ukazał się list czytelniczki podpisany Demokratka. W nim słowa bezpośrednio do Kaczyńskiego: „Przez dłuższą chwilę uważał się Pan za takiego wodza naczelnego [jak Piłsudski – red]. Sulejówek od niedzieli wyborczej nie tylko Piłsudskim stoi. Czerwona kartka od społeczeństwa na tle, nomen omen, dworku Milusina Piłsudskiego. To taka willa plus, gdyby Panu z historii umknęło, ale zbudowana lege artis z datków wdzięcznej armii”.

# Powyborczy poradnik psychologiczny

Powyborcza Polska przypomina skłócone od 8 lat małżeństwo, tyle że teraz – po gwałtownej i pełnej podłości kampanijnej awanturze – trzeba dalej razem żyć. Jak?



**P**

EWA WILK

odczas kampanii wyborczej za dużo było policzkowania, chwytów poniżej pasa, kłamstw, oszczerstw, by pozostało to bez śladu w rzeczywistości psychospołecznej. Symetrii jednak tu nie ma. Demokratyczna opozycja deklarowała co prawda „zakończenie wojny polsko-polskiej w dzień po wyborach” (Donald Tusk w Marszu Miliona Serc), ale chyba bez wielkiej w to wiary,

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



tym bardziej że strona przeciwna nie bawiła się w podobne frazesy – ostro parła do rozwodu z orzeczeniem o winie i wyrzuceniem z domu.

W sytuacji rozpadającej się rodziny skonstruowano rozmaite narzędzia, jeśli nie do naprawienia, to przynajmniej poprawnego ułożenia relacji – przede wszystkim w imię dobra dzieci. Wiadomo: mediacja, terapia rodzinna, wreszcie sąd. W skali makrospołecznej takiej infrastruktury „ku zgodzie” nie ma, a jeśli była, to przez osiem lat została zdewastowana. Nie ma takiej instytucji, bo wszystkie – Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, media publiczne, urząd prezydenta, Kościół – zostały politycznie zgwałcone. Nie ma też takiej osoby, która odegrałaby rolę mediatora, sądu, bo wszelkie autorytety zostały zakwestionowane w ramach populistycznego antyelitaryzmu.

Co więc pozostaje? Ano indywidualna i zbiorowa socjopsychoterapia ze świadomością, że przez następne miesiące, a może i lata przyjdzie nam żyć z partnerem pogrążonym w traumie po upokorzeniu, jakim były przegrane wybory.

### ONI: w kokonach

Psychologia stosowana, zwłaszcza ta wyspecjalizowana w sprawach rodzinnych, nie zawsze usiłuje pożartych ze sobą ludzi doprowadzić do *resetu*, zwłaszcza wtedy, gdy związek był właśnie asymetryczny, ewidentnie toksyczny i przemocowy. Pomaga się wtedy stronom zejść z najwyższego poziomu emocji na niższy, zracjonalizować własne myślenie, co nie wiąże się z rezygnacją z przekonań, poczucia racji w związku, również racji moralnej. Nie chodzi o kapitulację, lecz o swiste odtrucie, na początek – języka komunikacji i utrwalo-nych zachowań.

Czy da się zrobić coś podobnego w skali społecznej? Analogie między indywidualnym człowiekiem a grupą nie są czymś, co byłoby obce psychologii społecznej czy politycznej.

Każda terapia – indywidualna, rodzinna – zaczyna się od próby zrozumienia toku myślenia drugiej strony. Jako ta część społeczeństwa, która przez kilka lat konfrontowana była z tzw. twardym elektoratem PiS, zdumiewała się jego zabetonowaniem na fakty i wściekała z powodu jego zerowej odporności na propagandę, powinniśmy podjąć się takiego pozorniejszego wysiłku. Nie po to, by na siłę szukać z nim zgody, „wybaczać i prosić o wybaczenie”, ale pojąc, że jak trudno odwracalnym struciem mamy tu do czynienia. I jak bardzo jesteśmy skazani na trwałą obecność w naszym społeczeństwie 20–30 proc. rodaków, którzy nigdy nie będą skorzy do zgody z nami, spojrzenia faktom w oczy, bo mają „swoje fakty”. Żyją w specyficznych, dających poczucie bezpieczeństwa, bańkach, kokonach. Oto, jak można je opisać.

• **Kokon narcystyczny.** Narcyz jest bodaj najtwardszym orzechem do zgryzienia dla psychoterapeuty parającego się zaburzeniami osobowości. Jeśli ów narcyz w ogóle do niego trafi, a zdarza się to sporadycznie, ponieważ narcyzm daje narcyzowi cudowny spokój psychiczny i poczucie bezpieczeństwa, którego zazwyczaj brakowało mu w dzieciństwie: „nikt już mnie nie będzie krzywdził, pomijał, lekceważył”. Narcyzm zwalnia z rozterek, wątpliwości, z poczucia winy, wstydu, z chęci poznania trudnej prawdy o sobie, upoważnia do instrumentalnego traktowania innych, nawet tych najbliższych.

Narcyzm narodowy zbudowany na kompleksach niższości, na zawiści, na nienawistnych stereotypach o innych nacjach, jest kokonem czy wręcz pancierzem, z którego jeszcze trudniej się wydostać. Sztuczne poczucie dumy daje też złudne

poczucie mocy. Zerowa odporność na krytykę pozwala na skróty zakwalifikować jako wroga narodu każdego, kto choćby tylko próbuje postawić lustro przed społeczeństwem – od wybitnej badaczki historii po światowej renoimy reżyserkę.

Narcyzm ochoczo żeni się z nacjo-darwinistyczną wizją świata, gdzie każdy naród każdemu narodowi wilkiem (czasem tylko przebranym w owczą skórę), a sukces jednego musi być opłacony klęską drugiego.

• **Kokon spiskowy.** Nauki społeczne nazywają to monologicznym systemem przekonań. Chodzi o taki typ umysłowości, dla której wszystko jest szybko i prosto wyjaśnialne. Człowiek w nią wyposażony dziwi się często: dlaczego ludzie tego nie widzą, nie rozumieją, co widzę i rozumiem ja, przecież to oczywiste! I raczy nas opowieścią: o światowym rządzie (np. żydowskim), o światowym spisku (np. firm farmaceutycznych), o zamachu (np. Tusko-Putinowsko-smoleńskim), o niemieckiej Unii Europejskiej, o knowaniach, tajnych porozumieniach.

W ciągu minionych ośmiu lat wiara w spiski rosła w Polsce. W 2016 r. w „zamach smoleński” wierzyło 27 proc. W 2022 r.: 36 proc. (Ipsos dla OKO.press). W 2023 r. przekonanie, że to opozycja odpowiada za brak pieniędzy z unijnego Funduszu Odbudowy, podzielało 58 proc. widzów TVP Info i tylko 1 proc. widzów TVN24 (CBOS). 55 proc. Polaków wciąż utrzymuje, że Żydzi mają zbyt dużo wpływów na świecie (CBOS dla UJ).

Prof. Michał Bilewicz, współautor międzynarodowych badań nad skłonnością do myślenia spiskowego, powiada, że nasila się ona wraz z dowolnym – lewicowym czy prawicowym – radykalizmem (oczywiście to spiski o różnych treściach), a przewrotność tej przypadłości mentalnej polega na tym, że spiskolub potrafi jednocześnie uwierzyć w zupełnie sprzeczne teorie (np. że księżna Diana zginęła w zamachu oraz – że wciąż żyje; albo że Donald Tusk jest Niemcem i Roskiem zarazem). Jednym z trików pobudzających spiskomyślenie w polskim społeczeństwie było w ostatnich ośmiu latach chroniczne, nawykowe wymyślanie wrogów: czasem przybierali oni postać ludzką, czasem tajemniczą, abstrakcyjną, ale tym bardziej atrakcyjną: ideologii LGBT, ekologizmu, nowego komunizmu, ideologii śmierci czy „Araba urojonego” itd.

Inny zabieg, który nasila w człowieku myślenie spiskowe, to obniżenie jego poczucia kontroli nad własnym życiem i poczucia wpływu na politykę. Co wcale nie musi być dla niego dyskomfortowe. Przez osiem lat władza słowem i czynem udawadniała swoim przeciwnikom, ale też zwolennikom, że polityka jest brudną grą polegającą na podsłuchiowaniu, szpiegowaniu, łganiu, obrzucaniu się błotem i dzieleniu łupami. Mówiła wprost: my za was wykonujemy tę czarną robotę, ale dzielimy się z wami owocami, dbamy o was. Jarosław Kaczyński ze swym gderliwym, agresywnym, nieznoszącym oporu „paternalizmem” trafił do przekonania kilku milionom Polaków: mam kontrolę nad waszym życiem, nie bójcie się, ufajcie. To kolejny pancierz i kokon, w którym łatwo utkwic do całe życie.

• **Kokon poddańczy.** Jest tu kilka pokrewnych terminów, np. prawicowy autorytaryzm czy orientacja na dominację społeczną. Pierwsze pojęcie kładzie nacisk na takie właściwości, jak uległość wobec osób uznanych za nieomyłne i moralnie nieskazitelne; wrogość wobec każdego, kto nie podziela norm i wartości mojego autorytetu (a więc i moich). ►

► SDO (ang. *social domination orientation*) to z kolei silne przekonanie, że zawsze i wszędzie na świecie musi istnieć jakaś hierarchia, ktoś być władcą, a ktoś poddanym, a nierówności są rzeczą naturalną i pożądaną – również te wynikające z rasy czy narodowości.

Nazwijmy ten pakiet poddaństwem, bo w istocie chodzi tu przecież o rezygnację ze swojej wolności. To też kokon i pancerz, bo wolność niesie ze sobą ryzyko nietrafionego wyboru, odpowiedzialność za błędy, mierzenie się z konfliktami racji i setki rozmaitych okazji, w których wygodniej byłoby zaufać Wszechmądrému. W nagrodę czasami poddany mieliby okazać do manifestowania swej własnej wszechwładzy i wszechmądrości, np. jako urzędnik wobec petenta, szef wobec podwładnego czy Polak wobec ciemnoskórego imigranta.

### MY: zakleszczeni w pomyłkach

Wracając do analogii z rozpadającym się małżeństwem, bywa tak, że strona szukająca pomocy u psychoterapeuty dopiero w gabinecie uświadamia sobie toksyczność związku, w jakim utkwiała. Bo przecież partner/partnerka – manipulant/ka nie sobie, lecz drugiemu systematycznie wbijał/a szpile, umniejszał/a wiedzę, zasługi, walory, ustawicznie stosując przemoc – często również fizyczną. Czasem ofiara usiłowała odpłacić pięknym za nadobne, ale zaraz wylała się w poczuciu winy, niestosowności i nieskuteczności swoich ciosów, aż w końcu zaczynała wierzyć w swoją „beznadziejność”.

Podobnie byłoby pewnie, gdyby poddać owej wyobrażonej socjoterapii polskie społeczeństwo. Byłby jednak w błędzie ktoś, kto oczekiwałby, że ów hipotetyczny uzdrowiciel doradziłby mu: no to teraz odwiń się, powetuj krzywdy, pokaż partnerowi: mam tę moc, co i ty – moc poniżania, wyszydzenia, wbijania szpil. Przeciwnie, przekierowałby pewnie naszą uwagę na nas samych. Choćby bowiem człowiek miał nieograniczone przekonanie co do swojej racjonalności, jest – jak powiada trafny refren psychologiczny – istotą nie tyle racjonalną w postępowaniu, ile racjonalizującą swoje poczynania. Uświadomiłby socjoterapeuta „stronie szukającej pomocy” trzy zestawy – nazwijmy to – pomyłek.

• **Pomyłka w reakcji.** Pierwszy z nich odnosiłby się do reakcji emocjonalnych. Jakże często nieadekwatnych do sytuacji. Czym innym bowiem jest zareagować na czyjeś niegodne postępowanie gniewem i niezgodą, czym innym – strachem i agresją. Inny koloryt psychiczny ma wściekłość, inny – smutek, zawód, rozczarowanie.

Rada: przejęcie kontroli nad emocjami. Nie zaprzeczanie im i tłumienie, ale – jak w modzie jest mówić – zarządzanie nimi. Nabycie umiejętności, nawet nawyku schodzenia na niższy poziom, również w przypadku tych pozytywnych: z euforii do radości, z ekscytacji do satysfakcji, z uniesienia do równowagi.

• **Pomyłka w myśleniu.** To tzw. błąd atrybucji polegający na tym, że własne sukcesy przypisujemy chętnie własnym zaletom, a nie korzystnym okolicznościom zewnętrznym. Natomiast porażki – czynnikom zewnętrznym, a nie własnym błędem czy wadom. Całkowicie odwrotnie jest z naszą percepcją bliźnich: oni w naszych oczach swoich sukcesów bynajmniej

nie zawdzięczają swoim walorom, lecz okolicznościom, a za porażkami – stoją ich osobiste defekty.

Jeśli do tego dodać inną skłonność umysłu – do uogólnień, to owe defekty gotowi jesteśmy przypisywać każdemu, kto nie należy do naszej grupy.

Przenosząc to na obecną polską rzeczywistość: skoro partyjnych wodzów PiS kwalifikujemy (nie bez racji) jako cyników, manipulatorów z ewidentnym rysem narcystycznym, nawykowych kłamców, finansowych geszefciarzy itd., to nasz umysł stosuje tę samą miarę do ich zwolenników. W pierwszym odruchu nie bierze pod uwagę, że masa tych zwolenników to ludzie zakleszczeni w wymienionych kokonach i pancerzach. Wielu z nich padło ofiarą manipulacji i własnej naiwności. A ofiarom należy się raczej współczucie niż pogarda.

• **Pomyłka w komunikacji.** Błędem poznawczym jest też przekonanie, że inni myślą, jak ja myślę, a argumenty, które dla mnie są logiczne i niezbite, powinny przekonać każdego. Albo też pewność: ja wiem, co on myśli. Niestety, człowiek nie posiadał umiejętności czytania w cudzych myślach. Toteż zaskakująco często bierze do siebie to, co wcale nie jest skierowane przeciw niemu, doszukuje się ukrytych treści w tym, co ktoś powiedział, sam ucieka się do półsłówek, aluzji, ironii, znaczącego milczenia, zagadkowej mimiki, gdy lepiej by było powiedzieć coś wprost.

Komunikacja międzyludzka we współczesnej cywilizacji jest fatalna, wbrew pozorowi, że jesteśmy skomunikowani jak nigdy dotychczas w historii ludzkości. Mamy narzędzia, ale wielu korzysta z nich wyłącznie jak z prymitywnego cepa. Media społecznościowe stają się w istocie antyspołeczne.

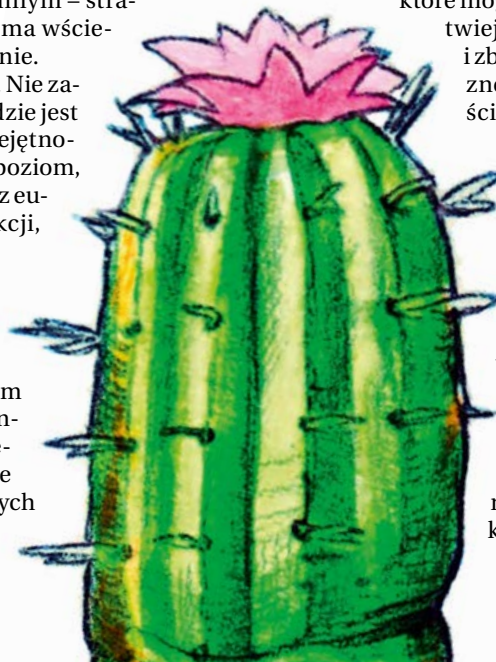
Każdy, kto ubolewa nad poziomem sieciowej, zwłaszcza tzw. społecznościowej „wymiany myśli” – nad jej arogancją, brutalnością, wulgarnością, naraża się na zarzut panikarstwa, nieuprawnionego uogólnienia, koncentrowania się na marginesach, produktach ubocznych wielkiego przełomu technologicznego, jaki uszczęśliwił ludzkość. Nigdy jednak dość przestróg, że niebezpiecznie brniemy w tę wulgarność i brutalność, a kampania, którą mamy za sobą, pozwalała tu jakiegokolwiek hamulca. Używamy, a przynajmniej wybaczymy używanie słów niecznych, nacechowanych skrajną wrogością. Jakbyśmy zapomnieli, że można komuś zwrócić uwagę, iż naszym zdaniem znalazł się w błędzie, że nie podzielamy jego poglądu,

że umknęło coś jego uwadze, że dysponujemy informacjami, które mogą zmodyfikować jego myślenie. Cóż, łatwiej jest bezwysiłkowo nazwać kogoś idiotą i zbanować (tłumacząc na obecną polszczyznę: wyp...lić) ze swojej bańki społecznościowej, też swoistego kokonu i pancerza.

A nawet ze wspólnoty narodowej, jak to niejednokrotnie postulował Jarosław Kaczyński.

### Pomocnik doraźny

Nie możemy jednak się masowo powyklucać, powysyłać w kosmos, deportować do Niemiec czy gdziekolwiek. Życie co dnia postawi nas wobec kogoś z NICH: teściowej czy szwagra, rozgnionego taty na wywiadówce, rozmownej fryzjerki, zapalczywego taksówkarza, ożywionego ideologicznie współpracownika, trenera na siłowni, księdza, urzędnika... Nie sposób wierzyć





tym, którzy zapierają się, że nikogo TAKIEGO nie znają, nie stykają się, nie mają okazji rozmawiać.

Więc znów wrócmy do analogii ze skłóconą parą, która do miłości i czułości pewnie już nie wróci, ale kilka spraw ją nierozzerwalnie łączy. Oczywiście dzieci, ale też przyjaciele, wspólny dorobek. Parafrazując rozliczne poradniki promażeńskie i porozwodowe, można skonstruować coś w rodzaju 10 wskazań pokampanijnych i prospołecznych, dotyczących naszych osobistych relacji z „tamtą stroną”.

Zejść z wysokiego poziomu emocji na niższy. To na pewno wskazane przed spodziewanym trudnym spotkaniem i w jego trakcie. Niekoniecznie trzeba tu się od razu angażować. Można np. wyjść do toalety, wziąć kilka głębokich oddechów, rozprostować się i uśmiechnąć do lustra. Oczywiście jest, że nasza mimika wyraża to, co dzieje się w umyśle, ale zachodzi też relacja odwrotna: mimika potrafi usposobić psychikę.

Zracjonalizować to, co słyszymy, widzimy, czego jesteśmy świadkiem. Uruchomić tę partię umysłu, gdzie mamy zapisaną wiedzę o kokonach i pancierzach mentalnych, z których ludziom trudno jest się wywikłać.

Uświadomić sobie, że jeśli kiedyś zechcą z nich wyjrzeć, to na pewno nie po jednej rozmowie. Jednorazowe, nagłe zbombardowanie ich niezbytymi faktami i superlogicznymi (w naszym przekonaniu) argumentami jest przeciwskuteczne – wzmacnia opór, cofa do kokonu. Zwłaszcza gdy dzieje się to przy świadkach.

Powstrzymać swoją skłonność do ironii, inteligentnych żartów, niewinnych przytyków, dowcipnych aluzji, półsłów. To przez ludzi oddalonych od nas psychicznie może być czytane jako złośliwość, szyderstwo, podstępna próba ośmieszenia i poniżenia.

Zgóry wyznaczyć swoje granice. Przede wszystkim językowe. Gdy padają zwroty wulgarne, obraźliwe, konsekwentnie i wprost komunikować, że nie jest to język, którym chcesz się posługiwać. (No i samemu się nim nie posługiwać).

Traktować innych jak sami chcielibyśmy być traktowani – przynajmniej uprzejmie.

Nie wracać wciąż do przeszłości, nie rozpamiętywać, nie licytować, kto komu więcej szkód nawyrządził.

Nie afiszować się z poczuciem moralnej i intelektualnej wyższości. Nie wyrażać swojego zdania w tonie prawd objawionych, ale akcentować: ja sądzę, w moim przekonaniu, na mój rozum. Być może jestem w błędzie, nikt przecież nie jest nieomylny.

Konsekwentnie zwracać spotkanie do jego celu i tematu, cokolwiek nim jest: uczczenie jubilata, dyskusja o wycieczce szkolnej, kolor farby na włosy.

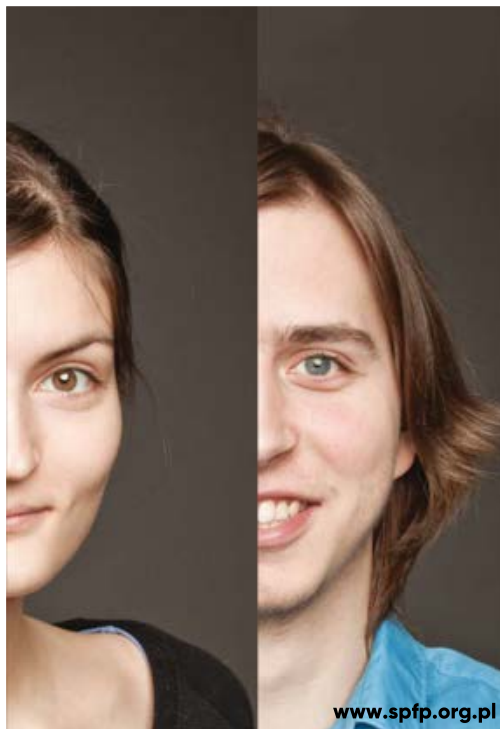
Zrobić coś dobrego do jedzenia, wypić wspólną kawę. Ewolucja miała trywialny, ale skuteczny pomysł: wspólne pożywanie się uczyniła elementarnym sposobem budowania wspólnoty. Choćby epizodycznej.

Z badań Infuture Institute sprzed ponad roku wynika, iż 87 proc. Polaków jest zmęczonych polaryzacją, odczuwalną również na gruncie rodzinnym i prywatnym, a 92 proc. chciałoby, żeby wrogo nastawieni do siebie rodacy dochodzili do porozumienia. Teraz, kiedy wyłączane będą polityczne ośrodki szumienia i podkreśniania emocji, jest wreszcie na to szansa. Spróbujmy.



EWA WILK

REKLAMA



Dorota i Maciej Stefańscy | ostonka na ziola HECA

Lamela



portrety : Rajmund Nafalski / Jakub Jezierski / zdjęcie archiwalne  
zdjęcia produktów : Ernest Wińczyk / Michał Korta

60 lat

www.spfp.org.pl

STOWARZYSZENIE  
PROJEKTANTÓW  
FORM PRZEMYSŁOWYCH  
SPFP

SPFP | Stowarzyszenie  
Projektowe



Wojciech Wybieralski i Cezary Nawrot | CHLEBAK | www.lamela.pl

# Ostatnie słowo

Tu leży zawsze Świerzy – takiego epitafium zapragnął artysta. Za to poeta i tłumacz przeprosił na grobie za „kłopot”, czyli własną śmierć, a emerytowana nauczycielka chciała spoczywać pod ośmioma gwiazdkami. Dlaczego wygląd grobu nie jest obojętny nawet tym, którzy już nie żyją?



TEKST I FOTOGRAFIE ZBIGNIEW BOREK

**P**ani Aniela, emerytowana nauczycielka z Międzychodu w Wielkopolsce, nie mogła patrzeć, jak PiS rujnuje państwo, a Czarnek oświatę. Póki żyła, poglądom dawała wyraz na Facebooku. Gdy umierała, zażyczyła sobie ośmiu gwiazdek na nagrobku. – *Myslałam, że to żart, ale to cała Aniela. Zawsze mówiła, co myśli, dlaczego miałyby się powstrzymywać po śmierci?* – stwierdza jej dalsza krewna (bliżsi sprawy nie komentują).

Jan Marczewski, wnuk Waldemara Świerzego, współtwórcy polskiej szkoły plakatu: – *Inskrypcja „Tu leży zawsze Świerzy”, której zażyczył sobie na grobie, nikogo nie zdziwiła, bo poczucie humoru było jego znakiem rozpoznawczym. Podobnie jak skracanie dystansu do siebie: dla wnuków nigdy nie chciał być dziadkiem, tylko Waldkiem.*

Nagrobek zmarłego przed dekadą Waldka podbił internet, we Wszystkich Świętych szaleje po sieci niczym rasowy wiral. Wielu sądzi, że to fejk, przychodzą więc sprawdzić w realu: w aleję tui na warszawskich Powązkach Wojskowych. – *Musiał być wyluzowany!* – śmieją się młodzi, trzaskając selfiki z „wiecznie Świerzym” w tle. Grób pani Anieli zyskał sławę siedem miesięcy po jej pochówku, gdy „inskrpcję z wulgarnym napisem” ujrzał „zbulwersowany mieszkaniec”. Rzekomo natknął się na nią

przypadkowo w czasie spaceru (zaraz za gwiazdkami kończy się jednak cmentarz, spacerować nie ma gdzie) i powiadomił TVP3 Poznań, kiedy trwała kampania wyborcza. Rządowa telewizja sporządziła materiał o „ośmiu gwiazdkach, które oznaczają hasło zwolenników opozycji”, pośmiertnie zlustrowała profil facebookowy pani Anieli („Znajduje się na nim wiele wulgarnych i obelżywych wpisów o charakterze politycznym”), zasugerowała, że to może być wina Tuska („Nie wiadomo, czy umieszczenie napisu na nagrobku było wolą zmarłej czy też jej rodziny”).

Prof. Zbigniew Mikołajko, filozof i historyk religii: – *Nietuzinkowo, prowokacyjny nagrobek, zaskakujące epitafium, wykroczenie poza społeczną regułę to nie ostatnie pożegnanie, lecz nadzieja pozostania w pamięci. W myśl formuły „nie wszystkim umrę”, ma przykuwać uwagę żywych.*

## Kultura lastryko

40-latek pochowany w najstarszym (sprzed 6–8 tys. lat) grobie odnalezionym na ziemiach polskich w Janisławicach pod Skiernewicami miał twarz zwróconą ku zachodowi, bo wierzono, że tam, gdzie zachodzi słońce, kończy się świat. Przed chrześcijaństwem nieboszczyka wkładało się też do łodzi i wypychało w morze, żeby odplynał do krainy wiecznej szczęśliwości, w czasach Mieszka I szlachetnego męża się paliło, a jego żonie obcinano głowę, aby razem szli do raj. Później rosły osady, wraz



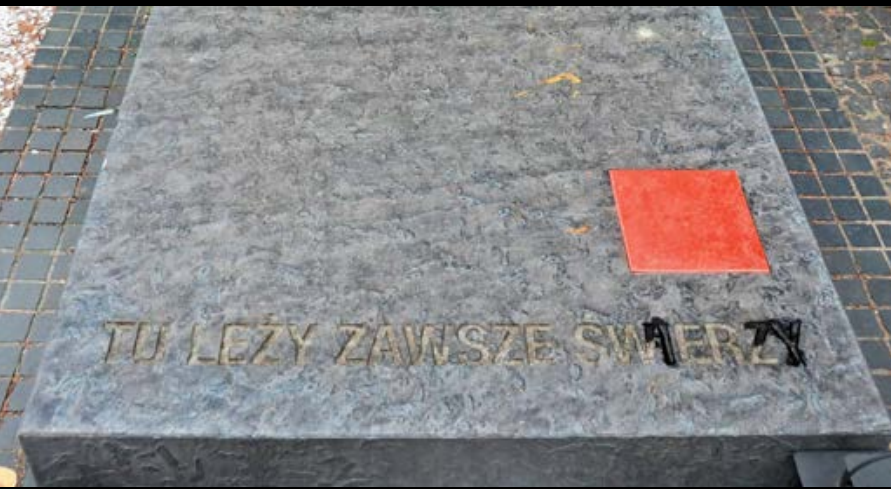
z nimi cmentarze, aż przyszedł przełomowy wiek XVIII, gdy miasta się przeludniały, ludzie żyli krótko, śmiertelność była wysoka, co rodziło przyziemne problemy: proboszcz wielkopolskiego miasteczka trzykrotnie przekopywał cmentarz, bo nieboszczycy wylazili z grobów, a trzeba było znaleźć miejsce dla następnych. W literaturze tego okresu pisało: „W grobie nie poznasz co pańskie, a co chłopskie gówno, bo śmierdzą jednakowo te nieboszczyki i jednakowo się rozkładają”, w praktyce jednak moźni tego świata szli po śmierci do krypt kościelnych, stawiali piękne nagrobki, wypisywali sobie wspaniałe epitafia, natomiast maluczkich zakopywano 40 cm pod ziemią.

Gdy cmentarze zaczęto wyprowadzać poza mury miast, zmieniły się postawy wobec śmierci: średniowieczne „memento mori”, które życie traktuje jako proces przygotowania do śmierci, zastąpiła filozofia „la mort de toi”: śmierci drugiego, śmierci oplakiwanej. „Wtedy dokonana się zmiana postawy wobec śmierci na egalitarną, bardzo ważną z punktu widzenia procesu demokratyzacji społeczeństwa. Nie tylko rewolucja francuska, ale także cmentarze z przedstawiciela plebsu czynią zwykłego, godnego człowieka, którego można utrwalić nagrobkiem” – mówił w jednym z wywiadów prof. Jacek Kolbuszewski, zmarły w zeszłym roku literaturoznawca i tanatolog.

W innym, zapytany, czy cmentarze mówią bardziej o żyjących czy o zmarłych, odpowiadał: „Napis na grobie »Ignacy Krupa,

księgowy« nie przekazuje wielu informacji. Jeżeli jednak widzę, że grób Ignacego Krupy, księgowego, jest bardzo ładnie utrzymany, że stoi na nim gustowna rzeźba, a kwiaty są pod kolor, to możemy już wiele powiedzieć na temat jakości czy wysokości poziomu kultury kogoś, kto o ten grób dba. Cmentarze zdecydowanie więcej mówią więc o żyjących. Przynajmniej w trzech aspektach. Pierwszy to zaniedbanie, co w jakiś sposób świadczy o zerwaniu więzi. Drugi to standard kultury lastryko – statystyczny Polak dąży do tego, żeby grób jego bliskiej osoby wyglądał ładnie, ale nie ma pieniędzy na kaukaskie marmury. I wreszcie trzeci to jest historyczna pozostałość po kulturze baroku, tendencja do przepychu, do pokazania się przez wystawność nagrobka. Bywają cmentarze, na których tę rywalizację łatwo dostrzec”.

Tej rywalizacji, dodajmy, nie ogranicza prawo. – *Nie ma przepisów regulujących wygląd nagrobków czy inskrypcji* – mówi Robert Czyżak, prezes Polskiej Izby Branży Pogrzebowej. Niektóre rozwiązania porządkowe (choćby układ i szerokość alejek) zawiera projekt nowego prawa pogrzebowego. W ślad za nią miały iść precyzyjne rozporządzenia, ale po pięciu latach uzgodnień z branżą projekt utknął w Kancelarii Premiera, przez ostatni rok nie trafił do Sejmu i w kończącej się kadencji już nie trafi. – *Panuje wolnoamerykanka. Regulaminy konkretnych nekropolii ograniczają np. wysokość pomników, ale i z tym bywa różnie, bo brakuje nadzoru nad projektami i ich realizacją* – mówi Czyżak. Przykłady ►



► widać na setkach nekropolii, np. w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie nad równymi jak pod sznurek pomnikami wyrasta figura naturalnej wielkości mężczyzny w garniturze z wielkimi anielskimi skrzydłami i małym Tupolewem u stóp (to grób jednej z ofiar katastrofy smoleńskiej).

– *Przemiany cmentarzy dokonują się w zawrotnym tempie i idą w złym kierunku* – zauważa dr Anna Długozima z Katedry Sztuki Krajobrazu SGGW, która przebadła losy 162 nekropolii na przestrzeni ostatnich 150 lat. Przekopłała ich dokumentację, przepylała 113 lokalnych respondentów i ruszyła w teren. Odkryła, że niektóre cmentarze figurują już tylko w rejestrach (w Bieszczadach wtopiły się w połoniny), inne są naniesione na mapy topograficzne według niejasnego klucza. Stare nie mają kart konserwatorskich albo nikt ich nie aktualizuje, nowych albo poszerzanych nie wkomponowuje się w „podstawowy układ zieleni”, nie przypominają też parków, choć to wymogi ustawowe.

Co gorsza, brakuje regulacji prawnych i wytycznych projektowych do kształtowania przestrzeni, o wszystkim decydują więc zarządcy i wykonawcy. Ci podlegają identycznym trendom komercyjnym: materiał, forma, parametry ogrodzeń, bram, nagrobków i kolumbariów sprawiają, że cmentarze upodabniają się jeden do drugiego – nawet jeśli dzielą je setki kilometrów. Ogrodzenia i wejścia zakrywają reklamy firm pogrzebowych i kamieniarskich, a laicyzacja życia objawia się wśród zmarłych także spłaszczeniem nagrobków: wertykalne (symbolizują myśli skierowane ku Bogu i transcendencji, temu, co jest na górze) ustępują horyzontalnym (dają wyraz człowieczeństwa, czyli tego, co jest na dole).

„W ciągu zaledwie jednego pokolenia odeszliśmy od tradycyjnych wzorów sztuki sepulkralnej [powiązanej z kultem zmarłych – red.] w inskrypcjach, materiale i symbolice nagrobków. Zaobserwowano upowszechnienie się na polskich cmentarzach jednego wzoru pomnika nagrobnego jako murowanej, pełnej, masywnej i horyzontalnej formy składającej się z nakrywy i tablicy opisowej (głowicy) wykonanych z lastryka lub granitu. Unifikacja jest zauważalna także w warstwie inskrypcji umieszczanych na nagrobkach. W obrębie każdego z badanych czynnych cmentarzy zidentyfikowano pojedyncze przypadki pomników opatrzonych zindywidualizowanymi epitafiami. Większość bazuje na gotowych formułach opracowanych przez zakłady kamieniarskie, co świadczy o zaniku praktyki wyrażania swojego bólu po stracie bliskiej osoby w nieszablony sposób. Nie pojawiają się także inskrypcje przedstawiające przynależność społeczną, terytorialną zmarłego, co może świadczyć o zaniku utożsamiania się z miejscem poprzez napis nagrobny” – pisała dr Długozima ponad dekadę temu, a dziś mówi: – *Rośnie deficyt*

*terenów spełniających wymogi pod lokalizację cmentarzy, każdy niemal skrawek wykorzystuje się na pochówki, brakuje zieleni. Coraz więcej cmentarzy przypomina pustynię albo inną planetę, na której nie ma szans na zadumę.*

### Poza zasięgiem czasu

Bronią się jeszcze cmentarze starsze, historyczne. Bywają objęte ścisłą ochroną konserwatorską, mnóstwo nagrobków, rzeźb i zdobień to dzieła sztuki, jak na warszawskich Powązkach, które za sprawą nagromadzenia grobów wielkich postaci są jak narodowe sanktuarium. Pełno tu indywidualnych zwiedzających i wycieczek z przewodnikami. Niektórzy przemierzają alejki na chybił trafił, inni zacierają wprost do namierzonego (na mapie, w aplikacji albo internetowej wyszukiwarce) grobu kogoś, kto zasłużył się w historii, polityce czy kulturze. Szukają też frapujących zagadek, jak choćby tajemniczy ptak na grobie poety Mirona Białoszewskiego. – *Przeglądają się temu ptakowi z bliska, jakby miał im powiedzieć, jak się nazywa* – opowiada pracownik cmentarza porządkujący alejkę.

Według niego to śpiący albatros, mężczyźnie z aparatem fotograficznym przypomina wymarłego dodo; twórcy fanowskiego profilu poety uważają, że to prawdopodobnie pelikan. „Profil prowadzą osoby, które Białoszewskiego kochają miłością platoniczną, nie miały z nim nigdy kontaktu, ale bywają regularnie na Powązkach, żeby ogarnąć nagrobek i zapalić zniczkę” – odpisuje admin, odsyłając do tych, którzy znali poetę osobiście. Znajomi poety używają określenia: ptaszor. – *Zawsze troszkę się podśmiewaliśmy, że to kaczką, aż stała się stara i dostojna* – zauważa prof. Anna Sobolewska, prezeska Fundacji im. Mirona Białoszewskiego. – *Autorką rzeźby jest Barbara Zbrożyna, to jej artystyczna wizja, nie konsultowała się z nikim, nikt też nie dociekał, dlaczego i jaki to ptak.*

Barbara Zbrożyna jest pochowana na Powązkach Wojskowych, w sprawie ptaszora udało nam się więc ustalić jeszcze tyle, że w Zaduszki na jego głowie pojawia się kwietny wianek. Świeże kwiaty przez okragły rok są na grobie Kory (pochowanej też na Powązkach Wojskowych). Spoczywa pod baldachimem zieleni, na płycie nagrobnej zamiast daty śmierci jest znak nieskończoności (i artystyczne pseudo grawerowane jakby pędzlem). Daniel i Wiktoria przyszli tu, jak mówią, z grobu „wiecznie Świerzego” (jest kilkadziesiąt metrów dalej), w planie mają poszukanie nagrobka Jerzego Ficowskiego, który też widzieli w sieci, ale chcą „zobaczyć na lajfie i wrzucić na Insta”.

„Ja, niżej podpisany, Jerzy Ficowski, przenosząc się 6 maja 2006 r. do Wieczności (wersja równouprawniona do Nicości) zakończyłem tutejszą egzystencję nie ukończywszy niczego.



Zgodnie z Regulaminem Stwórcy i odwieczną praktyką mieszkańców tego źle pomyślanego i jeszcze gorzej prowadzącego się świata – usilnie proszę moich Bliskich i moich Dalekich o błogosławieństwo uśmiechu i łaskę pogody ducha zamiast westchnień i smutku, bowiem nie stało się nic nadzwyczajnego. Za spełnienie tej prośby z góry wszystkim dziękuję i za kłopot przepraszam” – czytamy w inskrypcji sporządzonej „w Warszawie/ Poza zasięgiem czasu”.

Ficowski pisał poezję i prozę, eseje i piosenki, tłumaczył literaturę, był powstańcem warszawskim, znawcą folkloru żydowskiego i cygańskiego, ale do popkultury wszedł za sprawą epitafium: pojawia się w memach, trudno znaleźć tekst czy audycję o nieszablonych inskrypcjach, w których nie jest cytowane.

Im bliżej listopadowego święta, tym więcej takich materiałów krąży po wirtualnym świecie. Obficie cytowane są inskrypcje: \* Jeśli uważasz, że masz poważne problemy, to się ze mną zamień. \* W razie potrzeby, odkopać. \* Zaraz wracam. \* Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. \* Nareszcie mam wolne. \* Gdzie ta emerytura? \* Ciekawe, czy wyłączyłam żelazko. \* Zawsze chciałem mieć własną nieruchomość.

Niektóre odnoszą się wprost do życia zmarłych: Tu leży wielka dama po raz pierwszy sama. Tu leży ateista/ Ślicznie ubrany/ Ale i tak nie ma dokąd iść. Do ich profesji: Dobry mąż, fajny ojciec, ale zły elektryk. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada (na grobie grabarza). Jeszcze inne operują nazwiskiem: Tu leży Ezekial Aikle/ Wiek 102/ Był dobry/ Umarł młodo. Tu leży ciało Jonathana Krogulca, który wcisnął gaz zamiast hamulca. Tu leży tylko pusty strąk/ Bo Groszek poszedł wprost do Pana rąk. Są i tak lapidarne, że zdają się obejmować cały wszechświat zmarłego, jego charakter i zajęcie: Kowalski.zip.

## W rękach żywych

Nie sposób zweryfikować, które są prawdziwe, ale i bez tego trudno odmówić autorom kreatywności. Granica między fejkami a faktem bywa w tej materii ulotna: na Powązkach Wojskowych można spotkać osoby, które chcą się przekonać, czy figura Jezusa na grobie Marka Kotańskiego rzeczywiście ma twarz twórcy Monaru (zdaniem autora tego tekstu nie). Fani sportu chcą na własne oczy zobaczyć miejsca pochówku olimpijczyków: Kamili Skolimowskiej (naturalnej wielkości figura rzuca młotem), Władysława Komara i Tadeusza Ślusarskiego (głowica ich nagrobka symbolizuje pęknięty stadion), starsi – Elwiry Seroczyńskiej (sylwetka łyżwiarki szybkiej sunie po nagrobnej płycie). Popularne są groby aktorów: Macieja Kozłowskiego (z motywem ptaszków) i Adolfa Dygasińskiego (z wyżłem), na cmentarzu Rakowickim w Krakowie grób w kształcie kart,

gdzie pochowano Stefana Michalskiego, mistrza międzynarodowego w brydżu. Na cmentarzu Bródnowskim zwiedzający szukają nagrobka Danuty S., na którym w 11 punktach wymieniono to, co kochała (m.in. zapach kwitnącej lipy, ziemniaki z mizerią i zimną tequilę), na poznańskim Junikowie rozglądają się za epitafium Beaty i Piotra Ch.: „Na co się patrzysz? Też wolilibyśmy leżeć na plaży”.

Wśród nagrobków wyróżniają się groby Romów: przypominają okazałe kaplice, widnieją na nich duże zdjęcia, pojawiają się motywy gitar czy luksusowych samochodów. 1 listopada jest dla Romów radosnym świętem, wierzą, że zmarli są wśród nich, nikogo nie powinno więc dziwić, że licznie gromadzą się przy grobie bliskich, piją alkohol, jedzą posiłki. Kiedyś potrawy rozkładano wprost na cmentarnej płycie, teraz przy wielu grobach (np. w Łodzi) stoją marmurowe stoły. – *Różne kultury odmiennie osuwają lęk przed śmiercią. Romskie biesiady czy roztańczone konduktu żałobne w Nowym Orleanie są tego przejawem. Z kolei Czesi nie odbierają urn z prochami, cmentarze mało kto odwiedza. Żałobę zastępuje u naszych południowych sąsiadów groteska i erotyzm, co pokazują „Pociągi pod specjalnym nadzorem”: trwa wojna, jadą wagony załadowane trupami, a na stacji kolejowej aspirant stawia pieczątki na kształtnej pupie pewnej damy* – mówi prof. Mikołajko.

Jak zauważa, u nas stosunek do śmierci jest miarą tożsamości człowieka, zwykle się więc uważa, że przez pogrzeby, nagrobki i epitafia opowiada się dzieje narodu, historii, kultury albo życia prywatnego. – *Przy tej okazji umarli dostają się w ręce żywych. Drugie życie umarłych polega na tym, że stają się przedmiotem naszych operacji: wyniesienia i poniżenia, patosu i degradacji, może dochodzić do nekroprzemocy, nawet gdy zmarłych uwznioślamy* – mówi prof. Mikołajko. Jego zdaniem korowody wokół umarłych bywają szokujące i ponure, groteskowe i śmieszne, bo nasze – jeszcze żywych – kontakty z już umarłymi, niekoniecznie są bezinteresowne.

Niekiedy jednak spełnianie woli zmarłych mocno odbija się na żywych. Rodzina pani Anieli z wielkopolskiego Międzychodu usłyszała od administratora cmentarza, że osiem gwiazdek „zakłóca powagę miejsca”. Córka zmarłej odrzekła, że „to sprawa między mną a moją mamą i nikomu nic do tego”. Jej pogląd podzielił burmistrz Krzysztof Wolny. – *Ja w tych gwiazdkach mogę zobaczyć Maria Ave albo Lubię Cię, bo to nie jest element pisowni, a administrator cmentarza nie jest od tego, żeby interpretował znaki i ingerował w ostatnią wolę zmarłego* – mówi reporterowi. Wcześniej to samo powiedział szefowi cmentarza i sprawę zamknął na amen.

TEKST I FOTOGRAFIE ZBIGNIEW BOREK



ILUSTRACJA MARTA FREJ

## Paleta odcieni

Rozmowa z psychiatrą dr Justyną Szyburską o tym, jak przejawia się spektrum autyzmu u dziewcząt i dlaczego warto je diagnozować.

**JOANNA PODGÓRSKA: – Co to znaczy, że jeśli chodzi o autyzm, narzędzia diagnostyczne są „uprzedzone” wobec dziewczynek?**

**JUSTYNA SZYBURSKA:** – Każdą diagnozę w psychiatrii stawiamy na podstawie oceny zachowania. A narzędzia diagnostyczne w przypadku spektrum autyzmu nastawione są na obserwację zachowań

tematycznie typowych dla chłopców; szczególnie małych. Ciekawości diagnostycznej nie budzą zainteresowania stereotypowo „dziewczyńskie”. Najczęściej zwraca się uwagę na zainteresowania związane z koleją, rozkładami pociągów, samochodami, czyli typowe zainteresowania dla chłopców w spektrum autyzmu. Przy czym nie samo zainteresowanie jest

typowe, ale jego wyraźne ponadprzeciętne na głębokość, szczegółowość. Ono wraca w każdej rozmowie. To samo może być u dziewcząt, ale dotyczyć np. makijażu, fryzur czy mody, ale nie budzi czujności diagnostów. Przecież prawie każda dziewczynka interesuje się modą czy makijażem. Tak, ale w przypadku zaburzeń ze spektrum autyzmu to zaintereso-

wanie jest tak głębokie, że dziewczynka dokładnie wymienia np. kolory z paletki Chanel z limitowanej serii z 2015 r. To odpowiednik chłopięcych autobusów czy pociągów. Testy były pisane niemal wyłącznie na podstawie badań chłopców. Stąd trzykrotnie mniej dziewczynek z taką diagnozą. To się na szczęście zaczyna zmieniać.

**Mówi się także, że dziewczynki nie mają „przwoleń” na autyzm, a ich lepsze umiejętności społeczne sprawiają, że potrafią się lepiej dostosować, więc ich autyzm jest mniej widoczny.**

Z badań, także polskich, wynika, że dziewczynki, mimo że spełniają kryteria diagnostyczne, jednak bardziej posługują się gestami i ich komunikacja niewerbalna, którą oceniamy, bywa lepsza. Poza tym od dziewczynek oczekuje się zachowań zdecydowanie bardziej prospołecznych i stara się je wymusić przez presję czy zawstydzanie. Chłopcy ciągle mają większą swobodę. Jeśli chłopak zawsze będzie chodził w dresie, bo sensorycznie nie znosi dżinsów, to ma to ujdzie. Od dziewczynek się oczekuje, że będą wyglądać w określony sposób. To też się na szczęście szybko zmienia. Ale mam dorosłe pacjentki, które ubierają się w sposób hiperkobiecy. Nie chcą tego, ale mają wpojone, że taki jest wzór. To forma maskowania.

**A może dziewczynki są rzadziej diagnozowane, bo rzadziej niż chłopcy cierpią na zaburzenia ze spektrum autyzmu?**

Nie wiem. Na razie stan wiedzy jest taki, że w badaniach epidemiologicznych „wygrywają” chłopaki. Brytyjski neuronaukowiec prof. Simon Baron-Cohen, który stworzył teorię sugerującą, że mózg autystyczny to „mózg ekstremalnie męski”, został oskarżony o neuroseksizm. Teoria odnosiła się do dwóch kategorii poznawczych – zdolności do hypersystematyzacji i zdolności do empatii.

**Wydaje się, że dziewczynki mają jednak większą potrzebę i zdolność dostosowywania się do norm społecznych oraz bycia z innymi.**

My nie oceniamy podczas diagnozy, jak ktoś się przyjaźni, ale jaki wysiłek musi podjąć, by wejść w interakcję. Kluczowym kryterium diagnostycznym jest dla nas komunikacja społeczna. Nie komunikacja w ogóle, bo ona bywa bez zarzutu. Chodzi o nieczytanie sygnałów niewerbalnych od innych osób czy grupy. Np. cała klasa z jakiegoś powodu coś wie, a osoba z autyzmem nie ma o tym pojęcia, bo to przecież nie zostało wprost ustalone

czy powiedziane. A to oznacza podatność na bycie oszukany czy stanie się ofiarą, bo jest się jedyną osobą, która nie czyta np. niedopowiedzeń, żartów czy sygnałów romantycznych – tego, co jest komunikacją społeczną.

**Na co rodzice podejrzewający zaburzenia autystyczne u swojej córki powinni zwracać szczególną uwagę?**

Są dziewczynki, które wyglądają typowo – czyli jak chłopcy w spektrum autyzmu – i spełniają czołowe kryteria: opóźniony rozwój mowy, nienawiązanie kontaktu wzrokowego, sztywność zachowań: jakakolwiek zmiana wiąże się z niepokojem, powtarzające się schematy zabawy oparte na segregowaniu, systematyzowaniu. Czasami to systematyzowanie jest dziewczęńskie. Mam pacjentki, które np. układają przedmioty według kolorów tęczy. Bawią się lalkami, bo takie zabawki mają pod ręką, ale np. ustawiają je według wielkości. Te zabawy pozbawione są historii czy odtwarzania sytuacji społecznych.

Według nowych kryteriów ważnym objawem jest niezdolność do inicjowania i podtrzymywania typowych relacji rówieśniczych. Moja mała pacjentka omija place zabaw, bo „tam są dzieci”. Albo inny opis zachowania pacjentki: „brała udział w zbiorowych zabawach, ale później długo płakała”. To, co oceniamy, to także wysiłek włożony w dane zachowanie. Dziewczynki i kobiety potrafią bardzo dobrze obserwować, stąd mamy np. psychiatrki, psycholożki czy socjolożki w spektrum autyzmu. Ich specjalnym zainteresowaniem – tak jak np. rozkłady jazdy w przypadku chłopców – staje się zachowanie ludzi. Co ciekawe, są też tacy chłopcy. Nie wszyscy interesują się wyłącznie pociągami czy liczbami; i to też często diagnostom umyka. Bywa, że chłopcy na pozór nieźle wypadają w treningu umiejętności społecznych, bo nawiązują kontakty, bawią się z innymi. Ale te zabawy są zawsze takie same, rozgrywane według sztywnego schematu: „tak ma być albo nie będziemy się bawić wcale”.



**Justyna Szyburska**, specjalistka psychiatrii z kliniki JiM. Po ukończeniu Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi pracowała w Centralnym Szpitalu Klinicznym UM w Łodzi, i zdobywała doświadczenie w poradniach oraz na oddziałach szpitalnych. Prowadziła też zajęcia ze studentami Wydziału Lekarskiego. Systematycznie szkoli się w rozpoznawaniu neuro różnorodności osób dorosłych i dzieci.

Czerwoną flagą dla rodziców powinny być także nadwrażliwość i niedowrażliwość na bodziec istniejący czy przewidywany związane ze zmysłami: dźwięk, temperatura, smak, konsystencja, dotyk. Bardzo słaby bodziec daje bardzo silną reakcję. Jeśli dziecko rzuca się na podłogę i krzyczy „jak obdzierane ze skóry” z powodu dźwięku, który dla wszystkich innych jest neutralny, to może nie dlatego, że jest „niegrzeczne”, ale odczuwa to jako ból. U dziewczynek takie reakcje może wywoływać czesanie włosów, gumki, karkady, zapach szamponu. Rodzice czują się bezradni, a dziewczynki „najgorsze na świecie”.

**Czy okres dojrzewania jest u dziewczynek momentem przełomowym, gdy autyzm zaczyna być bardziej widoczny?**

Autyzm czy ADHD u dziewczynek diagnozowane są rzadziej, bo dziewczynki zazwyczaj sprawiają mniej kłopotów. To żadne kryterium diagnostyczne, ale tak jest. Dziewczynka z ADHD będzie nieuważna, ale nie przeszkadza klasie; nie gryzie nikogo, nie rozwała zajęć. Podobnie jest ze spektrum autyzmu. Dziewczynka nie ma przyjaciół, czasem zada dziwne pytanie, ale jest przygotowana, dobrze się uczy. W okresie nastoletnim bywa trudno, bo komunikacja społeczna staje się jeszcze bardziej istotna: grupy, plotki, flirty. To się nie mieści w schemacie postępowania osób ze spektrum autyzmu. Nie rozumieją, że można mówić nieprawdę. Np.: „Powiedział, że mnie kocha, to znaczy, że kocha, ale dlaczego całuje się z inną?”.

**Czy zaburzenia ze spektrum autyzmu to nie jest dziś słowo wytrych? W opisach tych zaburzeń u dziewcząt można znaleźć takie objawy, jak zainteresowanie sztuką, talenty artystyczne, niezwykle bogata wyobraźnia czy empatia wobec cierpienia ludzi i zwierząt. Co w tym złego?**

Absolutnie nic. Wręcz przeciwnie. Spektrum autyzmu nie jest samo w sobie ani dobre, ani złe. Za to może się wiązać z ogromnym cierpieniem, szczególnie gdy współistnieje z nim niepełnosprawność intelektualna, kiedy brakuje wspierającego środowiska albo nie wiąże się z zainteresowaniami przydatnymi społecznie. Jeśli dziewczyna jest typową osobą ze spektrum, nie pisze, nie mówi, ale ma świetne zdolności manualne np. do szycia, będzie doskonałą krawcową; może nawet bardziej precyzyjną, bo lepiej dostrzega schematy i wzorce. Czasami spektrum daje ogromną przewagę, zwłaszcza gdy połączone jest z inteligencją i człowiekiem ►

► nie dołączają zaburzenia nastroju – depresyjne czy lękowe. Bo można mieć superinteligencję, superużyteczny talent, ale nie móc go pokazać. Być może są wśród takich osób nawet geniusze, ale my ich nie widzimy. Mam natomiast wśród dorosłych pacjentów wielu lingwistów, programistów, informatyków. Prof. Baron Cohen napisał książkę „Pattern seekers”, czyli poszukawcze wzorów, w której pisze, że duża część spektrum autyzmu polega właśnie na szukaniu wzorów, które mogą dotyczyć rzeczy abstrakcyjnych, takich jak liczby, ale też np. przyrody, rozpoznawania roślin czy symptomów chorób. A to może oznaczać wysokiej klasy specjalistę, który jest może trochę gburowaty, ale nie ma sobie równych; bo widzi to, czego często nie dostrzegają osoby neurotypowe.

#### **Ale czy pojęcie zaburzenia ze spektrum autyzmu nie jest dziś nadużywane?**

Kryteria diagnozy są różne, ale dosyć jasne. Korzystamy zarówno z kryteriów starych ICD10, obśmiewanych przez instagramerów czy tiktokowców jako archaiczne, jak i z nowych ICD11. Te nowe są może bardziej miękkie, ale największa różnica dotyczy nazewnictwa. Znikają takie określenia, jak atypowy autyzm dziecięcy czy zespół Aspergera. Diagnoza brzmi: zaburzenia ze spektrum autyzmu, ale to nie oznacza, że jest mniej precyzyjna. Przeciwnie – każdy ma swój podpunkt w diagnozie, w zależności od rozwoju mowy i inteligencji.

#### **Dziewczynki są diagnozowane rzadziej, a to znaczy, że wchodzą w dorosłość bez diagnozy i do niedawna były grupą całkowicie ignorowaną przez psychologów. Czy diagnoza może coś zmienić?**

Po pierwsze, może dać poczucie, że nie jest się jedyną taką osobą na świecie. Pozwala lepiej zrozumieć siebie, swoje zachowania i emocje – nie jestem zła czy złośliwa, to po prostu neurobiologia. Podam przykład pacjentki, która skarżyła się, że nie była zbyt lubiana w pracy, bo gdy w nowym miejscu dostawała jakieś polecenie, to ono rzadko kiedy było dla niej jasne. Musiała zadawać dodatkowe pytania, żeby zrozumieć, czego się od niej oczekuje. To typowe dla spektrum – uściślić. Jak w szkole mówią, żeby napisać krótką rozprawkę, autystyk będzie dopytywał, co to znaczy krótko? 20 zdań? Ale czy wystarczy 20 krótkich zdań czy może 10 długich? Nawet jeśli pytania mojej pacjentki nie były w żadnym stopniu agresywne czy podważające czyjeś kompetencje, to były źle widziane. Wielu rzeczy mamy się po prostu domyślać, a ona tego nie potrafiła. Dziś pracuje głównie

zdalnie, jej zadanie polega na wykrywaniu błędów i jest wysoko cenioną specjalistką. Diagnoza pozwala też zrozumieć lepiej własne odczucia. I to poczynając od bodźców zmysłowych.

Czasem mija wiele lat, zanim kobieta sobie uświadomi, że – podajmy banalny przykład – noszenie rajstop to dla niej horror, który wytrąca ją z równowagi. Chodzi o taki wgląd w siebie, który pozwoli przewidywać własne reakcje. Dobrze prowadzona psychoterapia uświadamia, co możemy zmienić, a czego zmienić się nie da. Z tą wiedzą łatwiej funkcjonować. Poznanie swoich emocji i rozpoznawanie emocji innych ludzi to jest kompas nie do przecenienia, bo wpływa na jakość relacji. To nie przypadek, że w grupie ludzi z zaburzeniami ze spektrum autyzmu jest tak dużo samodiagnoz, bo w tych kryteriach oni po prostu się odnajdują.

#### **A może taka diagnoza stała się w pewnym sensie modna wśród nastolatków?**

Na pewno jest większa świadomość. A mody bywają różne. Kiedyś ludzie wstydzi się okularów, a dziś noszą zerówki. Nie martwi mnie to, że ktoś stwierdzi, że jest w spektrum, a nie jest; bardziej martwią mnie osoby niedodiagnozowane, bo ze spektrum często współistnieją zaburzenia lękowe, depresyjne czy ADHD.

#### **Podobno u dziewczyn także anoreksja.**

W spektrum zdarza się wiele nadwrażliwości, niedowrażliwości sensorycznych i bardzo sztywnych rytuałów związanych z jedzeniem. One mogą dotyczyć temperatury, konsystencji; coś jest zbyt śliskie, zbyt gumowate, zbyt jakieś – trudno nawet określić jakie. Nierzadko pojawia się niechęć do określonych kształtów, np. kuleczek. Jedna z mam opowiadała mi, że musiała przekroić każdy groszek czy pulpecika, żeby dziecko go zjadło. Anoreksja i autyzm to dwie osobne jednostki, ale sztywność zachowania, nadwrażliwość, które towarzyszą autyzmowi, mogą sprzyjać anoreksji. Pewne bodźce trzeba czuć silniej albo słabiej niż osoba neurotypowa, żeby doprowadzić się do stanu skrajnego i wyłączyć na OIOM.

#### **Czy to prawda, że autystyczne kobiety łatwiej angażują się w przemocowe związki, stają się ofiarami nadużyć?**

Oczywiście. Bo mają kłopoty z wyznaczeniem granic i często są bardzo łatwowie. Jeśli partner mówi, że nie zdradza, to znaczy, że tak jest. Ale bywa też przeciwnie – nadmierna naiwność zmienia się w nadmierną czujność. Dziewczyna czy kobieta, która została wiele razy zdradzona albo wyśmiana przez osoby, o których myślała, że ją lubią, w ogóle

wycofuje się z relacji. Na szczęście dziewczynki ze spektrum często instynktownie sięgają po pomoc przyjaciółki-przewodniczką, która w pewnym sensie wyłącza je w komunikacji społecznej. Od sytuacji, gdy trzeba powiedzieć pani, że Gosia musi wyjść z klasy, bo chce siusiu, po przekazanie koleżce, że się Gosi podoba i chciałyby się z nim umówić. W dorosłym życiu kobiety z autyzmem też często szukają takich przewodniczek.

#### **Można się trochę pogubić w tej nomenklaturze. Czy autyzm to rodzaj podzbioru w zaburzeniach ze spektrum autyzmu?**

Nie. To jest po prostu autyzm. Choć w internecie można odnaleźć wiele dyskusji na temat tej nomenklatury. Wielu autystów obraża się na określenie „osoba z autyzmem”. Mówią: ja nie jestem „z”, to po prostu autystyczny ja. Inni obrażają się na określenie „autystyk”. Staramy się używać takiego języka, jaki odpowiada danej osobie. W nowej klasyfikacji ICD11 określenie „spektrum autyzmu” zostało przyjęte jako oficjalna nazwa. Określenia „zespół Aspergera” już się tam nie używa, ale zanim NFZ, ZUS, resort edukacji czy kuratoria się w tym zorientują, minie pewnie jeszcze 20 lat. Według nowej klasyfikacji dawny asperger to zaburzenie ze spektrum autyzmu z inteligencją co najmniej w normie, bez zaburzeń rozwoju mowy.

#### **Ale to oznacza, że mamy dziś jedną nazwę dla osób, które są zatrzaśnięte w swojej psychice jak w twierdzy i np. wrażliwych, utalentowanych artystycznie dziewczynek.**

Tak, dlatego mówimy o spektrum. Jedni i drudzy spełniają kryteria. Tylko że w tych kryteriach nie ma inteligencji. Kiedyś diagnozowano głównie te osoby, które sprawiały kłopoty. Uważano też, że dwie trzecie osób w spektrum autyzmu ma poziom inteligencji poniżej normy. Dziś przyjmuje się, że dwie trzecie ma inteligencję w normie. Ale stereotypy nadal pokutują. Ciągłe zdarza się, że rodzice chcą, żeby w diagnozie wpisać aspergera, a nie autyzm, bo to lepiej brzmi. No i dwie osoby w spektrum autyzmu mogą się od siebie diametralnie różnić. Mam pacjentów, którzy nie mówią, ale piszą książki albo skończyli kilka kierunków studiów. W takich przypadkach trudno mówić o komunikacji społecznej, bo brakuje elementarnej komunikacji, ale inteligencja jest superwysoka. A bywa tak, że brakowi rozwoju mowy towarzyszą bardzo niskie zdolności intelektualne. Jedno i drugie to jest spektrum autyzmu.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

Zaczęło się od wiadomości w telefonie 8-letniej dziewczynki. Partner matki pisał, żeby kasowała wiadomości od niego. Co takiego pisał, że miałyby je kasować? – zaczęła zastanawiać się ciotka.

# Gorzkie żelki

VIOLETTA KRASNOWSKA



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

**W** niedzielę 1 października policjanci z komendy powiatowej w Białobrzegach weszli do domu stojącego na rozstaju dróg we wsi, żeby jak najszybciej przerwąć przestępczą, pedofilską relację trójki przebywających w domu osób: 39-letniego partnera 42-letniej matki i jej 8-letniej córki. W grupie była policjantka, specjalnie po to, żeby zająć się dzieckiem. Szybko je wyprowadziła z domu, choć chcąc

nie chcąc, było świadkiem zatrzymania matki i jej partnera. W końcu to był tylko jeden pokój, w którym przebywała razem cała trójka.

Matka dziecka nie rozumiała powodu wtargnięcia policji i swojego zatrzymania. „Co wy od nas chcecie? To jest moje dziecko i to są nasze zabawy!” – mówiła. Jedną z takich „zabaw” polegała na tym, okazało się później, że dorośli kładli na sobie cukierki żelki, które dziewczynka miała z nich zlizywać.

Oboje usłyszeli zarzuty związane z wykorzystywaniem seksualnym dziecka. Na różne sposoby. Z artykułu 200 paragraf 1. Kodeksu karnego, czyli „kto obcuje płciowo z małoletnim poniżej lat 15 lub dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej lub doprowadza ją do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania”. Od 1 października, czyli dokładnie od dnia, w którym para została zatrzymana, górna granica kary za to przestępstwo została podniesiona ►

► z 12 do 15 lat pozbawienia wolności (przy dolnej granicy 2 lat). A także z paragrafu 4.: „kto w celu swojego zaspokojenia seksualnego lub zaspokojenia seksualnego innej osoby prezentuje małoletniemu poniżej lat 15 wykonanie czynności seksualnej”. A dodatkowo wobec matki – artykuł 201 kk, czyli kazirodztwo: „Kto dopuszcza się obcowania płciowego w stosunku do wstępnego, zstępnego, przysposobionego, przysposabiającego, brata lub siostry, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”. Według naszych informacji oboje przyznali się do winy i złożyli wyjaśnienia.

### Rolnik szuka narzeczonej

Wieś w szoku, ludzie nie mogą uwierzyć, że takie rzeczy działy się tuż obok nich. Nie mogą uwierzyć panie z ośrodka pomocy, nie może uwierzyć szkoła. Dziecko było zawsze czyste, uśmiechnięte, radosne, śliczna blondynka. Nic nie wskazywało, że dzieje się coś złego. To był normalny dom, żadnej patologii. Matka miała stałą pracę, dziecko chodziło do szkoły, widać było, że matka dba o rodzinę, nie nadużywa alkoholu. To normalna rodzina – zapewniają wszyscy zgodnie. Wszystko rozgrywało się bez świadków, w czterech ścianach zwykłego domu z czerwonej cegły, z kwiatami pod oknami, dziś z zasłoniętymi roletami, choć jest dzień. I nikt nigdy może by nie uwierzył, gdyby nie zarejestrowało tego zimne oko kamery.

Matka dziecka i mężczyzna znali się od dawna, mieszkają w tej samej okolicy. Przez wzgląd na dobro pokrzywdzonego dziecka ich imiona ani nazwa wsi, w której rozegrała się ta historia, nie będą tu istotne. Kobieta pięć lat temu owdowiała i została sama z małym dzieckiem. Wtedy przeniosła się do niej siostra. – *Wiedziała, że na nas może liczyć, przeprowadziłam się, żeby pomóc jej przy dziecku* – opowiada. Z trudem i oporami zgodziła się na spotkanie i rozmowę, żeby opowiedzieć, co się stało. Jest speszona, wystraszona całą tą sytuacją, choć emocje wciąż buzują, widać, ile ją to kosztuje. Ona, łagodna, nieśmiała blondynka dopiero co pędziła z furią korytarzem sądowym, żeby wykrzyczeć prosto w twarz partnerowi siostry, gdy przywieziono go na posiedzenie w sprawie aresztu: „Jak mogłeś zniszczyć naszą rodzinę?!”. Prawie zderzyła się z siostrą, która stała kilka metrów dalej, stanęła z nią twarzą w twarz. – *Wyglądała jak siedem nie-szczęść, wzrok utkwiała w podłodze i rozplakała się* – opowiada prawniczka, która była tego świadkiem. – *On był taki pewny siebie tam w sądzie* – wspomina, kręcąc

głową. Zapewne zrzucił winę na matkę, on na posiedzeniu był pół godziny, a ona składała wyjaśnienia trzy godziny. Sąd obydwójgu dał areszt.

Dziewczynka jest u obcych ludzi, w tymczasowej rodzinie zastępczej. Jej ciotka wystąpiła już o mianowanie jej rodziną zastępczą dla siostrzenicy. Cała rodzina pragnie, żeby jak najszybciej znalazła się wśród bliskich.

Nic nie zapowiadało takiego dramatu. Obie z siostrą pracowały, wymieniały się opieką nad dziewczynką, odbieraniem jej z przedszkola, potem szkoły, czasami pomagali też dziadkowie mieszkający niedaleko. W tym jednym pokoju spała matka z córką, a w kuchni siostra. Mężczyzna, rolnik, zaglądał przejazdem od czasu do czasu, aż gdzieś z półtora roku temu matka dziecka związała się z nim bliżej. Zmieniła się, kupiła stacjonarny rowerek, żeby zadbać o figurę, zapuściła włosy, bo lubił. Rodzina zgodnie dziś mówi, że mężczyzna miał na nią duży wpływ. – *Była zakochana, a on umiał ją podejść, co powiedział, to było najważniejsze* – mówią.

Mężczyzna zwykle przyjeżdżał do matki dziecka na weekendy. Wtedy siostra wyjeżdżała, najczęściej do rodziców. Wracała, gdy wiedziała, że już go tam nie ma. – *Wiedziałam, że jakbym się wyprowadziła, to on by się wprowadził* – mówi dziś. I dodaje: – *I pewnie tak by się stało, ale zobaczyłam tego esemesa w telefonie siostrzenicy. Wstrzymałam się z wyprowadzką. Musiałam mieć pewność, że wszystko jest OK, kiedy zostawali sami we trójkę.*

### Ciekawość ciotki

Siostra zaznacza, że nie zajrzała do telefonu siostrzenicy specjalnie, bo też nie było powodu, żadnego sygnału do niepokoju, żeby sprawdzać. Gdy wracała po weekendach, nigdy nie było żadnych śladów przemocy, ot, radosne, uśmiechnięte dziecko. Ale akurat siedziała przy stole, gdy na leżący obok telefon dziecka przyszedł esemes, na który przypadkiem rzuciła okiem. Partner matki pisał: „córeczko”. To ją zdumiało. Jaka „córeczko”? Nie był jej tatą, nawet nie ojczymem. – *Ale dalej pisał, żeby nie mówiła nikomu, żeby kasowała wiadomości od niego. Skoro tak pisał, to wiadomo, że coś jest nie tak, prawda?* – opowiada dziś kobieta. Choć dodaje, że na początku nie wiedziała, czy dobrze to rozumiała.

Zaczęła się uważniej przyglądać siostrzenicy, ale nic niepokojącego nie widziała. Ale esemesy przychodziły i wzbudziły jej obawy. – *Nie podobały mi się ich treści i od tego się zaczęło* – mówi. Zaczęła

po kryjomu przeglądać telefon. – *To były esemesy grające na emocjach dziecka. Że jeśli nie będzie robiła czegoś, co on chce, to on wtedy odejdzie.* „Odejdę, znajdę sobie inną rodzinę” – pisał. Tak, żeby robiła to, co się jej powie. Pytał: „Czy smakowały ci moje żelki?”. Pisał o „siusiorce”, żeby się go nie bała. Odpowiadała: „Nie tatusiu, nie będę się bała”. „Czy będzie robić tak jak mama?”. Dziewczynka odpowiadała: „Tak tatusiu, dla ciebie wszystko zrobię”.

– *Dziecko się przywiązuje, chciałoby, żeby mama była szczęśliwa i żeby mieć tatę. Dziecko więc robi wszystko, co on chce, i nic nikomu nie mówi* – tłumaczy siostra, powtarzając słowa psychologa, z którym rozmawiała. Zresztą, ludzie widzieli, z jaką radością dziewczynka otwierała bramę, gdy mężczyzna przyjeżdżał.

Z pytaniem, co z tym zrobić, trafiła do Rafała Sadły, który w Starachowicach prowadzi biuro prawne „Paragraf”. – *Przyjechała do mnie bardzo roztrzęsiona. Mówiła: „nie chciałabym, żeby mnie źle zrozumieli, ale mam podejrzenia”. Naprawdę była się z myślami do samego końca* – wspomina Rafał Sadło. – *Człowiek nie wie, co ma zrobić* – relacjonuje swoje wątpliwości kobieta. – *Chodzi przecież o siostrę i siostrzenicę, i o to, żeby kogoś nie skrzywdzić. Żeby siostrzenica kiedyś mi nie powiedziała: „Ciociu, dlaczego ty nie nie zrobiłaś”. Jakby był to ktoś obcy, może byłoby łatwiej, ale w rodzinie?*

### Zimne oko kamery

Rafał Sadło poradził jej, żeby zamontowała kamerę w pokoju i włączyła, gdy będzie wyjeżdżał. – *Porozmawialiśmy i wiedziałam, że nie mogę tego tak zostawić. Jak nic się nie zdarzy, nie potwierdzę się podejrzenia, to wyrzuci się kamerę i zapomni o sprawie* – tłumaczy ułożony plan kobieta. – *Niestety potwierdziły się.*

Pierwsze nagrania pochodzą z pierwszej nocy, kiedy przyjechał mężczyzna. Według relacji: jeden mały pokój, na jednym łóżku oboje dorosłych, obok w łóżku dziewczynka. Dorosli uprawniają seks, dziewczynka zaczyna się rozbierać i zachęcana przechodzi do łóżka dorosłych.

Ciotka dziewczynki wspomina tę ciężką chwilę, gdy dowiedziała się, że jej podejrzenia były słuszne. – *Jak już wyszło, musiałam wybrać, tak? Najważniejsze było bezpieczeństwo dziecka, bo wiedziałam, że jeśli to będzie trwało dalej, to dziecku stanie się jeszcze większa krzywda.* Przyznaje, bardzo bała się, co rodzice powiedzą, jak zareagują na to, że doniesie na własną siostrę? Matka, która przysłuchiwała się z boku rozmowie, uspokaja ją: zrobiłaś to dla dobra dziecka.

Z samego rana w sobotę ciotka dziewczynki wraz z Rafałem Sadłą przyjechali na komendę policji w Białobrzegach z zawiadomieniem o przestępstwie. Kobieta złożyła zeznania, przekazała screeny esemesów z telefonu siostrzenicy i film z kamery. Policja zawiadomiła prokuraturę w Grójcu, ale ta miała stwierdzić, że to za słabe dowody, nie wszystko widać i żeby zbierać dalej. Choć były tam wyraźnie niewłaściwe zachowania, jak choćby seks przy dziecku.

Powołana przez sąd na kuratorkę dziecka adwokat Izabela Janiszewska-Suwała z Radomia nie kryje pretensji o niepodjęcie natychmiastowych działań. – *Mam żal, że nie zareagowano od razu, przez co pozwolono, by doszło do drugiego zdarzenia* – mówi.

Bo była następna noc, z soboty na niedzielę. I wszystko się powtórzyło, tym razem już ostro i wyraźnie. Według relacji – film nie pozostawiał złudzeń, nie tylko seks przy dziecku, ale i udział dziecka. Widać np. jak mężczyzna przyciąga dziecko. – *Tego nie da się spokojnie oglądać* – ucina Rafał Sadło.

I znów, już przed ósmą rano w niedzielę, przyjechał na komendę w Białobrzegach z nowym nagraniem. Na miejscu akurat dyżurował zastępca komendanta mł. insp. Paweł Ozga, był też naczelnik wydziału kryminalnego. Obaj obejrzel nagranie. Tu już nie było pola na interpretacje. Nie było na co czekać. Szybki kontakt z prokuraturą w Grójcu i decyzja prokuratora dyżurnego – zatrzymać natychmiast. Dziś komendant Ozga o całej sprawie nie może mówić. Odsyła do prokuratury w Grójcu, która przejęła śledztwo do samodzielnego prowadzenia, pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Radomiu. A i tam pełne embargo informacyjne o sprawie jest uzasadniane dobrem pokrzywdzonego dziecka.

## Ale matka?

Że ojczym – to się słyszy, ale żeby to się odbywało za zgodą matki, żeby matka brała w tym udział, niepojęte! – ludzie znający sprawę są tym najbardziej poruszeni. Ciotka uważa, że to wina partnera. – *Każdy, kto zna moją siostrę, wie, że sama by tego nie wymyśliła. Coś musiało się wydarzyć, że ona się na to zgodziła, brnęła w to coraz bardziej* – mówi ciotka. Podobno mężczyzna groził, że odejdzie, i kobieta miała obiecać ekstraatrakcje. Stąd włączenie dziecka



do „zabaw” dorosłych. Choć o tym, czy to był pomysł, kto inicjował kontakty z dzieckiem, kto co zrobił, zapewne będą wypowiadać się biegli analizujący filmy. – *Niektórzy mówią, że powinnam siostrę przekreślić, a ja nie chcę. Jest moją siostrą, ale i matką, i ze względu na małą nie mogę jej zostawić. Bo dla dziecka rodzic to rodzic. Mówiła mi pani psycholog, że dzieci, nawet krzywdzone, chronią rodzinę, żeby coś nie wyszło na jaw, bo nie chcą być zabrane przez obcych* – mówi.

– *Wszyscy są w szoku, ale dziecko musi żyć dalej* – mówi cicho babcia dziewczynki. Właśnie zorganizowali jej 9. urodziny. Przyjechała do domu dziadków za zgodą rodziny zastępczej, u której przebywa. Był tort, balony i konfetti – ciocia pokazuje w telefonie zdjęcia radosnej dziewczynki. – *Gdy pyta o mamę, smutnieje* – przyznaje. Mówią jej, że nie może się z mamą zobaczyć i że to są sprawy dorosłych, które muszą być wyjaśnione.

Przesłuchanie dziecka ma być jedno i przeprowadzi je sędzia w tzw. niebieskim pokoju. Ma być ograniczone do minimum. Nagrania – najmocniejszy dowód – mówią same za siebie.

## Ciemne liczby ślepoty

Ile podobnych historii wychodzi w Polsce na jaw? Ostatnie opublikowane dane policyjne pochodzą z lat 1999–2020. Wynika z nich, że takich spraw jest od kilkudziesięciu na początku lat 2000. do kilkunastu

w ostatnich latach. Ostatnie dane, z 2020 r. wskazują, że było 17 spraw wszczętych, a stwierdzonych 10. Choć np. w 2010 r. potrafiło być wszczętych nagle 135. Co pokazuje, że ujawnione i wszczęte sprawy wykorzystywania seksualnego dzieci mają się nijak do tego, co rzeczywiście się dzieje.

A dzieje się częściej, niż nam się wydaje – jak mówi prof. Maria Beisert, seksuolożka, kierowniczka Zakładu Seksuologii Społecznej i Klinicznej oraz wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Z perspektywy gabinetu terapeutycznego widać jasno, mówi profesor, że to nie są sprawy jednostkowe. – *Wykorzystywania w ramach rodziny zdarzają się dość często, zwłaszcza wynikają one z braku wiedzy, że pewne zachowania mają charakter wykorzystujący* – mówi. – *Dorośłym może się wydawać, że wykorzystanie seksualne oznacza*

*tylko zachowania przemocowe, które niosą za sobą ból, cierpienie i negatywne emocje. A wykorzystanie seksualności dziecka może być też przeprowadzone w sposób delikatny, dziecko może uważać, że to jest zabawa, może się na to godzić, ale to niczego nie zmienia, bo dzieci są na tyle niedojrzałe, że ich zgoda nie ma tu żadnego znaczenia.*

Między dorosłym a dzieckiem nie ma równej relacji, bo to, co robi dorosły, ma zaspokajać jego, a nie dziecko. Co gorsza, zdarza się, że gdy wykorzystywane dziecko podrośnie, przestaje być atrakcyjnie seksualnie dla sprawcy, więc ten nawiązuje kontakt z inną matką, by krzywdzić kolejne młodsze dziecko. Ponadto, w większości wypadków następuje eskalacja, rozwój tego układu zaburzonego, rodzą się dzieci i wtedy robi się o sprawie głośno, słyszy o tym cała Polska. W POLITYCE 40 opisaliśmy sprawę z Czernik, w której ojciec usłyszał zarzut kazirodztwa i trzech zabójstw swoich dzieci urodzonych z kazirodczego związku z córką.

– *Wykorzystywanie dziecka – czy to dla zadowolenia osoby dorosłej, czy to z zarażania na stręczeniu dziecka komuś, czy też nawet do skalania rodziny – jest patologią i przerwanie tego jest zawsze ingerencją pozytywną i zdecydowaną korzyścią dla dziecka* – podkreśla prof. Beisert. Choć, jak dodaje, nieuchronnie burzy to życie i dziecka, i jego rodziny.

VIOLETTA KRASNOWSKA

# Zgryzoty bacy

**Damian Jus**, 30-latek z Czarnej, to być może ostatni bieszczadzki baca. Innych z jego pokolenia nie ciągnie do wypasu owiec. Bo praca ciężka, na okrągły zegar, a przede wszystkim nieopłacalna. Czy jest aż tak źle?



KRZYSZTOF POTACZAŁA

**K**iedyś bacowanie przechodziło z ojca na syna. Najczęściej bezproblemowo. Ale czasy się zmieniły i dziś młodzi myślą po swojemu. Są lepiej wykształceni niż ich rodzice, chcą liźnąć świata, sami wybrać dorosłą drogę życiową. Tradycja to piękna rzecz, jednak przegrywa z marzeniami i oczekiwaniami góralskich synów.

W tym roku w Bieszczadach od kwietnia do października dym unosił się tylko z trzech pasterskich szałasów. Jeden z nich, zupełnie nowy, stoi pod Lutowskimi, na łące wydzierżawionej przez Damiana Jusa od właścicielki gruntów z Warszawy. Niespełna 30 km dalej na południe, w Brzegach Górnych, działała też mocno wysłużona baczówka, ale wyłącznie jako punkt sprzedaży serów. Przesiaduje w niej od paru dekad Krzysztofa Obrochta, babcia Damiana. Wraz z mężem przybyła z Podhala w Bieszczady jeszcze za Gierka.

**Dziś owce w Bieszczadach hodowane są głównie dla mięsa, nie dla wyrabianych z ich mleka serów.**

Osiadli w Chmielu nad Sanem, skąd wiosną pędzili owce na łąki u podnóża połonin. Nie tylko oni – przed laty również stada innych gospodarzy rozlewały się szeroko po górach i dolinach. Podhalańscy górale przyjeżdżali na wypasy w Bieszczady od połowy lat 50. XX w. i aż do upadku PRL byli na tym terenie ważną grupą społeczno-gospodarczą. Jeszcze z początku lat 80. na południowo-wschodnim cyplu Polski funkcjonowało sezonowo ponad sto baczówek. Przy każdej pod okiem bacy pracowało kilku juhasów.

## Owca jest krnąbrna

Damian Jus jest absolwentem szkoły rolniczej. Mógł wyjechać, aby zarabiać na Zachodzie jak wielu przed nim, ale coś mu w duszy odpowiedziało, że warto utrzymać rodzinny owczarski biznes. W upalne letnie popołudnie prowadzi na zielone pastwiska w pobliżu granicy z Ukrainą, gdzie jego owce od świtu skubią trawę. Do pilnowania 500 sztuk zatrudnia trzech pasterzy. To zbyt mało, żeby mieć oko na wszystkie zwierzęta, dlatego ich

bezpieczeństwa pomagają strzec owczarki podhalańskie. – *Są dobrze wyszkolone, silne i potrafią szybko zareagować, gdy w pobliżu wyczują obecność wilków* – tłumaczy właściciel stada. – *W tym sezonie drapieżniki zabiły mi kilka owiec, ale gdyby nie psy, straty byłyby znacznie większe.*

W Bieszczadach problemy z wilkami były od dawna, ale ostatnimi laty – mówią miejscowi – to już plaga. Napadają na psy nawet przy domach. Jedynie wyrosnięte owczarki mają jakieś szanse obrony, po innych zostają kości i sierść. Każdego roku wilcze watahy zagryzają (choć niekoniecznie pozerają) od kilkudziesięciu do ponad stu owiec i kóz. Nocą owce Damiana przebywają w koszarze (ogrodzeniu z desek i żerdzi) na wzgórzu niedaleko baczówki. Tuż obok w legowiskach drzemią pasterze. Muszą być nieustannie przy stadzie, by w razie podejścia wilków móc szybko zareagować – krzykiem, dzwonekami albo gwizdaniem. Dobrym sposobem na odstraszanie napastników jest też rozpalenie o zmierzchu ogniska i podtrzymywanie płomienia aż do wschodu słońca.



Dawniej juhasi pilnowali stad z pochodniami, współcześnie nikt już tego nie robi. Niejako w zamian niektórzy hodowcy wieszają na ogrodzeniach zasilane bateriami radioodbiorniki, licząc na to, że muzyka zniechęci drapieżniki.

O brzasku bacia i jego podwładni siadają na pniakach, ustawiają na ziemi wiadra i doją owce. To niełatwe zadanie. Owca jest krnąbrna, nie stoi potulnie jak krowa, tylko miesza nogami, wyrywa się na prawo i lewo. Trzeba ją mocno trzymać, a jednocześnie doić.

Po około trzech godzinach pracy opróżnione z mleka stado prowadzone jest na wypas. Kolejne dojenie dopiero po południu. Z porannego mleko donoszone jest do baczki, gdzie zostaje poddane przeróbce. To tutaj każdego dnia znaną od stuleci metodą wytwarzane są oscypki, bundz i bryndza. Te pierwsze w specjalnych drewnianych formach różnego kształtu i wielkości, na których widnieje ozdobny wzór i napis: Bieszczady. Potem zostaje wytloczony na serze i jest swego rodzaju wyróżnikiem. Oscypek wygląda ładniej, więc bardziej zachęca turystów do kupowania. Ten tradycyjny powinien mieć kształt dwustronnego stożka, ważyć od 600 do 800 g i mierzyć od 17 do 23 cm (forma chroniona od 2008 r. przez Unię Europejską), ale od lat bacowie i ich pomocnicy robią też sery w innych kształtach, np. małej beczułki.

### Oscypki, bundz, żętyca...

W kolibie wokół palącego się w kamiennym kręgu ogniska siadają Damian Jus i jego ojciec Maciej. Nad paleniskiem zwisa przytwierdzony hakiem do belki i łańcucha głębokim metalowy kocioł, do połowy napełniony czystą gorącą wodą. Obok w wielkim garze ścięte podpuszczką mleko, z którego powstała masa serowa. Mężczyźni biorą w dłonie białe bryły, ugniatają je i nadają im odpowiednie kształty. Co chwila zanurzają sery w wodzie, wyciągają i ponownie ugniatają. – *To proces, trzeba do tego cierpliwości i silnych dłoni* – mówi Maciej Jus. – *Potem oscypki trafiają do solanki, a następnie są podwędzane. Inaczej robi się bundz czy bryndzę, ale nie mogą zdradzać szczegółów. Powiem tylko, że nasza owcza bryndza jest jedynym takim produktem w Bieszczadach. Mamy też inne sery typowo owcze, a także mieszane, owczo-krowie.*

Przed laty podkarpackie spółdzielnie mleczarskie przetwarzały z mleka kupowanego od lokalnych baców bryndzę do sprzedaży detalicznej. Miała takie wzięcie, że przyjeżdżali po nią nawet ludzie z odległych województw. Współcześnie bryndza też jest dostępna w sklepach,



**Szałas w Brzegach Górnych. Tu oscypki i bundz sprzedaje od dekad Krzysztof Obrochta, babcia Damiana.**

ale to już zupełnie inny ser. W niczym nie przypomina tradycyjnego, ma inną konsystencję, zapach i smak. Dawna bryndza, pochodząca z bacówek, była codzienną składową diety bieszczadzkich drwali i robotników. Tak samo oscypki i bundz. Kiedy w sklepach brakowało zaopatrzenia, świeżą żywność dostarczali górale, a twardzi chłopi z leśnych osad nie krzywili się na to, że sery wytwarzano w niezbyt sterylnych warunkach.

Jeszcze rzadszy wyrób to żętyca – serwatka z mleka owczego ściętego kłagiem (podpuszczką), zatwierdzona w 2005 r. przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi jako polski wyrób tradycyjny. Ma specyficzny smak, nie wszyscy go akceptują, ale są też jej zagorzali zwolennicy. Żętycy można poprobować w bacówce na miejscu, pijąc ją z drewnianych garnuszków. Pan Damian ma do tego napoju szczególny sentyment, bo – jest tego pewien – pomógł mu po ciężkim zakażeniu covidem. – *Tak mnie dopadło, że na wiele miesięcy straciłem smak i zapach. Znajomy poradził mi, żebym pił regularnie żętycę. I tak robiłem. Każdego dnia wracało mi więcej smaku i zapachu, aż zupełnie*

*wyzdrowiałem. Białko serwatkowe okazało się nadzwyczaj skuteczne.*

Dla obserwatora z zewnątrz wypas owiec to fajna przygoda na łonie przyrody, ale prawda wygląda inaczej. – *Deszcz, spiekota, komary i bąki, brak snu, surowe warunki życia przez pół roku* – wymienia jednym tchem bacia spod Lutowisk. – *Nie każdy by to wytrzymał, dlatego moi ludzie to doświadczeni pasterze z Podhala.*

Praca jest ciężka, niemal przez całą dobę. Bywali już tacy, którym się zdawało, że podołają, lecz szybko rezygnowali. A i turyści zaczynali inaczej patrzeć na juhasów, kiedy ci pozwalali im popracować przez kilka godzin. – *To wszystko tak romantycznie wygląda na archiwalnych filmach* – opowiadają górale – *ale w realu jest inaczej. Tu częściej człowiek klnie ze złości, niż podśpiewuje. Bo owca złamie nogę, bo ugryzie ją żmija, bo co chwila atakują nas kleszcze. Ale z czegoś trzeba żyć.*

### Szałasów coraz mniej

Kiedyś bacówki były stałym elementem bieszczadzkiego krajobrazu, a biznes przetwórczy miał się bardzo dobrze. Bacowie i juhasi wzbogacali też ludzką mozaikę pogranicza. Oprócz tego, że sprzedawali oscypki i bundz, chętnie uczestniczyli w zabawach, przesiadywali wieczorami w knajpach, bratali się z tubylcami. Czasami ich krewki charakter powodował, że wdawali się w bójkę i wtedy musiała interweniować milicja. Częściej jednak żyli z miejscowymi w zgodzie, a oprócz wypasania owiec i wytwarzania serów dorabiali na zwócce drewna z lasu i przy sianokosach. W latach 70. kilka rodzin podhalańskich na stałe zamieszkało w Bieszczadach; ich dzieci pożyły się z nowymi osadnikami, lecz niekoniecznie poszły w ślady dziadków i rodziców. Świat tych ostatnich zamykał się kilkoma wzniesieniami, młodzi chcieli wyrwać się dalej, bo już rozumieli, że życie nie kończy się na górach i pasterkim szałasie.

Blisko 35 lat po upadku PRL widać wyraźnie, że tradycja wypasów owiec w Bieszczadach z przeznaczeniem na przetwórstwo mleka zanika. Zdaniem miejscowych to proces nieodwracalny. Wprawdzie na łąkach w wielu wsiach wciąż widać owce, ale te są hodowane za przeznaczeniem na ubój i eksport mięsa za granicę, m.in. do Włoch.

Nieco inaczej jest na Podhalu, choć nie są to już czasy świetności, bo młodzi coraz częściej odmawiają przejmowania gospodarstw po rodzicach czy dziadkach. – *Wiedzą, na jakie przychody mogą liczyć, i nie chcą być związani obowiązkami* ▶

► *siedem dni w tygodniu* – tłumaczy Tadeusz Lotczyk, prezes Polskiego Związku Owczarskiego. – *Nie pomaga również fakt, że w kraju jest niewiele weterynarzy, którzy potrafią pomóc w przypadku problemów zdrowotnych u owiec. Ponadto szkody powodowane przez wilki występują już praktycznie w całej Polsce, z roku na rok jest ich więcej, a wypłacane odszkodowania nie zwiększają poczucia bezpieczeństwa owczarzy.*

Żeby odmienić negatywny trend, przed paru laty uruchomiono w Polsce kursy dla przyszłych juhasów i baców. Organizacją zajęło się m.in. Małopolskie Centrum

Tak więc zainteresowanie owczarstwem maleje, wieś się starzeje, a narybku coraz mniej. – *Synowie i wnuki baców wyjeżdżają za granicę, nie patrząc na spadek po rodzicach* – potwierdza Jan Janczy, dyrektor Regionalnego Związku Hodowców Owiec i Kóz w Nowym Targu. – *Drastrycznie spadła liczba wypasanych owiec. W latach 80. XX w. sięgała blisko 180 tys. sztuk, obecnie jest ich ok. 50 tys. W tych samych latach stada na baczówkach liczyły 800–2500 sztuk, dzisiaj zaś od 100 do 800.*

Zdaniem Janczego spadek pogłowia owiec i brak wykwalifikowanych ludzi do pracy to obecnie najpoważniejszy

próbować oscypka bądź bundzu, zwykle się nie targuje. Ale też – nie ukrywa nasz rozmówca – współcześnie na baczowaniu nie ma już takiego zarobku jak dawniej, za czasów młodości jego babci, gdy po towar z pasterskich szałasów ustawały się kolejki.

Baca ma świadomość, że najpewniej jest ostatnim w Bieszczadach. Trochę mu żal. Po cichu myślał, że może kiedyś syn przejmie po nim baczówkę, ale już teraz widzi, że nastolatek ma inne zainteresowania. A córka... Baczowanie to nie robota dla dziewczyny, choć dawniej córki górali pracowały w kolibach od kwietnia do listopada. – *Tyle że to były duże rodzinne interesy, wielkie stada owiec, nie to, co teraz. Ja sam jeszcze w zeszłym roku wypasałem tysiąc owiec, dzisiaj o połowę mniej, a co będzie za dwa lub trzy lata?* – pyta Damian sam siebie i na razie nie znajduje odpowiedzi.

Według Jana Janczego z RZHOiK w Nowym Targu sytuację w Bieszczadach może jedynie poprawić wzrost pogłowia owiec. Ale jak to zrobić? Te podhalańskie, które wypasano w Bieszczadach za Polski Ludowej w liczbie 20–30 tys. sztuk rocznie, obecnie nie są przewożone na ten teren z jednego powodu – na Podhalu nie brakuje pastwisk. A kiedyś brakowało. W dodatku z roku na rok wolnych łąk jest coraz więcej, bo rolnicy nie uprawiają rozdrobnionych i małych gospodarstw.

Hodowcy owiec mają też problemy ze zbytem wełny. Samo strzyżenie zwierząt jest pracochłonne i zwykle trzeba do tej operacji zatrudnić dodatkowe osoby. Za kilogram wełny owczej w skupie można dostać – w zależności od gatunku owcy – od 80 gr do 1 zł, ale przede wszystkim brakuje chętnych na jej kupno. W PRL wełna owcza skupowana była w każdych ilościach. Wykorzystywały ją m.in. przedsiębiorstwa zajmujące się wyrobem dywanów, chodników czy materaców. Regularnie nabywali ją także lokalni wytwórcy swetrów, czapek i skarpet oraz wszyscy ci, którzy własnoręcznie chcieli sobie wydziergać ciepłe ubrania na zimę. Było, minęło. Może jeszcze wróci?

Damian Jus wie jedno – chciałby utrzymać swój pasterski szałas, powiększyć owcze stado i żyć pewniej niż do tej pory. Jest na to nadzieja – niedawno otrzymał potwierdzenie, że jego sery uzyskały certyfikat produktu lokalnego. Jak niektóre miody z bieszczadzkich pasiek, konfitury z owoców leśnych czy nalewki. To nie byle co. Jeszcze nie na miarę wielkich marzeń, ale na pewno na miarę oczekiwań.

KRZYSZTOF POTACZAŁA



Górale prowadzący owce na pastwiska w Bieszczadach, lata 70. XX w.

Kształcenia Zawodowego (na zlecenie Instytutu Rozwoju Obszarów Wiejskich w Krakowie). Jak można przeczytać na stronie internetowej MCKZ, celem takich szkoleń jest kultywowanie tradycji wypasu, podniesienie umiejętności i kompetencji tych, którzy już pracują w zawodzie lub „dopiero zaczynają przygodę w tym obszarze”. Słowo przyгода jest tutaj kluczowe – ma siłę przyciągania, bo każdy młody człowiek marzy przecież o tym, by przeżyć coś niezwykłego. W 2022 r. na kurs dla przyszłych pasterzy i producentów serów zapisały się 32 osoby – 17 kandydatów na dyplomowanych baców i 15 na dyplomowanych juhasów. Kursanci przeszli wielogodzinne szkolenia teoretyczne i praktyczne, co wcale nie oznacza, że wszyscy podjęli później pracę w baczówkach i na pastwiskach. Niektórzy nie poddałi wyzwaniu, podobnie jak przed laty wielu ich poprzedników, chcących zostać w Bieszczadach pasterzami bydła, by trochę sobie „pokowboić”.

kłopot związany ze zbiorowym wypasem. Natomiast przetwórstwo mleka owczego jest na tym samym poziomie w stosunku do liczby owiec i skierowane w zdecydowanej większości na wyrób oscypków. Te niezmiennie od dekad są najbardziej popularne wśród turystów, którzy zachwalają je jako doskonałą przekąskę do piwa.

### Zarobek już nie ten

W sierpniowe popołudnie pod baczówką Damiana Jusa podjeżdża osobówka. Kobieta i mężczyzna wchodzą do szałasów, pytają o towar. Po chwili kupują kilka serów, a jednocześnie są świadkami ich produkcji. Mówią, że do tej pory nigdy nie mieli takiej okazji, choć nie pierwszy raz są w Bieszczadach. Najbardziej się dziwią, jak baca i jego ojciec mogą wytrzymać godzinami w gęstym gryzącym dymie ulatniającym się z paleniska. I jeszcze uśmiechać się do klientów, a czasami nawet negocjować cenę za ten czy inny ser. Choć ktoś, kto chce

# WIELOLETNI PROJEKT ZWIĘKSZAJĄCY DOSTĘPNOŚĆ PSÓW PRZEWODNIKÓW ZAKOŃCZONY.

„Ruchliwe skrzyżowanie, jadące w przyspieszonym tempie samochody, tłum ludzi na chodniku i przejściu dla pieszych. Jakub Stefańczyk, osoba niewidoma, twarz w zbliżeniu”. Tak zaczyna się krótki film dokumentalny „Mój pies, moje oczy”. Produkcja ma na celu rozpowszechnianie korzystania z pomocy psów przewodników wśród osób niewidomych. To tylko jedno z działań podjętych w ramach obszernego projektu realizowanego od 2019 roku przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Polski Związek Niewidomych oraz trzy organizacje szkolące psy przewodniki.

## Wiedza powszechna

Po ponad czterech latach zakończono projekt „Budowa kompleksowego systemu szkolenia i udostępniania osobom niewidomym psów przewodników” współfinansowany z Europejskiego Funduszu Społecznego<sup>(1)</sup>. Jednym z najbardziej widocznych rezultatów projektu są działania na rzecz popularyzacji wiedzy na temat specjalnie wytrenowanych psów, przygotowanych do pracy z osobami z niepełnosprawnością wzroku. Powstały dwa filmy – krótki dokument „Mój pies, moje oczy” i „Pies przewodnik – przyjaciel w codzienności” – oba dostępne w serwisie YouTube. Dzięki tym produkcjom osoby niewidome mogły dowiedzieć się m.in., jak wyszkolone czworonogi ułatwiają codzienne życie osobom korzystających z ich pomocy, a także o tym, że wejście w posiadanie psa wcale nie musi wiązać się ze znużającymi procedurami. Osoby widzące mogły z kolei poznać podstawowe zasady zachowania w towarzystwie psów przewodników i dowiedzieć się, jakimi specjalnymi przywilejami cieszą się te zwierzęta. Z filmów dowiadujemy się m.in., że pracujące psy nie muszą nosić kagańca. W ramach działań upowszechniających wiedzę powstała również publikacja „Korzyści ze współpracy osoby niewidomej z psem przewodnikiem”, która ukazała się w druku z powiększoną czcionką, w brajlu i w wersji elektronicznej. W formie popularnego poradnika wydany został też materiał informacyjny na temat standardów dostępności przestrzeni i obiektów użyteczności publicznej oraz miejsc pracy dla osób niewidomych poruszających się z psem przewodnikiem. Wszystkie publikacje i działania były jednocześnie promowane wśród różnych grup społecznych podczas spotkań upowszechniająco-wdrożeniowych. Wzięło w nich udział ok. 150 osób, w tym przedstawiciele straży pożarnej i policji, Sądu Najwyższego, pracownicy sektora kulturalnego, transportu i służby zdrowia, a także pracodawcy.

## Wiedza specjalistyczna

Poza rozpowszechnianiem wiedzy na temat psów przewodników projekt miał na celu realne zwiększenie ich dostępności i usprawnienie sieci usług związanych

z czworonożnymi pomocnikami. Jednym z filarów projektu były szkolenia i spotkania doszkalające kadre oraz wolontariuszy działających w tym obszarze. Wyniki są znacznie lepsze, niż zakładano na początku projektu. Jednym z najbardziej imponujących sukcesów jest liczba wyszkolonych wolontariuszy – w założeniach projektu mowa była o przygotowaniu 36 osób do pełnienia funkcji wolontariuszy, finalnie w ramach projektu przeszkolono ich aż 104. Liczba osób, które zdobyły kompetencje w zakresie szkolenia psów przewodników, wyniosła 18 (przewidywano 16), natomiast liczba samych psów przewodników, które przeszkolono i przekazano osobom niewidomym, to 56 (wzrost o 8 psów w stosunku do zakładanego planu 48 psów). Do tego 8 instruktorów podniosło swoje kompetencje w zakresie szkolenia czworonogów. Odbyło się też 30 spotkań podnoszących wiedzę wśród osób z problemami wzroku w zakresie korzystania z pomocy psów przewodników oraz wypracowanych rozwiązań w projekcie.

## Praca u podstaw

Poza szkoleniem specjalistów i edukowaniem ogółu w ramach projektu opracowano też materiały ułatwiające i regulujące prawnie dalsze działania związane z psami przewodnikami. Wypracowano 5 standardów dotyczących szkolenia czworonogów i ich trenerów, pracy wolontariuszy w specjalistycznych szkołach i zasady funkcjonowania tych placówek, a także standardy dotyczące fundraisingu w organizacjach szkolących psy i udostępniania czworonogów osobom niewidomym (nominalnie wypracowano 7 dokumentów, z czego 3 stanowią całość odnoszącą się bezpośrednio do psów przewodników dot. hodowli, szkolenia i zasad przekazywania psów przewodników). Ponadto opracowano analizy prawne dotyczące standardów dostępności w przestrzeni publicznej i projekty zmian legislacyjnych i regulacyjnych, służących systemowemu wdrożeniu standardów i finansowaniu systemu szkolenia i udostępniania osobom niewidomym psów przewodników, wraz z analizą skutków finansowych i społecznych proponowanych zmian.

(1) Celem głównym projektu jest stworzenie warunków do podniesienia poziomu integracji społecznej osób z niepełnosprawnością wzroku, poprzez opracowanie i przetestowanie kompleksowego systemu służącego zapewnieniu osobom niewidomym w Polsce dostępu do psów przewodników oraz włączenie go do polityk publicznych w obszarze rehabilitacji społecznej osób niewidomych w okresie 01.2019–10.2023.

Zdjęcie pochodzi ze zbiorów Fundacji Labrador Pies Przewodnik.



W projekcie Polski Związek Niewidomych, Fundacja na rzecz Osób Niewidomych Labrador – Pies Przewodnik, Fundacja Pies Przewodnik, Fundacja Vis Maior, Fundacja Psie Serce oraz lider projektu – Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych.

# Koty za płoty

ADAM GRZESZAK

Koniec rządów PiS to dla polskiej gospodarki długo wyczekiwana zmiana.

Natomiast dla spółek Skarbu Państwa, zawłaszczonych przez polityków władzy, potężny wstrząs. Tłuste koty, pakujcie swoje kuwety! – wezwał ich Szymon Hołownia.

**N**a wyniki wyborów 15 października giełda zareagowała entuzjastycznie. Indeks WIG20 wystrzelił, akcje spółek kontrolowanych przez państwo notowały dawno niewidziane wzrosty. Najbardziej drożały akcje banków Pekao i PKO BP, ale także Orlenu, PZU, JSW i KGHM. Analitycy tłumaczyli to nadziejami inwestorów, że państwowe spółki wyzwolone spod kontroli upolitycznionych zarządów i rad nadzorczych zaczną wreszcie działać jak podmioty gospodarcze, dzięki czemu będą więcej warte. To był rodzaj spontanicznego komentarza do zapewnień ministra aktywów państwowych (MAP) Jacka Sasina o zbawiennym wpływie

## Tyle zarobili politycy i działacze PiS w latach 2016–22

	Spółka	Zarobki
1. Michał Krupiński	PZU, Pekao, Alior	13 314 mln zł
2. Bartłomiej Litwińczuk	PZU, Grupa Azoty	11 744 mln zł
3. Maciej Rapkiewicz	PZU, Alior	11 467 mln zł
4. Aleksandra Agatowska	PZU, Alior	10 914 mln zł
5. Mieczysław Król	PKO BP	9 755 mln zł + 1 mln nagrody
6. Maks Kraczkowski	PKO BP	9 481 mln zł + 990 tys. zł nagrody
7. Małgorzata Sadurska	PZU	9 316 mln zł
8. Marcin Chludziński	PZU, KGHM, Tauron	9 297 mln zł
9. Piotr Woźniak	PGNiG	8 922 mln zł
10. Marek Wadowski	Grupa Azoty, Tauron	8 303 mln zł + 1 395 mln zł nagrody

polityki gospodarczej PiS na kondycję spółek Skarbu Państwa. „W okresie od powstania MAP tj. 15 listopada 2019 r. do 29 września 2023 r. większość spółek z udziałem Skarbu Państwa lub spółek kontrolowanych przez spółki z udziałem Skarbu Państwa odnotowała wzrost wartości rynkowej” – czytamy w raporcie MAP „Znaczenie spółek Skarbu Państwa dla Polski. Dlaczego nie warto ich wyprzedawać?” przygotowanym w resorcie Sasina w ramach kampanii wyborczej i referendalnej.

Autorzy raportu przekonują, że własność państwowa jest najdoskonalszą formą własności, a prywatyzacja rodzi tylko opłakane skutki. By to zilustrować, przytaczają pouczające przykłady fatalnych prywatyzacji ze świata np. spółki wodociągowej w boliwijskim mieście Cochabamba, kopalń w Zambii czy fabryki Marvdasht Azmayesh w Iranie. Oczywiście raport napisany jest według założeń kampanijnych strategów PiS, którzy postanowili nastraszyć naród, że jeśli wróci Tusk, to wszystko wyprzedzą. Temu też miało służyć pierwsze referendalne pytanie: „Czy popierasz wyprzedzić majątku państwowego

podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”.

Teza o państwowej własności jako ekonomicznie najefektywniejszej i najbardziej prospołecznej ilustrowana jest w sposób dość karkołomny, bo przykładami wymuszania przez polityków na spółkach rozmaitych zadań, do których nie były powołane – do tworzenia szpitali covidowych w czasie pandemii, subsydiowania energii czy do sprowadzania węgla, z którym potem nie było wiadomo co zrobić. Natomiast argument o zyskach, jakie notują państwowe spółki, jest prawdziwy, ale autorzy raportu nie tłumaczą przyczyny, czyli tego, że państwo lubi tworzyć monopole, zwłaszcza energetyczne, a monopol z definicji jest zyskowny; tyle tylko że wszystko odbywa się kosztem rynku i konsumentów. – *Firmy państwowe i z udziałem Skarbu Państwa wykorzystują dominującą pozycję rynkową, ulegają nepotyzmowi, który ogranicza ich efektywność działania, a przede wszystkim korzystają z nieetycznego i szkodliwego połączenia funkcji właściciela i regulatora* – przekonuje Maciej Witucki, prezydent Konfederacji Lewiatan.

### Kto się sprawdzi w biznesie?

Jak na razie nie słycać ze strony tworzącej się koalicji zamiarów prywatyzowania czegokolwiek, natomiast jest silna wola wybawienia spółek Skarbu Państwa (SSP) z łap „tłustych kotów”, czyli polityków PiS, ich krewnych i znajomych. „W spółkach z udziałem Skarbu Państwa zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów.

Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne” – głosi 68. konkret z listy „100 konkretów na pierwsze 100 dni rządów” Koalicji Obywatelskiej. Ten punkt zapewne w trakcie negocjacji umowy koalicyjnej nie wywoła szczególnej kontrowersji, choć już sprawa powoływania członków rad nadzorczych i zarządów w transparentnych konkursach może nie być taka oczywista. Zwłaszcza dla PSL, za którym wędruje legenda skłonności do kumoterstwa. Słynne wyjaśnienie SLD-owskiego ministra skarbu Wiesława Kaczmarka o powodach nominacji polityka PSL Stanisława Dobrzańskiego na prezesa spółki PSE – „Staszek chciał się sprawdzić w biznesie” – przeszło do anegdoty.

Polityków PiS, którzy chcieli sprawdzić się w biznesie, była armia. Ich listy, wraz z imponującymi zarobkami, można było ostatnio znaleźć w niezależnych mediach. Byli na niej lokalni politycy, ale nie zabrakło partyjnej elity, tych, którzy gotowi byli nawet oddać poselski mandat w zamian za dobre płatne stanowisko w zarządzie którejś z państwowych spółek. Tak jak Andrzej Jaworski, czołowy polityk PiS, który po wyborach 2015 r. zrzekł się mandatu, bo ciągnęło go do zarządu PZU, a potem PKO. Albo Wojciech Jasiński, przyjaciel prezesa PiS i były minister skarbu w rządzie Kaczyńskiego, który na stare lata zapragnął zostać prezesem Orlenu (z czasem musiał się zadowolić jedynie posadą w radzie nadzorczej). Maks Kraczkowski porzucił sejmowy fotel dla posady w zarządzie PKO BP. Dawid Jackiewicz, były minister skarbu w rządzie Beaty Szydło, został wiceprezesem spółki Orlen Synthos Green Energy. Listy „tłustych kotów” liczyły nawet tysiąc i więcej nazwisk ludzi PiS polokowanych w spółkach. Tę ogromną skalę nepotyzmu dostrzegł sojusznik Kaczyńskiego Paweł Kukiz, który rozczarowujący wynik wyborczy przypisał kumoterstwu w państwowych spółkach. „Miało nie być rodziny na swoim” – ubolewał.

### Bitwa o spółki

Miało nie być, ale spółki Skarbu Państwa to jest pokusa, nad którą trudno zapanować. Nawet Jarosław Kaczyński nie był w stanie pohamować swoich akolitów, kiedy zaczął się run na wysokopłatne stanowiska w państwowej gospodarce. Kaczyński lubi zarządzać konfliktami, ale konflikty kto kim obsadzi którą spółkę oraz ile będzie zarabiał, wymykały mu się spod kontroli. O prowincjonalne spółki walczyli ze sobą lokalni posłowie PiS, o te największe ministrowie oraz ludzie z otoczenia prezesa i premiera. Dobrze to ilustrują maile Dworczyka.

Spółki wrywano sobie czasem kilka razy w ciągu roku. Do rekordzistów należał pomorski koncern Energa (dziś w Grupie Orlen), który od 2015 r. miał jedenastu prezesów. Prezesi przychodzili i odchodzili tak szybko, że niektórym trudno się nawet było zorientować, czym właściwie zarządzają. Spółki rozdzielono w ramach umowy koalicyjnej, bo własnych nadań w gospodarce domagali się Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin, a po nim Adam Bielan. Każdy miał do żywienia własnych ludzi. Do historii przeszła wojna o PZU, w której Morawiecki stał się z Ziobrą. Pierwszy wykorzystał nieobecność w kraju Kaczyńskiego, by przeprowadzić zamach i w PZU wymienić prezesa Ziobry na własnego człowieka. Zamach się nie udał, interweniowała premier Beata Szydło i odebrała PZU Morawieckiemu, choć formalnie spółka podlegała jemu jako ministrowi finansów.

Kaczyński zdawał sobie sprawę, że nic tak Polaków nie wkurza, jak wysokie zarobki ludzi władzy. Dlatego wymusił na partii ustawę „skromność plus” (o zasadach kształtowania wynagrodzeń osób kierujących niektórymi spółkami), ale dużo nie wskórał. Nowa ustawa kominowa była obchodzona. ►

► Gigantyczne zarobki skurczyły się, ale niewiele i nie wszędzie. W czerwcu posłowie PO Agnieszka Pomaska, Cezary Tomczyk i Tadeusz Aziewicz przeprowadzili kontrolę wynagrodzeń zarządów w największych państwowych spółkach i w siedmiu stwierdzili, że ustawa kominowa nie jest przestrzegana. Łączna wartość zawyżonych wynagrodzeń wyniosła blisko 40 mln zł. Teraz zapewne trwa podpisywanie umów o zakazie konkurencji, które zwalnianym „menedżerom” zapewnią sowite wynagrodzenia na długo po rozstaniu ze spółką. Będą także wypłacane wysokie odprawy, ale na szczęście obłożone 70-proc. podatkiem. Ten domiar PiS stworzył z myślą o poprzednikach, a teraz sam od niego ucierpi.



## Kolejka dla prezesa

Skarb Państwa jest dziś właścicielem lub akcjonariuszem w 421 różnych spółkach. Autorzy najnowszego raportu MAP wymieniają nawet większą liczbę, bo aż 669 spółek (prawdopodobnie doliczając spółki-córki i spółki-wnuczki). Część podmiotów jest w upadłości lub nieaktywnych, w niektórych są to jakieś szczątkowe udziały. Na długiej liście można znaleźć zagadkowe pozycje. Bo jaki jest powód, by Skarb Państwa był w posiadaniu takich aktywów, jak np. Gospodarstwo Agro-Turystyczne KUTY czy producenta wozów asenizacyjnych Meprozet Kościan?

Tak naprawdę najbardziej wartościowe są firmy notowane na warszawskiej giełdzie, zaliczane do WIG20 (Orlen, PKO BP, PZU, Pekao, JSW, KGHM, PGE i Alior Bank). Obok tego w rękach państwa pozostają całe wielkie sektory gospodarki, jak górnictwo i energetyka, a także infrastruktura – sieci energetyczne (PSE), gazowe (Gaz System), PKP, LOT, Porty Lotnicze. Państwo kocha monopole lub sektory, w których nie ma poważniejszej konkurencji, tak jak w przypadku rynku paliw. Wobec większości spółek obowiązki właścicielskie wykonuje dziś minister aktywów państwowych, część podlega bezpośrednio premierowi, swoje spółki mają ministrowie: kultury, infrastruktury, a także pełnomocnicy rządu ds. CPK i infrastruktury krytycznej. Wszystkie stadniny koni, hodowle zarodowe itd. podlegają Krajowemu Ośrodkowi Wsparcia Rolnictwa. – *Wielkim problemem jest łączenie funkcji właścicielskich i regulacyjnych. Ten, kto tworzy branżowe prawo, nie może jednocześnie sprawować praw właścicielskich wobec spółek Skarbu Państwa z tej branży, bo wtedy preferuje interesy spółek ze szkodą dla rynku i konsumentów* – wyjaśnia dr Małgorzata Starczewska-Krzysztozek z Wydziału Nauk Ekonomicznych UW.

Za czasów PiS lista spółek się wydłużyła, bo trwała intensywna renacjonalizacja (zwana repolonizacją). Dzięki temu przybyło stanowisk w Banku Pekao SA, PKP Energetyka, Elektrowni Połaniec, Elektrowni Rybnik, w ośmiu elektrociepłowniach w Warszawie i Trójmieście, w spółce Polska Press, Ruchu, a także w Polskich Kolejach Linowych. Ta ostatnia operacja repolonizacyjna, czyli odkupienie kolejki na Kasprowy Wierch i kilku innych kolejek górskich, to był prezent dla prezesa Kaczyńskiego, który obiecał zakopiańskim góralom, że kolejki będą znowu państwowe. A słowa trzeba dotrzymywać, choć powód, dla którego państwo musi wozić narciarzy na Gubałówkę albo Kasprowy, pozostaje nieznaną.

## Los Obajtki

W spółkach Skarbu Państwa chyba nie spodziewano się takiego wyborczego rozstrzygnięcia, jakie przyniósł 15 października, dlatego panuje pełne oczekiwania napięcie. Część ludzi znikła, ktoś jest na urlopie, ktoś na L4, inni boją się rozmawiać. Jeśli nowa

władza pójdzie śladem poprzedników, zmiany nie skończą się na zarządach. Bo PiS większość spółek czyścił do kości. W Orleniu ludzą się, że może PiS-owi uda się jeszcze skleić jakąś koalicję. Może stanowisko wiceprezesa zarządu Orlenu okaże się kuszące? Gotowi są takie oddać.

I tylko prezes Daniel Obajtek wie, co go czeka. Już w ubiegłym roku na pytanie POLITYKI o swoją przyszłość odpowiedział, że jest świadomy, co dla niego będzie oznaczał upadek rządu PiS. Donald Tusk, który ma z nim na pieńku za sprzedaż Rafinerii Gdańskiej (nazwał go oligarchą Putina), zapowiedział, że rozliczenia w spółkach Skarbu Państwa zaczną się właśnie od Obajtki. Na dodatek PiS ukręcił bat na swoich menedżerów, wprowadzając do Kodeksu karnego „zbrodnię niegospodarności”. Jeśli szkoda wyrządzona przez menedżera wyniosła więcej niż 5 mln zł, można trafić do więzienia nawet na 25 lat. Ostatnio w radiu RMF FM Obajtek złożył strzelistą deklarację: „Mam tę odwagę powiedzieć: jestem menedżerem, zarządzam firmą, bliżej mi jest do biznesu, ale jestem członkiem Prawa i Sprawiedliwości i nie boję się tego powiedzieć ani nie będę tego ukrywał. (...) Sam odejdę, nie trzeba mi będzie nawet dziękować. Mam swój honor i mam swoją godność”.

## Zwalniają, znaczy będą przyjmować

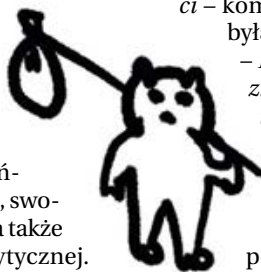
„Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne” – deklaruje Koalicja Obywatelska. – *Konkursy są i teraz, a jednak do zarządów trafiali polityczni nominanci* – komentuje dr Starczewska-Krzysztozek, która przed laty była członkinią Rady Gospodarczej przy premierze Tusku.

– *Pierwszym zadaniem, jakie postawił nam premier, było znalezienie sposobu odpartyjnięcia spółek Skarbu Państwa i stworzenie mechanizmu rekrutacji profesjonalnych menedżerów do rad nadzorczych i zarządów. Spory wkład w poszukiwanie rozwiązania włożył wówczas nasz kolega z Rady Mateusz Morawiecki* – wspomina ekspertka. Efektem prac był projekt ustawy przewidujący powołanie komitetu nominacyjnego, ludzi z doświadczeniem w biznesie, niezależnych, z mocnym kręgosłupem moralnym, którzy mieli prowadzić rekrutację fachowców gotowych do objęcia stanowisk w spółkach Skarbu Państwa. Nic z tego jednak nie wyszło. Dziś o wprowadzenie podobnego rozwiązania apeluje Konfederacja Lewiatan.

– *W przypadku spółek energetycznych zmiany kadrowe są nieuchronne, trzeba więc szukać nowych ludzi, ale nie na rynku, tylko wewnątrz organizacji. Jest sporo młodych doświadczonych fachowców, którzy gotowi są podjąć się takich zadań. Często jednak słyszę od nich pytanie: jaką mam gwarancję, że nie będę musiał na telefon wykonywać poleceń tego czy innego posta albo ministra? Musimy im dać takie gwarancje* – mówi Grzegorz Onichimowski, były prezes Towarowej Giełdy Energii, współautor energetycznego programu Koalicji Obywatelskiej. Jego zdaniem obok zmian kadrowych ważne są zmiany w polityce gospodarczej, a w energetyce czekają nas wyjątkowo trudne wyzwania.

Proces czyszczenia spółek Skarbu Państwa z politycznych nominatów ruszy, gdy powstanie nowy rząd i ustalone zostaną kompetencje poszczególnych ministrów. Ci, którym przypadnie wykonywanie obowiązków właścicielskich, będą mogli wymienić rady nadzorcze, a te odwołać zarządy i powołać nowe. Zgodnie z sentencją Lejzorka Rojsztwańca – „zwalniają, znaczy będą przyjmować” – w zarządach i radach nadzorczych muszą się jednak pojawić nowi ludzie i dobrze by było, gdyby to byli fachowcy. A nie kolejne pokolenie politycznych kotów.

ADAM GRZESZAK



# Opór przed powrotem

Korporacje ogłosiły powrót z pracy zdalnej do biur, ale pracownicy wracać nie chcą.

JOANNA SOLSKA

**J**ako pierwsze powrót do biur zarządziły globalne firmy, które wcześniej uznały, że ich pracownicy równie dobrze mogą pracować z każdego miejsca na świecie. Teraz David Solomon, prezes wielkiego inwestycyjnego banku Goldman Sachs zarządził, że chce widzieć wszystkich pracowników w biurze przez pięć dni w tygodniu. Koniec pracy zdalnej ogłosiło Google oraz inne giganty nowoczesnych technologii. W maju 2023 r. aż 72 proc. dużych przedsiębiorstw, badanych przez międzynarodową firmę doradczą EY, zdecydowało, że ich pracownicy mają wrócić do biur. Szybko okazało się, że zasada „szef ma zawsze rację” już nie obowiązuje i ludzie odpowiedzieli „nic z tego”. Więc zarządy główkują, jak się z kategorię zarządzenia wycofać z honorem.

Właściciele domów na Sardynii, którzy zarabiali na wynajmowaniu ich obcokrajowcom, głównie informatykom na pracy zdalnej, wystraszyli się utraty zarobku. Ogłaszają promocje – wynajmą dom za jedno euro, mając nadzieję, że odbiją sobie na kosztach ich utrzymania. W definitywny koniec pracy zdalnej nie wierzą właściciele nieruchomości w Danii, Holandii, Niemczech, Hiszpanii i Szwecji. Te kraje w najnowszym rankingu, przeprowadzonym przez firmę Nordlayer, specjalizującej się w ocenie cyberbezpieczeństwa, uznane zostały za najlepsze miejsca do wykonywania właśnie pracy z domu. Polska zajęła 18. miejsce.

Przed tym dylematem postawiono wielu Polaków zdalnie zatrudnionych przez wielkie światowe korporacje. Kiedy Adam, mieszkaniec Krakowa, starał się o pracę w Google – dla warszawskiej filii tej firmy, mógł pracować z domu. Zaryzykował, chociaż był świadom, że po pandemii sytuacja może się zmienić. Teraz okazało się, że musiał wybierać i choć praca była satysfakcjonująca, nie zdecydował się na przeprowadzkę do Warszawy. Sebastian Drzewiecki, szef krakowskiej firmy Softserve, która zajmuje się m.in. rekrutacją informatyków, stwierdza, że sporo osób w tej branży woli zrezygnować z pracy, niż ►

► na stałe wrócić do biura. Jego zdaniem aż 40 proc. informatyków oprócz pracy dla światowego giganta ma też własną firmę i innych klientów, utrata źródła utrzymania więc im nie grozi.

Informatycy najbardziej skutecznie opierają się przed powrotem do biur. W Polsce statystycznie problem jest mniejszy niż na Zachodzie. Według GUS pracę z domu wykonywało 10–15 proc. zatrudnionych, stwierdza Rober Lisicki, specjalista prawa pracy Konfederacji Lewiatan. W innych krajach UE nawet 25 proc., a w Danii czy Belgii 30–40 proc. W polskiej gospodarce duży udział mają ciągle przedsiębiorstwa produkcyjne, a ich pracownicy musieli stawiać się przy taśmach produkcyjnych nawet w szczycie pandemii. W gospodarkach krajów bogatszych przemysłu jest mało, dominują usługi, z których sporą część można wykonywać zdalnie.

## Zespół to kreatywność

Teraz jednak opór przed powrotem do biur narasta i u nas. Powodem jest nowy Kodeks pracy, który wszedł w życie w kwietniu. Jego zapisy spowodowały, że ochoty na pracę z domu nabrały osoby, które nie robiły tego nawet w czasie pandemii. Z kodeksu wynika bowiem, że o 24 dni w roku pracy zdalnej poprosić może każdy pracownik, także w firmie, w której nikt do tej pory tak nie pracował. – *Kiedyś pracownik pisał podanie o urlop, teraz prosi o kilka dni zdalnej* – zwierza się prezes firmy średniej wielkości.

Największy kłopot mają korporacje. Z raportu międzynarodowej firmy doradczej Colliers wynika, że w Polsce wielki powrót do biur ogłoszono aż 64 proc. badań przez nią dużych firm z sektora IT, bankowości, ubezpieczeń czy usług dla biznesu. Napotykać jednak coraz większy sprzeciw pracowników. W ciągu ostatniego roku odsetek osób odmawiających powrotu do biur wzrósł z 66 do 79 proc. Czyli aż w ośmiu firmach na dziesięć wielki powrót zakończył się wielką porażką.

Kiedy ARC Rynek i Opinia zapytała w ankiecie pracowników, jak traktują pracę zdalną, 47 proc. badanych odpowiedziało, że jak benefit. Czyli coś w rodzaju pożądanego abonamentu medycznego, który pracodawca może zaoferować, ale wcale nie musi. Ale już dla 26 proc. ankietowanych praca z domu to standard, który im się należy, podobnie jak możliwość elastycznego czasu pracy. Ten standard cenią sobie zwłaszcza młodzi, dla których praca zdalna oznacza też zachętę do szukania lepszego zatrudnienia za granicą, bez zmiany miejsca zamieszkania.

Oczekiwania, że pracować można skądkolwiek, formułowane są już w momencie decyzji, czy w ogóle zainteresować się ofertą zatrudnienia w danym miejscu. Aż 41 proc. ankietowanych rezygnuje ze złożenia aplikacji, gdy okazuje się, że w firmie pracy zdalnej ani hybrydowej nie ma. Konieczności codziennego stawiania się w biurze sobie nie wyobrażają. Wymagania pracodawcy i oczekiwania pracowników coraz bardziej się rozjeżdżają.

Dlaczego więc korporacje, także światowe giganty, wolą ryzykować porażkę i nawet stracić dobrych ludzi, niż pozostać przy zdalnej? Sebastian Drzewiecki nie ma wątpliwości. – *Wielkie innowacyjne firmy, które w czasie pandemii masowo pracowały zdalnie, przekonały się, że kreatywność ludzi pracujących w pojedynkę gwałtownie spada. Potwierdziły to badania, jakie w Stanach Zjednoczonych zrobiły największe marki informatyczne. IBM ma na to twarde dane, liczba zarejestrowanych patentów spadła o połowę. Na fatalne wyniki innowacyjności narzeka Spotify i inni. Stąd stanowczość w żądaniu powrotu do biur. To nie jest kaprys prezesów, to konieczność.*

Rodzima Grupa Ergis, specjalizująca się w produkcji tworzyw sztucznych, ma zakłady produkcyjne w okolicach Wrocławia, w Płocku, Nowym Sączu i Wąbrzeźnie, ale też spółkę w Berlinie. Zatrudnia około tysiąca osób, większość przy produkcji. – *W administracji pracuje 300 osób, w czasie pandemii 25 proc. funkcjonowało zdalnie, ale co trzecia osoba chciała wracać do biura; to my nie chcieliśmy się na to zgodzić ze względów bezpieczeństwa* – zapewnia Tadeusz Nowicki, prezes firmy. Do pracy z domu trzeba mieć warunki. Jeśli w małym mieszkaniu zasiada przy komputerach kilka osób, o efektywnej pracy nie ma mowy. Teraz administracja wróciła do biur, ale pracownicy z działu badań i rozwoju wywalczyli sobie jeden dzień zdalnej w tygodniu w domu, na uporządkowanie papierów.

## Pograć w piłkarzyki

Google ustąpiło o krok. Obecności w biurze firma wymaga już tylko przez cztery dni w tygodniu, jeden można pracować z domu. W krakowskim Comarchu też obowiązuje model hybrydowy. W krakowskiej firmie Softserve większość informatyków i inżynierów nadal swoje zadania wykonuje głównie na dystans. Chyba że zespół pracuje nad projektem klienta, któremu zależy na poufności, wtedy praca odbywa się w specjalnie dostosowanym pomieszczeniu w biurze.

Nordea Bank jest obecny w Szwecji, Norwegii, Danii, Finlandii i Estonii oraz w Polsce. Zatrudnia w naszym kraju 5,5 tys. osób, głównie w Łodzi. Jako oddział banku fińskiego pracownicy obsługują klientów korporacyjnych z Norwegii, Szwecji, Danii i Finlandii, więc praktycznie nie ma znaczenia, czy robią to z domu czy z biura. Przynajmniej jeśli chodzi o efektywność, którą precyzyjnie oceniali także przed pandemią. W domach nie stała się niższa, a niekiedy wskaźniki okazywały się lepsze. A jednak firma woli, aby ludzie wrócili do biur.

– *Po długich dyskusjach z pracownikami we wszystkich oddziałach zagranicznych Nordea ustaliła swój docelowy model pracy: trzy dni w biurze, dwa z domu* – opowiada Agnieszka Belowska-Gosławska z Nordei. W Polsce celu jeszcze nie osiągnięto, proces wracania do biur jest wolniejszy. Tylko niektórzy wolą przychodzić częściej. Biurek przywiązanych do konkretnych osób nie ma od dawna.

W firmie rozbudowały się strefy relaksu, można pograć w piłkarzyki, poćwiczyć. Ludzie odnajdują sens i przyjemność w spędzaniu czasu razem. Oczywiście po pracy. Z badań wynika, że przy pracy wyłącznie z domu zanika poczucie lojalności wobec firmy i zespołu, związek z pracodawcą staje się nikły. Rośnie za to łatwość i gotowość do zmiany zatrudnienia. Więc korporacje starają się, aby ich pracownicy mogli w biurze nie tylko pracować, ale także jeść, rozzerwać się, poćwiczyć, byle tylko robili to razem. Zespół, który się spotyka wyłącznie online, szybko przestaje być zespołem.

Im większy entuzjazm do pracy z domu wykazują pracownicy, tym częściej pojawiają się badania, pokazujące jej gorsze efekty. Te robione przez Accenture pokazały, że spotkania wielu osób na Zoomie, są zwyczajnie bez sensu. Z zaangażowaniem i uwagą wpatruje się w ekran komputera nie więcej niż kilka procent zgromadzonych. Więc chyba nie tędy droga. Nie sprawdziły się też aplikacje instalowane przez pracodawców w komputerach pracowników wypuszczonych na pracę zdalną, choć ich twórcy wykazywali się wielką kreatywnością. Szefowie mogli obserwować, czy ich podwładni siedzą przy komputerze, czy od niego odeszli. Albo nawet śledzić ruchy myшки. Tyle że gorzej radzili sobie z oceną efektów tego rodzaju aktywności. Pracownicy, jeśli ulegli presji do powrotu, dawali ujście wściekłości na portalach typu gowork.pl. „Potrzebni wam niewolnicy, lubicie stać nad nami z batem” – piszą pracownicy.

Dopiero teraz uciera się praktyka i jakaś równowaga między oczekiwaniami stron. W hotelach i instytutach kosmetycznych Grupy Eris w Krynicy czy na Wzgórzach Dylewskich zdalnej pracy nie było, ponieważ gości zdalnie obsługiwać się nie da. Na tysiąc pracowników swoje zajęcia poza biurem może ewentualnie wykonywać 100–150 osób, ale Henryk Orfinger, twórca i wieloletni prezes firmy uważa, że ludzie lepiej pracują w zespołach.

### Fikcja pracy

Nowy Kodeks pracy nakazuje, aby pracodawcy opisali zasady pracy zdalnej, wprowadzając regulamin ustalony z załogą. W Grupie Eris pracownik raz w tygodniu może poprosić o dzień pracy z domu, ale zgodzić się musi jego szef. W praktyce zgodę dostaje się raz na dwa tygodnie. Henryk Orfinger nie bardzo rozumie, dlaczego za ten czas firma ma pracownikowi płacić ryczałt za prąd i internet, skoro to pracownikowi na tym zależy? I po co te dyskusje, że do ryczałtu powinno się włączyć także koszt kawy i papieru toaletowego, który w dniach pracy zdalnej zużyłby pracownik, przebywając w firmie?

Zdaniem Roberta Lisickiego przeciętny koszt miesięcznego ryczałtu w firmie,

w której pracownicy dwa dni pracują z domu, a trzy z biura, wynosi ok. 40–50 zł na osobę. W przedsiębiorstwach, które regulaminów nie stworzyły i gdzie model hybrydowy nie obowiązuje, pracownik ma prawo do 24 dni pracy zdalnej rocznie, za zgodą szefa. W przedsiębiorstwach produkcyjnych, gdzie nie sposób montować pralek czy klimatyzatorów z domu, budzi to w ludziach uzasadnione poczucie krzywdy. Oni też, bez groźby utraty zarobków, chętnie posiedzieliby w domu, pracując zdalnie.

Henryk Owsiejew, prezes firmy Malow w Suwałkach, produkującej stalowe meble, twierdzi, że na razie pracy zdalnej nie wprowadza, a ludzie nie naciskają. – *Zbroimy się technologicznie, na 50 stanowiskach ludzi zastąpiły roboty* – twierdzi prezes.

Firma nie może odmówić pracy z domu kobietom w ciąży, matkom małych dzieci czy opiekunom osób niepełnosprawnych. Państwo, wprowadzając te zapisy, zrzuciło z siebie odpowiedzialność za fatalny stan usług publicznych, brak żłobków, przedszkoli, zakładów opieki. Teraz mają je zastąpić kobiety pracujące z domu. Niech one martwią się, jak pogodzić jedno z drugim.

W farmaceutycznej firmie Lek-Am w Zakroczymiu zatrudniającej 400 osób, o zgodę na pracę zdalną poprosiła na razie tylko jedna młoda mama. Jej szefowa jest nawet zadowolona. – *Raz w tygodniu dostaje ode mnie spis zadań do wykonania, a potem robi raport* – mówi. Przecież gdyby nie poszła na pracę zdalną, to w razie choroby dziecka poszłaby na zwolnienie i nie zrobiłaby nic.

Roberta Lisickiego z Lewiatana nie dziwi, że wciąż wiele firm, nawet zatrudniających po kilkaset osób, unika pracy zdalnej. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy się poddadzą. – *Na rynek pracy wchodzi młodzież, którzy zdalnie byli rekrutowani do pracy i z domu ją wykonywali. Nie czują się częścią zespołu, którego przez telekonferencje nie da się zbudować. Ale innego rodzaju pracy nie znają, dlatego wyjściem z tej sytuacji może być model hybrydowy* – przypuszcza Tadeusz Nowicki. Zwłaszcza że ludzi do pracy brakuje coraz bardziej, więc to firmy muszą się dostosować.

Niektórzy przypuszczają, że nowy Kodeks pracy wymusi na pracodawcach zgodę na pracę zdalną nawet tam, gdzie jest ona fikcją, po prostu dniem wolnym od pracy.

JOANNA SOLSKA

REKLAMA

## POLITYKA poleca

Książka  
**MARIUSZA  
JANICKIEGO  
i WIESŁAWA  
WŁADYKI**

Analiza zjawiska symetryzmu dokonana przez autorów tego pojęcia.



Książka  
**JERZEGO  
BACZYŃSKIEGO**

Osobisty dziennik podróży przez Polskę pod rządami PiS i przenikliwa krytyka populistycznej władzy.

Do kupienia w księgarniach i na [sklep.polityka.pl](http://sklep.polityka.pl)



ALA QANDIL

## Widok z Gazy

Na dziedzińcu szpitala kilkuletni chłopcy i dziewczynki zbierają śmieci do plastikowych worków. Po chwili dołączają do grupy bawiących się obok dzieci – wszyscy trzymają się za ręce, potem klaszczą, robią skłony, obracają się wkoło. Słychać śmiech, czuć przez moment beztroskę.

**T**

e zabawy na terenie szpitala Al-Ahli sfilmował Mohammed Sami, 24-letni artysta, fotograf ze Strefy Gazy. Sami przyszedł do szpitala Al-Ahli w poniedziałek 16 października, gdzie prawdopodobnie jak tysiące innych osób szukał schronienia przed izraelskimi bombami. Ahli Arab Hospital, najstarszy szpital w Gazie, założony pod koniec XIX w., to także jedyna chrześcijańska placówka medyczna w tej nadmorskiej enklawie.

To, że szpital prowadziła Diecezja Episkopalna w Jerozolimie, dawało chroniącym się tam ludziom odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Kilka dni później izraelskie lotnictwo ostrzelało prawosławny kościół w Gazie, zginęło przynajmniej osiem osób, a kilkadziesiąt zostało ciężko rannych. Stało się jasne, że żadne miejsce w Strefie Gazy nie jest bezpieczne.

Film Mohammeda pokazujący bawiące się dzieci jest wyjątkowy, bo dziś na instagramowych kontach Palestyńczyków



dominują obrazy masowych zniszczeń, całych dzielnic leżących w gruzach. Nie poznajemy własnych ulic, choć spędziliśmy tu całe życie – powtarzają w kolejnych postach Gazańczycy. Z dnia na dzień coraz więcej obrazów z Gazy jest zakrytych filtrem z informacją, że film może przedstawiać drastyczne treści. Do 20 października, według danych resortu zdrowia, w Gazie zginęło ponad 4 tys. osób, z których większość to kobiety i dzieci.

**Ewakuacja.** Trzy dni wcześniej Izrael nakazał ewakuację północnej części Strefy Gazy – ponad milion ludzi zaledwie w 24 godziny miał się przenieść z północy na południe enklawy. ONZ i organizacje praw człowieka zareagowały natychmiast. „Przymusowe wysiedlenie ludności cywilnej stanowi zbrodnię przeciwko ludzkości, a stosowanie zbiorowej odpowiedzialności jest zabronione w międzynarodowym prawie humanitarnym” – powiedziała Paula Gaviria Betancur, specjalna sprawozdawczyni ds. praw człowieka osób wewnątrz wysiedlonych. „To niemożliwe, by połowa populacji Gazy miała przedostać się przez strefę aktywnych działań wojennych, nie narażając się na katastrofalne konsekwencje humanitarne, zwłaszcza w sytuacji, w której [ludność] pozbawiona jest niezbędnych dóbr oraz podstawowych usług”.

Na tym etapie Izrael już od blisko tygodnia blokował jakiegokolwiek dostawy do Strefy Gazy, a w przeciążonych szpitalach brakowało najbardziej podstawowych rzeczy. „Zarządziłem pełne obłożenie Strefy Gazy. Nie będzie prądu, jedzenia, paliwa, wszystko zostanie zamknięte. Walczymy z ludźmi-zwierzętami i będziemy postępować adekwatnie” – powiedział izraelski minister obrony Yoav Gallant drugiego dnia działań wojennych.

Po nakazie ewakuacji wiele osób ruszyło pieszo, niektórzy uciekali na wozach ciągniętych przez osły, na filmikach widać było ciężarówki z platformami pełnymi ludzi, samochody osobowe wiozące kilkanaście osób – na maskach, w bagażnikach, z materacami i torbami przytwierdzonymi do dachów samochodów.

Sceny przypominały wydarzenia z 1948 r., nazywane przez Palestyńczyków Nakbą. Izraelskie bojówki wysiedliły wtedy ponad 700 tys. Palestyńczyków z ich ziem, nie pozwalając im nigdy wrócić. Część trafiła wtedy do Strefy Gazy, dziś ich potomkowie to ponad 70 proc. tamtejszej ludności.

Wspomnienie Nakby powróciło w ostatnich dniach, szczególnie po komentarzach izraelskiego posła, członka rządzącej partii Likud, Ariela Kalnnera, który w swoich mediach społecznościowych napisał: „W tej chwili jeden cel: Nakba! Nakba, która przyćmi tę z 1948 r.”. Wtedy wysiedlenia Palestyńczyków trwały wiele miesięcy. Teraz Izrael próbował wymusić transfer ludności cywilnej na jeszcze większą skalę w zaledwie dobie.

**Szpitalne.** Równie niewykonalny jak ekspresowa ewakuacja był nakaz opuszczenia szpitali. Izraelscy wojskowi

dzwoniли do kolejnych placówek medycznych w północnej Gazie, informując, że pracownicy i pacjenci mają kilka godzin na ewakuację.

Światowa Organizacja Zdrowia określiła te żądania jako de facto „karę śmierci” dla osób w najgorszym stanie. „Kierownicy szpitali oraz pracownicy medyczni stoją teraz przed strasznym wyborem: porzucić pacjentów w stanie krytycznym w trakcie bombardowań, ryzykować własnym życiem i zostać na miejscu, by leczyć chorych, lub narazić życie pacjentów, podejmując próbę przetransportowania ich do przepełnionych szpitali, które nie mogą ich przyjąć – napisano w oświadczeniu WHO. Większość lekarzy odmówiła porzucenia pacjentów.

W sobotę Izrael ostrzelał szpital Al-Ahli dwoma pociskami mniejszego kalibru. Czwooro pracowników medycznych zostało rannych, a górne piętra budynku zostały zniszczone – podała Diecezja Episkopalna Jeruzolimy.

Według danych ONZ w ciągu 10 dni przynajmniej 12 pracowników medycznych zostało zabitych, a 24 placówki zostały uszkodzone w nalotach. Palestyńskie ministerstwo zdrowia podało, że izraelska armia zabiła 44 osoby pracujące w służbie zdrowia, zniszczyła 23 karetki, a cztery szpitale zostały uszkodzone w tak dużym stopniu, że musiały zostać zamknięte.

We wtorek na dziedzińcu szpitala Al-Ahli – tam, gdzie dzień wcześniej Mohammed Sami organizował zabawy dla dzieci koczujących z rodzinami – spadły pociski. Według danych palestyńskiego ministerstwa zdrowia zginęło 471 osób, wśród nich prawdopodobnie Muhammad i dzieci, które sfilowały. Izrael nie przyznał się do winy, twierdząc, że jego armia nie bombarduje szpitali i personelu medycznego. Według niego to była zabłąkana rakietą wystrzelona przez Islamski Dżihad na Izrael (na dowód są przedstawiane analizy zdjęć z miejsca wybuchu – red.). Palestyńczycy, oczywiście, odrzucają to oskarżenie.

Lara Elborn, palestyńska prawniczka i działaczka, której rodzina pochodzi z Gazy, opublikowała na swoim profilu post: „Zobaczycie, co się teraz wydarzy – bo tak to zawsze wygląda: najpierw zaprzeczają, że atak miał miejsce. Następnie powiedzą, że to palestyńska rakietka. Potem po cichu przyznają się, że to oni, zaznaczając, że i tak nam się należało (...)”.

Podobnie było z zabójstwem dziennikarki Al-Dżaziry Szirin Abu Akleh w maju 2022 r. Izrael najpierw zaprzeczył, a potem obarczył odpowiedzialnością Palestyńczyków. Po czterech miesiącach pojawiły się

wstępne wyniki śledztwa potwierdzające, że jednak to izraelski żołnierz strzelał do Szirin i stojących obok niej dziennikarzy. Po roku Izrael przepraszył.

**Osama Abu Zebida.** – *Proszę o jedno – żeby polskie media zaczęły mówić prawdę o sytuacji w Strefie Gazy* – mówi Osama Abu Zebida, Palestyńczyk i Polak ze Strefy Gazy. Jego zdaniem media pokazują tylko izraelską perspektywę (czyli skutki ataku Hamasu na izraelskie osiedla – red.), pomijając kontekst trwającej 75 lat okupacji palestyńskich ziem.

W mieszkaniu, w którym zatrzymał się Osama, jego żona i czwórka dzieci, jest tłoczno i gwarно; w czterech pokojach mieszka ponad 60 osób – uciekinierów z północy, których przyjeżdżają tylko mieszkający na stałe w Rafah, miejscowości granicznej z Egiptem. W głosach dorosłych i dzieci słychać niepokój, zdenerwowanie, zmęczenie, frustrację.

Za oknami, stale otwartymi, żeby ekspozje w okolicy nie wybiły szyb, roztacza się widok na zbombardowane budynki. Gdy słychać wybuchy, czwórka dzieci Osamy zaczyna się trząść ze strachu. – Próbuję je przekonać, że te pociski spadają ▶

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna  
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,  
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY  
Krojanty - Dwór k. Chojnic  
tel. (052) 398-56-56  
fax. (052) 398-56-06  
www.krojanty.com.pl  
klinika@krojanty.com.pl

#### LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,  
chroniczne zespoły bólowe  
kręgosłupa i głowy, powikłania  
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,  
następstwa i powikłania urazów  
układu kostnego, więzadeł i stawów,  
migrenowe bóle głowy.

#### PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach  
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT  
SWOIM RODZICOM

► daleko – mówi, ale dodaje, że dzieci już świetnie wiedzą, w jakiej odległości spadają bomby.

Tuż po ataku Hamasu w sobotę 7 października Izrael rozpoczął odwetowe naloty. Jego politycy i wojskowi prześcigali się w obietnicach ukarania całej Strefy Gazy – obiecywali piekło, a prezydent Izraela Isaac Herzog wprost powiedział, że „cały [palestyński] naród jest odpowiedzialny” za działania Hamasu.

Osama z rodziną mieszkali w jednej z najpiękniejszych dzielnic Gazy – Remal, pierwszej, która została w całości zrównana z ziemią. Gdy zaczęły się naloty, zdążyli wziąć tylko paszporty, telefony i wybiegli z domu. Niecałą godzinę później ich blok został zbombardowany. Rakiety spadły również na restaurację, w której dzień wcześniej świętowali urodziny Mahmuda. Osama wysłał zdjęcia z urodzinowego obiadu, z uśmiechniętymi córkami i małym Mahmoudem z wielkim lodem w ręku na pierwszym planie.

**Polskie paszporty** były najważniejsze – to dzięki nim mieli szansę na ewakuację ze Strefy Gazy. Od kiedy Izrael 16 lat temu nałożył na nią blokadę, tylko nielicznym udaje się z niej wyjechać, m.in. osobom z podwójnym obywatelstwem. Słowa izraelskiego premiera Beniamina Netanjahu, wzywającego Palestyńczyków do opuszczenia Strefy Gazy, brzmiały więc jak okrutna kpina z uwięzionych ludzi.

Tradycyjnie wszyscy posiadacze dodatkowych paszportów udali się na przejście graniczne w Rafah, które miało zostać otwarte dla obcokrajowców. Koczowali tam kilka dni, ale Izrael wycofał się ze zgody na wypuszczenie ich ze Strefy, a lotnictwo zbombardowało przejście graniczne. – *Sytuacja jest straszna, nie wiem, czy moi przyjaciele i bliscy żyją. Nie mamy ze sobą kontaktu. Sieć komórkowa padła. Wiem tylko, że rodzina mojego przyjaciela, też obywatela Polski, cała zginęła. Mój syn potrzebuje lekarstw, ale nie pozwala nam iść do apteki. Boi się, że już nie wróci. Jeśli mamy przeżyć, to chcemy przeżyć razem. Jeśli mamy zginąć, to też razem* – mówi Osama.

Osama jest absolwentem Politechniki Łódzkiej, ma tytuł doktora nauk technicznych z inżynierii chemicznej i ochrony środowiska. W 2000 r. ukończył studia, a potem pracował w Polsce. Do Gazy wrócił w 2005 r. Osama i cała jego rodzina mają polskie obywatelstwo. Jego rodzice są uchodźcami z wioski Yibna, jednej z 500 miejscowości zniszczonych i wysiedlonych w 1948 r. przez bojówkę izraelską.

W Strefie Gazy w tej chwili przebywa ponad 30 Polek i Polaków. Nasze władze nie potrafimy im pomóc. – *Nie wiemy, co z nami będzie jutro. Nie wiemy, czy będziemy żywi za godzinę. Izraelska armia potrafi zbombardować całą dzielnicę, żeby zabić jedną osobę* – mówi Osama.

Wael Oukal przyjechał ze Strefy Gazy na studia do Polski w 1986 r. i tu został. Jest lekarzem, pracuje w hospicjum. – *Jesteśmy z Rafah, w naszym domu mieszkała moja mama oraz brat z żoną i dziećmi. Po rozpoczęciu izraelskiego ataku na Gazę moja siostra z rodziną przyjechała do mamy, licząc, że będzie u niej bezpieczniej* – opowiada. 16 października na dom Oukalów spadła izraelska bomba. – *Zginęła moja mama, siostra z mężem i ich trójka dzieci oraz moja bratowa i bratanek. Mój brat oraz jego córka i syn są w stanie krytycznym* – relacjonuje Oukal. – *Ten gruz, który widać na zdjęciu, to nasz rodzinny dom, wychowywaliśmy się w nim, był pełen naszych wspomnień.*

Jego rodzina nie miała nic wspólnego z Hamasem, byli zwykłymi cywilami. Jak dziesiątki innych rodzin nie wiedzą, czemu zbombardowano akurat ich dom. Euro-Med Rights Monitor informował o 82 rodzinach, które zginęły w pojedynczym nalocie w ciągu pierwszego tygodnia.

**Losy.** Dla wielu osób obecny koszmar to powtórka z izraelskiej inwazji na Strefę Gazy w 2014 r. Wtedy Izrael bombardował Gazę przez siedem tygodni, tym razem wystarczyło mu siedem dni, by zabić tyle samo ludzi i dokonać równie straszliwych zniszczeń co wtedy. Opowiada o tym Rima Mahmoud, gazańska reżyserka z Abasan Kabira, przygranicznej miejscowości na południu Strefy Gazy.

Podczas wojny w 2014 r. w ostrzale rodzinnego domu zginął ojciec Rimy. Po nakazie ewakuacji całej wsi jej kuzyni, rodzeństwo Ahmed i Oroba wraz z małżonkami i dziećmi, schronili się w Khan Younis, w budynku mieszczącym m.in. przedszkole – liczyli, że ich dzieciom będzie rańniej wśród zabawek. Tam, niestety, również dosięgły ich bomby. Rodzina Rimy, w tym 12 dzieci, zginęła. Ich domy, gaje oliwne i ziemie uprawne w Abasan Kabira zostały zniszczone.

Blisko dekadę później, gdy rodzinie udało się odbudować dom, izraelska armia ponownie nakazała ewakuację i znowu zniszczyła ich miejscowość. Rima wraz ze swoją ciotką, matką Ahmeda i Oroby oraz innymi członkami rodziny opuściła Abasan Kabirę drugiego dnia wojny. Zatrzymywali się w szpitalu, w oenzetowskiej szkole, w domach przyjaciół.

W dniu, w którym pociski spadły na szpital Al-Ahli, izraelska armia zabiła 6 osób w ostrzale szkoły UNRWA (Agencja ONZ ds. palestyńskich uchodźców na Bliskim Wschodzie) w Maghazi, jednym z obozów dla potomków uchodźców z 1948 r. Przebywały tam 4 tys. osób wysiedlonych w ostatnich tygodniach. Gdy stało się jasne, że ani szpitale, ani placówki UNRWA nie są bezpieczne, rodzina, tak jak dziesięć lat temu, udała się do Khan Younis. – *Opuściliśmy nasz dom, by szukać bezpiecznego miejsca. Ale w Gazie już żadne miejsce nie jest bezpieczne* – mówi Rima.

Na drugi dzień po naszej rozmowie Rima przesyła późnym wieczorem wiadomość: „Noce są koszmarnie, a ta noc wyjątkowo. Słyszymy izraelskie samoloty wojskowe bombardujące domy, nikt nie śpi. To, co się dzieje, jest przerażające”. Na pytanie, jak sobie radzą, Rima tłumaczy, że to nie pierwszy raz. – *Woda i jedzenie to w tej chwili luksus, bez którego jakoś przetrwamy. Tym, czego potrzebujemy najbardziej, jest zaprzestanie bombardowań ludności i obiektów cywilnych, a szpitale potrzebują leków i prądu. Ranni umierają, bo nie ma jak im pomóc.*

Izrael zapowiedział, że pozwoli wjechać do Gazy 20 tirom z pomocą humanitarną – będzie to tylko woda, jedzenie i leki. To kropla w morzu potrzeb. Jeszcze przed wojną 1,2 mln osób było zależnych od pomocy żywnościowej dostarczanej przez UNRWA. Do chwili zamknięcia tego numeru Izrael nie zrealizował obietnicy.

**Historia.** „Historia nie zaczęła się 7 października” – mówiła Amira Hass, izraelska dziennikarka w wywiadzie dla „Democracy Now”. Atak Hamasu na Izrael, w którym zabito ponad 1400 osób, był – przekonuje Hass – wynikiem dekad opresji wobec palestyńskiej ludności na terenach okupowanych. Przez lata izraelska lewica próbowała ostrzegać przed tak brutalnym obrotem spraw – dodaje.

Oplakiwanie ofiar w Strefie Gazy nie oznacza, że nie oplakuje się tych w Izraelu – tłumaczyła. Ale mało kto dziś w Izraelu podziela jej zdanie. Podczas zeszłotygodniowego posiedzenia Knesetu centrowa polityczka z partii Yesh Atid, Meirav Ben-Ari, krzyczała, że „dzieci w Gazie same zgotowały sobie ten los!”. Była to reakcja na słowa palestyńskiej posłanki Aidy Touma-Suleiman, która przypomniała o ponad 900 dzieciach zabitych w Gazie. Okrutna licytacja zamiast próby porozumienia. Na razie wszystko zmierza w kierunku tragedii.

ALA QANDIL



Ukraiński żołnierz w okopach w okolicy Bachmutu.

# Długa wojna

Nie chodzi już o zdobywanie lub odzyskiwanie skrawków ziemi. Ani o rozstrzygający triumf militarny. Kryterium zwycięstwa w wojnie ukraińskiej stał się czas.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

**M**inął już nastrój wyczekiwania na przełom wojenny. Na błyskawiczne zwycięstwo ukraińskiej ofensywy przeciwko Rosjanom. Jeszcze na początku 2023 r. Ukraińcy oraz ich zachodni przyjaciele zdawali się wierzyć, że ten właśnie rok przyniesie sukcesy na miarę poprzedniego – tamtej bitwy

o Kijów, bitwy o Chersoń i manewru pod Charkowem – i ostateczne zwycięstwo nad Rosjanami. Wciąż nic takiego się nie wydarzyło.

Wysiłek Ukraińców jest olbrzymi. Pomoc zachodnia dla Ukrainy – coraz większa. Od początku roku szykowano czołgi, artylerię i amunicję, szkolono żołnierzy ukraińskich w Europie i Ameryce. Kolejne

pakiety uzbrojenia, ogłaszane przez Białą Dom i Pentagon, tak często ścięły się z obietnicami pomocy europejskiej, że media w końcu przestały o nich informować na pierwszych stronach.

To wszystko jednak wciąż nie zaspokaja oczekiwań Ukrainy. Po sukcesie „koalicji czołgowej”, której celem było dostarczanie na front możliwie najnowszych zachodnich czołgów, „koalicja samolotowa” już nie może się pochwalić szybkimi dostawami samolotów F-16. Przybędą najwcześniej na wiosnę 2024 r.

Początkowe sukcesy Ukraińców na froncie tłumili również sporadyczne głosy sceptyków o trudnościach, jakie atakującym sprawi przejęcie przez potężną linię rosyjskich fortyfikacji i pól minowych. Owszem, Ukraińcy radzą sobie dobrze z punktowymi atakami i nadrabiają brak lotnictwa manewrem swojej piechoty zmotoryzowanej. Owszem, często fortyfikacje okazują się słabe i Rosjanie muszą się z nich ►

► wycofywać w bezładzie. Ale Ukraińcy ponoszą ciężkie straty. A linia frontu na niektórych odcinkach zmienia się o 100 m – na miesiąc.

### Straty netto

Od stycznia Ukraińcy zdobyli ok. 300 km kw. terenu, Rosjanie – 800. A to oznacza 500 km kw. ukraińskiej straty „netto”. W dodatku niemal nienaruszona pozostaje tzw. linia Surowikina – system zapór przeciwczołgowych, okopów, bunkrów i pól minowych, który Rosjanie pod dowództwem gen. Siergieja Surowikina zdążyli zbudować w obwodzie chersońskim i zaporoskim.

Przyjaciele Ukrainy cieszą się z każdego jej sukcesu, czy to trafionego rosyjskiego punktu dowodzenia, magazynu, czy to kolejnego ataku morskich dronów na rosyjski port wojenny w Sewastopolu, z dobrze działającej ukraińskiej obrony przeciw-rakietowej. Są jednak również koszty. A to trzy rosyjskie drony, które zdołały się przedrzeć przez ukraińską obronę, zniszczyły część portu w Odessie. A to z 12 Kalibrów dwa się przedarły, uderzyły w Charków i zabiły wielu cywilów.

Każdego też dnia młodzi Ukraińcy giną na froncie w zatrważających liczbach. Ukraiński oficer po powrocie z linii frontu opowiada, że z 500-osobowego batalionu zginęło już 100 żołnierzy. Ben Wallace, były brytyjski minister obrony, napisał niedawno w „The Telegraph”, że średnia wieku ukraińskich żołnierzy wynosi 40 lat – bo młodszy już zginęli.

Wallace stawia jednak sprawę jasno: wojnę trzeba wygrać. „W drugiej wojnie światowej też nie szczędzono młodych rezerwistów” – przypomina i zaleca władzom ukraińskim rozszerzenie akcji mobilizacyjnej. Przekonuje, że wolno, ale konsekwentnie, ukraińska ofensywa postępuje jednak naprzód. Artykuł zatytułowany jest, bynajmniej nie ironicznie, „Ukraina zwycięża”.

Ale co to właściwie znaczy „zwycięża”? Wedle zasad sztuki wojennej oraz lekcji z niemal każdej wojny w historii zwycięstwem jest zdobycie terytorium albo pokonanie lub rozbicie wojsk przeciwnika, czyli doprowadzenie do sytuacji, kiedy nie jest on w stanie podjąć zorganizowanej walki. Tylko takie okoliczności wiodą do złamania woli przeciwnika i do pokoju na nowych, korzystniejszych dla zwycięzcy warunkach.

Tymczasem trzecim i dodatkowym, po zdobywaniu terenu i niszczeniu wrogiej armii, kryterium zwycięstwa w wojnie ukraińskiej stał się dziś czas. Kto ma go więcej, może przeczekać i nawet wygrać



Dla Ukrainy stało się oczywiste, że wojna nie może się zakończyć tu i teraz, bez wyraźnego rozstrzygnięcia.

Na fot. ukraińscy żołnierze strzelają z wyrzutni rakiet RAK-SA-12, okolice Bachmutu.

wojnę. A skoro żadna ze stron nie ma większych szans na decydujące zwycięstwo terytorialne, a wrogie armie uporczywie stoją naprzeciw siebie, długa wojna wydaje się męczącym, ale jednak pożądanym scenariuszem.

Wygląda, jakby długiej wojny chcieli już wszyscy zaangażowani w nią aktorzy – Rosja, Zachód, nawet Ukraina. Dla tych ostatnich stało się oczywiste, że wojna nie może się zakończyć tu i teraz, bez wyraźnego rozstrzygnięcia. Z oderwanym i zniszczonym Donbasem, okupowanym Krymem, Chersońszczyzną i Zaporozżem. Z wojskami rosyjskimi odcinającymi Ukrainę od Morza Azowskiego i flotą czarnomorską blokującą Odessę.

Nie można też skończyć tej wojny z Rosją wciąż dyszącą chęcią zemsty za porażki 2022 r. Z Rosją, której cele są jasne od początku: jeśli Ukraina jej się nie podda całkowicie, trzeba ją tak zniszczyć i podzielić, by utraciła pozycję państwa zdolnego współtworzyć NATO i Unię Europejską.

Nie zrealizował się wreszcie najważniejszy zachodni i ukraiński przepis na klęskę Rosji – że po kolejnych porażkach lub braku zwycięstwa dojdzie tam do politycznego przewrotu, który obali Władimira Putina. Takim przewrotem – nawet potencjalnie – z pewnością nie był operetkowy pucz Jewgienija Prigożyna. Również rosyjskie społeczeństwo nie zakwestionowało wciąż szaleństw tyrana i wcale nie żąda pokoju. Wręcz przeciwnie, wśród Rosjan zdaje się rosnać przekonanie, że toczy się

właśnie śmiertelny bój ich ojczyzny z Zachodem, że Rosja jest poważnie zagrożona. I dlatego tę wojnę trzeba wygrać, nawet jeśli to potrwa.

Rosja ma więc czas, który tworzą cierpliwość poddanych, względny porządek wśród elit, trwanie w uporczywej obronie żołnierzy i przemysł wyrzucający tysiące sztuk amunicji i śląc na front czołgi i armaty, których Ukraińcy nie nadążają niszczyć. Rosyjska definicja zwycięstwa jest więc prosta: teraz przetrwać i następnie wrócić do pierwotnego planu zniszczenia niezależności Ukrainy. A jeśli to się nie uda, zniszczyć samą Ukrainę.

### Kto wygra w 2025 r.?

Rosja czeka też niewątpliwie, aż osłabnie pomoc zachodnia dla Ukrainy. Ta więc musi wojnę przedłużyć, bo jej zachodni sojusznicy będą broń przekazywać tak długo, jak długo Ukraina będzie trwać w oporze. Także po to, by Rosję wymęczyć i zniechęcić do kolejnego ataku, może nawet na Europę. Bo jeśli wojna miałaby się zakończyć na obecnych pozycjach, to niemal automatycznie można założyć, że Rosja zaatakuje ponownie.

A kolejny rosyjski atak będzie zapewne dużo lepiej przygotowany, z zasobniejszą armią i przemysłem wojskowym przedstawionym w tryb wojny z Zachodem, na co Rosja chce wydawać od 2024 r. jedną trzecią swojego budżetu. Nie bez powodu rosyjskie ministerstwo obrony zażądało reformy, w myśl której w latach

2023–26 wzmocnieniu ulec ma kierunek zachodni. A wtedy Ukraina może się okazać tylko przygrywką.

Na przełomie roku lub wiosną Rosjanie mogą ruszyć do kolejnej, skuteczniejszej ofensywy w Ukrainie. Ich obecne postępy w Donbasie, wolne i uporczywe – to tam właśnie najwięcej kilometrów kwadratowych zyskali od stycznia – wskazują, że myślą cały czas o atakowaniu. Putin rozważa nową falę mobilizacji, a kilka dni temu rozpiął kolejny pobór 130 tys. ludzi. Amunicja i broń popłyną choćby z Iranu i Korei Północnej, zresztą rosyjskie fabryki pracują pełną parą.

Zachodni ministrowie i generałowie chwalili się za to w połowie tego roku, że na Zachodzie wyszkolono już 13 brygad ukraińskich i dostarczono 100 nowoczesnych Leopardów 2, w drodze jest również 30 amerykańskich Abramsów, które wejdą do walki na początku nowego roku. Tyle że, biorąc pod uwagę rosyjskie plany, Ukraina, by w ogóle marzyć o przełomie, potrzebuje nowych dywizji, a nie brygad. Nie 200, ale 600 nowych czołgów, samolotów liczynych w eskadrach. I dużo skuteczniejszej obrony przeciwlotniczej, szczególnie nad fabrykami zbrojeniowymi. Bo nie da się utrzymać tempa operacji ofensywnych, jeśli uszkodzone czołgi wożone są do Niemiec albo Polski na naprawę.

Przemysł ukraiński, nawet jeśli został tak srodze doświadczony w pierwszym roku wojny, również musi się przestawić w pełni na tryb wojenny. I Ukraina, i cały Zachód, jeśli chce jej pomóc, potrzebują cudu technologicznego i przemysłowego, by znaleźć amunicję artyleryjską dla Ukrainy i na własne potrzeby. Tymczasem natowscy generałowie ogłaszają publicznie, że „widać już dno w beczce” własnych zasobów amunicyjnych.

## Bądźmy poważni

Oczywiście w 2024 r. wiele może się zmienić. Unia Europejska, pokojowa w końcu organizacja, nieoczekiwanie wyszła na prowadzenie przed Stanami Zjednoczonymi w wielkości obiecanej pomocy wojskowej i finansowej dla Ukrainy. Między styczniem i lipcem państwa europejskie zadeklarowały pomoc krótkoterminową do 2027 r. w wysokości ok. 75 mld euro – to 3 mld więcej niż USA. Programy wieloletniej pomocy Europy dla Ukrainy opiewają już na ponad 150 mld. Aby te imponujące programy wdrożyć, potrzebny jest jednak czas. I niekoniecznie wszystko zależy od Ameryki, Europa sama wydaje się dostatecznie przestraszona Rosją.

Projekcje pomocy dla Ukrainy w 2024 r. i jej możliwych zwycięstw w kolejnych

latach mogą zabrzmieć naiwnie. Zwłaszcza jeśli czyta się je w czasie dwóch groźnych kryzysów poparcia dla Ukrainy. Najpierw w Ameryce, kiedy radykałowie w Partii Republikańskiej zażądali zablokowania pomocy dla Ukrainy i odwołali własnego przewodniczącego Kongresu. Nie wiadomo, kiedy pojawi się nowy przewodniczący, kiedy Kongres zgłasza i czy obiecane przez Bidena 20 mld dol. dla Ukrainy w ogóle do Kijowa trafi.

Sytuację dodatkowo komplikuje wojna Hamasu z Izraelem, do którego USA zaczyna wysyłać amunicję jeszcze niedawno przeznaczoną dla Ukrainy. Nie bez znaczenia jest podział uwagi: dla Bidena i dla USA w ogóle mimo wszystko więcej znaczy Izrael niż sytuacja na wschodzie Europy.

Drugi kryzys to postępowanie rządu polskiego, który najpierw wszedł w spór zbożowy z Ukrainą, po czym premier Mateusz Morawiecki ogłosił, że „nie przekazuje już broni dla Ukrainy”. Ale jak to? Polska, najwierniejszy sojusznik i motor pomocy wojskowej? – pytali zachodni politycy i dziennikarze. Nawet jeśli słowa Morawieckiego zostały źle zrozumiane i nie doceniono, jak Polska wiele ze swojego własnego arsenału przekazała, to chwila była jak najgorsza. W Ameryce trwa kryzys, na Słowacji rządzą politycy antyukraińscy i proputinowscy, na Węgrzech rządzą od dawna.

Słowa Morawieckiego zostały zresztą właściwie zrozumiane i w Kijowie, i w Waszyngtonie – zestawiono je z kampanią wyborczą w Polsce i uznano, że przynajmniej do wyboru nowego rządu Warszawa nie nadaje się na konsekwentnego i wiarygodnego partnera. Odwiedzający Polskę dyplomaci amerykańscy nawołują do opamiętania i przestrzegają, że kryzys polsko-ukraiński wydarzył się w najgorszym momencie dla Bidena. Republikanie mogą powiedzieć: popatrzcie, jak pęka europejska koalicja poparcia dla Ukrainy, a zatem „America First!” i nie mamy w Ukrainie czego szukać.

Warto jednak pamiętać, że te polityczne kryzysy są niczym w porównaniu z tym, czego doznaje Ukraina i jej żołnierze. Zachód na nowo potrzebuje przypomnienia, jakie jest znaczenie tego konfliktu. To przełom w dziejach świata, a nie ulotka wyborcza Morawieckiego ani gierki Republikanów. Ukraińcy, jeśli tylko zestawili się ich walkę z przygotowaniami Rosji do drugiej wojny, naprawdę walczą za nas. O to, byśmy nie musieli wysyłać własnych żołnierzy na wojnę.

Zwycięstwo demokracji w Polsce pozwoli na korektę relacji polsko-ukraińskich. Zboże i jego transfer przez Polskę, przy całym zrozumieniu ciężkiej sytuacji

polskich rolników, nie powinno wpływać na strategiczne wybory Polski i jej rącej stanu. Naszym wyborem i bezwzględny celem jest zwycięstwo Ukrainy. I temu trzeba podporządkować działania nowego rządu w zakresie bezpieczeństwa, nawet jeśli czekają go inne tytaniczne wyzwania w naprawie państwa.

Nie ma niczego pilniejszego, bo euforia demokratyczna w Polsce szybko minie, a zagrożenie Rosją, która cywilizacyjnie przeszła w stan wiecznej wojny, pozostanie. Z Polski idzie sygnał w świat, że demokraci mogą zwyciężyć nad autorytarnymi populistami. I ten sygnał przez jakiś czas będzie się światu zachodniemu podobał, ale później zapyta na Polskę, gdzie jej zbrojenia i realna reforma wojska, gdzie jej regionalne przywództwo, gdzie jej rozumienie bycia w strategicznym miejscu i czasie historii. To nie tylko pieniądze wydawane na amerykańskie czołgi, ale również – a może przede wszystkim – potrzeba strategicznej dojrzałości i współgrania z Zachodem na wielu płaszczyznach, nie tylko bycie rynkiem zbytu uzbrojenia.

## Logika uniku

W wywiadzie dla „New Yorkera” prof. Stephen Kotkin, badacz dziejów Rosji, zastanawiał się, czy w ogóle rozumiemy, czym będzie zwycięstwo w tak przymowym konflikcie. Bo z jednej strony mówimy o fundamentalnym znaczeniu wojny ukraińskiej dla Zachodu. „To wysiłek całego pokolenia!” – ogłosił Joe Biden w Warszawie. Wojna o przyszłość demokracji, mitygowanie agresywnego wzrostu Chin, suwerenność państw i porządek międzynarodowy. O przyszłość i bezpieczeństwo Europy, którą Putin może zaatakować, bo czemu nie?

Z drugiej strony brakuje nam konsekwencji. Bo jeśli rozumiemy powagę tej wojny, to dlaczego – pyta Kotkin – nie wysyłamy na nią własnych żołnierzy? I odpowiada, że nie jesteśmy gotowi na udział w niej. Coraz częściej pojawiają się zresztą głosy o negocjacjach z Putinem i zakończeniu wojny już teraz.

Ukraińcy jednak wiedzą, a my podskórnie czujemy, że negocjacje i zamrożenie tej wojny nie powstrzymają kolejnej. Albo geopolityka w końcu nas zmiażdży, albo... Ukraińcy zwyciężą. A jeśli przegramy, to jednak będziemy musieli wysłać własnych żołnierzy. I Rosja tego właśnie powinna się najbardziej bać – odwrócenia dotychczasowej logiki unikania przez Zachód wojny, na którą nigdy nie ma dobrego czasu. Powinna się bać naszej, zachodniej definicji zwycięstwa.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

# Logistyka odpowiedzialności

MASA PRZEWOŻONYCH PO ŚWIECIE TOWARÓW NIEUSTANNIE ROŚNIE, WIĘC TRANSPORT MUSI STAĆ SIĘ BARDZIEJ ZRÓWNOWAŻONY. NA SZCZĘŚCIE WIELE FIRM WYMAGA CORAZ WIĘCEJ I OD SIEBIE, I OD SWOICH PARTNERÓW.

**E**SG – pod tym niepozornym skrótem kryje się prawdziwa gospodarcza rewolucja. ESG (po angielsku Environmental, Social and Corporate Governance) oznacza odpowiedzialność firm za środowisko, ład społeczny i kulturę korporacyjną. Nie jest to już wyłącznie dobra wola biznesu, zwłaszcza za sprawą unijnej dyrektywy CSRD, która będzie systematycznie poszerzać grono firm zobowiązanych do cyklicznego przedstawiania raportów ESG. W tej grupie jest też branża lo-

*i postaw u ludzi w tym zakresie. Dotyczy to wszystkich branż, również rynku logistycznego – podkreśla Jolanta Zwolińska, CFO North&East Europe w DB Schenker.*

**W** przypadku sektora logistycznego ogromnym wyzwaniem na najbliższe lata jest pogodzenie szybkiego rozwoju (znaczenie handlu nieustannie rośnie, a skutki pandemii udało się zaskakująco szybko przezwyciężyć) z ograniczaniem emisji gazów cieplarnianych. Na przykład DB Schenker po-

podzielających ich wartości. Priorytetem staje się współpraca z tymi, którzy przestrzegają zasad ESG. Przy ocenie ofert przedsiębiorstwa kierują się zasadami etyki i standardami odpowiedzialnego biznesu, wybierając dostawców, którzy wyznają takie same zasady prowadzenia działalności. Warto pamiętać, że chociaż mniejsze firmy na razie nie mają obowiązku przygotowywania raportów ESG, nie znaczy to, że mogą poczuć się zwolnione ze stosowania coraz bardziej uniwersalnych

na przykład w dużych miastach. Być może już wkrótce zeroemisyjne będą także większe pojazdy – szansą na to jest technologia wodorowa, na razie jeszcze na wczesnym etapie rozwoju. Zielony wodór (czyli powstający dzięki energii odnawialnej) może być paliwem przyszłości, zwłaszcza dla przemysłu. Ogromnym wyzwaniem pozostaje ograniczenie emisji dwutlenku węgla w lotnictwie, ale i pod tym względem warto zauważyć zmiany: na przykład wprowadzenie tzw. zrównoważonego paliwa lotniczego. Wreszcie przyszłością transportu morskiego są statki na płynny gaz ziemny, mogące pochwalić się zdecydowanie niższą emisyjnością.



© MP

gistyczna. Co to dla niej oznacza? – *Jesteśmy świadkami ogromnej zmiany w obszarze ochrony środowiska. Zielona transformacja przestaje być jedynie hasłem, a dla coraz większej liczby podmiotów gospodarczych staje się rzeczywistością, która ma realny wpływ na strategiczne decyzje biznesowe. Europarlament postawił w tej kwestii kropkę nad „i”, wprowadzając szeroki obowiązek raportowania niefinansowego. Jest to wyzwanie, które należy rozpatrywać jako znacznie szersze niż zbiory liczb, danych czy wskaźników. Raport jest tylko formą podsumowania, a celem samym w sobie jest rewolucja myślenia*

stał sobie za cel osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2040 r. Działania prośrodowiskowe, ujęte właśnie w raportach ESG, będą mieć poważne konsekwencje dla wszystkich firm. Z jednej strony muszą one sprostać oczekiwaniom swoich klientów, którzy zwracają coraz większą uwagę na to, jak branża logistyczna radzi sobie w obliczu zielonej transformacji gospodarki. To właśnie odpowiednie strategie pozwalają dziś zdobyć nowych kontrahentów, a ich brak może skutkować utratą solidnych partnerów.

Na tym nie koniec zmian. Firmy szukają partnerów (na przykład podwykonawców)

standardów. Odpowiedzialnej postawy będą bowiem oczekiwać wobec nich więksi kontrahenci.

A w jaki konkretny sposób sektor logistyczny może sprostać rosnącym wobec siebie oczekiwaniom i wymaganiom? Klucz to oczywiście przechodzenie w miarę możliwości na zieloną energię. Pomagają w tym inwestycje w elektrownie wiatrowe i słoneczne, dzięki którym łatwiej podążać w kierunku neutralności klimatycznej. Z odnawialnych źródeł energii korzystają coraz częściej terminale przeładunkowe. Rośnie użycie pojazdów elektrycznych, zwłaszcza na końcu łańcucha dostaw,

**W**iele zależy też od osób ko-

rzystających z usług firm logistycznych. Ale to my mamy wpływ na ich decyzje, zwłaszcza gdy w racjonalny i odpowiedzialny sposób będziemy wybierać metody transportu. Do przeszłości odchodzi czas, gdy o wszystkim decydowała jak najniższa cena. Wprowadzanie nowych, bardziej racjonalnych z punktu widzenia środowiska technologii oznacza równocześnie potrzebę niemałych inwestycji. Jednak tylko w ten sposób możemy pogodzić rozwój gospodarczy z przyszłością planety. Co więcej, dzisiaj poczynione inwestycje z pewnością przyczynią się do ograniczenia kosztów w dłuższej perspektywie. Kryzys energetyczny ostatnich lat udowodnił bowiem, że rozwiązania zrównoważone, takie jak OZE, są nie tylko najbardziej przewidywalne i bezpieczne, ale także tańsze niż dalsze bezkrytyczne używanie paliw kopalnych. A przeznaczone na nie nakłady zwracają się dużo szybciej, niż jeszcze niedawno zakładano.

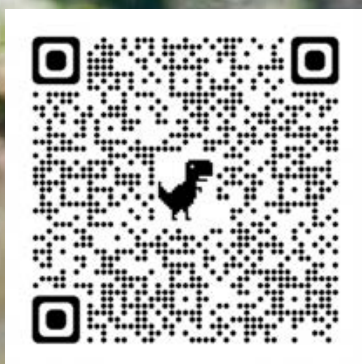
PIOTR CYMERMAN



# Tomorrow is made together

---

Przeczytaj nasz nowy  
Raport Zrównoważonego Rozwoju





Göteborg: policja zabezpiecza miejsce po eksplozji. Szwecja zajmuje dziś pierwsze miejsce w europejskim rankingu zamachów bombowych.

# Szwed jeździ metrem

Armia ma pomóc policji opanować wojny imigranckich gangów. Dziś w Szwecji już nawet zwolennicy polityki otwartych drzwi przyznają: „Byliśmy naiwni”. Warto tę lekcję przestudiować.

JACEK KUBITSKY ZE SZTOKHOLMU

**B**rakuje słów, aby wyrazić, jak poważna jest sytuacja – powiedział niedawno premier Ulf Kristersson. Chodzi o serię zabójstw, która trwa w szwedzkich miastach od początku września. Policja twierdzi, że to kolejna odsłona wojny gangów imigranckich, w której zabójcami są młodzi ludzie, głównie z Bliskiego Wschodu. Tylko we wrześniu w strzelaninach zginęło co najmniej 11 osób, wiele odniosło rany. Coraz częściej ofiarami padają zupełnie przypadkowe osoby.

Szwecja nigdy nie widziała czegoś podobnego. Żaden kraj w Europie czegoś takiego nie widział – mówił w specjalnym orędziu premier Kristersson, zapowiadając jednocześnie, że bezprecedensowo zwróci się do armii o udzielenie pomocy policji, która wydaje się dziś bezradna.

Słowa Kristerssona to duża zmiana. Przez ostatnie dziesięciolecie szwedzcy politycy zapewniali, że imigracja – szczególnie z krajów nieeuropejskich – nie przyniesie krajowi żadnego uszczerbku. Przeciwnie – wzbogaci go pod każdym względem. Ówczesny premier Fredrik Reinfeldt wzywał w 2014 r. swoich współobywateli, aby „otworzyli swoje serca” imigrantom. Zrobili to. Z jakim efektem?

**Do lat 30. XX w. Szwecja była krajem emigrantów.** Blisko 1,5 mln Szwedów wywędrowało za chlebem do USA. Sytuacja demograficzna poprawiła się dopiero po drugiej wojnie światowej, gdy kraj przyjął imigrantów zarobkowych – głównie Finów, Włochów i mieszkańców byłej Jugosławii. Na przełomie lat 60. i 70. kraj udzielił schronienia kilku tysiącom imigrantów politycznych, głównie z Ameryki Południowej, Iranu, Turcji, a także z Polski. Liberalna polityka imigracyjna i opinia Szwecji jako

bogatego państwa opiekuńczego zachęcały wielu do szukania tu lepszego losu.

W efekcie na początku XXI w. wzrosła imigracja z Afganistanu, Somalii, Syrii, Iraku i niektórych krajów afrykańskich. Rok 2015 zapisał się jako prawdziwy *annus mirabilis* imigracji. Szwecja przyjęła wtedy więcej imigrantów niż wszystkie kraje skandynawskie razem wzięte. W 2002 r. spośród wszystkich mieszkańców Szwecji ponad milion urodziło się za granicą. W 2022 r. w kraju liczącym 10,5 mln obywateli ta liczba przekroczyła już 2 mln.

Dodatkowo przez wiele lat najliczniejszą grupę imigrantów w Szwecji stanowili mieszkańcy krajów ościennych, głównie Finowie, którzy pod wieloma względami są podobni do Szwedów. Natomiast w 2022 r. to się zmieniło i największą grupą etniczną zaczęli być Syryjczycy, którzy prawie pod każdym względem różnią się od Szwedów.

Na szwedzkiej granicy 25-letni mężczyźni podają się za nastolatków, a nawet

za dzieci. I twierdzą, że są uchodźcami politycznymi lub sierotami. Ponad 95 proc. nie posiada żadnego dowodu tożsamości. Jeszcze niedawno funkcjonariusze straży granicznej wierzyli „dzieciom” na słowo. Robili to nie tylko z litości, ale również ze strachu przed pomówieniem o rasizm. W 2018 r. lekarze Urzędu Medycyny Sądowej, mimo protestów lewicy, przeprowadzili badania na grupie 6 tys. imigrantów podających się za dzieci, i dowiedli, że 84 proc. z nich to dorośli mężczyźni.

**Imigranci przejawiają często postawę roszczeniową.** Zdarza się, że młodzi mężczyźni (kobiety stanowią zaledwie 5–10 proc. wszystkich przybywających do Szwecji imigrantów) w rozmowach z pracownikami socjalnymi upominają się o markową odzież. Wielu z nich złości się, gdy słyszy, że w Szwecji na dobry samochód trzeba po prostu zarobić pracą.

Zwykle szokiem dla nich jest też zerknięcie się ze szwedzką swobodą erotyczną, która budzi kontrowersje nawet w niektórych krajach Unii. Takie pojęcia, jak dziewictwo, wstrzeźliwość seksualna, rozterki moralne z powodu innej tożsamości płciowej, homoseksualizmu, biseksualności dla wielu współczesnych Szwedów nie stanowią już żadnego problemu. Natomiast dla części imigrantów są zupełną nowością. Wielu z nich przybywa z krajów, w których za przedmałżeński seks grożą ciężkie kary. Przyjeżdżają do Szwecji z ugruntowaną opinią na temat stosunków damsko-męskich i kobiet w ogóle. Zdarza się, że w swoich telefonach mają filmy porno z udziałem skandynawskich aktorek, a przedstawiany w nich model relacji często rozciągają na wszystkie Szwedki.

Zgwałcenia w „starej” Szwecji należały do przestępstw rzadkich, głównie ze względu na traktowanie seksualności jako czegoś naturalnego. Obecnie liczba gwałtów rośnie proporcjonalnie do napływu imigrantów. Według oficjalnych danych za rok 1975, kiedy imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu było jeszcze niewielu, policja odnotowała w całym kraju 768 zgwałceń, w 2017 r. było ich 7226.

Jak wynika z badań, coraz więcej Szwedów zdaje sobie sprawę, że to, co się dzieje z ich krajem, jest czymś innym niż zwykłą imigracją. Przybysze szybko zawłaszczają przestrzeń publiczną, podczas gdy tubylcy lekko schodzą im z drogi. Schludne skwery i zadbane parki, które dotychczas uchodziły za najbardziej bezpieczne w Europie, budzą dziś zupełnie przeciwne odczucia. W dzielnicach, które imigranci traktują jak własne terytoria, osoba biała ma wszelkie powody do niepokojów, nawet

w dzień. Na obrzeżach aglomeracji miejskich są strefy, w których patrol policyjny musi mieć dodatkowe wsparcie, aby funkcjonariusze czuli się w pełni bezpiecznie.

Do najbardziej negatywnych skutków imigracji pozaeuropejskiej należy lawinowy wzrost przestępczości. Łamanie prawa przejawia się praktycznie w każdej dziedzinie: od zwykłych kradzieży, napadów rabunkowych, pobic, gwałtów na kobietach i mężczyznach (novum w szwedzkiej kryminalistyce), handlu narkotykami i wojen narkotykowych, poprzez handel ludźmi, prostytucję, fałszowanie dokumentów, oszustwa podatkowe, czerpanie zysku z symulacji kalectwa (nieznane wcześniej w Szwecji), wymuszanie haraczu, przemyt broni, a skończywszy na praniu brudnych pieniędzy i terroryzmie.

Dziesięć lat temu nikt nie słyszał w Szwecji np. o rabunkach z poniżeniem (*förnedringsrån*), które są specjalnością nastolatków z Bliskiego Wschodu i Afganistanu. Polega ono na tym, że bandyci po obrabowaniu np. oddają moc na twarz albo głowę ofiary, często rozebranej do naga, rozkazują jej tańczyć, całować buty napastników, jednocześnie nagrywając tę scenę telefonem komórkowym.

Od kilku lat szerzą się również, nieznanne wcześniej w Szwecji, zamachy bombowe z użyciem dynamitu. W 2019 r. było ich 139, a w pierwszym połowie tego roku odnotowano już 110 takich przypadków. Szwecja zajmuje dziś pierwsze miejsce w europejskim rankingu zamachów bombowych. Jednocześnie na ulicach wielu miast, tak jak w ostatnich dniach, coraz częściej dochodzi do użycia broni palnej, wymian ognia między rywalizującymi gangami imigrantów. Policja podała, że w Sztokholmie takich incydentów jest 30 razy więcej niż w Londynie, którego populacja jest równa całej Szwecji.

Otwarcie granic Szwecji przed imigrantami podyktowane było przede wszystkim gestem humanitarnym, pragnieniem niesienia pomocy ludziom, dla których historia okazała się mniej łaskawa. Jednocześnie, będąc przez wieki społeczeństwem jednorodnym, Szwedzi nie mieli pojęcia, jak funkcjonuje państwo wielonarodowe. Panowało przekonanie, że Szwedem jest po prostu ten, kto mieszka i pracuje w Szwecji. Podczas jednej z debat na temat migracji w Riksdagu pewna posłanka zupełnie serio oświadczyła, że Szwedem jest po prostu „każdy, kto jeździ metrem”.

Szwecja otworzyła więc imigrantom nie tylko granice, ale także setki tysięcy mieszkań kwaterunkowych, szkół, żłobków, placówek służby zdrowia, miejsc pracy i owych „serc”. Dość szybko okazało

się jednak, że przybyszów, z których absolutna większość ma afrykańskie lub bliskowschodnie korzenie, wyróżnia nie tylko wygląd i styl bycia, ale także inny stosunek do pracy, uczciwości i punktualności. W końcu pod ich wpływem całe społeczeństwo zostało poddane transformacji, na którą niekoniecznie chcieli się zgodzić.

Państwowe media, które od samego początku prowadziły intensywną kampanię na rzecz imigracji, robiły i nadal robią wiele, aby tuszować, przemilczać lub bagatelizować niewygodne fakty. Ten monopol narracyjny zaczął jednak kruszeć, głównie dzięki mediom społecznościowym. Pojawiające się tam krytyczne spostrzeżenia wciąż wywołują oburzenie oficjalnych mediów, które każdego, kto wyraża się krytycznie na temat masowej imigracji, rutynowo oskarżają o rasizm, mowę nienawiści i o głoszenie teorii spiskowych. Ale tak jak w przypadku premiera Kristerssona, łamać zaczynają się nawet politycy i ich doradcy odpowiedzialni za imigrację, którzy usprawiedliwiają się, mówiąc: „Możliwe, że byliśmy naiwni”.

### **Szwedzki eksperyment imigracyjny w dużym stopniu poniósł klęskę.**

Takiego zdania są również Duńczycy, Norwegowie i Finowie, którzy otwarcie odżegnują się od otwartej polityki imigracyjnej sąsiada, nie szczędząc przy tym uszczypliwych komentarzy na temat nieudolności szwedzkich władz w zwalczaniu przestępczości. Była minister sprawiedliwości Norwegii Anne Holt stwierdziła nawet, że Szwecja dokonuje autodestrukcji.

Ale Szwecja dokonuje również autorefleksji, która być może niesie ze sobą jakąś uniwersalną naukę. Z licznych tutaj debat wynika, że aby myśleć w ogóle o jakiegokolwiek integracji nowo przybyłych – na co Szwedzi mają wypracowane mechanizmy – pierwszym warunkiem jest wstrzymanie napływu nielegalnych imigrantów, którzy stanowią ponad 90 proc. przybyszów. Na drugim miejscu plasuje się skuteczna obrona zewnętrznych granic UE. Czyli również bezwzględne zawracanie łodzi i statków. Coraz częściej mówi się także o odbieraniu szwedzkiego obywatelstwa tym, którzy nabyli je na podstawie sfałszowanych danych. Bo aby dobrać skuteczne mechanizmy integracji, trzeba najpierw wiedzieć, kogo się integruje. A w obecnym chaosie imigracyjnym jest to po prostu niemożliwe.

Jacek Kubitsky jest psychologiem i psychoanalitykiem, absolwentem Uniwersytetów Sztokholmskiego i Uppsalskiego. Od 50 lat mieszka w Szwecji.



Korsykańczycy  
na ilustracji  
Jeana Droit.

## Łza Marianny

Emmanuel Macron obiecał Korsyce jeszcze większą autonomię. Dla wielu mieszkańców wyspy to jednak może być wciąż za mało. Dla wielu Francuzów z kontynentu – już za dużo.

KRZYSZTOF KUBIAK Z AJACCO

**W**Ajaccio, obecnej stolicy wyspy, prezydent Francji przekonywał niedawno, że będzie to „autonomia po korsykańsku”, „pozwalająca Korsyce zachować duszę, pozostając w ramach Republiki Francuskiej”. Emmanuel Macron zapelował do lokalnych notabli, żeby w ciągu sześciu miesięcy zaproponowali zmiany w konstytucji, które taką autonomię umożliwią.

Rezygnując z ortodoksyjnego unitaryzmu i centralizmu, Macron łamie jednocześnie jedno z fundamentalnych tabu francuskiej polityki. Wszak jakobińskie hasło z 1793 r. – „Republika jest jedna

i niepodzielna” – nigdy nie straciło na ważności. Ale nastroje sporej części mieszkańców wyspy oddają raczej litery IFF, gęsto wymalowane na murach miast i asfalcie górskich serpentyn. A oznaczają *I Francesi Fora* – Francuzi precz.

Deklaracja Macrona, która zmierza do rozszerzenia już i tak dość szerokiej autonomii Korsyki, to konsekwencja dwóch zdarzeń. Pierwszym był triumf separatystów i autonomistów w wyborach lokalnych z 2021 r., gdy zdobyli łącznie dwie trzecie głosów. Drugim – fala zamieszek, która przetoczyła się przez Korsykę w marcu 2022 r.

Ich zapalnikiem było zamordowanie w tulońskim więzieniu Yvana Colonna, bojówkarza Narodowego Frontu Wyzwolenia Korsyki (FLNC), największej organizacji separatystycznej na wyspie. Aresztowano go w 2003 r. po jednej z największych, trwającej pięć lat, obław w dziejach Francji. Skazany na dożywocie za zamordowanie w 1998 r. prefekta Korsyki Claude Érignaca, Colonna uważany był przez wiele środowisk za bohatera.

Śmiertelnie pobił go dzielący z nim celę dżihadysta z Kamerunu – Korsykańczyk miał się dopuścić obrazy Proroka. Szef korsykańskiego samorządu Gilles Simeoni oskarżył jednak Paryż o współudział, a na wyspie zawrzało. Ówczesne emocje dobrze oddał polski podoficer z 2. Cudzoziemskiego Regimentu Spadochroniarzy stacjonującego na wyspie: „Myślałem, że im (Korsykańczykom – przyp. red.) już przeszło. Zwłaszcza po pandemii. (...) Bez maki i makaronu z kontynentu Korsyka by po prostu głodowała”.

Ostatecznie udało się okiełznać falę niepokojów. Mimo dość buńczucznej retoryki lokalne władze od początku próbowały zakulisowo tonować nastroje. Również z powodu zbliżającego się sezonu turystycznego, który stanowi najważniejsze źródło dochodów wyspy.

### Francuska polisa

Korsyka jest wciąż najslabiej rozwiniętym gospodarczo regionem Francji. Z gospodarką o wartości ok. 6 mld euro zajmuje 13., czyli ostatnie miejsce wśród wszystkich regionów metropolitalnych Francji. Korsykański dochód na osobę jest średnio o 20 proc. niższy niż we Francji kontynentalnej.

Jedynym bogactwem wyspy – może poza czerwonym winem – jest turystyka. Opiera się na niej 24 proc. lokalnego PKB oraz 70 proc. wpływów do lokalnego budżetu. Branża turystyczna generuje ok. 40 tys. miejsc pracy, ale aż 17 tys. sezonowo (przy stałej populacji wyspy ok. 350 tys.).

Dlatego pandemiczne obostrzenia pchnęły Korsykę na krawędź społecznej katastrofy. I w tym przypadku przynależność do Republiki, która oczywiście wsparła wtedy wyspę, okazała się gigantyczną polisą ubezpieczeniową. Ale o tym na Korsyce już mało kto pamięta, w przeciwieństwie do wszystkich zadr historycznych.

Korsyka częścią Francji stała się stosunkowo późno, wcześniej przez wieki była pod władzą Genui, włoskiej republiki kupieckiej. W 1729 r. na wyspie wybuchło powstanie, z którym Genua nie poradziła sobie przez następne 26 lat. W 1755 r. Pasquale Paoli proklamował niepodległą Republikę Korsyki. Genua nie uznała tego ruchu, ale w 1768 r. odstąpiła (za długi) wyspę Francji. Rok później oddziały Ludwika XV wyładowały na wyspie, pacyfikując powstanie.

Po wybuchu rewolucji francuskiej na wyspę powrócił z Londynu Paoli i w 1794 r. przekonał Brytyjczyków do zajęcia wyspy. Powstało wówczas Królestwo Anglo-Korsykańskie, ale utrzymywanie Korsyki szybko przestało się Londynowi kalkulować. Jednocześnie wyspa nie przedstawiała większej wartości strategicznej dla Paryża, ostateczna francuska rekonkwista wyspy w 1796 r. wynikała bardziej ze względów prestiżowych.

Na Korsyce mówiono wówczas po włosku, a konkretnie – co najmniej czterema dialektami z grupy italo-dalmatyńskiej, co też odzwierciedlało skomplikowane kulturowe. Sytuacja polityczna była jeszcze bardziej złożona. Nowej francuskiej władzy, przynoszącej de facto społeczną rewolucję, sprzyjała nieliczna klasa średnia z nadbrzeżnych miast. Górzysty interior był tradycyjalistyczny i patriarchalny. Co więcej, mieszczan z wybrzeża postrzegano jako Włochów, podczas gdy górale uważali się za prawdziwych Korsykańczyków.

Wspiarski irredentyzm od początku sprawiał problemy francuskiej administracji. Ale nacjonalizm w nowoczesnym rozumieniu narodził się na Korsyce dopiero pod koniec XIX w. Niechęć do Francji była sprzężona z ekonomicznym upośledzeniem wyspy, polityką asymilacji kulturowej i centralizacji oraz forsowaniem laickiego szkolnictwa. Źródłem problemów było też przeradzanie się starych struktur klanoowych w organizacje mafijne, które przyniosły ze sobą korupcję, system opłat za tzw. ochronę i coraz powszechniejszą przemoc.

## Czas bomb

Francuska administracja przez pokolenia nie potrafiła się uporać z tymi wszystkimi problemami. Dość powiedzieć,

że francuski stał się na wyspie językiem oficjalnym dopiero w 1853 r. Urzędnicy, nauczyciele i funkcjonariusze, delegowani okresowo na wyspę, w większości dochodzili do wniosku, że święty spokój jest znacznie ważniejszy (i bezpieczniejszy) niż konfrontacja z miejscowym „obyčajem”.

Lata powojenne przyniosły relatywne otwarcie wyspy. Bliskość Marsylii, jednego z głównych portów Morza Śródziemnego, spowodowała, że Korsyka znalazła się na szlaku przemytu haszyszu z Maghrebu, ale także opium z Indochin. Korsykańska mafia rosła w siłę i w zasadzie do dziś zajmuje wypracowaną wówczas pozycję, pozostaje elementem społecznego i politycznego krajobrazu wyspy.

W latach 60. sytuację na wyspie dodatkowo skomplikowało przybycie ok. 18 tys. tzw. czarnych stóp (*Pieds-noirs*), czyli przesiedleńców z Algierii. Traktowano ich preferencyjnie podczas zatrudniania na posadach państwowych, otrzymywali kredyty za pośrednictwem rządowej organizacji pomocowej. Dodatkowo Paryż wykazał się wyjątkowym brakiem przeczności, upubliczniając projekty przeniesienia części instalacji nuklearnych z Afryki Północnej na Korsykę. Z pomysłu szybko zrezygnowano, ale jeszcze jedna zdra pozostała.

To wtedy właśnie do głosu doszło nowe pokolenie nacjonalistów. Edmond Simeoni powołał Akcję Renesansu Korsyki (*L'Action régionaliste corse*, ARC), która domagała się autonomii dla wyspy. Wobec braku reakcji Paryża Simeoni ze zwolennikami zajęł w sierpniu 1975 r. wytwórnię win, należącą do przesiedleńca z Algierii. Paryż zareagował zdecydowanie i przy pomocy ok. 2 tys. funkcjonariuszy stłumił bunt, a zaraz potem zdelegalizował ARC.

Kolejne grupy separatystów doszły wówczas do wniosku, że nawet umiarkowana przemoc prowadzi donikąd. Nieprzejednani powołali natomiast FLNC i zdecydowali się na walkę zbrojną. W odludnych częściach wyspy zaczęli organizować konferencje prasowe, w trakcie których ubrani w kominiarki i zbrojni w karabiny odczytywali pompatyczne deklaracje. Zaczęli podkładać bomby, płonęły gmachy publiczne, samoloty Air France na lotnisku, a przede wszystkim wille i hotele należące do inwestorów z kontynentu.

Organizacja na ogół nie obierała za cel funkcjonariuszy francuskiego państwa. Głośnym wyjątkiem był wspomniany prefekt Érignac. Jego zabójstwo wywołało konsternację również wśród wielu

mieszkańców wyspy. W efekcie FLNC zaczął tracić poparcie, co okazało się tendencją trwałą.

Sprzyjał temu fakt, że od 1982 r. socjalistyczny gabinet François Mitterranda zmienił politykę w stosunku do wyspy. Zwiększono lokalną autonomię. W Corte, liczącej zaledwie 10 tys. mieszkańców historycznej stolicy wyspy, powołano Uniwersytet Korsykański im. Pasquale Paoli, który szybko okazał się rozsądnikiem „wyształconego” separatyzmu. Na całej wyspie nauka języka korsykańskiego stała się obowiązkowa, a niektóre szkoły prowadzą w nim wszystkie przedmioty. W takich okolicznościach tracący na znaczeniu FLNC w 2014 r. ogłosił złożenie broni.

## Na odchodne

Jeszcze kilka lat temu prezydent Macron podczas wizyty na wyspie mówił, że jest przeciwny zarówno nadaniu korsykańskiemu statusu języka urzędowego, jak i większej autonomii. Skąd więc obecna zmiana frontu? Czy to już długoterminowa strategia, czy tylko taktyka unikania kolejnego kryzysu? Wydaje się, że i jedno, i drugie. Macron i jego obóz polityczny nie mogą dopuścić do kolejnej erupcji korsykańskiego terroryzmu, bo to załamałoby ich i tak już niskie notowania w całej Francji. Stąd najnowsza propozycja rozszerzenia autonomii, która ma osłabić wpływ radykałów.

Dodatkowo początek drugiej kadencji prezydenckiej to dobry moment na takie przełomy. Macron sobie już nie zaszkodzi, bo nie może ponownie kandydować. Istnieje też spora szansa, że w przypadku powodzenia prezydenckiej propozycji kontrowersje wokół korsykańskiej autonomii ostatecznie wygasną. A z drugiej strony, jeżeli pojawią się komplikacje, obóz polityczny Macrona będzie mógł zrzucić odpowiedzialność na odchodzącego prezydenta.

Bo z pewnością nie będzie to bezbolesny proces. Autonomia dla wyspy uwieszonej niczym łaza prowansalskiego wybrzeża budzi we Francji kontynentalnej olbrzymie kontrowersje. Obrońcy unitarnego charakteru państwa krytykują rozwiązanie z najróżniejszych pozycji. Pojawiają się wcale nieodosobnione głosy, że oddawanie większej władzy (w tym kontroli nad subwencjami centralnymi i regionalnymi funduszami europejskimi) nad terytorium, gdzie polityka styka się szerokim frontem ze zorganizowaną przestępczością, to nic innego niż prowokowanie problemów w przyszłości. I że francuska Marianna jeszcze pożałuje takiej szczodrości. ■

# Z szacunkiem dla przeszłości i przyszłości

OD ATRAKCYJNYCH NIERUCHOMOŚCI OCZEKUJEMY DZISIAJ NIE TYLKO Dobrej lokalizacji, ale także rozwiązań ekologicznych. Dodatkowym atutem może być twórcze wykorzystanie bogatej historii danego miejsca.



Apartamenty Scala w Gdańsku.

Jakie powinno być osiedle, aby uznać je za nowoczesne? To pytanie zadają sobie ci, którzy dzisiaj szukają mieszkań. Zarówno z myślą o przeprowadzce, jak i w celu bezpiecznej lokaty swoich oszczędności. Pewne kwestie oczywiście pozostają niezmiennie – wciąż kluczowa jest lokalizacja, a ogromne znaczenie ma dostęp do transportu zbiorowego dobrej jakości (przede wszystkim szynowego). Przez moment, w szczycie pandemii, wydawało się, że te elementy tracą na znaczeniu. Jednak już wiemy, że tak się nie stało, bo praca zdalna w wielu branżach pozostanie tylko dodatkiem, a nie rozwiązaniem powszechnym. Nie możemy uciec od codziennych dojazdów i podróży po miastach, a przecież chcemy marnować jak najmniej czasu na stanie w korkach. Wciąż zatem pobliska linia tramwajowa, stacja metra czy kolei aglomeracyjnej to ogromny atut każdej powstającej inwestycji deweloperskiej.

Jednak są też elementy, które zyskały na znaczeniu właśnie w ostatnich latach. – Są to przede wszystkim rozwiązania o charakterze „eko”: panele fotowoltaiczne na dachach, instalacje pozwalające zbierać deszczówkę czy pompy ciepła do ogrzewania powierzchni wspólnych. Deweloperzy wskazują na takie

urządzenia jako ważne atuty nowych inwestycji mieszkaniowych z dwóch powodów. Po pierwsze chodzi o ochronę środowiska i racjonalne korzystanie z ograniczonych zasobów planety. Ale również ważne są oszczędności, zwłaszcza w czasach bardzo drogiej energii elektrycznej i ciepłej – podkreśla Marek Wielgo, ekspert portali RynekPierwotny.pl i GetHome.pl. Klienci zdają sobie przecież świetnie sprawę z faktu, że koszty utrzymania mieszkań rosną w bardzo szybkim tempie. Wszelka forma niezależności od koncernów energetycznych jest zatem pożądanym rozwiązaniem.

Wprospektach reklamowych nowych osiedli możemy dziś znaleźć takie elementy, jak zielone dachy i elewacje, stacje ładowania samochodów elektrycznych, zbiorniki retencyjne i skrzynki rozsączające, stojaki i wiaty na rowery, a nawet łąki kwietne i domki dla kwiatów. Wszystko, co jest ekologiczne, zielone, zrównoważone, zaczyna stawać się już nie atrakcyjnym dodatkiem, ale wręcz standardem. Złazczyła w przypadku apartamentów o charakterze premium. Dodawanie jak największej ilości zieleni w ramach inwestycji to odpowiedź na oczekiwania Polaków, którzy coraz lepiej zdają sobie sprawę ze skutków zmian

klimatycznych i problemów z jakością powietrza w naszych miastach. Budynki odpowiednio zacienione latem okazują się nie tylko przyjemniejsze do życia, ale też tańsze w eksploatacji, bo nie trzeba zużywać zbyt dużo energii do ich chłodzenia.

Jakie jeszcze elementy zwiększają atrakcyjność mieszkań w oczach kupujących? – Nie sposób wskazać choćby kilku aspektów, ponieważ o inwestycjach myślimy w sposób holistyczny i komplementarny. Wybieramy lokalizacje o dużym potencjale rozwoju, które w perspektywie będą zyskiwały na atrakcyjności. Zaczynamy od zgłębienia historii tych miejsc, wyciągamy z nich esencję, dzięki której tworzymy inwestycje z szacunkiem dla dziedzictwa i jego naturalnego otoczenia. To przyciąga biznes i kolejnych inwestorów, tworząc modę oraz popyt. Dzięki temu klienci inwestują w miejscu, które za kilka lat będzie zupełnie inną przestrzenią, a co za tym idzie, ich nieruchomości zdecydowanie zyskają na wartości. Ten rodzaj oddziaływania oraz swoista atmosfera architektonicznego dzieła sztuki, jak choćby w przypadku Banku Polskiego 1929 – naszej gdyńskiej inwestycji, unaocznili dobitnie, że potrzeba inwestycyjna jest zaledwie punktem wyjścia. Dopiero za nim rozciąga się

horyzont nieskończonych indywidualnych preferencji naszych klientów, na które udaje się skutecznie odpowiedzieć poprzez naszą wizję – tłumaczy Adam Małaczek, prezes zarządu Moderna Holding.

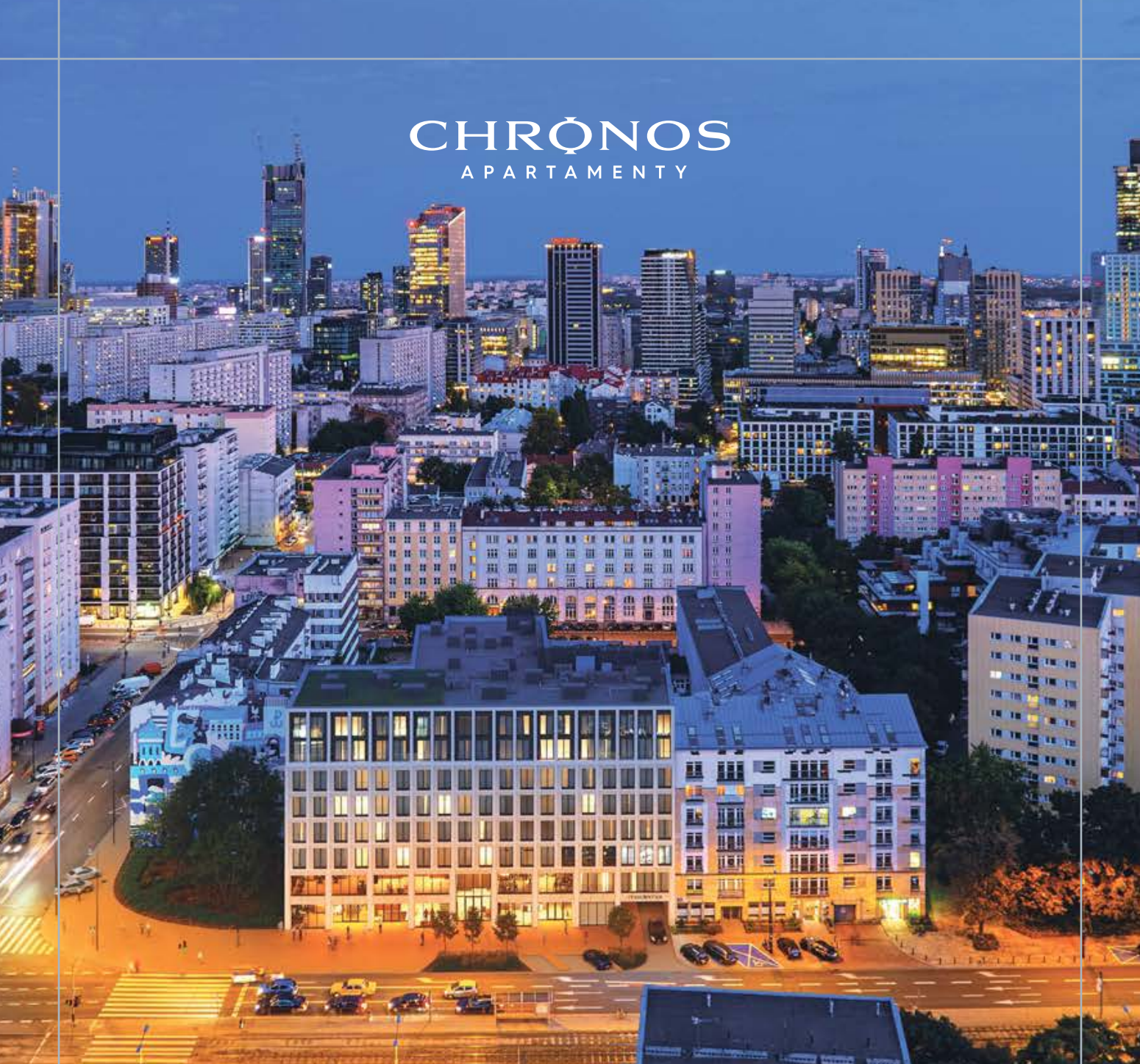
Z pewnością historia miejsca to jeszcze jeden, coraz ważniejszy aspekt, na który zwracają uwagę poszukujący nieruchomości. Wiele prestiżowych inwestycji powstaje właśnie w lokalizacjach o wyjątkowej tożsamości i tradycji. Takie miejsca zazwyczaj pozwalają na łatwy dostęp do szerokiej oferty kulturalnej i handlowej, a także mogą pochwalić się dobrą infrastrukturą transportową.

Na tym jednak nie koniec. Apartament w lokalizacji o charakterze historycznym inspirowane do odkrywania przeszłości – staje się czymś więcej niż zwykłym mieszkaniem. Budowanie takiej więzi z tradycją z pewnością będzie zyskiwać na znaczeniu. Tak samo jak wykorzystywanie i przekształcanie starych ikon architektury czy obszarów przemysłowych. To zresztą także działanie w zgodzie z trendami odpowiedzialności za planetę, bo przecież wykorzystanie miejsc już raz zabudowanych jest znacznie bardziej ekologicznym rozwiązaniem niż terenów do tej pory zielonych.

PIOTR CYMERMAN

# CHRONOS

APARTAMENTY



TO JEST TWÓJ CZAS. TUTAJ.

Chronos zapewnia bliskość biznesowej części Woli i skraca dystans do najmodniejszych miejsc, jak Browary Warszawskie czy Fabryka Norblina. Jedno i dwupoziomowe apartamenty zostały zaprojektowane z wycuciem Twojego rytmu dnia.

AL. SOLIDARNOŚCI 153, WARSZAWA  
T: +48 222 903 309

moderna  
*Superior living*



# Antyporuszenie

Mamy dziś do czynienia z zyskującym na znaczeniu systemem plemiennym. Wierzymy komuś znajomemu, rodzinie, a nie ekspertom – mówi prof. Dariusz Jemielniak, badacz dezinformacji i wiceprezes Polskiej Akademii Nauk.

MARCIN ROTKIEWICZ: – „**Nie dziwię się, że ludzie w Polsce nagle zwracają się ku nauce, po pomoc**” – mówił pan w grudniu 2020 r. w rozmowie z POLITYKĄ. **Był szczyt pandemii i wydawało się, że sukces szczepień przeciw Covid-19 zepchnie na margines postawy antynaukowe. Tymczasem można odnieść wrażenie, że nastąpiło coś odwrotnego – pandemia je wzmocniła.**

DARIUSZ JEMIELNIAK: – Srodze się wówczas myliłem i wykazałem głęboką naiwnością, która wynikała z mojego optymizmu. Wierzyłem, że stworzenie szczepionki przeciw SARS-CoV-2, pokazujące dorobek i siłę nauki, przekona wielu ludzi.

**Chyba stało się inaczej.**

Jest taka scena w filmie „Interstellar” – jego akcja dzieje się w 2067 r. – w której amerykański inżynier i były pilot rozmawia z nauczycielką ze szkoły swoich dzieci. Mówi ona, że podręczniki historii zostały właśnie skorygowane. Teraz obowiązuje wersja, w której USA nie lądowały na przełomie lat 60. i 70. XX w. na Księżycu. Był to błąd mający zmusić Związek Radziecki do ogromnego wysiłku i w ten sposób przyspieszyć jego upadek.

**Ku temu zmierzamy?**

Wprawdzie teorie spiskowe nie są jeszcze wprowadzane do podręczników, ale nie jesteśmy też zbyt daleko od tego

momentu. Zaufanie do nauki spada, co potwierdzają różne badania. Choć nie mam w ręku najświeższych wyników z Polski, to bardzo bym się zdziwił, gdyby sytuacja u nas znacząco się różniła.

**Jaka ona jest, wskazuje m.in. stale rosnąca liczba odmów obowiązkowych szczepień dzieci. W ciągu ostatniej dekady wzrosła z 7 tys. do prawie 80 tys.**

Powodów jest kilka, m.in. defragmentacja autorytetu. Kiedyś mieliśmy hierarchiczny system instytucjonalnej wiedzy dystrybuowanej za pośrednictwem uczelni. Nieźle działał, ale miał też pewne wady. Dziś natomiast mamy do czynienia z zyskującym na znaczeniu systemem plemiennym, czyli trybalizacją wiedzy. Wierzmy komuś znajomemu, rodzinie, a nie ekspertom.

**Pewnie dlatego w znanej reklamie jednego z leków użyto frazy „Goździkowej pomogło”.**

To jest normalne i naturalne podejście, bo tak rozwijał się nasz gatunek – poprzez przekazywanie sobie opowieści. Jeśli ktoś chciałby zacząć chodzić na siłownię, np. żeby się odchudzić, to bardzo prawdopodobne, że najpierw zgłosi się po poradę do znajomych, a nie zawodowego trenera czy dietetyka. Problem w tym, że wiedza jest już tak zaawansowana, iż wymaga bardzo żmudnego przygotowania, żeby w ogóle móc uczestniczyć w dyskursie. Na przykład studia medyczne trwają, praktycznie rzecz biorąc, ponad siedem lat.

Mamy też narastające zjawisko głębokiego kryzysu zaufania do instytucji, co widzimy nie tylko w nauce, ale też polityce i innych sferach. Panuje m.in. przekonanie, że istnieje *deep state*, czyli rozległa sieć powiązań polityków, wielkiego biznesu i urzędników, którzy prowadzą ciemne interesy, rządzą światem i nas oszukują. To wszystko wygląda trochę tak, jakby cały system neoliberalny zaczął się sypać i nie wiadomo, co będzie dalej.

A na to nakłada się wielka rewolucja sztucznej inteligencji. Tylko że na razie zadajemy pytania, np. o kwestie zdrowotne, programowi komputerowemu, o którym wiemy, że konfabuluje.

**Wiemy?**

Ludzie używający np. ChatGPT są raczej świadomi, że jest to system, który sprawnie podpowiada dobrze brzmiące kolejne zdanie, a nie agreguje ludzką wiedzę. Dlatego uważam, że trzecim filarem niewiary w naukę jest słaba komunikatywność. Wygodniej jest spytać znajomych czy program komputerowy, niż stać w kolejce do lekarza, czyli próbować zdobyć wiedzę od kogoś wykwalifikowanego. I w tym aspekcie najłatwiej, przynajmniej teoretycznie, o poprawę, bo dostęp do opieki zdrowotnej to głównie kwestia pieniędzy i dobrej organizacji. Natomiast nie pomagają one brakowi wiary w system wiedzy instytucjonalnej.

**Czy tej wiary nie poprawiłaby dobra edukacja – uczenie ludzi krytycznego myślenia i analizy źródeł od możliwie wczesnych etapów edukacji?**

Zdecydowanie tak. Już na poziomie szkoły podstawowej powinno się uczyć trzech rzeczy: komunikacji, czyli sprawnego posługiwania się językiem polskim oraz obcym, najlepiej angielskim, matematyki i krytycznego myślenia. Cała reszta jest właściwie zbędna.

**To radykalny postulat.**

Zdając sobie sprawę, że moja opinia może być łatwo skrytykowana przez ludzi, którzy znają się na edukacji. Wykraczam poza obszar swoich kompetencji, więc chcę wyraźnie podkreślić, że jest to tylko moje prywatne zdanie, a nie opinia jako profesora.

Dziś próbuje się wtłaczać do głów uczniów naprawdę zaawansowane rzeczy – w szkole średniej na matematyce pojawiają się m.in. całki i różniczki. Tymczasem wraz z upływem lat ludzie nie

potrafią od ręki odpowiedzieć na proste pytanie, co jest większe: 12 proc. z 24 czy 24 proc. z 12. Podpowiem – w obydwu przypadkach wynik to 2,88. Nie potrafią też policzyć procentu składanego, czyli np. ile zarobią, jeśli włożą 10 tys. zł na trzyletnią lokatę bankową na 5 proc. A to jest przecież poziom szkoły podstawowej. Ta niewiedza wyraża się również w tym, że ludzie kupują losy na loterię, a nie ubezpieczenia.

Zdecydowana większość nie używa też wiedzy z zakresu chemii, fizyki, biologii czy historii, którą nabyła w pierwszych latach nauki. Brakuje w szkole łączenia tego, czego uczymy, z życiem. Co, niestety, pogłębia poczucie, że nauka jest od niego oderwana. Wolałbym, żebyśmy prezentowali np. przedmioty ścisłe poprzez to, w jaki sposób doświadczamy świata wokół nas.

**Czyli jak?**

Trochę w stylu serialu „MacGyver”, który pokazuje np., ile można zrobić za pomocą gumki recepturki i sprężynki od długopisu. A dołożenie do tego krytycznego myślenia jest konieczne. Nawet gdybyśmy nie poszli tak daleko, jak proponuję, to włączenie go na poziomie godzinowego zaangażowania – przynajmniej porównywalnym z etyką czy religią – wydaje się absolutnie niezbędne.

Bo nie ma aż tak dużego znaczenia, jaki fragment tablicy Mendelejewa ludzie zapamiętają ze szkoły. Ważne, żeby potrafili ocenić np. wartość badań, które wykazały, że dzięki jedzeniu czekolady chudniemy. Takie wyniki naprawdę uzyskano, tylko że osoby uczestniczące w eksperymencie spożywały wyłącznie czekoladę, a monodietę sprzyjają chudnięciu.

Warto też, żeby ludzie zdawali sobie sprawę np. z tego, że systematyczny przegląd literatury naukowej to coś więcej niż pojedynczy artykuł. Jeden z podstawowych mechanizmów dezinformacji polega bowiem na stosowaniu tzw. *cherry pickingu*, czyli tendencyjnego wybierania nielicznych publikacji czy wyników, aby udowodnić jakąś tezę.

**To, co pan mówi, chyba jednak nie wyjaśnia zaskakującego zjawiska: z jednej strony nauka sprawdza się na oczach ludzi, bo powstaje skuteczny preparat chroniący przed poważnymi skutkami zakażenia koronawirusem. Z drugiej zaś nakręca to ruchy antyszczepionkowe, które dzięki temu zwiększają swoje wpływy.**

Diagnoza, że w czasie pandemii nauka się sprawdziła, jest dla mnie o tyle błędna, iż oczekiwania przeciętnego człowieka były daleko większe.

**Czyli ludzie myśleli: zrobię sobie jeden zastrzyk i hulaj dusza, koronawirusa nie ma?**

W świecie nauki nie ma wątpliwości, że szczepionka przeciw Covid-19 była nieprawdopodobnym sukcesem medycyny, biorąc pod uwagę m.in. rewelacyjne tempo jej powstawania i wysoką skuteczność. Zwykli ludzie uważali zaś: skoro coś się stało, czyli wybuchła pandemia, to niech oni – władze, naukowcy – coś z tym zrobą; od tego przecież są, za to im płacimy, a oni rok się wozili. Co więcej – ci, którzy się szczepili, i tak chorowali. Ponadto wprowadzenie lockdownów okazało się bardzo mocną interwencją państwa w prywatną sferę życia obywateli. A szybkich rezultatów nie było.

Pandemia, niestety, mimo tryumfu nauki, wzmogła też dezinformację. Podam przykład – jedna z największych grup na komunikatorze Telegram, z którego korzysta ponad pół miliarda ludzi, została założona przez człowieka twierdzącego, że iwermektyna, czyli środek do odrobaczania m.in. koni, leczy Covid-19. Kiedy zmarł na skutek zaaplikowania sobie takiej pseudomedycznej terapii, to na telegramowej grupie błyskawicznie pojawiła się naracja, że nie miało to nic wspólnego z iwermektyną. To pokazuje, jak głęboko tkwimy w tej pseudonaukowej króliczej norze. ►

## ► Czy da się ludzi w ogóle jakoś racjonalnie przekonać do szczepień?

Nie wrzucałbym wszystkich antyszczepionkowców do jednego worka, bo to jest spektrum postaw. Z radykałami rzeczywistość nie bardzo da się cokolwiek zrobić, ale mniej zdecydowanych można przeciwną na racjonalną stronę.

### Wspomniał pan o kryzysie autorytetów i plemiennosci wiedzy. Czy w takim razie Polska Akademia Nauk, której jest pan od niedawna wiceprezesa, ma jeszcze jakąś możliwość skutecznej walki z dezinformacją?

PAN długo nie znajdowała się w centrum uwagi, ale gdy pojawiła się pandemia i gdy doszło do zatrucia Odry, to jej głos stał się słyszalny w mediach. Jestem odpowiedzialny w Akademii właśnie za komunikację naukową, więc mam nadzieję, że uda nam się sporo na tym polu zdziałać.

### Zaangażował się pan również w MedFake, czyli bardzo ciekawy projekt konsorcjum czterech wyższych uczelni. Jego głównym celem jest „podniesienie zaufania do szczepień ochronnych w Polsce”. Jak chcecie to zrobić?

Najpierw musimy zrozumieć mechanizm, czyli dokładnie zbadać, dlaczego ludzie odmawiają szczepień, szczególnie swoich dzieci.

#### Coś już wiadomo?

Odpowiedź jest wielowymiarowa, jak to zwykle bywa w przypadku problemów społecznych. Ale jeden z wyraźnie widocznych czynników jest taki, że ludzie chcą zrobić jak najlepiej dla swoich dzieci, nie rozumiejąc przy tym, jak należy oceniać ryzyko. Na przykład wiedzą, że prawdopodobieństwo wystąpienia poważnych niepożądanych odczynów poszczepiennych wynosi np. jeden na milion. Czyli bardzo mało. Są jednak przekonani, że ich dziecko jest wyjątkowe, więc na pewno przytrafi mu się groźny NOP. A to już jest myślenie magiczne.

Inny czynnik to brak czasu lekarzy, którzy są zaważeni pracą biurokratyczną i nie dają rady normalnie rozmawiać z pacjentami. A w przypadku tych wątpliwych czy wahających się trzeba tego czasu poświęcić więcej niż zwykle. Nie wystarczy tyle, ile mają obecnie przewidziane na jednego pacjenta, czyli około kwadransa. W tej kwestii mogliby odegrać ważną rolę lekarze rodzinni. Chodzi bowiem o kogoś, komu można zaufać i z kim pacjent widzi się co jakiś czas. Gdyby instytucja lekarza rodzinnego dobrze u nas działała, to jest prawdopodobne, że ludzie by się go słuchali.

Postawy antyszczepionkowe mogą być też bronią. Weźmy taki przykład: jeśli chodzi o odrę, to jesteśmy obecnie w Polsce blisko progu tzw. odporności stadnej, który wynosi ok. 93 proc. wyszczepionej populacji. Dzięki temu wirus nie może się rozprzestrzeniać. Wystarczy zatem zasiać wątpliwości tylko u kilku procent osób, by znów pojawił się problem tej choroby.

### Rozumiem, że nawiązuje pan do płynącej z Rosji internetowej dezinformacji na temat szczepień.

Mamy w Polsce grupy ewidentnie sponsorowane przez ten kraj i promujące postawy antyszczepionkowe. Jak również partie polityczne, które na tego typu postawach budują swój kapitał.

### Trudno jednak zrzucać całą winę na ruskich trolli internetowych.

Zgoda. Trzeba również wziąć pod uwagę występujący u nas klasyczny fenomen kraju dobrobytu. Kiedy widział pan ostatni raz dziecko chore na odrę? A polio? Trudno bać się czegoś, czego nie widać.

Za to ludzie zwracają uwagę na anegdotyczne historie o poważnych niepożądanych odczynach poszczepiennych, które pojawiają się przecież bardzo rzadko. Boimy się nie tego, co trzeba.

### Jak pan widzi możliwość zachęcenia ludzi do szczepień? Przed gripą chroni się niewiele osób, również wśród personelu medycznego. Podobnie jest z Covid-19.

To, czego mi przede wszystkim brakuje w komunikacji dotyczącej zdrowia publicznego, to podkreślenia, że szczepimy się, by chronić otoczenie, a nie tylko siebie. Badania wyraźnie pokazują, że ludzie zbyt optymistycznie oceniają własne szanse na złapanie infekcji. Można to ująć tak, że bardzo się boją o swoich bliskich, a niespecjalnie o siebie. Dlatego warto zagrać właśnie na tej nucie.

### A jak pan ocenia rządowe kampanie informacyjne w okresie pandemii, zwłaszcza te dotyczące szczepień?

Wieszano psy na działaniach ówczesnego rządu, ale akurat w tej sprawie bardzo bym się go nie czepiał. Szczególnie patrząc na to, co zrobiły inne kraje. Jeśli zaś mówimy o błędach, to najbardziej zaszkodziło wprowadzanie reguł, które później były łamane przez osoby ze świecznika.

### Czasami jednak naginanie reguł wydaje się nieść pozytywne skutki. Mówił pan przecież, że Krystynie Jandzie należy się medal za słynną „afere” zaszczepienia się poza kolejnością.

Odpowiadając trochę żartobliwie: jak najbardziej! Wywołanie u Polek i Polaków poczucia, że coś jest dobrem ograniczonym, to najlepsza promocja. Choć nie powinna, oczywiście, być głównym sposobem zachęcania do szczepień.

### Co w tej kwestii mówią badania prowadzone w ramach MedFake?

Ludzie potrzebują pewnej elastyczności. Mamy w Polsce bardzo sztywny kalendarz szczepień dzieci. Warto więc, żeby np. lekarz rodzinny mógł podjąć decyzję, oczywiście w ramach pewnego marginesu czasowego, np. o przesunięciu szczepienia danego dziecka, które ma jakieś problemy.

Z naszych badań wynika, że kwestie proceduralne są naprawdę ważne dla pacjentów i wpływają na zaufanie do opieki medycznej. Dlatego np. chcemy przygotować rekomendacje dotyczące porodów. Okazuje się, że w ich trakcie kobieta musi podpisywać jakieś dokumenty, w których na coś się zgadza bądź nie. Dlaczego nie można przygotować ich wcześniej? Warto zadbać, żeby rodzice kobiety nie miały poczucia, iż wciska się im coś na siłę do podpisu w momencie, kiedy nie mają szans spokojnie się zastanowić. Zaprocentuje to większym zaufaniem do medycyny.

### Co oprócz rekomendacji ma przynieść MedFake?

Chcemy zbudować system śledzenia rozprzestrzeniania się fake newsów w mediach społecznościowych. Dlatego tworzymy narzędzie do identyfikowania tego, o czym w danym momencie mówią ludzie. Czy np. na topie jest lewoskrętna witamina C albo leczenie gongami.

### Komu ma pomóc ta wiedza?

Lekarzom, urzędnikom państwowym. Musimy jednak jeszcze dokładnie przeemyśleć, komu je udostępnić. Na pewno warto, żeby medycy zdawali sobie sprawę, co jest aktualnie gorącym tematem w internecie, i byli przygotowani na pytania od pacjentów. W przyszłości chcemy rozbudować nasze narzędzie o źródła, dzięki czemu lekarz będzie miał od razu dostęp do rzetelnej wiedzy naukowej na dany temat. Po to, by potrafił kompetentnie dyskutować z nonsensami, które czasami przynoszą mu pacjenci.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ



Prof. dr hab. **Dariusz Jemielniak** jest kierownikiem Katedry Management in Networked and Digital Societies (MINDS) w Akademii Leona Koźmińskiego. Pracuje również w Berkman-Klein Center for Internet and Society na Harvard

University. Bada m.in. dezinformację w sieci i ruchy antyszczepionkowe. Od 2015 r. członek Rady Powierniczej Wikimedia Foundation, do której należy Wikipedia. W grudniu 2022 r. został wybrany na stanowisko wiceprezesa PAN w kadencji 2023–26.

# Narodziny nazwy

Rozwój embriologii zaciera granicę między naturalnym zarodkiem ludzkim a strukturami z laboratoriów. Naukowcy formułują nową jego definicję.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

**T**o, co powstaje w laboratoriach badaczy zarodków ludzkich, przestaje już się mieścić w dotychczasowym słownictwie.

Naukowcy tworzą więc nowe pojęcia, wciąż płynne i zmienne: zarodek syntetyczny, model zarodka ludzkiego, ludzkie struktury zarodkopodobne, zarodki powstałe bez zapłodnienia, zarodki z dorosłych komórek macierzystych,

zarodki rozwijające się po transferze jądra komórki dojrzałej do komórki jajowej.

Jaki jest ich prawny status? – zastanawia się w artykule opublikowanym przez czasopismo „Cell” zespół naukowców kierowany przez Nicolasa Rivrona z Institut für Molekulare Biotechnologie Österreichische Akademie der Wissenschaften. Ich zdaniem odpowiedzi na to pytanie nie udziela dotychczasowa definicja zarodka ludzkiego, mówiąca o grupie komórek powstałej w wyniku zapłodnienia, którego

zakończenie zostało zasygnalizowane przez pierwszy podział komórkowy lub odrzucenie ciałek kierunkowych.

## Burza o to, co nieprawdą

Praca Rivrona i jego współpracowników ukazała się w połowie sierpnia, trafiając w czas wyjątkowo rozgorączkowanej dyskusji na temat statusu tworzonych w laboratoriach struktur. Choć toczyły się już dawniej, to w dość niespiesznym rytmie. W połowie czerwca wybuchły jednak zaskakująco dla ▶

► naukowców siłą. Zapalnikiem stało się osiągnięcie prof. Magdaleny Żernickiej-Goetz, wybitnej polskiej embriolożki pracującej na University of Cambridge w Wielkiej Brytanii i w Californian Institute of Technology w USA (pulsar 23 i 26 czerwca 2023, POLITYKA 41/20). A ściślej biorąc – kontrowersje wzbudziło nie tyle samo dokonanie, ile raczej sposób, w jaki je przedstawił ceniony brytyjski dziennik „The Guardian”.

Prof. Żernicka-Goetz już od dobrych paru lat cieszyła się zasłużoną międzynarodową sławą i nieoficjalnie wymieniano ją wśród kandydatów do Nagrody Nobla. Odkryła na przykład, że na wczesnym etapie rozwoju komórki zarodka mysiego i ludzkiego nie są jednorodne i mają skłonność do różnicowania się w odmienne struktury. Jako pierwsza zauważyła, że miejsce wnikięcia plemnika do komórki jajowej wpływa na ós późniejszego podziału zygoty (komórki powstałej w wyniku zapłodnienia). Wykryła, że zarodek ma umiejętność

wyniki badań jeszcze nieopublikowanych w czasopiśmie naukowych – mówiła pulsarowi prof. Żernicka-Goetz. Postanowiła więc opowiedzieć o swoim najnowszym osiągnięciu. Opisu jąca je praca czekała wówczas na zamieszczenie w ważnym czasopiśmie naukowym.

Jej wystąpienia 14 czerwca wysłuchała zdalnie dziennikarka „The Guardian”. I opublikowała artykuł, w którym napisała: „W przełomowym dokonaniu naukowcy stworzyli syntetyczne zarodki ludzkie, używając komórek macierzystych – obywając się bez komórek jajowych i plemników”. Cytowała komentarze Robina Lovella-Badge’a, genetyka i badacza komórek macierzystych z Francis Crick Institute w Londynie, który powiedział: „Jeśli intencją jest, aby te modele bardzo przypominały normalne zarodki, to powinny być tak samo traktowane. Obecnie w systemie prawnym nie są. Ludzie się tym martwią”.

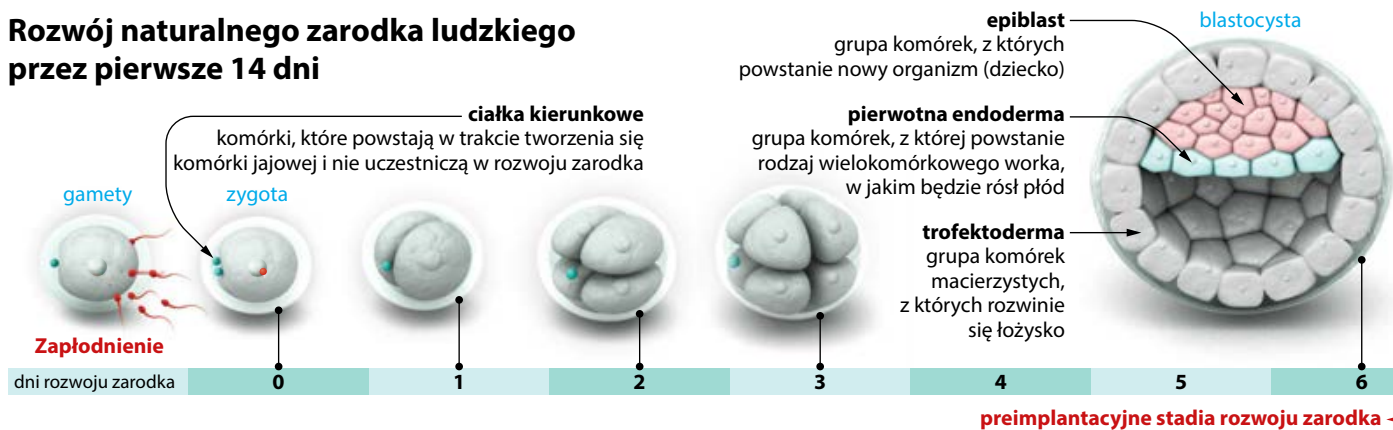
Prawdopodobnie to pod wpływem tych rozważań rozpułała się bu-

zespołu ukazała się w „Nature”. Ku zaskoczeniu wszystkich w tym samym numerze znalazła się druga publikacja na podobny temat. Zespół dr Berny Sozen z Yale University w USA opisywał w niej inny model zarodka ludzkiego. Jakby tego było mało, w kolejnych dniach ukazywały się prace kolejnych grup badawczych o ludzkich strukturach zarodkopodobnych. Na początku lipca było ich już sześć, a 20 lipca pojawiła się siódma. Jedną z nich opublikował zespół prof. Jacoba Hanny, który wcześniej krytykował osiągnięcie polskiej naukowczynie.

Każdy z tych modeli zarodków był nieco odmienny i utworzony w inny sposób od pozostałych. Wszystkie zostały zbudowane z komórek macierzystych hodowanych w laboratoriach. Żaden nie powstał w wyniku zapłodnienia. Stworzono je zaś, aby przezwyciężyć ograniczenia, jakim podlegają badania rozwoju ludzkiego.

W naturalnym rozwoju zarodek po 7 dniach od zapłodnienia zaczyna

## Rozwój naturalnego zarodka ludzkiego przez pierwsze 14 dni



„przerzucania” komórek z uszkodzonymi genami do łożyska, dzięki czemu rozwija się dalej niemal wyłącznie z komórek zdrowych. Jej laboratorium jako pierwsze potrafiło w warunkach *in vitro* utrzymać zarodek ludzki przy życiu do drugiego tygodnia rozwoju. Stworzyła też struktury zarodkopodobne myszy, które powstają z komórek macierzystych, bez udziału plemnika i komórki jajowej.

Nie było więc zaskoczeniem, gdy w tym roku zaproponowano jej, aby wygłosiła wykład na zjeździe Międzynarodowego Towarzystwa na rzecz Badań nad Komórkami Macierzystymi (International Society for Stem Cells Research) w Bostonie. – Na tej konferencji naukowcy są proszeni, żeby prezentować

rza. O osiągnięciu zespołu prof. Żernickiej-Goetz rozpisywały się gazety i portale na całym świecie. Wyrażano wątpliwości etyczne i obawy. Krytycznie do odkrycia odniósł się prof. Jacob Hanna z Weizman Institute of Science w Izraelu.

Uczona nie była przygotowana na taki rozgłos. – *Dlaczego to się stało taką sensacją?* – zastanawiała się. – *Być może niektóre osoby pod wpływem tego sensacyjnie napisanego artykułu w „The Guardian” zrozumiwały, że utworzyliśmy prawie prawdziwe zarodki ludzkie. A to nieprawda.*

### Model tego, co ukryte

Ze szczegółami dokonania prof. Żernickiej-Goetz można było się zapoznać dwa tygodnie później, kiedy praca jej

zagnieźdźać się w macicy. Składa się wówczas z trzech rodzajów komórek macierzystych o różnych nazwach: epiblastu utworzy zarodek właściwy, z hipoblastu powstanie pęcherzyk żółtkowy, a z trofektodermy – łożysko. Proces zagnieźdźania się w ścianie macicy dobiega końca 14 dnia od zapłodnienia. Wtedy też następuje tzw. gastrulacja zarodka: jego komórki zaczynają się specjalizować, a on sam traci możliwość podziału i przekształcenia się w bliźnięta. W Wlk. Brytanii – a za nią także i w innych krajach – przyjęto więc właśnie 14. dzień rozwoju jako nieprzekraczalną granicę – dłużej hodować zarodków ludzkich w laboratorium nie można. – *Byliśmy wyjątkowo zainteresowani okresem, gdy zarodek zagnieźdźa się w macicy,*

bo wtedy wiele ciąż kończy się niepowodzeniem – mówiła prof. Żernicka-Goetz.

Z danych, jakie pokazywała, wynikało, że tylko 30 proc. zapłodnionych komórek jajowych rozwija się do etapu narodzin żywego dziecka. 60 proc. kończy się przed 14 dniem, a 10 proc. to poronienia już po zagnieżdzeniu się zarodka w macicy. – *Chcieliśmy zrozumieć przyczyny tych preklinicznych przypadków utraty ciąży* – wyjaśniała.

Nie dało się do tego celu wykorzystać zarodków ofiarowanych do badań przez pary leczące się metodą *in vitro*. W tym wypadku nie było bowiem mowy o przekroczeniu granicy 14 dni. Właśnie z tego względu zespół prof. Żernickiej-Goetz wykorzystał zarodkowe komórki

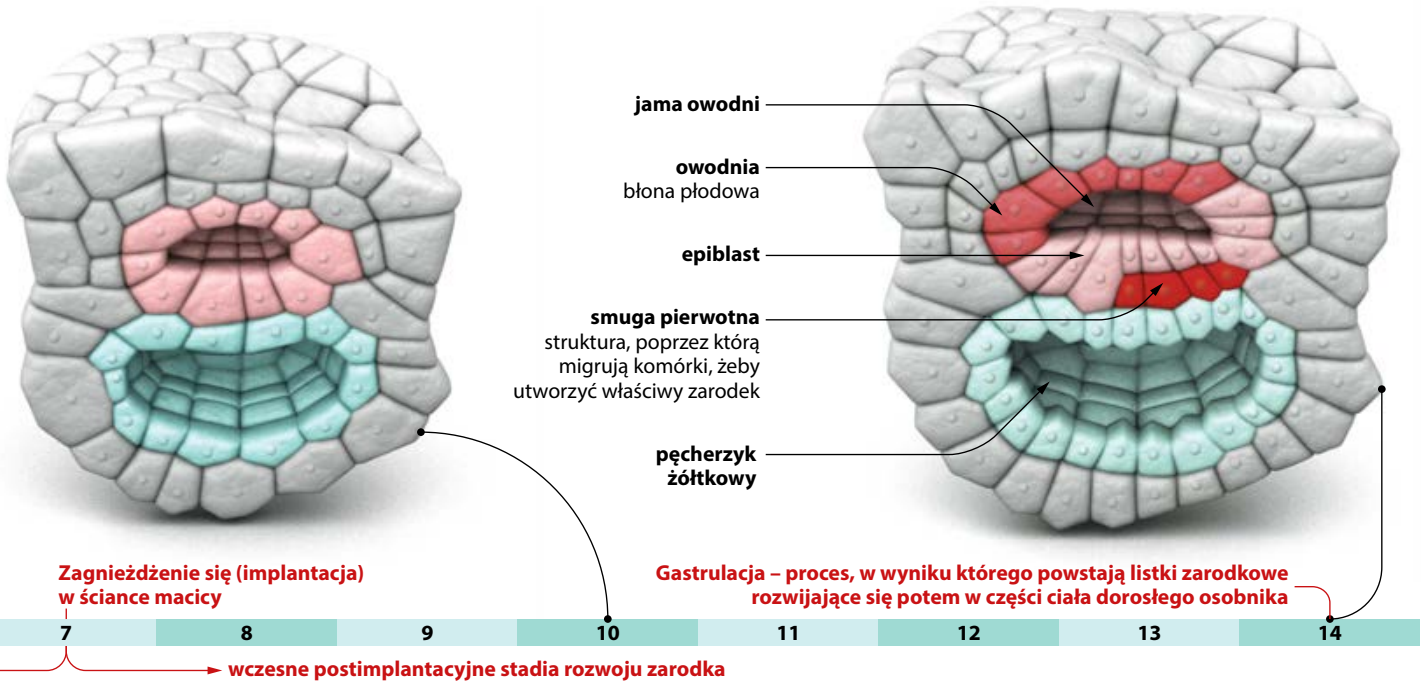
wielu naukowców. *Tak naprawdę z zarodkowych komórek macierzystych utworzyliśmy struktury zarodkopodobne. Nie mają one potencjału rozwojowego. Niemniej są wspaniałym modelem, który pozwala nam poznawać ten etap życia, który ukryty jest przed nami w ciele matki* – mówiła.

### Ważne to, co się rozwinie

Prof. Jacob Hanna stwierdził z kolei, że modele zarodków będzie można hodować do etapu będącego odpowiednikiem 40 dni od zapłodnienia. To pozwoli na testowanie leków oraz na produkcję dojrzałych komórek, takich jak macierzyste komórki krwiotwórcze, które da się wykorzystać do przeszczepów. Zespół

dotyczące modeli zarodków były inne niż zarodków”. Ktoś, kto nie będzie wiedział, jak powstała dana struktura, nie odróżni jej od naturalnej.

Zespół Rivrona przytacza też przykłady innych metod, za pomocą których będzie można tworzyć zarodki ludzkie. Zostały one sprawdzone na zwierzętach i nie ma dużych przeszkód natury biologicznej, by sprawdziły się u człowieka. To np. przeniesienie jądra z komórki dorosłej do jajowej. Ponieważ taki zarodek nie powstanie w wyniku zapłodnienia plemnikiem, oba zestawy genów odziedziczy po matce. Można też utworzyć komórki rozrodcze wprost z komórek macierzystych i zapłodnić je na szalce laboratoryjnej. Albo cofnąć dojrzałą komórkę



macierzyste wszystkich trzech typów (epiblastu, hipoblastu i trofektodermi). Uчени przeprogramowali w nich ekspresję niektórych genów i wszystko razem połączyli. Wtedy rozwinęła się ludzka struktura zarodkopodobna, która zaczęła się organizować. Pojawiła się tkanka owodni – jednej z błon płodowych oraz prekursorzy komórek rozrodczych (komórek jajowych i plemników).

Prof. Żernicka-Goetz podkreślała, że w tych modelach nie było serca ani mózgu. Te struktury nie potrafiły rozwijać się w płód, a prawo zakazuje przenosić je do macicy i używać do celów reprodukcyjnych. Dlatego badaczka jak ognia wystrzega się nazywania ich zarodkami, w tym także „zarodkami syntetycznymi”. – *Termin ten to skrót używany przez*

Juna Wu z University of Texas Southwestern Medical Center w Dallas swój model zarodka nazwał „peri-gastruloidem”, bo naśladuje procesy występujące na etapie gastrulacji. Badacze zaobserwowali nawet wczesne stadia organogenezy, w tym sam początek tworzenia się osi środkowego układu nerwowego.

Nicolas Rivron i jego współpracownicy zgadzają się, że te modele absolutnie nie są zarodkami. Niemniej, jak piszą, „postępy nauki zwiększają lukę biologiczną, a tym samym etyczne i prawne, między modelami zarodków a zarodkami”. W przyszłości, zdaniem badaczy, może zostać przekroczony „punkt zwrotny”, po którym „większość etycznych różnic zniknie i nie będzie więcej żadnego powodu, aby wartość i regulacje

w rozwoju do etapu zarodkowego i utworzyć z niej samodzielny zarodek.

Zgodnie z obecnie przyjętą definicją większość z tych struktur nie mieści się w pojęciu „zarodek ludzki”, gdyż nie powstała w wyniku zapłodnienia. A mimo to niektóre mogą w przyszłości rozwinąć się do etapu dziecka. Zespół Rivrona twierdzi, że w tej sytuacji trzeba przestać przywiązywać się do sposobu powstania danej struktury. Znaczenie powinno mieć wyłącznie to, jak może się dalej rozwinąć. Proponują więc następującą nową definicję zarodka ludzkiego: „Grupa komórek ludzkich, wspieranych przez elementy pełniące funkcje pozazarodkowe i maciczne, które, połączone, mają potencjał uformowania płodu”.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

# Spoglądanie w głąb oka

O CHOROBAH OCZU, JEDNEJ Z NAJWIĘKSZYCH PLAG CYWILIZACYJNYCH XXI W., OPOWIADA **PROF. DR HAB. MACIEJ WOJTKOWSKI**, DYREKTOR MIĘDZYNARODOWEGO CENTRUM BADAŃ OKA (ICTER), WSPÓŁFINANSOWANEGO PRZEZ FUNDACJĘ NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ, W RAMACH PROGRAMU MIĘDZYNARODOWE AGENDY BADAWCZE, ZE ŚRODKÓW FUNDUSZY EUROPEJSKICH Z PROGRAMU INTELIGENTNY ROZWÓJ (POIR).



© ARCHIWUM PRYWATNE

**Choroby wzroku uważane są za schorzenia cywilizacyjne. Wydaje się jednak, że są tak stare, jak sama cywilizacja. Istnieją dowody na to, że operacji oczu dokonywali już starożytni Egipcjanie.**

Pierwsze zabiegi zaćmy przeprowadzano już w starożytności. Były dość prymitywne i przez wiele wieków nie rozwinęły się, głównie ze względu na to, jak wrażliwa jest tkanka oka i jak łatwo ją uszkodzić. Dopiero w drugiej połowie XX w. zaczęto prowadzić operacje, w ramach których instrumenty chirurgiczne wprowadzane są do wnętrza gałki ocznej. Od jakiegoś czasu można już dość bezpiecznie operować oko, i to na pewno ważny moment w dziejach naszej ewolucji cywilizacyjnej.

Ostatnio przyzwyczailiśmy się do postępu, ale wykorzystywane obecnie technologie nie pojawiły się z dnia na dzień, one rozwijały się od 20 czy nawet 30 lat.

Prof. dr hab. **Maciej Wojtkowski** – fizyk, specjalizuje się w optyce fizycznej i optycznych metodach obrazowania. Wprowadził tomografię optyczną OCT do obrazowania ludzkiego oka, która została wdrożona w wielu urządzeniach medycznych dostępnych w gabinetach okulistycznych na całym świecie. Przyczynił się do wyjaśnienia zjawiska widzenia dwufotonowego i poprowadził udany projekt pierwszego obrazowania żywej siatkówki za pomocą fluorescencji wzbudzonej dwufotonowo.

Tak samo jest z terapiami. Potrzeba czasu, by stały się bezpieczne, ustandaryzowane i wpasowane w systemy opieki zdrowotnej. Spodziewamy się jednak, że w najbliższym czasie będzie się pojawiać coraz więcej nowych sposobów leczenia wzroku. Cel jest taki, aby oczy utrzymać w formie, która pozwoli nam bezpiecznie i komfortowo funkcjonować do późnej starości.

**Oczy to poza mózgiem chyba najdelikatniejszy organ naszego ciała.**

To prawda. Oko jest dość mocno funkcjonalnie wyizolowane od reszty organizmu. To ma swoje zalety, ale jednocześnie ma też swoją cenę. Wewnętrzna fabryka chemiczna, która znajduje się w oku, produkuje dużo odpadów i z czasem one się odkładają, co powoduje problemy. Mamy jednak nadzieję, że w przyszłości nauczymy się lepiej pomagać narządowi wzroku. Coraz szerzej w leczeniu chorób oka stosowane są m.in. terapie genowe. Okuliści i naukowcy wprowadzają metody wyszukiwania uszkodzonych genów i selektywnego, bezpiecznego wprowadzania informacji genetycznej tak, by białka funkcjonowały poprawnie. Są oni już w stanie zahamować ślepotę wrodzoną, choć jeszcze niedawno wyjście z niej traktowano w kategoriach cudu.

**Co w tym złożonym układzie jest dziś najtrudniejszym problemem badawczym?**

Oko to bardzo złożony układ, w którym nie ma nadmiarowego materiału biologicznego. Tworzą je pojedyncze warstwy komórkowe. Na przykład nabłonek barwnikowy odpowiada za wszystkie operacje przetwarzania energii, które odżywiają fotoreceptory. Jakikolwiek uszkodzenie tego nabłonka powoduje nieodwracalne zmiany w komórce, bo na tak niewielkiej przestrzeni nie ma miejsca na to, by komórki mogły się zregenerować.

**W odróżnieniu od większości badaczy pan do całego problemu podszedł nieco inaczej – nie od strony medycyny czy biologii, ale fizyki.**

Jestem z wykształcenia fizykiem. Fizyka nie lubi układów tak złożonych jak ludzkie oko, bo jej aksjomatem jest to, by podać jak najprostszą przepis na zrozumienie zjawiska. Kiedy wchodzimy w świat układów bardziej złożonych, to sama fizyka nie wystarcza i trzeba łączyć różne dziedziny wiedzy, jak chemia czy biologia. Inaczej w tym bardzo skomplikowanym świecie nie da się poruszać.

**Całą medycynę można w zasadzie podzielić na prewencję, diagnostykę i leczenie. Co jest najtrudniejsze w przypadku oka?**

Wydaje się, że w tej chwili największym wyzwaniem jest terapeutyka i zmiana metod leczenia. Dodatkowym problemem jest to, że nadal nie znamy przyczyn niektórych chorób. Na przykład za odżywianie oka odpowiada naczyniówka, czyli warstwa leżąca bezpośrednio pod siatkówką. To struktura podobna do nerki, przez którą przepływa dużo krwi. Z tego powodu choroby ogólnoustrojowe mogą mieć duży wpływ na kondycję oka. To oznacza, że trudno o prewencję. Zdarza się, że nie wiemy, gdzie leży źródło problemu. Potrzebujemy więc coraz lepszych narzędzi diagnostycznych. Musimy też się upewnić, że te nowe narzędzia będą nadążały za terapiami, byśmy byli w stanie oceniać, w jakim stopniu pacjentowi pomagają zastosowane leczenie. To system naczyń połączonych, gdzie wyzwaniem w jednej dziedzinie generuje wyzwania w pozostałych.

**Praca waszego centrum opiera się na łączeniu doświadczeń i wiedzy lekarzy, chemików, fizyków czy specjalistów zajmujących się robotyką.**

Nie tylko łączymy różne dziedziny nauki, ale również musimy skupiać się na konkretnych celach. Nie możemy po prostu zebrać w jednym miejscu naukowców i powiedzieć: „teraz zajmijcie się badaniami”. Staramy się rozwijać technologie, które będą nadążały za terapiami, oraz tworzyć narzędzia diagnostyczne i chirurgiczne na ich potrzeby.

**Czym w tym momencie możecie się pochwalić i jakie będą główne kierunki waszych badań w najbliższych miesiącach i latach?**

Najbardziej jesteśmy dumni z wprowadzenia nowych metod diagnostycznych. Dwie z nich służą badaniu siatkówki. Dzięki nim jesteśmy w stanie mierzyć czynność fotoreceptorów w sposób bezinwazyjny i bezkontaktowy. Pierwsza to obrazowanie dna oka z wykorzystaniem fluorescencji ze wzbudzeniem dwufotonowym. To przypomina obrazowanie mikroskopowe. Pozwala nam jednak wskazywać tylko te elementy, które są aktywne w procesie widzenia. Każde zaburzenie tego procesu przejawia się zmianą fluorescencji, czyli siły światła emitowanego z tych komórek. Na razie jako pierwsi na świecie pokazaliśmy, że jesteśmy w stanie mierzyć te sygnały u ludzi i korelować ze zmianą obecnych w oku składników chemicznych.

Druga technika pozwala nam obserwować zmianę długości fotoreceptorów. Mają one kształt małych rurek złożonych z dysków czy pofałdowanej błony. Kiedy absorbują światło, następuje ich bardzo subtelne wydłużanie i skracanie. Choć są to zmiany rzędu pojedynczych nanometrów, jesteśmy w stanie je mierzyć. Niesamowite jest to, że robimy to w żywym oku, które stale drga i się porusza. Pracujemy nad urządzeniem, które będzie można stosować w warunkach klinicznych i pozwoli nam precyzyjnie, w sposób liczbowy przedstawiać zachodzące w oku zmiany bez konieczności pytania pacjenta o subiektywne odczucia.

Natomiast trzecia technika, z której również jesteśmy dumni, dotyczy badania własności biomechanicznych rogówki. Przy zabiegach laserowej korekcji wzroku potrzebujemy informacji o stanie czy jednorodności mechanicznej rogówki, o tym, czy ma ona miejscami inne własności mogące wpłynąć na wynik zabiegu. Wprowadziliśmy więc metodę tak zwanego dziewięciopunktowego pomiaru

odkształceń rogówki, która pozwala przy pomocy podmuchu powietrza bardzo szybko sprawdzać, czy nie zachodzi jakaś dysfunkcja. Wspólnie z prof. dr hab. Bartłojem Kałużnym, kierownikiem Zakładu Optometrii Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy, przeprowadziliśmy próby na ponad setce oczu. Obecnie pracujemy nad miniaturyzacją urządzenia. Chcemy też, by stało się przystępne cenowo.

**Jakie znaczenie ma to, że wasz ośrodek działa w ramach Międzynarodowych Agend Badawczych?**

Trzeba sobie zdawać sprawę, że dzisiejsza nauka nie jest już „romantyczną przygodą”, jak mogło się wydawać sto lat temu. Teraz jeśli czegoś się nie zrobi w odpowiednim momencie, to robi to ktoś inny albo problem zostanie zarzucony i wówczas dana dziedzina przestanie się rozwijać. Z tego wynika potrzeba tworzenia silnych grup badawczych, które funkcjonują podobnie do korporacji. Mają określone zadania, realizują je szybko, sprawnie dostarczają danych i działają w ramach synergii z innymi grupami. Tymczasem w naszym kraju nadal działa taki model akademicki, model profesora-mentora, który wychowuje doktorantów czy studentów. W pewnych projektach, zanim wychowamy studentów i nauczymy ich praktycznych umiejętności, oni idą pracować do przemysłu albo wyjeżdżają za granicę. Dlatego pomyśl agend badawczych tak dobrze się sprawdza. Ta formuła daje więcej elastyczności i możliwości zarządzania procesami. W nauce musi być ferment, a takie inicjatywy pozwalają ten ferment wprowadzić.

W przypadku naszego zespołu rola Fundacji na rzecz Nauki Polskiej była ogromna. To FNP koordynuje projekt Międzynarodowych Agend Badawczych. Te programy są bardzo potrzebne, by zmieniać krajobraz polskiej nauki tak, by stała się bardziej otwarta i elastyczna. Największą wartością są jednak naukowcy pracujący nad unikatowymi rozwiązaniami. Dzięki temu później powstają nowe inicjatywy i firmy, można budować kapitał oparty na nowych rozwiązaniach. To wszystko jest systemem naczyń połączonych, a fakt, że FNP w pionierski sposób wprowadza rozwiązania, to dobry przykład transparentnego działania dla innych agend i organizacji.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: [www.fnp.org.pl](http://www.fnp.org.pl)



# Nieobiektywny obiektyw

Od portretu trumiennego do selfie z wakacji. O zawartości polskich albumów fotograficznych opowiada prof. Błażej Brzostek.

MARCIN ZAREMBA: – **Wycięty szczyrykiem napis „Tu byłem” to przednowoczesny kult samego siebie. Dziś robimy selfie, podtrzymując krzywą wieżę w Pizie. Kiedy tego typu zdjęcia zastąpiły napisy?**

BŁAŻEJ BRZOSTEK: – Ludzie ciągle je po sobie pozostawiają. Na kamiennych fasadach starych kościołów w Polsce można znaleźć wyryte podpisy czasami całych pokoleń, począwszy od szlachciców, którzy dodatkowo robili cięcia szablą. Nie jest jednak jasne, kiedy i jak ta fascynująca potrzeba zaznaczenia swojej obecności rozprzestrzeniła się w społeczeństwie, jeśli chodzi o wizerunek. Elity obcowały z własnymi portretami już w okresie nowożytności. Moda przyszła z góry: arystokracja знаła podobizny króla. Kiedy wizerunek świętego został zastąpiony portretem władcy, jego najbliższe otoczenie również zaczęło składać zamówienia u malarzy.

## Portret nie był tani.

Trumienny mógł zamówić szlachcic w zaścianku. Nigdy jednak jego poddani chłopci. Oni obcowali z wizerunkami świętych.

## Zmiana przychodzi w XIX w.

Za sprawą fotografii. Pojawia się możliwość, by człowiek niezamierzony miał swój, i to w dodatku doskonały, portret. W 1839 r. Towarzystwo Dobroczynności po raz pierwszy w Warszawie wystawiło na widok publiczny dagerotyp: przedstawiał katedrę Notre Dame. Z 1847 r. pochodzą paryskie dagerotypy Fryderyka Chopina. Ale musiały upłynąć dekady, nim przeciętny mieszkaniec ziem polskich mógł pomyśleć, że robi sobie zdjęcie. Na wsi nie było nawyku malowania osób. Malarze powtarzali masowo typowe portrety świętych. Przeciętny człowiek nie miał nawet lusterka.

## A to wiemy?

Z dziewiętnastowiecznych inwentarzy. Wynika z nich, że lustra mieli mieszkańcy miast, raczej drobnomieszczactwo niż ludność pracująca fizycznie. Natomiast dla człowieka wsi jedynym obrazem własnego ciała, który znał, było odbicie w wodzie. Patrzenie w jej taflę należało do doświadczeń bez mała eschatologicznych. Człowiek widział siebie w odmęcie, w budzącej lęk głębi. Gdy na przełomie XIX i XX w. w niektórych krajach zaczęto wymagać fotografii rozpoznawczych, liczne grupy religijne zaprotestowały, argumentując, że zabiera się im duszę. Diabelski pomysł, mówiono.

## Wracając jednak do polskich miast...

W latach 70. XIX w. nawet w małych miasteczkach powstawały atelier fotograficzne. W modzie były małe zdjęcia naklejone na tekturkę, *carte de visite*, francuski patent. Elity fotografowały się, manifestując swoje mieszczańskie lub szlacheckie dystynkcje, np. pozując w kontuszu. „Wszystko” zaczęło się, gdy jedna z paryskich pracowni sfotografowała Napoleona III. Jego zdjęcie masowo kupowano, by je wkladać do albumów. Dawało to poczucie obcowania z samym cesarzem.



## Nie inaczej było w monarchii Habsburgów z przedstawieniami najjaśniejszego Franciszka Józefa.

Tak. Namalowany portret traktowano jako idealizację. A zdjęcia miały „pokazywać prawdę”. To jedno z ówczesnych złudzeń dotyczących fotografii. Fotografia odsłania wszystkie niedoskonałości świata, w tym ludzkiej twarzy. W jednej z francuskich gazet opublikowano drzeworyt składający się z dwóch części. Na jednej widniała namalowana w stylu empiryowym piękna dama. Na drugiej fotografia tej samej kobiety, ale już zmęczonej i brzydkiej. Pod tym napis: precz z fotografią! Zauważano też, że z jej powodu stajemy się przesadnie wrażliwi w ocenie własnego wizerunku.

## Dziewiętnastowieczne korzenie dzisiejszego kultu idealnego wyglądu.

Ludzie zaczęli mieć wrażenie, że ich ciało jest bezlitośnie dokumentowane. Dlatego zaczęli nad nim bardziej pracować. Z tego prawdopodobnie częściowo wynikała obsesja gorsetów czy pełnej kontroli nad opalenizną.

**Ale jednocześnie pojawiło się żądanie, by fotografia upiększała. Stąd stosowanie filtrów, techniki zmiękczenia obrazu. W PRL jeszcze długo po wojnie zdjęcia portretowe retuszowano.**



2

1 Portret Fryderyka Chopina wykonany pierwszą techniką fotograficzną – dagerotypią, 1849 r.

2 Dagerotyp zmarłego dziecka wykonany dla rodziców, lata 40. XIX w.

3 Zdjęcie reportażowe procesji komunijnej w Dębowcu, 1989 r.

4 Grupa woźniców należących do towarzystwa gimnastycznego pozuje w atelier w Wiedniu, 1910 r.

5 Chopiec z aparatem Start na festiwalu piosenki w Opolu, 1968 r.



3



5

Słynny zakład fotograficzny Dorysa w Warszawie przy Nowym Świecie 29 miał wszelkie narzędzia, by ulepszyć wizerunek. Fotografia zmagala się z problemem, jak wiernie pokazać twarz człowieka, jednocześnie mu schlebiając. Długo był to jednak problem wyłącznie elity. Fotografia prasowa pojawiła się dopiero pod koniec XIX w. Wcześniej zdjęcia przerabiano na drzeworyty. Czytelnicy obcowali więc z ich ręcznymi odwzorowaniami.

#### **Kiedy potrzeba posiadania własnego wizerunku rozprzestrzeniła się poza elitami?**

W Stanach Zjednoczonych miała związek z migracjami. Amerykanie byli w ciągłym ruchu. Bliscy chcieli wiedzieć, że ich krewni, którzy ruszyli na Zachód, żyją. Ci z kolei chcieli zademonstrować, że dobrze im się powodzi. Na tę potrzebę odpowiadali fotografowie przenoszący się z miejsca na miejsce na wozach wraz z całym sprzętem. Na ziemiach polskich prawdopodobnie najliczniejszą grupą ludową, której wówczas zrobiono zdjęcia, byli emigranci do USA.

#### **A jaką rolę w tym procesie miało nowoczesne państwo?**

Poborowi w czasie pierwszej wojny byli masowo fotografowani. Po raz pierwszy obcowali z fotografią, bo musieli. Ale po wojnie wielu z nich zaczęło utrzymywać siebie jako szczęśliwych małżonków.

#### **Zdjęcie małżeńskie stało się obowiązkowe?**

Tak. A tam, gdzie takiej możliwości nie było, usługę zapewniali obwoźni malarze, którzy robili monidła – przedstawienia pary małżeńskiej często wykonane z dwóch odrębnych fotografii. Dlatego mężczyzna często miał na sobie mundur, to było jedyne zdjęcie, jakie posiadał. Monidło wisiało nad małżeńskim łóżem jako dowód wierności i wspólnego losu. Szczyt popularności tego typu „zdjęć” przypada na lata 50. XX w. Już wówczas potrzeba własnego wizerunku była powszechna.

#### **W Polsce Ludowej masowy apetyt na własny wizerunek został zaspokojony?**

Znów za sprawą migracji. Po drugiej wojnie miliony ludzi przeniosły się ze wschodu na zachód, ze wsi do miast. Odczuwały potrzebę uwiecznienia zmiany w swoim życiu. Inna sprawa, że od 1953 r. należało sobie zrobić fotografię rozpoznawczą, ponieważ każdy dorosły Polak musiał legitymować się dowodem osobistym ze zdjęciem. Wszystko przy masowej biedzie, która nie pozwalała jeszcze wtargnąć fotografii do życia codziennego.

#### **„Wszystko” zmienił rok 1956.**

Za sprawą produkowanego przez Warszawskie Zakłady Fotooptyczne aparatu Druh. Miał aktywizować społecznie młodzież, stąd nazwa. Zrobiony z ebonitu był kopią enerdowskiej produkcji o prostej konstrukcji: migawka i przesłona tylko w dwóch ustawieniach. Do końca lat 60. do Polaków trafiło około miliona sztuk.

#### **A co z kliszami, odczynnikami, papierem?**

Były. Po wojnie znacjonalizowano małe przedsiębiorstwa produkujące potrzebne wyposażenie. Co ważniejsze, więcej było młodych ludzi wykształconych technicznie. Przed wojną działały dwie politechniki, pod koniec lat 40. było ich pięć. I gdy po śmierci Stalina przemysł zaczął produkować towary przemysłowe dla masowego odbiorcy, oni rzucili się do projektowania. W 1953 r. powstały projekty samochodu Syrena, motocykli, odkurzaczy, lodówek itp. Większość nie weszła do produkcji. Ale niektóre wdrożono, np. dwuobiektywową lustrzanke Start, wzorowaną na niemieckim Rolleiflexie.

#### **Profesjonalna?**

Amatorska, ze średniej półki. To był fenomen – produkowano ją od 1953 do 1985 r. praktycznie w niezmiennym kształcie. Klisze powstawały w Warszawie na Woli i w bydgoskim Fotonie. Uruchomiono więc produkcję, dzięki której w latach 60. Polacy zaczęli masowo fotografować. ▶

### ► Co uwieczniali? Mówimy o amatorach.

Czas wolny. Nie fotografowali pracy i zajęć domowych. Sięgali po aparat w niedzielę. Najczęstszym tematem ok. 1960 r. był piknik. Towarzystwo na trawie, kobiety w bieliźnie, butelki z piwem czy oranżadą, kanapki. Fotografia miała pokazać, że rodzina czy grupa przyjaciół czuje się dobrze i swobodnie. Popijają, jedzą. Przez sześć dni w tygodniu ciężko pracowali, zwykle w złych warunkach. Teraz zażywają relaksu. Drugi najczęstszy temat fotografii lat 50. był związany z baby boomem.

#### Przypomnijmy, że na świat przyszedło blisko 800 tys. dzieci rocznie.

Zdumiewające, że w stereotypie stalinizmu w ogóle ich nie ma. A było ich mnóstwo. Zmienił się również stosunek do nich. Po doświadczeniach wojny, utracie czasami całych rodzin, ludzie otaczali dzieci szczególną opieką. Dbano o ich dobrostan, kupowano zabawki. To wszystko było bardzo skromne, ale uwieczniane na fotografii. A więc mamy dzieci na podwórku, na sankach, śpiące... Rodzice chcieli mieć aparat. Dodatkowo migracje, oddalenie od domu, rewolucja społeczna likwidująca przedwojenne dystanse powodowały, że ludzie mieli wrażenie, że mają większą możliwość konstruowania swojego życia. Młodzi przenosili się do miasta, by podjąć naukę, pracę, wchodzili w nowe relacje i mieli potrzebę ich udokumentowania. Studenci wyjeżdżali na wakacje z aparatami. Mamy całe albumy pokazujące siedzących w schronisku, wygłupiających się, idących z plecakami. Podobnie chciano uwiecznić pierwszy w życiu wyjazd na wczasy. Ciekawym zwyczajem było branie ze sobą zdjęć legitymacyjnych, by je rozdać.

#### Pannie Krysi z turnusu...

Czasami czytamy: „Jurkowi na pamiątkę niezapomnianych chwil”. A to oznacza, że między ludźmi coś się działo.

#### Historyk Andrzej Paczkowski wspomina, że ze Związku Radzieckiego przywożono lepsze lustrzanki. Czy wówczas aparat był symbolem prestiżu tak jak dzisiaj samochód?

Jest rysunek Szymona Kobylińskiego z lat 70. pokazujący leżącą na plaży kobiety i dwóch facetów z zawieszonymi na szyi aparatami. Jeden ma krótki obiektyw, drugi długi... Posiadanie aparatu stało się dystynkcją, np. enerdowskiej Praktyki czy radzieckiego Kieva, które w latach 60. dorównywały produkcjom japońskim. A gdy ktoś miał lustrzankę zachodniemiecką czy amerykańską, widziano w nim profesjonalistę. Symbolem seksu lat 60. był fotoreporter jeżdżący Wespą w poszukiwaniu „kociaków” na okładki.

#### W 1954 r. zaczął wychodzić tygodnik „Dookoła Świata”, w kioskach do kupienia zachęcały okładki „Przekroju”, „Ty i Ja”.

Za sprawą fotografii okładkowej zmieniała się obyczajowość, lansowano nowe wzory kultury, rodził się kult ciała, modnej fryzury, co naśladowali młodzi, którzy też chcieli mieć takie zdjęcia.

#### Wielu amatorów fotografowało też zmieniające się otoczenie, nowe budynki.

Zacznijmy od trochę zapomnianego fenomenu społecznego lat 60. i 70. – masowego ruchu fotoamatorów skupionych w tysiącach klubów czy ognisk przy domach kultury, szkołach, zakładach pracy. Do nich trafiło pismo „Foto”, które uczyło fotografować. Były też wymierne korzyści przynależności: łatwiejszy dostęp do klisz i odczynników, których ciągle brakowało. Rodziła się pasja fotoreporterska. Podgrzewały ją co i raz ogłaszane konkursy, np. „Twoje miasto”. W pewnym momencie przyszedł znużenie zdjęciami rodzinnymi, fotoamatorzy ruszali więc w teren, by pokazać rzeczywistość. Inspiracje czerpali z dominującej w przestrzeni publicznej fotografii oficjalnej, wszechobecnej propagandy sukcesu.

### Dlatego w naszych albumach tyle budynków mieszkalnych?

W latach 70. Polacy masowo czekali na mieszkania. Fotografowali więc tę dziurę w ziemi, to miejsce na niebie, gdzie kiedyś będzie ich blok, ich balkon. Robili zdjęcia ciągnących się w nieskończoność budów, bo tym żyli. Niekiedy obawiali się straży przemysłowej, milicji, które reagowały alergicznie na próby dokumentowania rozgrzebanej budowy. Pamiętamy, że w wielu miejscach wisiały zakazy fotografowania. Z drugiej strony w PRL nie obowiązywało RODO, więc można było swobodnie fotografować na ulicy.

#### Kiedy amatorzy zaczęli wchodzić na teren zakładu?

Oni zawsze tam byli, ponieważ działały zakładowe koła fotograficzne. Problem w tym, że pracodawca oczekiwał dokumentowania własnych sukcesów, zdjęć czystej stołówki i wytopu surówki. Ale skutków wypadków przy pracy, których, pamiętajmy, było wiele, nie wolno już było pokazać. Takie zdjęcia mogła robić tylko SB.

#### A czego w rodzinnych albumach nie ma?

Fotografia realizowała złożone potrzeby jednostek: dokumentowania przeszłości rodziny, np. nieboszczyków w otwartych trumnach, kluczowe momenty życia, jak ślub, narodziny dziecka, pierwsza komunia. Nie ma brzydoty. Tę uwieczniali fotograficy zawodowi: rudery, pijaków na bruku. Impulsem do tego typu fotoreportaży stały się wydarzenia 1956 r. i powszechne wówczas pragnienie autentyczności, odkłamania ikonicznych obrazów stalinizmu, np. robotnika otrzymującego mieszkanie.

#### Później ta fotografia socjologiczna zanikała.

Bo walczyła z nią cenzura. Od początku lat 60. tego typu zdjęć publikuje się niewiele, ale rozwija się nadal reportaż społeczny, często znakomity. Od lat 70. powstaje słynny cykl Zofii Rydet „Zapis socjologiczny”, obraz ludzi w ich codziennym otoczeniu, przeważnie starszych w drewnianych izbach z monidłami nad łóżkiem. Na drugim biegunie – fascynacja młodym ciałem, które nagle można pokazać. Pierwsza wystawa aktu „Wenus” miała miejsce w 1969 r. w Krakowie i przyciągnęła tłumy.

Kilka czasopism lat 70. regularnie publikowało „rozebrane zdjęcia”, zresztą ściągnięte z Zachodu. Ale ludzie sami na ogół nie fotografowali się w sytuacjach intymnych.

#### A jak prezentują się w naszych albumach lata 80.?

Widać efekt papieża. Dystrybuowano zdjęcia z jego wizerunkiem, później też księdza Jerzego Popiełuszki. Nastąpił zarazem zwrot w stronę tradycjonalizmu, pokazywania rodziny, świątecznego stołu. Ponieważ świat publiczny stał się nieprzyjazny, Polacy wracali w swoim fotografowaniu do wcześniejszych tematów: podróży małym Fiatem, plażowania. Trwała moda wyświetlania na spotkaniach towarzyskich kolorowych slajdów z podróży do Jugosławii czy na Węgry. Dzielenia się wspomnieniami z krainy słońca.

#### Jak dzisiaj?

Ale wówczas miało to znaczenie terapeutyczne, ponieważ za oknem było ponuro. W latach 80. rozwijała się też fotografia podziemna. Fotoreporterzy podziemia dokumentowali demonstracje, walki z milicją. Ponieważ Polacy migrowali na stałe bądź czasowo na Zachód, pojawiały się przywożone stamtąd aparaty natychmiastowe Polaroid. One jakoś zapowiadały erę komputerów, które też wówczas zaczęły się pojawiać nad Wisłą.

Tradycyjna czarno-biała fotografia stawała się passé, także za sprawą wideo. Przez dziesiątki lat fotografia produkowała złudzenia, odtwarzała konwenanse i rytuały. Dzisiaj może mniej jest pompy i celebry. Publikując na Facebooku „paragony grozy” z wakacji, mamy wrażenie bycia bliżej prawdy o świecie, ale to chyba kolejne złudzenie.

ROZMAWIAŁ MARCIN ZAREMBA



#### Błażej Brzostek

– dr hab., prof. UW, pracuje na Wydziale Historii, jest autorem książek „Paryż innej Europy. Warszawa i Bukareszt. XIX i XX wiek” oraz „Wstecz. Historia Warszawy do początku”.

Hamas uderzył na Izrael w 50. rocznicę wybuchu wojny Jom Kipur w 1973 r. Tamten konflikt okazał się momentem zwrotnym w historii państwa żydowskiego.

## Siła i słabość

Izraelska brygada pancerna rusza na Wzgórze Golan drugiego dnia wojny Jom Kipur.

ADAM KRZEMIŃSKI

**W** żydowski Dzień Pojednania, Jom Kipur, 6 października 1973 r. armie Egiptu i Syrii zaatakowały i przełamały izraelskie umocnienia na wschodnim brzegu Kanału Sueskiego i na Wzgórzach Golan. Szok był podwójny. Izraelski wywiad uchodził za jeden z najlepszych na świecie. A izraelska armia – od czasu wojny sześciodniowej 1967 r. – za najlepszą w regionie. Izraelczycy błyskotliwie odparli wtedy najazd armii sześciu państw arabskich. Zajęli wschodnią Jerozolimę, cały półwysep Synajski, a na pograniczu z Syrią – Wzgórze Golan. Ponadto podporządkowali sobie cały zachodni brzeg Jordanu.

Po roku 1967 Izrael pod rządami Goldy Meir z Partii Pracy żył w euforii, ufając charyzmatycznemu generałowi Mosze Dajanowi, choć w relacjach z sąsiadami trwał nieokreślony stan „między wojną i pokojem”. Państwa arabskie nie uznawały Izraela i nie były zainteresowane wchłonięciem palestyńskich uchodźców, których obozy w Jordanii i Libanie stały się bazą rekrutacyjną dla skrajnych organizacji terrorystycznych.

**Tym większym szokiem było to, że w 1973 r. Izraelczycy dali się zaskoczyć.** Nie tylko Mosad sygnalizował Goldzie Meir, że rozpoczęcie wojny jest przesądzone, także król Jordanii Husajn. Niemniej szef wywiadu wojskowego te przecieki bagatelizował.

Tymczasem Arabowie – wbrew lekceważącej opinii w Izraelu o ich umiejętnościach bojowych – okazali się zdolni do skomplikowanej akcji przekroczenia Kanału Sueskiego i przzerwania umocnień linii Bar Lewa. Egipcjcy komandosi zdołali potajemnie zabetonować wyloty zbiorników z ropą, która miała zamienić Kanał w morze płomieni. Udało się też zbudować mosty pontonowe, a nowe radzieckie Mig-21 oraz rakiety ziemia–powietrze zablokowały izraelskiemu lotnictwu dostęp do strefy walk, w której w ciągu pierwszych trzech dni Izraelczycy ponosili ciężkie straty. Ich kontratak z 8 października został zatrzymany.

Jeszcze groźniejsza była sytuacja na Wzgórzach Golan, gdzie czołgi syryjskie przełamały obronę, bezpośrednio zagrażając rdzennemu Izraelowi. Dla izraelskiego sztabu generalnego był to teraz najważniejszy teatr wojenny. Zmobilizowano ostatnie środki, wysyłając na front niepełne jednostki. Zaminowano mosty na Jordanie, 9 października lotnictwo izraelskie zbombardowało budynki rządowe w Damaszku oraz obiekty wojskowe w syryjskich portach, zatapiając m.in. radziecki transportowiec. Następnego dnia Izraelczycy odzyskali Wzgórze Golan i 11 października ruszyli w głąb Syrii, spychając iracki korpus ekspedycyjny do obrony 40 km przed Damaszkiem.

Jednak od 9 października ZSRR otworzył most powietrzny z Węgier do Egiptu i Syrii, uzupełniając na bieżąco straty sprzętu armii arabskich. Tego samego dnia prezydent USA Richard Nixon zezwolił na amerykańskie dostawy broni dla Izraela, ale jedynie przez linie prywatne.

Te odmówiły z obawy przed bojkotem przez państwa arabskie. Pozostało kilka najsilniejszych Boeingów izraelskiej linii lotniczej. Dopiero od 14 października broń i amunicję dla Izraela dostarczały amerykańskie samoloty wojskowe eskortowane wzdłuż Morza Śródziemnego przez lotnictwo amerykańskie i izraelskie...

**Zwrot na Synaju zaczął się 14 października od egipskiego natarcia** na przedpolach przełęczy Mitla, gdzie w 1967 r. Izraelczycy wygrali największą bitwę pancerną od czasu drugiej wojny światowej. Teraz również zwyciężyli, niszcząc ponad połowę z 500 egipskich czołgów.

16 października izraelski kontratak dotarł ponownie do Kanału. Komandosi przepławili się na pontonach na zachodni brzeg, tworząc przyczółek dla trzech mostów pontonowych.

17 października zdominowane przez Arabię Saudyjską państwa OPEC wprowadziły embargo na eksport ropy do USA i zachodniej Europy.

18 października ruszyło izraelskie natarcie w kierunku Kairu i Suez, co całkowicie odcięło w kotle egipską 3. Armie znajdującą się na Synaju. Równocześnie po zniszczeniu radzieckich baterii przeciwlotniczych Izraelczycy odzyskali przewagę w powietrzu.

22 października Rada Bezpieczeństwa ONZ wezwała strony do zawieszenia broni, które Egipcjanie następnej nocy złamali, atakując izraelskie pozycje, na co Izraelczycy odpowiedzieli, zamykając całkowicie dostęp do Suez, odcinając tym samym zaopatrzenie ►

► do egipskiej 3. Armii na Synaju. Po czym Leonid Breżniew zagroził Nixonowi, że w wypadku dalszych działań izraelskich Kreml podejmie „jednostronną” interwencję zbrojną na Bliskim Wschodzie, i na południu ZSRR postawiono w stan gotowości dywizje powietrznodesantowe mające wylądować w rejonie Wzgórz Golan.

**24 października Egipcjanie ponownie zaatakowali izraelskie pozycje na północ od Suez, a prezydent Anwar as-Sadat oskarżył Izraelczyków o nieprzestrzeżenie zawieszenia broni, zapowiadając, że poprosi ZSRR o interwencję.** Tego samego dnia prezydent Nixon postawił amerykańskie siły zbrojne w stan podwyższonej gotowości bojowej. Z bazy na Pacyfiku wysłano 60 bombowców strategicznych, a w USA do transportowców zaczęto ładować dywizję powietrznodesantową.

25 października Sadat pod naciskiem ZSRR zgodził się na ogłoszenie zawieszenia broni, kończąc międzynarodowy kryzys... Na 101. kilometrze szosy Kair–Suez zaczęły się techniczne rozmowy izraelsko-egipskie. W wojnie Jom Kipur zginęło 2656 Izraelczyków, 7250 zostało rannych, a 295 dostało się do niewoli. Stracono 102 samoloty i około tysiąca czołgów, z czego ponad połowa nadawała się do naprawy. Państwa arabskie ogłosiły stratę 8528 zabitych i 19 540 rannych żołnierzy, 8783 – głównie Egipcjan – dostało się do niewoli. Ponadto stracono 2250 czołgów, 432 samoloty i 19 okrętów.

W kwietniu 1974 r. komisja śledcza w Izraelu kierowana przez prezesa Sądu Najwyższego Szimona Agranata główną odpowiedzialnością za początkowe porażki obciążyła szefa Sztabu Generalnego Dawida Elazara, a także szefa wywiadu wojskowego gen. Eli Zeira. Powstrzymano się przed oceną odpowiedzialności za katastrofę na początku wojny premier Goldy Meir oraz ministra obrony Dajana.

To prawda, że zlekceważono arabskie przygotowania i lekkomyślnie wydano części żołnierzy przepustki na Dzień Pojednania. Dajan przyznał też, że dano się oszukać Egipcjanom, którzy we wrześniu wielokrotnie sprawiali wrażenie, jakby chcieli ruszyć. Każdorazowa reakcja na alarm kosztowałaby Izrael miliony dolarów. Ale było coś jeszcze.

Konflikt izraelsko-arabski był także częścią globalnej konfrontacji mocarstw. Państwa arabskie – odwołujące się do antykolonializmu i przez pewien czas

„arabskiego socjalizmu” – były zależne od radzieckich dostaw broni oraz 20 tys. (według amerykańskich szacunków) doradców wojskowych z ZSRR. Natomiast Izrael był uzależniony od wsparcia Zachodu. Przy czym Nixon, mając na głowie wojnę wietnamską i aferę Watergate, był zainteresowany odprężeniem z Moskwą i przestrzegał latem 1973 r. Izraelczyków, że nie poprze Izraela w przypadku jego prewencyjnego uderzenia na pozycje egipskie. Ponadto w lutym doradca Nixona ds. bezpieczeństwa Henry Kissinger otrzymał z Egiptu sygnały chęci zbliżenia do USA. Doradca Sadata Hafez Ismail zasygnalizował nawet gotowość porozumienia Egiptu z Izraelem w zamian za odzyskanie okupowanego Synaju. Nie dopowiedział jednak, że przedtem Sadat wojną musi zmyć hańbę roku 1967.

Kwestia „pokój za ziemię” nie była nowa. Jej zwolennikiem był w Izraelu Abba Eban, minister spraw zagranicznych w rządzie Goldy Meir. A także stylizujący się na aroganta „jednooki jastrząb” – jak go nazywała peerelowska propaganda – Mosze Dajan. Jego sugestie z 1970 r. – wycofania wojsk obu stron kilka kilometrów od Kanału dla stworzenia między nimi strefy buforowej – Golda Meir odrzuciła.

O ile wojna sześciodniowa dała Dajanowi poczucie siły Izraela i słabości Arabów, o tyle wojna Jom Kipur sprawiła, że po roku 1973 był zdeterminowany do poszukiwania drogi pokoju. Zmienił partyjne barwy, dołączając do prawicowego rządu Menachema Begina i jako jego minister spraw zagranicznych odegrał ważną rolę w negocjacjach pokojowych z Egiptem.

W czasie swej wizyty w Waszyngtonie 1 listopada 1973 r. Golda Meir była poirytowana. Jej pomarszczona twarz, napisał Kissinger, odzwierciedlała wstrząsy jej pionierskiej pracy nad nowym społeczeństwem w obcym i nieprzyjaznym środowisku. „Czujne oczy pani Meir zawsze zdawały się wypatrywać nieoczekiwanych wyzwań, zwłaszcza ze strony jej impulsywnych amerykańskich sojuszników... Będąc ofiarą ataku wojskowego, jej rząd znalazł się w sytuacji, w której do procesu pokojowego nakłaniał ich amerykański sojusznik, na którego byli zdani, ale który najwyraźniej nigdy w pełni nie zdawał sobie sprawy z rozmiaru ich traumy”.

Jako żydowski emigrant z hitlerowskich Niemiec Kissinger dobrze ją rozumiał, a mimo to musiał przekonać do takiego wycofania jednostek izraelskich znad

Suez, by możliwe były niewojskowe dostawy do znajdującej się w kotle egipskiej 3. Armii. Mówił więc: „Znaleźliśmy się w tragicznej sytuacji. Wyście wojny nie rozpoczęły, ale by Izrael zabezpieczyć, trzeba podjąć mądrą decyzję. Taka jest teraz sytuacja. To moja szczerza ocena jako przyjaciela”. Na co usłyszał: „Więc uważasz, że nie mamy innego wyboru?”.

I późniejszy komentarz Kissingera do tamtej wymiany zdań: „Kiedy jakiś naród udaje, że jest całkowicie suwerenny, jest to przejaw nostalgii. W istocie każdy naród, nawet najpotężniejszy, musi dostosować swoje zachowanie do możliwości i zamierzeń sąsiadów i rywali”.

To Golda Meir i kilka dni później Sadat otworzyli drogę do „pokoju za ziemię”, dowodząc swej rzeczywistej siły przywództwa, puentuje dziś Henry Kissinger. Choć to już następcy Meir – najpierw Icchak Rabin, a potem Menachem Begin – prowadzili rozmowy z udziałem Amerykanów, najpierw w sprawie stopniowego wycofania wojsk izraelskich z Synaju, a potem pokojowe. W 1977 r. Sadat złożył nieoczekiwaną wizytę w Izraelu, a w 1979 r. Egipt i Izrael podpisały traktat pokojowy w Waszyngtonie. Sadat i Begin otrzymali za ten gest Pokojową Nagrodę Nobla. A w 1994 r. pokojowego Nobla otrzymali także Icchak Rabin, Jasser Arafat i Szimon Peres za wynegocjowanie Autonomii Palestyńskiej, mającej być załącznikiem palestyńskiej państwowości.

### **Ale jest także rewers tego medalu.**

W 1981 r. w czasie defilady wojskowej w rocznicę wojny Jom Kipur prezydent Sadat został zastrzelony przez wojskowych spiskowców związanych z Bractwem Muzułmańskim. A w 1995 r. skrajnie prawicowy student zastrzelił w Tel Awiwie Icchaka Rabina.

Dziewiętnastodniową wojnę Izraelczycy militarnie wygrali. Ale w zbiorowej pamięci pozostała trauma „mehdal” – przeoczenia, błędów, pomyłek w izraelskiej polityce i strategii. Wprawdzie Golda Meir i jej Partia Pracy jeszcze wygrała przesunięte na koniec grudnia 1973 r. wybory, ale po ogłoszeniu wyników komisji Agranata podała się z całym rządem do dymisji.

Ta wojna wstrząsnęła Izraelem. Już w czasie uroczystego pogrzebu poległych wzburzony tłum na widok Dajana domagał się jego ustąpienia. W społeczeństwie zaczęły ujawniać się nowe siły, powodując dalekosiężne zmiany pokoleniowe, polityczne, ideowe. W ciągu minionego

półwiecza wytworzył się nowy narodowy etos – twierdzi Eyal Lewin, socjolog z Ariel University, konserwatywnej uczelni ulokowanej na spornych terenach zasiedlanych przez Izraelczyków na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Lewin porozumienie z Camp David, które w 1978 r. stworzyło ramy dla traktatu pokojowego z Egiptem, porównuje do niemiecko-francuskiego zawieszenia broni w Compiègne w 1918 r. „Ze ściśle realistycznego, strategicznego punktu widzenia izraelskie ustępstwa trzeba uznać za polityczne samobójstwo: w zamian za obietnicę swego południowego sąsiada dotyczącą zakończenia stanu wojny Izrael miał stracić niektóre kluczowe aktywa strategiczne”. 60 tys. km kw. przedpola, odkryte przez siebie pole naftowe, ważne obiekty wojskowe. „Te terytorialne, strategiczne i polityczne ustępstwa kontrastują z militarnymi wynikami wojny z 1973 r., w której Izrael zmiażdżył Egipcjan”. W tym regionie obowiązują zasady „uśpionej wojny” – jak to na początku lat 70. wyraził Icchak Rabin.

Tę nieprzejednaną postawę po stronie arabskiej w 1975 r. wyraźnie zademonstrował Kissingerowi prezydent Syrii Assad: porozumienia taktyczne z Izraelem – owszem, ale żadnego traktatu pokojowego. Zapytany o alternatywy Assad odpowiedział lodowatym tonem: „Sprzedaliście Wietnam, to i sprzedacie Tajwan. Ale gdy już będziecie mieć dość Izraela, my wciąż tu będziemy”.

**Według Lewina pół wieku po wojnie Jom Kipur w Izraelu utrzymuje się głęboki podział ideologiczny**, dramatycznie zderzają się ze sobą dwa różne narodowe etosy: etos konfliktu utrwalony przez dziesięciolecia walki o fizyczne przetrwanie – wzmacniany obecnie przez religijny syjonizm dominującej izraelskiej prawicy, oraz etos pokoju sformułowany w latach 80.

Jego przejawem były masowe protesty przeciwko autorytarnej reformie sądownictwa wprowadzonej przez prawniczy rząd Beniamina Netanjahu – wspierający rozbudowę nielegalnych osiedli izraelskich na drugim Brzegu Jordanu, oraz odmawiający wycofania się z Autonomii Palestyńskiej. Ta z kolei – jako namiastka państwa palestyńskiego – jest zdominowana przez Hamas i Al-Fatah, ugrupowania, których zdeklarowanym celem jest wrogość wobec Izraela i wyzwolenie Palestyny.

Według raportu UE w podręcznikach szkolnych używanych w Autonomii Izrael

właściwie nie istnieje. Nie ma go na mapach. Jeśli jest wspomniany, to w cudzysłowie i negatywnie. Podobnie też pokojowe porozumienia z nim państw arabskich. Heroizowana natomiast jest intifada przeciwko „syjonistycznym okupantom” i pielęgnowany kult poległych w niej męczenników. Podkreśla się prawo Palestyńczyków do powrotu na swoje ziemie i twierdzi, że to Arabowie zbudowali Jerozolimę. Nawet na lekcjach matematyki przekazuje się w zadaniach antyizraelskie treści.

Teraz taniec Hamasu na ciałach zmasakrowanych Izraelczyków przerwał negocjacje Izraela z Arabią Saudyjską w sprawie normalizacji wzajemnych stosunków. Poprzednie wojny z Hamasem w latach 2008 i 2014 Izrael przegrał nie na polu bitwy, ale w telewizji i internecie. Także i teraz Hamas, prowokując brutalną odpowiedź Izraela w Strefie Gazy, zwiększył globalną gorączkę wywołaną już przez rosyjski najazd na Ukrainę i amerykańsko-chińskie napięcia wokół Tajwanu.

ADAM KRZEMIŃSKI

REKLAMA

## Fundusze norweskie w muzeum

**Rozmowa z Piotrem Żuchowskim, dyrektorem Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie o realizacji projektu „Konserwacja i restauracja XIV-wiecznego zamku w Lidzbarku Warmińskim – perły architektury gotyckiej w Polsce – III etap”**

**Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie już trzeci raz realizuje projekt z tzw. funduszy norweskich w zamku w Lidzbarku Warmińskim. Jak do tego doszło?**

– To były zawsze dobrze przygotowane wnioski. Za każdym razem niezbędne były upór, wizja tego co chcemy osiągnąć i dobra organizacja pracy zarówno na etapie pisania wniosku, jak i jego realizacji. Fundusze norweskie początkowo były dedykowane ochronie ważnych europejskich zabytków, a lidzbarski zamek jako wyjątkowy przedstawiciel gotyku po prostu bardzo potrzebował tych funduszy. Dodam, że podobnie jak zamek malborski trzykrotnie otrzymaliśmy dofinansowanie z funduszy EOG.

**Co udało się zrobić w lidzbarskim zamku w ramach realizacji projektów finansowanych z funduszy EOG oraz funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego?**

– W poprzednich edycjach zajmowaliśmy się restauracją krużganków i polichromii, potem wyremontowano wszystkie dachy, zrewitalizowano elewacje, zajęto się sieciami technicznymi, konserwacją zabytków ruchomych, digitalizacją i przygotowano nową ekspozycję muzealną w piwnicach. W trzeciej edycji zrewitalizowaliśmy most prowadzący do zamku, odtworzymy ogrody zamkowe do stanu takiego jak był w czasach biskupa



Ignacego Krasickiego, przygotowujemy nowe trzy wystawy w odrestaurowanych pomie-szczeniach, nową trasę turystyczną na międzymurzach zamku. W partnerstwie z Norwegami szykujemy grę komputerową, której akcja będzie toczyła się we wnętrzach zamkowych i odtworzonych cyfrowo komnatach nieistniejącego pałacu biskupiego. Realizujemy bogaty program działań kulturalnych obejmujących blisko trzydzieści nowych wydarzeń.

**Jakim będzie lidzbarski zamek po zrealizowaniu tego projektu?**

– Zamek biskupi w Lidzbarku Warmińskim, od początku był miejscem niezwykłym, stolicą Dominium Warmińskiego, siedzibą biskupów warmińskich, gdzie mieszkały i pracowały postaci takiej miary jak Jan Dantyszek, Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer, Ignacy Krasicki, Mikołaj Kopernik. Jest pięknym przykładem zamku gotyckiego, z efektownymi krużgankami i arcyciekawymi ekspozycjami. Jestem przekonany, że projekt, który zakończymy wiosną przyszłego roku, uczyni go perłą w koronie atrakcji turystycznych naszego regionu.

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

Projekt „Konserwacja i restauracja XIV-wiecznego zamku w Lidzbarku Warmińskim – perły architektury gotyckiej w Polsce – III etap” dofinansowany z funduszy otrzymanych z Islandii, Liechtensteinu i Norwegii w ramach funduszy EOG, ze środków budżetu państwa oraz współfinansowany ze środków Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego.



Islandia  
Liechtenstein  
Norwegia

Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

Województwo  
Warmińsko-Mazurskie





na scenie

## Polski sąd ostateczny 5/6

Stanisław Wyspiański, **Wyzwolenie**, reż. Jan Klata, Teatr Wybrzeże w Gdańsku

Słynna kwestia: „A my tu mamy wielką scenę; dwadzieścia kroków wszędy i wzdłuż. Przecież to miejsce dość obszerne, by w nim myśl polską zamknąć już” i podesty jeżdżące w górę i w dół w monumentalnym spektaklu. Tak było, gdy w 1997 r. po Wyspiańskiego na otwarcie po odbudowie Teatru Narodowego sięgnął Jerzy Grzegorzewski, i tak jest teraz, gdy sięga po niego Jan Klata na inaugurację dużej sceny Teatru Wybrzeże po generalnym remoncie.

„W »Wyzwoleniu« są cytaty dla każdego komitetu wyborczego. Wystarczy przekartkować” – żartował Klata w wywiadzie w „Rzeczpospolitej”. Megalomania, ksenofobia, skłonność do wykluczenia i podziałów, upolitycznienie religii, zapędy autorytarne, destrukcyjny miks kompleksu niższości i wyższości, kult ofiary, grobów itd. Znaczenie aż za dobrze? To posłuchajcie. Z obszernego i skomplikowanego tekstu wybrał kwestie, które wydają się najbardziej dobitne i aktualne, a aktorzy, mimo że konwencja, w jakiej grany jest spektakl, nie ułatwia im zadania, robią wiele, by brzmiały komunikatywnie

i przejmująco. Przepastną, pustą scenę wypełnia jednolita masa ludzi-larw, upudrowanych na biało-czerwoną. Inspiracją był wracający jako powidok, wysświetlany na tylnej ścianie „Sąd Ostateczny” Memlinga. Akcja dzieje się po katastrofie lotniczej, w polskim piekle, z którego Konrad (a właściwie pięcioro Konradów) bezskutecznie próbuje znaleźć wyjście. Chce nowej formy, nowej sztuki, prowokuje, ale wika się w stare, wpada w ton dyktatorski. W pewnym momencie wjeżdża płot przypominający ten na granicy z Białorusią. Inna scena odnosi się do ikonicznych kadrów z wierchuszką PiS na mszach, trzymającą się za ręce i kiwającą do rytmu pieśni. Kwestie o zakazaniu polskim kobietom kalania narodowej krwi, czyli związków z obcokrajowcami, padają najpierw z ust mężczyzny, a potem kobiety i w tym drugim przypadku brzmią nawet strasznie. Jest wreszcie przypomnienie aktu samospalenia Piotra Szczęsnego. Finał jest pytaniem o nasze szanse na przerwanie błędnego koła. A premiera odbyła się dzień przed wyborami.

ANETA KYZIOŁ

na scenie

## Ponad podziałami 4/6

Krzysztof Meyer, **Ślepy tor**, reż. Marek Weiss, Teatr Wielki – Opera Narodowa

Krzysztof Meyer pracował nad swoją nową operą trzy lata i ukończył akurat na 80. urodziny. Ostateczny kształt spektaklu do libretta Antoniego Libery wiele zawdzięcza reżyserowi Markowi Weissowi, który powrócił tą inscenizacją po pięciu latach (obecnie zajmuje się pisarstwem). Librecista jest eurosceptykiem, a reżyser euroentuzjastą; w sporze, jak widać po efektach, zwyciężył ten drugi, ale forma – w każdym akcie inna wersja podobnej historii – została pomyślana przez kompozytora i utrzymana przez librecistę w konwencji teatru absurdu, jak przystało na znakomitego tłumacza twórczości Samuela Becketta. Rzecz dzieje się na niewielkiej stacyjce, a główne postacie to: Samobójca (**Stanisław Kuflyuk**), który w każdym akcie przykłada się do torów, i Zawiadowca (Krzysztof Szomański), który go ratuje, ale musi też zatrzymać ekspres zwykle niezatrzymujący się na tej stacji. Z tego korzysta grupa pasażerów: w I akcie „moderniści”



jadący na kongres do Paryża, w II akcie pielgrzymi, a w ostatnim terroryści i feministki (których librecista łączy, ale reżyser przeciwstawia, co ma większy sens). Dzięki reżyserowi również spektakl został pogłębiany poprzez dodanie niemieckiej postaci Oczekującej – alegorii śmierci, która przypomina, że wszyscy jesteśmy na ślepych torach. Muzyka Meyera jest żywa, często dowcipna, nie brak tu cytatów z klasyki. Łukasz Borowicz jako specjalista od dzieł nieznanymi poprawdził całość z werwą; soliści dzielnie radzą sobie z niełatwymi partiami, realistyczna, świetna scenografia Jagny Janickiej dopełnia całości.

DOROTA SZWARCMAN



## Era Taylor Swift 5/6

**Taylor Swift: The Eras Tour**, reż. Sam Wrench, prod. USA, 169 min

Zaczynała jako dziewczyna z gitarą grająca country, dziś jest nie tylko sławną piosenkarką, tekściarką i kompozytorką, ale też reżyserką i producentką. W ciągu pięciu lat od poprzedniej trasy **Taylor Swift** nagrała cztery nowe albumy, a także nowe wersje starych płyt. Stąd podział koncertów tegorocznej The Eras Tour na „ery” reprezentujące kolejne albumy i wcielenia artystki – jest tu miejsce i na delikatną poetkę z „Folklore”, i drapieżną rockmankę z „Reputation”, a także celebryjką swoją kobiecość boginią popu z „Midnight”. Nowa amerykańska trasa była wielkim wydarzeniem kulturowym i komercyjnym, wpłynęła na branżę koncertową, ale przede wszystkim okazała się, obok premiery „Barbie”, jakimś znakiem czasów – wejścia w erę kultury kobiecej. Przy czym Swift to anty-Barbie – nie lalka, która musi nieść na barkach cały świat, ale kobieta, która sama siebie stworzyła, wbrew branżowemu szowinizmowi. I teraz ten sukces celebrytuje. Natomiast film nagrany podczas The Eras Tour to doskonale wyreżyserowany spektakl, dzięki któremu można poczuć w kinie odrobinę koncertowej atmosfery i przygotować się na przyszły rok. Wtedy to Swift odwiedzi Europę – i o ile jeszcze w 2020 r. miała wystąpić np. w berlińskim amfiteatrze (plany pokrzyżował covid), to teraz w kwadrans wyprzedzając trzy stadiony.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

w telewizji

## Głębia udawana 4/6

**Gad** (Reptile), reż. Grant Singer, prod. USA, 134 min, Netflix

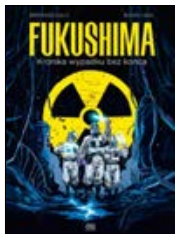
**B**enicio Del Toro przynajmniej od czasu „Sicario” musiał czekać na rolę, która pozwoliłaby mu znów pokazać aktorskie możliwości. Szkoda, że nie trafił mu się lepszy scenariusz (uczciwie trzeba dodać, że do „Gada” sam przyłożył rękę), bo w roli detektywa Toma Nicholasa jest znakomity. Na otaczające go zło patrzy zmęczonym wzrokiem człowieka doświadczonego przez los, w kryzysowych sytuacjach zachowuje stoicki spokój, lecz nie jest gotów odejść ze służby, bo – jak sam mówi – bycie gliniarzem to jedyna rzecz, którą kocha prawie tak bardzo jak swoją żonę. Śledztwo w sprawie brutalnego zabójstwa agentki nieruchomości wydaje się rutyną, której rytm wyznaczają kolejne przesłuchania. Lecz dochodzenie odkrywa kolejne warstwy korupcji, a w sprawę mogą być zamieszani także ludzie bliscy Tomowi. Debiutujący reżyser Grant Singer jest niezłym stylistą, ewidentnie zapatrzonym w kino Davida Finchera (podobne skojarzenia budzą świetne zdjęcia Mike’a Gioulakisa) i przedkładającym powolne budowanie napięcia nad sensacyjną akcją. Problem w tym, że „Gad” chce opowiedzieć zbyt wiele i zbyt pobieżnie, by wystarczająco skupić uwagę widzów. Są tu załączki znakomitego kina – oparta na zaufaniu, a jednak podszyta zazdrością relacja Toma z jego żoną (ciekawa rola **Alicji Silverstone**) jest najbardziej angażującym wątkiem, zwłaszcza że ucieka od scenariuszowych klisz – lecz przykryte standardowym thrillerem, który udaje głębię, choć emocji oferuje niewiele. JD



## komiksy miesiąca

### Prawda i zmyślenia

**T**ragedia w elektrowni atomowej w Fukushima stała się tematem wielu tekstów popkultury, w tym mangi „Reaktor 1F” stworzonej przez jednego z pracowników oczyszczających teren zakładu po katastrofie. **„Fukushima. Kronika wypadku bez końca”** (scen. Bertrand Galic, rys. Roger Vidal, przeł. Wojciech Birek, **Non Stop Comics, 4/6**) zabiera czytelników w samo serce wydarzeń, narzucając punkt widzenia dyrektora elektrowni, zmuszonego do działania w ekstremalnych warunkach, lecz pozbawionego wsparcia ze strony władzy. W tej historii tkwił potencjał na miarę serialu „Czarnobyl” – opowieść o ludzkim dramacie, a jednocześnie o próbach politycznej



ingerencji – niestety, nie do końca przez twórców wykorzystany. Pozostała rzetelna rekapitulacja faktów, czasem uzupełniana domysłami autorów.

**W**ojny Lucasa” (scen. Laurent Hopman, rys. Renaud Roche, przeł. Marta Duda-Gryz, **Wydawnictwo Lost In Time, 5/6**) mają wszystko, czego można oczekiwać od biografii twórcy „Gwiezdnego wojen”: lekkość, wdzięk i sporo humoru. Fabuła skupia się na drodze przez mękę, którą była dla George’a Lucasa praca nad filmem, i nawet jeśli chwilami zmienia się w kalejdoskopową serię krótkich scenek, daje w miarę pełny obraz czasów i warunków, w jakich powstawał. A przy okazji album pozwala sobie wyobrazić, jak mogłyby wyglądać „Gwiezdne wojny”, gdyby do produkcji trafiły wczesne wersje scenariusza. Dla fanów imperium Lucasa lektura obowiązkowa, dla pozostałych – ciekawe

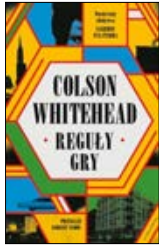


spojrzenie na jedno z najważniejszych zjawisk w historii popkultury.

**N**ajnowszy komiks **Daniela Clowesa** „**Monica**” (przeł. Wojciech Góralczyk, **Kultura Gniewu, 5/6**) jest jak zwykle w przypadku tego autora psychodeliczną wędrówką przez mroczne zakamarki ludzkiego umysłu. Dziewięć opowiadań, często luźno ze sobą połączonych, układa się w splątaną historię życia tytułowej bohaterki. Monica wyrusza na poszukiwanie matki, która opuściła ją w dzieciństwie, przy okazji próbuje odkryć tożsamość nigdy nie-poznanego ojca, lecz zamiast dramatu obyczajowego Clowes daje trudną do sklasyfikowania mieszankę ironii, horroru, zagubienia i narkotycznego odlotu, a wszystko utrzymane w niepowtarzalnej stylistyce retro, która staje się jeszcze jednym elementem tej dziwacznej układanki.



JAKUB DEMIAŃCZUK

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Przeszłość cię odnajdzie 5/6

Colson Whitehead, **Reguły gry**,  
przeł. Robert Sudół, Wydawnictwo Albatros,  
Warszawa 2023, s. 480

**P**o „Reguły gry” warto sięgnąć choćby dla zjadliwie błyskotliwych portretów wielkiego miasta: „Słońce prażyło, ptaki śpiewały, karetki wyły, a światło padające na miejsca zbrodni z ostatnich nocy sprawiało, że przelana krew migotała jak rosa w zielonym raju”. Powieść Whiteheada, podobnie jak jej poprzedniczka, „Rytm Harlemu”, to nostalgiczny list miłosny do Nowego Jorku, także jego mrocznych zaułków. A przy okazji świetny kryminał z wyrazistymi postaciami oraz precyzyjnie zarysowanym tłem lat 70. Na pierwszym planie znów pojawia się Ray Carney, paser i złodziej, który porzucił przestępcze życie i prowadzi swój ukochany sklep z meblami. Lecz przeszłość się o niego upomni. Przysługa, o którą



## Western żyje 4/6

Larry McMurtry, **Szlak umrzyka**,  
przeł. Marek Król, Wydawnictwo Vesper,  
Czerwonak 2023, s. 394

poprosi skorumpowanego gliniarza, jeszcze raz wciągnie go w wir gangsterskich układów, szemranych zależności i gwałtownych aktów przemocy. „Reguły gry” mają kinematograficzną energię. Whitehead pisze wybornie, rozбивa fabułę na trzy części, co pozwala mu z uwagą przyglądać się politycznym zmianom, jakie zachodziły w Nowym Jorku na przestrzeni lat, lecz ani na chwilę nie traci z oczu swoich bohaterów, ich emocji i motywacji. I można nawet ten soczysty kryminał czytać jak przypowieść o nieprzewidywalności losu: w końcu życie Carneya staje na głowie tylko dlatego, że pewnego dnia chciał zdobyć dla córki bilet na nowojorski występ The Jackson 5.

JAKUB DEMIAŃCZUK

**T**om „Szlak umrzyka” otwiera tetralogię Larry’ego McMurtry’ego o Dzikim Zachodzie, która zasłuzenie cieszy się statusem klasyki literackiego westernu. Jej najbardziej znana część „Na południe od Brazos” chronologicznie powstała jako pierwsza (napisana w 1985 r.), ale w kontekście całej serii jest trzecią odsłoną przygód Augustusa McCrae i Woodrowa Cole’a. Akcja „Szlaku umrzyka” rozgrywa się w latach 40. XIX w. na pograniczu niepodległej wówczas Republiki Teksasu, Meksyku i terytorium Komanczów. Jak to u McMurtry’ego mamy tutaj wszystkie znane motywy typowego westernu: konfrontację z naturą, podróż w nieznaną, ekspansję Ameryki na zachód, walkę między osadnikami a rdzennymi Amerykanami. McMurtry napisał „Szlak umrzyka” w połowie lat 90. XX w., kiedy mit Dzikiego Zachodu został ostatecznie odczarowany i, jak sądzili niektorzy, odesłany do lamusa. Mimo wszystko w trzeciej dekadzie XXI w. western – zarówno w filmowej, jak i literackiej formie – żyje i ma się nieźle. Wielką w tym zasługą książek McMurtry’ego – rodowitego Teksaszczyka, który jak nikt inny uchwycił rozdźwięk między legendą Dzikiego Zachodu a mało chwalebłą rzeczywistością. Innym literackim kronikarzem tamtego świata, gdzie rządzi prawo silniejszego, słabsi podporządkowują się lub giną, a o życiu bądź śmierci nie decydują zasługi, lecz ślepy traf, był Cormac McCarthy. Różnica między tymi dwoma gigantami jest taka, że bohaterowie McMurtry’ego nigdy nie tracą swojego ludzkiego wymiaru. Nawet antybohaterowie mają w sobie coś, dzięki czemu odczuwamy z nimi bliskość. Jego świat również jest bezwzględny, jednak ani cynizm, ani rozpacz tu nie triumfują.

TOMASZ TARGAŃSKI



## Bezsilni 4/6

Kalina Błażejowska, **Bezduszni. Zapomniana zagłada chorych**, Wydawnictwo Czarne,  
Wołowiec 2023, s. 328

**B**ezduszni” to przejmujący reportaż, w którym Kalina Błażejowska opisuje szeroko zakrojoną akcję likwidowania szpitali psychiatrycznych i domów opieki w okupowanej Polsce. Hasło „likwidacja szpitala” jest oczywiście eufemizmem, jako że chodzi o eksterminację pacjentów tych placówek, przeprowadzaną

w ramach budowania potęgi hitlerowskich Niemiec pod pokrętnymi hasłami eutanazji. Choć ten ludobójczy akt terroru pochłonął 20 tys. istnień, a jego początki stanowiły poligon doświadczalny dla Holocaustu (to właśnie w ramach akcji T4 po raz pierwszy zaczęto stosować komory gazowe), jest on – co autorka podkreśla w metaforycznym podtytuł – „zapomnianą zagładą”. Temat ten był przemilczany nawet przez rodziny ofiar, co wiąże się z silną wciąż stygmatyzacją osób psychicznie chorych. Twierdzili tak nawet fachowcy, z którymi kontaktowała się autorka. Ale dzięki uporowi w dążeniu do ocalenia pamięci niezawinionych ofiar Błażejowskiej udało się dotrzeć do bezpośrednich świadków akcji T4 i ukazać szerokie spektrum tej zbrodni i jej ofiar: od niepełnosprawnych dzieci i chorych psychicznie dorosłych po zniedołężniałych starców. „Bezduszni” są lekturą wstrząsającą nie tylko dlatego, że czytelnicy zostają postawieni wobec ogromu cierpienia zgładzonych, ale także dlatego, że pozostają bezsilni w obliczu zacierania winy sprawców.

MACIEJ ROBERT

w galerii

## Dwa aparaty, dwa światy 5/6

**Edward Steichen (1879–1973),**  
MUFO Muzeum Fotografii, Kraków,  
do 28 stycznia 2024 r.,

**Moi Ver, Muzeum Warszawy,**  
do 4 lutego 2024 r.



Obie wystawy otwarto niemal równocześnie i choć całkowicie od siebie niezależnie, to jednak łączy je zaskakująco wiele kontekstów, faktów, znaczeń. Ich bohaterami są bowiem fotografowie, których największa aktywność przypadła na lata międzywojenne. Za aparaty chwycili jako młodzi chłopcy i towarzyszyli im one praktycznie przez całe życie, acz studiowali także malarstwo, które miało duży wpływ na ich twórczość. Obaj nie stronili od eksperymentów, w młodości sporo podróżowali, ocierając się o ważny wówczas ośrodek twórczej awangardy – Paryż; Ver kształcił się tam u Fernanda Legera (wcześniej w niemieckim

Bauhausie), zaś Steichen nawiązał długoletnią relację z legendarnym Alfredem Stieglitzem. I obaj pozostawili po sobie obfity i nowatorski dorobek.

Na tym jednak kończą się podobieństwa, a zaczynają – fundamentalne wręcz – różnice. Ver był wschodnioeuropejskim Żydem o silnie ukształtowanych poglądach syjonistycznych. I one też zaważyły na tym,

w którym kierunku kierował najczęściej oko obiektywu. Jako młody człowiek utrwał więc życie żydowskiej dzielnicy w Wilnie, a po powrocie z wojaży po Europie skupił się na pokazywaniu życia codziennego swych rodaków w małych polskich miasteczkach i tzw. hachszarach będących protoplastami późniejszych kibuców. To głównie fotografia, którą dziś nazwalibyśmy reportażową, z ambicją zatrzymania w kadrze codziennego życia przeciętnych ludzi. Steichen – dla odmiany – był obywatelem świata, a dzięki współpracy z magazynami „Vogue” i „Vanity Fair” także członkiem amerykańskich elit. Jego zdjęcia mody, portrety ówczesnych celebrytów czy zdjęcia reklamowe były z kolei starannie aranżowane, dopracowane w najmniejszych szczegółach. Można powiedzieć, że też utrwał na zdjęciach kawałek widzianego świata, choć punkt obserwacji był skrajnie odmienny. Po wojnie Ver zarzucił ambicję i poświęcił się pracy na rzecz budowy Izraela, zaś Steichen utrwał swą światową pozycję gwiazdy, między innymi przygotowując legendarną wystawę „Rodzina człowieka”. Dwa artystyczne światy tak sobie bliskie, a równocześnie tak dalekie. Oba warte poznania.

PIOTR SARZYŃSKI

festiwale

## Napięcie rośnie

**Jazz Jamboree, Warszawa, Klub Stodoła, 27–29 października**

Choć Salę Kongresową od lat zastępuje Stodoła, Jazz Jamboree dalej sprowadza nad Wisłę wielkie gwiazdy sceny jazzowej. Tegoroczny program to stopniowo rosnące napięcie i stopniowy pochod od pogranicza do mainstreamu. Pierwszy dzień jest ekscytujący – i być może najbardziej nowoczesną w sensie po-

goni za świeżymi zjawiskami – prezentacją polskiej sceny: od młodziutkich składów USO 9001 i Siema Ziemia, po bardziej już okrzepłe EABS i Błoto. Trzeci to prezentacja najlepszych saksofonistów z Polski i ze Stanów Zjednoczonych: Adam Pierończyk (lider ankiety „Jazz Forum” w kategorii saksofon sopranowy), Kenny Garrett („jedynka” na alcie

w rankingu „Down Beat”) i Joshua Redman (nr 4 w kategorii saksofonu tenorowego w tymże, a był na czele). Dzień drugi, poza miłośnikami sztuki pianistycznego Joeya Calderazzo i gitarowego Juliana Lage’a, powinien przyciągnąć z kolei różnorodną i rekrutującą się nie tylko do jazzowego środowiska publiczność sceny skandynawskiej. Trio Rymden działa wprawdzie krótko, ale jego członków znamy dłużej: Dan Berglund i Magnus Öström tworzyli sekcję rytmiczną uwielbianego przez lata tria E.S.T., którego karierę przerwała tragiczna śmierć lidera, Esbjörna Svenssona. Pod nowym szyldem grają z wybitnym norweskim pianistą Bugge Wesseltoftem. BCH

Szczegóły: [adamiakjazz.pl](http://adamiakjazz.pl)

na płycie

## Pospolite ruszenie 5/6

**Furia, Huta Luna, Pagan Records**

czy nowa płyta Furii trafi do osób, które na co dzień nie słuchają metalu? Powinna. Ostatni album śląskiej grupy jest najlepszym dowodem, ile emocji i nieoczywistego piękna można wciąż odnaleźć w silnie przecież skodyfikowanej muzyce ekstremalnej. Zresztą Furia zawsze przekraczała gatunkowe bariery – wystarczy posłuchać płyty „W śnialni”, efektu współpracy zespołu z Janem Klatą przy „Weselu” w Narodowym Starym Teatrze. Pierwsza połowa „Huty Luna” to fenomenalnie zagrana ściana dźwięku, niczym straceńcza rabacja w sercu burzy. Odbija się w niej zarówno blackmetalowa tradycja, jak i ludowa melodyka, wszystko rygorystycznie prowadzone przez pracującą niczym maszyna sekcję rytmiczną. Minimalistyczne teksty czasem ograniczone są do zaledwie kilku słów, lecz każde z nich ma swoją wagę („Na placu Wolności/pod pomnikiem nicości/pospolite, nocne, dziadowskie ruszenie”). Dopiero finałowy, niemal półgodzinny utwór „Księżyc, czyli Słońce” przynosi zmianę tonacji: ambientowa przestrzeń, w którą wdzierają się powoli najpierw industrialne, później rustykalne nagrania terenowe. Polski black metal cieszy się na świecie zasłużoną renomą, ale nawet przy tak wymagającej konkurencji Furia gra w lidze mistrzowskiej.



JAKUB DEMIAŃCZUK

# Czasem uciekam

Zderzenie z jednym czarnym scenariuszem otworzyło puszkę Pandory i zaczęłam pisać o przyszłości, zastanawiać się, co by było gdyby – opowiada o nowej płycie wokalistka, kompozytorka i autorka tekstów **Daria Zawiałow**.

**BARTEK CHACIŃSKI: – Płyte „Dziewczyna pop” wyprodukował Bartosz Dziedzic. W polskim popie człowiek do zadań specjalnych, odpowiedzialny za płyty Brodki, Dawida Podsiadły, Artura Rojka. Ale po co przy czwartej płycie iść do Dziedzica, skoro dotąd nieźle szło?**

**DARIA ZAWIAŁOW: –** Szło bardzo dobrze! Mamy z Michałem Kushem na koncie 11 lat pracy! Trzy wspólne płyty, jesteśmy blisko prywatnie, zostałam matką chrzestną jego dzieci. Zaczęłam się zastanawiać, czy ja w ogóle potrafiłabym cokolwiek zrobić bez Michała. Zauważyłam, że wchodząc do studia, nie mam już w sobie strachu, jakiejś adrenaliny, mieliśmy stręfę komfortu.

Z perspektywy czasu nie jestem zadowolona z tekstów na poprzednim albumie „Wojny i noce”, dla mnie to był pewnego rodzaju regres. Odczułam potrzebę sprawdzenia się. Michał mnie w tym wsparł, twierdząc, że sam by mi zasugerował, że powinnam zrobić płytę z kimś innym. A wybór był w pewnym stopniu oczywisty – mineliśmy się z Bartkiem przy okazji tworzenia utworu „I ciebie też bardzo” [hymn Męskiego

Grania 2021, nagrany z Podsiadłą i Vito Bambino – red.]. Tam odczułam z nim muzyczną chemię. No i już wcześniej byłam fanką płyt, które produkował.

**Jedni mówią, że to bardziej producent, drudzy – że bardziej psycholog.**

Myślę, że oba te stwierdzenia są słuszne. *(śmiech)*

**Na czym polega ta siła?**

Przede wszystkim – choć inaczej go sobie wyobrażałam – jest bardzo ciepłym człowiekiem. Trochę takim dobrym wujkiem, który potrafi mądrze doradzić. Pamiętam, jak przyszłam do niego z pierwszym tekstem, który był – jak to mój tekst – bardziej poetycki, mało osobisty. A on mi mówi: co to jest w ogóle za *bullshit*, o czym to w ogóle jest? Nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co tu napisałaś. Dziewczyno, co ty dzisiaj zrobiłaś? To mówię mu, że wstałam, wypijałam kawę, poszłam na zakupy. A on: No to napisz o tym! Pisz bezpośrednio, o sobie, o tym, co cię boli. Bądź w tym bezczelna. Bartek miał spory wpływ na zmianę tonu mojej liryki. Czasem się spieraliśmy, ale chyba bardziej przy stronie muzycznej albumu.

**Płyta jest podzielona na trzy rozdziały: '92, Pete Stop i Backdoor, czyli wyjście awaryjne. Co to za etapy?**

---

**Daria Zawiałow** (ur. 1992 r. w Koszalinie) – wokalistka, autorka tekstów i kompozytorka, jedna z największych gwiazd dzisiejszej polskiej sceny pop. W 2016 r. wygrała opolski konkurs „Debiuty” piosenką „Malinowy chruśniak”, która trafiła później na debiutancki album „A kysz!”. I ten, i dwa kolejne („Helsinki”, „Wojny i noce”) zyskały status platynowych płyt, przynosząc w sumie pięć Fryderyków. Płyta „Dziewczyna pop” ukazała się 20 października.



Pierwszy dotyczy przeszłości. Nawet momentów, które wydarzyły się ledwie kilka miesięcy temu. Przykładowo utwór „Ballada o niej” opowiada o pożegnaniu z moją ukochaną babcią, która odeszła od nas niespodziewanie w czerwcu. To ostatni utwór, który napisaliśmy z Bartkiem na ten album. Potem jest rozdział Pete Stop – najbardziej pozytywna część albumu, opowiadająca o terażniejszości: zakochaniu i szczęśliwym związku, o potrzebie stabilizacji, o tym, że chciałabym już mieć dom – oczywiście symbolicznie, bo na razie domu nie mam i pewnie przez jakiś czas mieć nie będę. Fundamenty w każdym razie jeszcze niewyła. (*śmiech*) Samo to, że chciałabym kiedyś mieć dom z werandą i ogródkiem, to dla mnie nowość.

**Pojawia się tu w jednym z tekstów hasło MMŻ.**

**Tego skrótu jeszcze nie znam.**

Chodzi o Miłość Mojego Życia. To skrót, który sama sobie wymyśliłam.

**Czyli jeśli zobaczymy gdzieś na murze napis „MMŻ”, to znaczy, że to ty tam byłaś?**

Tak. Chyba że po tej rozmowie rzecz się rozniesie. (*śmiech*)

**A o co chodzi w Backdoor?**

To najsmutniejszy rozdział tego albumu, czyli pisanie o przyszłości.

**Przyszłość aż tak źle się rysuje?**

W mojej głowie chyba tak! Na pewnym etapie pracy z Bartkiem Dziedzicem postanowiliśmy wyjechać do lasu, do domu w Gniazdowie, nad rzeką. Chcieliśmy stworzyć coś z dala od zgiełku miasta. Wzięliśmy tylko gitarę akustyczną i sprzęt do nagrywania. W momencie kiedy mieliśmy już akordy i wiedzieliśmy, że będzie z tego smutna ballada, przez cały dzień zastanawiałam się, o czym ma być tekst. I w pewnej chwili Bartek, leżąc na kanapie i brzdąkając na gitarze, mówi: Wiesz co, napisz o tym, co by było, gdyby twój chłopak nagle zniknął. Nie ma go, rozstaliście się. Odpowiadam: Chyba oszalałeś, po co mam się zapuszczać w takie miejsca? To mnie rozwali. Bartek odparł, że właśnie o to chodzi, dzięki temu te emocje będą silne i prawdziwe. I faktycznie to zrobiłam, choć nie było to dla mnie proste. Zderzenie z takim czarnym scenariuszem otworzyło puszkę Pandory i tak powstał cały rozdział. Zaczęłam pisać o przyszłości, zastanawiać się, co by było gdyby. Oczywiście to wszystko jest oprószone tym, co już było, i moją wyobraźnią.

**A w co chciałaś „na konsoli grać do późna”, jak śpiewasz w utworze „Supro”?**

Jeśli mam choć chwilę wolnego, co się zasadniczo nie wydarza, to teraz grywam w „Dziedzictwo Hogwartu”. Jestem fanką Harry’ego Pottera. Gdybym miała przestrzeń, od razu bym do tego siadła. A kiedyś to był „Mario”. (*śmiech*) Chociaż były różne gry, nawet „GTA”.

**„Grand Theft Auto”? To gra pełna przemocy. Straszne rzeczy się w niej dzieją.**

Bez przesady. Straszniejsze rzeczy dzieją się dziś w Polsce. Myślę, że można tak powiedzieć, choćby po obejrzeniu ostatniej przedwyborczej debaty.

**Jeszcze latem 2020 r. na pytanie, co miałoby się stać, żebyś wyszła na ulicę, odpowiadałaś: „Staram się o tym nie myśleć”. Jesienią wsparłaś protesty kobiet wpisem z ośmioma gwiazdkami na Facebooku.**

Dużo się przez ten czas wydarzyło różnych sytuacji. Dla mnie taką przełomową, która spowodowała, że wpadłam w szal, było zabicie mojego ukochanego radia, na którym się wychowałam, czyli Trójki. Z tym nie mogę się pogodzić do dziś. Bardzo mnie to dotknęło. Pamiętam, jak z wypiekami na twarzy podczas premiery albumu „A kysz”, a później „Helsinki”, słuchałam Listy Przebojów Trójki i czekałam na to, jak w tym tygodniu poradzi

sobie mój utwór. Wtedy przelała się jakaś czara i wtedy też napisałam piosenkę „Metropolis” na płytę „Wojny i noce”, gdzie już mocno wyraziłam swój bunt.

**„Nie chcę wchodzić, kiedy schody bez barierek” – śpiewałaś.**

**Co z tych emocji kobiecych protestów zostało dziś?**

**Czy ten ruch ma szanse coś społecznie zmienić?**

Trudno powiedzieć. Takie akcje są potrzebne – tak jak każdy głos był przydatny do tego, żeby zachęcić ludzi do pójścia na wybory – ale niezależnie od wyborów ciężko powiedzieć, czy w rzeczywistości, w której żyjemy, zmieniło się wystarczająco dużo.

**Przynajmniej Męskie Granie nie może się już obyć bez kobiet.**

**Coś się zmieniło w stosunku branży do ciebie jako kobiety na scenie?**

Jako kobieta na scenie czuję się dobrze. Nie spotkało mnie nigdy nic, co kazałoby mi poczuć, że jestem gorzej traktowana niż moi koledzy z branży. Wręcz przeciwnie. Owszem, spotykało mnie bardzo dużo niemiłych sytuacji, ale nie doszukiwałam się w nich dyskryminacji ze względu na płeć. A co do hasła Męskie Granie – z tego, co wiem, powstała w tym roku w ramach cyklu koncertów Letnie Brzmienia swego rodzaju przeciwwaga dla niego – Babie Lato! Natomiast warto podkreślić, że w Męskim Granu co roku biorą udział dziewczyny.

**Na tej imprezie spotyka się całe środowisko dzisiejszych gwiazd sceny, w większości trzydziślatków.**

To mój ulubiony festiwal w Polsce. Nie tylko dlatego, że jestem jego fanką od lat i byłam dwukrotnie jego twarzą. Backstage Męskiego Grania to zupełnie inne kulisy niż te, które mamy na innych festiwalach. Nie każdy wie, że namiotki wszystkich artystów za sceną są ułożone obok siebie w półkolu. Na środku są parasolki, stoliki, ławeczki, więc my wszyscy jesteśmy tam trochę na siebie skazani. (*śmiech*) I bardzo się wtedy integrujemy – nie przypominam sobie, żeby tak to wyglądało gdzie indziej. Zwykle artyści są o siebie poddzielani w garderobach.

**Kiedyś taką rolę odgrywał festiwal w Opolu. O czym się rozmawia na tym backstage’u?**

O wszystkim: o muzyce, o pierdołach, o tym, jak tam w domu. Co tam u córki, co tam u syna. Szerokie spektrum wszelkich tematów.

**Pandora Gate?**

To akurat nowa sprawa, a ostatni raz byłam na tym backstage’u na początku września.

**Tu poszło o kryzys zaufania do influencerów, znanych osób, które znamy na odległość. Środowisko muzyczne też ma kontakty z fanami utrzymywane podobnymi kanałami.**

Ja miałam mały problem w drugą stronę. Jakies dwa, trzy lata temu byłam blisko ze swoim ówczesnym fanklubem, bo czułam, że dla tej grupy ludzi jest to w jakiś sposób ważne. Więc jeśli wiedziałam, że szykuje się premiera, informowałam ich o tym wcześniej itd. Ale z kolei odniosłam wrażenie, że zblżyliśmy się kumpelsko, i w pewnym momencie przez to moja sfera prywatna została naruszona. Musiałam postawić granicę. I powiedzieć, że bardzo ich cenię, ale też jestem człowiekiem, mogę mieć gorszy dzień. Zdarzało się, że byłam chora, grałam koncert z gorączką, ledwo żywa i na lekach, marząc o tym, żeby już zejść ze sceny i znaleźć się w łóżku, a za moment dostawałam wiadomości z pytaniem, jakim prawem nie wyszłam na spotkanie ze słuchaczami: zrobić zdjęcie, podpisać płytę, przybić piątkę. Dla mnie ten kontakt też jest ważny, ale musiałam w pewnym momencie zadbać o higienę, zachowanie prywatności.

**Gdzie jest granica tej higieny?**

Na pewno są nią tzw. DM-y, bezpośrednie wiadomości. Mam ich tysiące. Gdy dotyczą sfery zawodowej, staram się na nie ▶



► reagować, chociażby polajkować czy odpisać „dziękuję”. Jak ktoś mnie pyta, gdzie znaleźć bilety, podesłać link. To szacunek dla słuchacza. Jednak gdy już ktoś próbuje pisać do mnie na tematy prywatne, ucinam to.

#### **Jaka atmosfera panuje w tym obozie trzydziestolatków w polskim popie? Więcej w nim wsparcia czy rywalizacji?**

Mogę mówić za siebie, bo to indywidualne kwestie. Dla mnie ta atmosfera w środowisku jest bardzo miła. Ja jestem co prawda takim typowym ambiwertykiem, lubię mieć swoje stałe grono bliskich znajomych, kolegów, koleżanek. Ciężko mi nawiązać nowe znajomości, czasem trudno mi się otworzyć. Ale z Dawidem Podsiadłą – Dawciem – jesteśmy blisko, przyjaźnimy się. Z Natalką Szroeder też – od paru lat.

#### **Występujecie wzajemnie na swoich płytach – Podsiadło u ciebie, ty u Sanah, z Taco wyszedł trochę handel wymienny tymi, jak to się w rapie mówi, featuringami albo „gościnkami”.**

To nie jest tak, że zawsze coś za coś. Wszystko zależy od sytuacji. Na mojej nowej płycie było tak, że mieliśmy już nagrane „Supro” z Taco Hemingwayem i chwilę przed końcem pracy nad własnym albumem Taco zaproponował mi: Darcia, mam taki numer, tam słyszę twój wokół. Poszłam do studia i to się udało. Filip [Szczęśniak, czyli Taco Hemingway – red.] był zaskoczony, że rapuję. *(śmiech)*

#### **On z kolei w twoim „Supro” zaśpiewał. Prosił o lekcje u ciebie?**

Dokładnie odwrotnie. Filip sam wybrał ten utwór i chciał spróbować śpiewania. Pamiętam, że akurat byłam w Ameryce, grając tam jeden z pierwszych swoich koncertów, kiedy dostałam link do zwrotki Filipa, którą nam dograł. I zszokowało mnie to, jak śpiewa, jaką ma barwę wokalu. Jego tekst był bardzo kompatybilny z tym, co ja napisałam. W moim odbiorze ten utwór jest trochę zawiadziaki, flirciarski, zabawny. I mam wrażenie, że Filip wyciągnął z niego jeszcze więcej.

#### **„Zostawiłam ból wczoraj w Hollywood” – śpiewasz w innej piosence. Po raz kolejny są tu dalekie podróże.**

#### **Piszesz piosenki po to, żeby podróżować, czy podróżujesz, żeby móc napisać kolejne?**

Myszę, że oba te stwierdzenia są prawdziwe.

#### **Czyli żyjesz w błędnym kole?**

Trochę tak. Jak już gdzieś jestem, to inspiruje mnie to do pisania. A podróżować po prostu kocham. Odkrywać nowe miejsca, ale też wracać do tych ulubionych. Oprócz Warszawy – bo ta jest zawsze na pierwszym miejscu w moim sercu, od zawsze chciałam tu mieszkać – moim drugim ulubionym miejscem na Ziemi jest Nowy Jork. Uwielbiam to miasto i zawsze odliczam miesiące, by móc się tam wybrać.

#### **Tajski numer telefonu, o którym śpiewasz na płycie, też masz naprawdę?**

Miałam przez chwilę kartę tajską, leży zresztą cały czas w moim pudełeczku z rzeczami z podróży. Jestem gadźeciarą. Zbieram takie rzeczy, jak karty pokładowe czy bilety – to, co mam w rękach i ma dla mnie jakąś wartość sentymentalną. Mam pudełeczko, do którego wrzucam później te rzeczy.

#### **Te podróże często mają cechy ucieczek. Było tak wcześniej w „Punk Fu” („Czuję, że uciekam hen”) albo w „Kaonashi”, które stało się opowieścią o ucieczce przed przemocą domową.**

Scenariusz do „Kaonashi” był akurat wizją reżysera. Ważny temat. Niemniej jestem taką osobą, która często aż za dużo myśli o przyszłości i ma w sobie lęk przed tym, co się stanie. Może faktycznie jest tak, że uciekam w podróże przed tym, z czym się aktualnie zmagam, co mnie boli, trapi.

#### **Czyli chodzi o to, żeby zająć się czymś innym, a potem wrócić i rozwiązać problem?**

Albo poczekać, aż problem sam się rozwiąże. Uciekam też czasem w wir pracy. Mam coś takiego, że potrafię – wypracowałam to sobie na przestrzeni lat – przełączać swój *mindset*. Nagle przełączam się na tryb „praca” i absolutnie odcinam się od świata zewnętrznego, skupiam się na tym, co mam do zrobienia. Kiedy moja babcia po wylewie trafiła do szpitala, ja miałam właśnie swój pierwszy koncert po przerwie, na Orange Warsaw Festivalu. Jej stan był bardzo ciężki, a ja musiałam zagrać ten koncert, więc włączyłam tryb „praca”, zagrałam to najlepiej, jak potrafiłam, zeszałam ze sceny i się rozsypałam.

#### **Skoro już mowa o rodzinie, czy w swojej miałaś jakieś muzyczne tradycje?**

Nie. Mój dziadek kiedyś grał na pianinie i śpiewał, ale tylko w domu. Ta muzyka wzięła mi się trochę znikąd. Urodziłam się z tożsamością bardzo odmienną od reszty rodziny. Byłam w tym sensie trochę alienem.

#### **Ale kiedy zaczęłaś występować na scenie w wieku siedmiu lat, to chyba rodzina podjęła tę decyzję za ciebie?**

Moja mama czuła najwyraźniej potencjał i moją ogromną chęć robienia czegoś nietuzinkowego, więc poszła za tym. Rodzina zawsze mnie wspierała. Wiedzieli, że mam silną osobowość i trudno mi się sprzeciwić, kiedy na czymś mi zależy. Ale decyzję podjęłam sama. Siedmiolatka może przecież powiedzieć: Mamo, chcę wziąć udział w programie „Od przedszkola do Opola”, skoro czterolatka może podjąć decyzję o tym, że kiedyś będzie mieszkała w Warszawie.

#### **Jak to?**

Kiedy miałam cztery lata, przyjechałam w odwiedziny do cioci do Warszawy, z mamą i babcią. I od razu zapowiedziałam, że kiedyś tu będę mieszkała. Wystarczyło warszawskie zoo, wysokie budynki, gwar miasta, no i ruchome schody. Jeździłam nimi w górę i w dół, a babcia robiła mi zdjęcia. *(śmiech)* Mam całą serię zdjęć na ruchomych schodach w Sezamie. Ostatecznie przeprowadziłam się tu, mając 15 lat, w praktyce uciekałam z domu.

#### **A dokąd chciałybyś wyjechać teraz?**

Do Wietnamu. Zaraził mnie tym marzeniem mój chłopak, który już tam był i zakochał się w tym miejscu. Kocham wietnamskie jedzenie – i to jeden z głównych powodów, dla których chciałybym tam pojechać *(śmiech)*. Żeby wszędzie na ulicach próbować zupy pho. Lubię azjatycką kuchnię, ale wietnamska jest wyjątkowa – najbardziej świeża, dużo zielonych warzyw. Z tego, co mogę znaleźć w internecie z różnych vlogów, profili i youtube’ów, wnioskuję, że spodobać mi się też krajobrazy, kultura, architektura, świątynie, pola ryżowe – prawdopodobnie oszaleję, gdy już tam pojadę.

ROZMAWIAŁ BARTEK CHACIŃSKI

# Czytaj dziecku

## – to najlepsza inwestycja w jego przyszłość

**Pamiętasz te czasy, kiedy jako dziecko z zapartym tchem słuchałeś przed snem opowieści czytanych przez rodziców? Tamte wyjątkowe chwile, pełne bliskości i wzruszeń, miały ogromny wpływ na to, kim jesteś dziś. W dobie wszechobecnej technologii czytanie dzieciom jest ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. To nie tylko przyjemna rozrywka, ale także inwestycja w ich przyszłość.**

### Książka – tu kształtuje się wyobraźnia i empatia

Czytając dziecku już od pierwszych miesięcy życia, otwierasz przed nim drzwi do krainy wyobraźni. Fantazyjne opowieści pomagają mu przenieść się w świat poza jego codziennym doświadczeniem. Dzięki książkom maluchy poznają nowe miejsca, spotykają niezwykłych bohaterów i przeżywają wraz z nimi różne przygody. To stymuluje ich kreatywność, dając im narzędzia do tworzenia własnych historii i rozwiązywania problemów. Co więcej, lektura książek jest wspaniałym sposobem na kształtowanie empatii. Pozwala dzieciom zobaczyć świat oczami różnych postaci i poczuć ich emocje. Czytając dziecku, pomagasz mu zrozumieć, że ludzie mają odmienne potrzeby, pragnienia i doświadczenia. Dzięki temu rozwija się w nim empatyczna postawa.

### Czytaj dziecku, a ułatwisz mu rozwój

Badania naukowe potwierdzają, że czytanie wpływa na rozwój mózgu, tworząc połączenia neuronalne i kształtując zdolności poznawcze. Dzieci, które mają regularny kontakt z książkami, szybciej nabywają zdolności komunikacyjne, poszerzają zasób słownictwa i rozwijają umiejętność konstruowania zdań. Czytanie książek daje dziecku okazję do przyswojenia wiadomości z różnych dziedzin. To może mu pomóc znaleźć zainteresowania i pasje, które będą kształtować jego edukacyjną ścieżkę. Czytając dziecku, inwestujesz w jego przyszłość oraz dajesz mu solidne podstawy do nauki w szkole.

### Chwile, które wzmacniają więzi

„Wspólne czytanie to czas, kiedy buduje się szczególna więź” – mówi Dyrektor Instytutu Książki Dariusz Jaworski. „Gdy rodzic czyta, dziecko czuje się wyjątkowe, bo wie, że obok niego jest osoba, która poświęca mu czas i uwagę. To chwile wspólnego śmiechu, wzruszenia i refleksji. Niekiedy lektura książki jest okazją do rozmów o trudnych tematach, na które w codziennym natłoku spraw nie wystarczy czasu. Opowieści mogą działać terapeutycznie i pomóc rozwiązać dziecku trapiące je problemy. Podczas czytania rodzic nie tylko opowiada, ale także słucha, co



foto: Danuta Matloch / MKiDN

daje dziecku poczucie, że jest ważne i kochane. Emocje towarzyszące lekturze tworzą unikalne wspomnienia, które później stają się częścią rodzinnej tradycji. Książki, które nam czytano w dzieciństwie, chcemy przeczytać swoim dzieciom” – dodaje Jaworski.

**„Jeżeli od urodzenia nie zainwestujemy w to, by dzieciom świat literatury przybliżyć, to jest takie prawdopodobieństwo, że one się z nim nie zetkną, ponieważ ten świat błyskotek, szybkich, zmieniających się obrazów, może wydawać się bardziej pociągający dla młodego człowieka” – mówi Emilia Komarnicka-Klynstra, ambasadorka kampanii.**

### „Mała książka – wielki człowiek”

„Mała książka – wielki człowiek” to największy w Europie i jeden z największych na świecie projektów bookstartowych i zarazem kampania społeczna promująca czytelnictwo wśród najmłodszych. Instytut Książki zapoczątkował ją w 2017 roku. Część bookstartowa projektu skierowana jest do dzieci w trzech grupach wiekowych: noworodków, przedszkolaków i pierwszoklasistów. Dzieci otrzymują dopasowane do ich wieku bezpłatne Wyprawki Czytelnicze. W każdej znajdują się broszury informacyjne dla rodziców.

Rodzice noworodków otrzymują specjalne Wyprawki Czytelnicze na oddziałach położniczych w niemal 320 szpitalach w całej Polsce. Zawierają one książkę „Mama, tata i ja. Hop-la-la!”. To antologia wierszy znanych twórców, m.in.: Marii Konopnickiej, Wandy Chotomskiej, Joanny Papużyńskiej czy Jana Brzechwy. Ilustracje stworzyła Elżbieta Wasiuczyńska. Przedszkolaki odbierają Wyprawkę wraz z rodzicami, zakładając kartę biblioteczną w jednej z niemal 6 770 bibliotek biorących udział w akcji. Czytelniczą przygodę zaczynają od książki „Krasnal w Krzywej Czapce”, która

swoją premierę miała w 2022 roku. Jej autorem jest Wojciech Wiatlak, a ilustracje wykonała Aleksandra Krzanowska. Uczniowie pierwszych klas szkoły podstawowej to grupa, której w tym roku poświęcono szczególną uwagę. W najbliższych tygodniach w swoich szkołach otrzymają najnowszą książkę Justyny Bednarek – „Wnuczkę antykwariusza” – z pięknymi ilustracjami Emilii Dziubak. To historia, która zabiera najmłodszych w podróż do przeszłości, ucząc, że odkrywanie rodzinnych korzeni to wielki skarb, z którego warto czerpać.

Poznaj więcej zalet czytania i dowiedz się, jak wpływa ono na dzieci na różnych etapach rozwoju. *Odwiedź stronę kampanii „Mała książka – wielki człowiek” prowadzonej przez Instytut Książki: <http://wielki-czlowiek.pl/>.*

z pięknymi ilustracjami Emilii Dziubak. To historia, która zabiera najmłodszych w podróż do przeszłości, ucząc, że odkrywanie rodzinnych korzeni to wielki skarb, z którego warto czerpać.

Poznaj więcej zalet czytania i dowiedz się, jak wpływa ono na dzieci na różnych etapach rozwoju. *Odwiedź stronę kampanii „Mała książka – wielki człowiek” prowadzonej przez Instytut Książki: <http://wielki-czlowiek.pl/>.*

# Podziemny strych

Bohaterowie książki „Śnialnia. Śląski underground” Rafała Księżyka praktykowali niezależność nie tylko w sztuce. Także w sferze duchowej, obyczajowej i politycznej.

MIROSLAW PĘCZAK

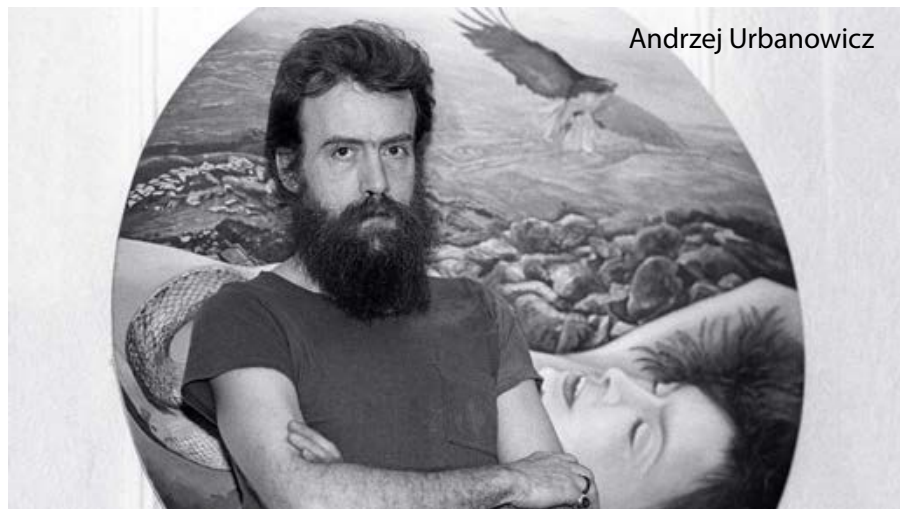
Opowieść Rafała Księżyka obejmuje kilkadziesiąt lat wspólnej historii wielu osób – przede wszystkim mieszkających na Śląsku albo związanych ze Śląskiem artystów, intelektualistów, animatorów i uczestników specyficznej kultury, nazywanej przeważnie alternatywną albo podziemną. Bohaterami opowieści bywają też mniej liczni przybysze z zewnątrz – z Warszawy, Wrocławia, Krakowa, niekiedy z zagranicy. Trzeba od razu podkreślić, że ten alternatywny Śląsk to coś zupełnie innego niż obrazki z peerelowskiego propagandowego folderu eksponującego górników ochoczo przekraczających plany produkcyjne, rozrywkę oferowaną przez katowicki ośrodek telewizyjny i rekreacyjne atrakcje w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. No i zupełnie coś innego niż szara i ponura codzienność Śląska rządzonego przez Aleksandra Zawadzkiego, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia.

## Od ASP do LSD

Cała ta historia zaczyna się w 1953, roku śmierci Józefa Stalina, a zarazem w momencie stanowiącym apogeum funkcjonowania w Polsce doktryny socrealizmu. Wtedy właśnie z inicjatywy studentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (wówczas Stalinogrodzie) powstała grupa St-53. Znaleźli się tam m.in. Urszula Broll, Maria Obremba (późniejsza żona Sławomira Mrożka), Waldemar Świerzy (współtwórca polskiej szkoły plakatu), Konrad Swinarski (później jeden z najwybitniejszych twórców teatralnych). Skrót „St” krył odwołanie się do pamięci po zmarłym rok wcześniej i piętnowanym przez władzę za „formalizm” współtwórcy awangardy lat 20. Władysławie Strzebińskim. Był w tym sprzeciw wobec totalitarnego dyktatu nad sztuką, a zarazem przejaw spontanicznej młodzieńczej niepokorności.

Doświadczenia St-53 i powstałej w 1964 r. grupy Arkat, w składzie której

znalazł się Andrzej Urbanowicz, stanowiły podglebie zawiązanego w latach 1966–67 nieformalnego kręgu, który przyjął nazwę Oneiron. Ów krąg, zwany także Ligą Spozrzeżeń Duchowych (zwróćmy uwagę na skrót, jaki tworzą pierwsze litery tej nazwy), liczył pięć osób. Byli to wspomniana wyżej malarka i poetka Urszula Broll, jej mąż, malarz, performer, autor artystycznych i filozoficznych manifestów Andrzej Urbanowicz, jego koledzy z katowickiej ASP Zygmunt Stuchlik i Antoni Halor (później reżyser) oraz przez długie lata



Andrzej Urbanowicz

jeden z najbliższych przyjaciół Urbanowicza – malarz, pisarz i publicysta Henryk Waniek. Miejscem spotkań była pracownia i mieszkanie Urbanowiczów na poddaszu starej kamienicy w Katowicach przy Piastowskiej 1. W styczniu 1960 r. urząd miasta Katowice na wniosek Związku Polskich Artystów Plastyków przekazał część strychu kamienicy Urszuli Broll do adaptacji na pracownię malarską, która rychło stała się nieformalnym i prywatnym, ale nader ważnym centrum artystycznej, intelektualnej i duchowej alternatywy.

Pisze Księżyk: „»Oneiron«, z greki, to miejsce, w którym się śni, co [artyści – M.P.] spolszczyli jako Śnialnia. Śnialnia to także przestrzeń, gdzie sny się urzeczywistnia. A oni śnili o wolności. Aktywność

Śnialni stała się tajemnym rewersem życia PRL-u. (...) Socrealizm zastąpili najpierw abstrakcjonizmem, potem zaś alchemią, małą stabilizację rozpuścili w LSD i medytacji. I dzielili się tym wszystkim z innymi, nie bacząc na konsekwencje, a gorączka ich poszukiwań była zaraźliwa”.

Pracownia na Piastowskiej z czasem rozrosła się o jeszcze jedno skrzydło strychu. Stała się ważnym miejscem zarówno dla uznanych artystów, np. zaprzyjaźnionego z Urbanowiczem Zdzisława Beksińskiego, poetów Jarosława Markiewicza czy Ryszarda Krynickiego, ale także dla nieco młodszych admiratorów przybierającej na sile fali kontrkultury i związanego z nią ruchu hipisowskiego. Jednym z nich był Jerzy Illg, student katowickiej polonistyki, dziś uznany krytyk literacki i wydawca, do 2021 r. redaktor naczelny Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak. W swoim wspomnieniu o Piastowskiej z końca lat 60., opublikowanym w książce towarzyszącej wystawie „Katowicki underground artystyczny po 1953 r.”

(Katowice 2004 r.) pisał: „Dom ten miał na piątym piętrze rozległe i wysokie poddasze, do którego w narożnikach od ulicy przylegały dwie okrągłe baszty (...). Miejsce to miało niezwykle klimat, pachniało farbami, terpentyną, paczuli, kadzidłami, znajdowało się tam mnóstwo zakamarków, regały z książkami zamieniały jego przestrzeń we prawdziwy labirynt, przez małe drzwiczki przechodziło się do kuchni, stamtąd do jeszcze jednego pomieszczenia, i jeszcze jednego. Po drugiej stronie baszty, służącej częściowo jako magazyn obrazów, ram, przeróżnych staroci, od Piastowskiej rozpościł się drugi, pusty strych, czasem użytkowany jako miejsce wystaw i happenin-gów dla wtajemniczonych, wernisaży

przypominających klimatem magiczne »czarne msze« bądź osobliwych misteriiów przy świecach, skupiających grono starannie dobranych osób”.

## Zen na Piastowskiej

O ile grupa St-53 nawiązywała do przedwojennej awangardy, o tyle Oneiron wpisywał się już we współczesne, choć zakorzenione też w ezoterycznej i hermetycznej przeszłości, tendencje, które najbardziej spektakularnie wyraziły się w sztuce psychodelicznej (w malarstwie, grafice, a także w muzyce rockowej i medytacyjnej). Pierwszym, wyjętym z przeszłości, impulsem artystycznym był oczywiście surrealizm, ale potem coraz wyraźniej swoje piętno na dokonaniach Oneironu odcisnęła szeroko pojmowana ezoteryka, a przede wszystkim buddyzm zen. Ciekawe, że Urbanowicz, Waniek, Broll dotarli do tego nieco inaczej niż większość polskich adeptów tej duchowej drogi. Dla mieszkańców i gości Piastowskiej kolejnymi inspiracjami były

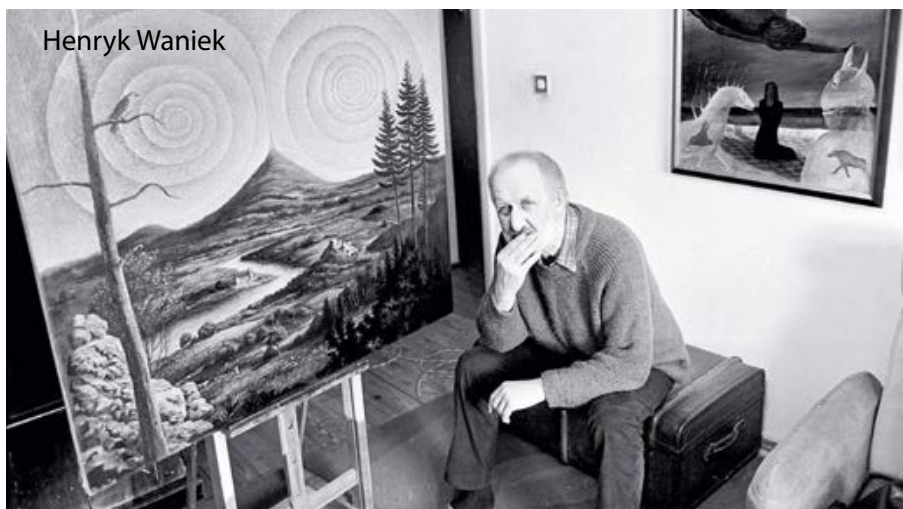
zen. We wspólnocie uczestniczyli m.in. wspomniany wcześniej Jarosław Markiewicz, Jacek Ostaszewski i Tomasz Hołuj z zespołu Osjan, poeta i tłumacz Jacek Dobrowolski, architekt i ekolog Janusz Korbel z żoną, psychoterapeuta Wojciech Eichelberger.

Parę lat później Urbanowicz rozwiódł się z Urszulą Broll i związał z inną kobietą (w całym swoim życiu zenił się pięć razy). W 1978 r. razem z nową żoną wyjechał do USA na 13 lat, ale jeszcze zanim do tego doszło, przez kilka lat oddawał się uprawianiu sztuki inspirowanej psychodelią. Z tym związane były doświadczenia z halucynogenami – grzybami i LSD. W pewnym momencie „kwas” dostarczany przeważnie przez przyjaciół z Zachodu zaczął być częstym dodatkiem spotkań na Piastowskiej, a także inspiracją dla twórczości. Jednym ze świadectw zainteresowania Urbanowicza tą sferą jest napisany przez niego i opublikowany po raz pierwszy w 1971 r. mikroesej „Grzyb”, zawierający śmiałą tezę, wedle

z tamtego czasu jest „Towarzysz Mao”. Te dwa obrazy wydają się ciekawym przypadkiem połączenia problematyki politycznej z estetyką psychodeliczną. „Inspiracji dostarczały im – pisze Książek – okładki rockowych płyt The Beatles, Jefferson Airplane, Grateful Dead, Pink Floyd oraz koncertowe plakaty i undergroundowe komiksy, które oglądali głównie w szmuglowanych zza żelaznej kurtyny pismach muzycznych”. Nietrudno zauważyć w tym wszystkim pokrewieństwo artystów Oneironu z amerykańskim popartem i grafiką hipisowskich periodyków w rodzaju „San Francisco Oracle”.

Kiedy Piastowska coraz bardziej przekształcała się z miejsca artystycznych działań i dyskusji w buddyjskie *zen-do*, duch Oneironu odchodził w przeszłość. Urszula Broll przeniosła się z Katowic do karkonoskiej Przesieki i nadal tworzyła swoje subtelne, inspirowane medytacją akwarele, Henryk Waniek eksplorował „ezoteryczny Śląsk”, coraz mniej malował, a coraz więcej pisał, zaś Andrzej Urbanowicz po powrocie z Ameryki w 1992 r. zdrzyfował z psychodelii i medytacyjnych uniesień w stronę prowokacyjnych performansów o tematyce erotyczno-seksualnej. Działania z udziałem wynajętych striptizerek, wystawy wywołujące kontrakcje urzędników i samorządowców ze względu na ekspozowanie pornografii – wszystko to sprawiało wrażenie jakiejś repetycji rewolucji obyczajowej z gigantycznym turbodoładowaniem. Po performansie w warszawskim klubie Fugazi reporter „Gazety Stołecznej” pisał: „Grającym dziewczynom pomagał pozbywać się resztek bielizny Andrzej Urbanowicz, tnąc nożem majtki i biustonosze”.

Po śmierci Urbanowicza w 2011 r. Piastowska żyła nadal. Pracownią zajmowała się (i zajmuje) jego ostatnia żona Małgorzata Borowska. Były spotkania dyskusyjne, działania artystyczne, wystawy. Najnowsze akty funkcjonowania Pracowni mniej dotyczyły sztuk wizualnych, a bardziej muzyki. Może dlatego, że Borowska została basistką śląskiego punkowego zespołu Pieniądze, a może dlatego, że dobrze udawały się koncerty Botaniki, Gaap KvlT, Mchów i Porostów, no i zwłaszcza black-metalowej Furii. Nie wszystko wychodziło zgodnie z oczekiwaniami artystów, nie wyszedł m.in. projekt udźwiękowania legendarnego wspólnego dzieła plastycznego Oneironu „Czarne Karty”, ale może teraz, kiedy Furia wydała właśnie niezwykły album „Huta Luna” przekraczający wszelkie granice muzycznych gatunków, warto byłoby wrócić na Piastowską i znów wywołać ducha transgresji. ■



Henryk Waniek

doświadczenia (i teksty) przedwojennych polskich i śląskich ezoteryków, okultystów, antropozofów i teozofów. Potem pisma Carla Gustava Junga (nieprzetłumaczone jeszcze na polski). Ważną dla nich postacią był popularyzator ezoteryki Lech Emfazy Stefański, ale przede wszystkim tłumacz Junga, a ponadto znawca i reprezentant gnostycyzmu Jerzy Prokopiuk.

W 1967 r. Henryk Waniek dostał książkę założyciela ośrodka buddyjskiego w amerykańskim Rochester Philipa Kapleau „Trzy filary zen”, i korzystając z zawartych tam instruktaży, rozpoczął praktykowanie medytacji zen. W efekcie na Piastowskiej od 1971 r. organizowano zbiorowe sesje medytacyjne i powstała tam pierwsza w Polsce sangha (wspólnota) buddyzmu

której halucynogeny już u zarania cywilizacji wpłynęły na kierunek jej ewolucji.

## Tnąc biustonosze

W najbardziej intensywnym momencie zajmowania się malarstwem psychodelicznym Urbanowicz miał zwyczaj malować przy głośnej muzyce. Dominował mocny rock: Led Zeppelin, Black Sabbath, King Crimson, Jimi Hendrix, Rolling Stones, T. Rex. Z okresu psychodelicznego pochodzi namalowany wspólnie przez Wańka i Urbanowicza portret Jana Pałacha, bohatera Praskiej Wiosny, który w sierpniu 1968 r. dokonał aktu samospalenia w proteście przeciw najazdowi wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Innym ich wspólnym dziełem

# Widz ma uwierzyć w śmierć

Trudniej mają ci, którzy zostają, niż ci, którzy odchodzą – mówi **Magdalena Cielecka**, odtwórczyni głównej roli w filmie „**Lęk**” poświęconym eutanazji.



## JANUSZ WRÓBLEWSKI: – PiS popęliło samobójstwo polityczne w wyborach?

MAGDALENA CIELECKA: – Kilka milionów zagłosowało na Zjednoczoną Prawicę, czego nie wolno lekceważyć. Nowa władza musi rozliczyć PiS, ale przede wszystkim powinna pamiętać o zakopaniu topora wojennego i pojednaniu. Wojna polsko-polska była wyczerpująca, wzbudzała złe emocje, wymęczyła nas strasznie, odbierając niektórym chęć do życia. Trzeba zacząć ze sobą rozmawiać, przywrócić względny spokój, choćby po to, żeby w święto zmarłych, stojąc nad grobami bliskich, przestać się wreszcie klócić.

## Ale mamy rozmawiać o samobójstwie w wymiarze jednostkowym. Kiedy i czy w ogóle człowiek ma do niego prawo?

Nie wiem. To bardzo indywidualna sprawa. Niezwykle intymna. Jestem za wyborem.

**Magdalena Cielecka** (ur. 1972 r.) – jedna z najwybitniejszych polskich aktorek. Związana z Nowym Teatrem Krzysztofa Warlikowskiego, wcześniej Teatrem Rozmaitości Grzegorza Jarzyny i Starym Teatrem. W kinie debiutowała rolą siostry zakonnej w „Pokuszeniu” Barbary Sass, za którą otrzymała nagrodę w Gdyni. Zagrała m.in. w „Egoistach”, „Katyń”, „Zjednoczonych stanach miłości” oraz popularnych serialach, m.in. w „Czasie honoru”, „Belfrze”, „Chyłce – Zaginięciu”. „Lęk” Sławomira Fabickiego wejdzie do kin 3 listopada.

## W Polsce nie ma takiego wyboru.

Ale są sposoby, by to obejść. O tym jest film „Lęk”, w którym gram nieuleczalnie chorą prawniczkę, poddającą się eutanazji w szwajcarskiej klinice nad jeziorem Lugano. Procedura jest bardzo droga, nie każdego na nią stać. Małgorzata, moja bohaterka, może sobie na to pozwolić. Jest

uprzywilejowana. Paradoksalnie ma szczęście, bo sama decyduje o swoim odejściu.

## Eutanazja powinna być legalna?

Tylko w niewielu krajach, m.in. w Holandii, Belgii, Luksemburgu, prawo na nią zezwala. Chciałabym, aby nasz film wywołał dyskusję, czy tak powinno być. Jestem za tym, aby człowiek mógł samodzielnie decydować o jakości swego życia, a także o tym, kiedy i jak chce je zakończyć.

## Czyli powinno się eutanazję zalegalizować?

Nie namówisz mnie do jednoznacznej deklaracji. Nie wyobrażam sobie, by taka ustawa mogła zostać wprowadzona z dnia na dzień. Temat trzeba oswoić. Należałoby najpierw dostrzec problem przewlekłe czy paliatywnie chorych i ich opiekunów. Wspomóc ich. Oswoić śmierć.

## Kultura robi to od dawna.

Jako wspólnota osławiamy śmierć raz do roku, 1 listopada. Ale to tradycja, ob-

rzęd w gruncie rzeczy trochę świecki. Chodzimy na groby, kupujemy kwiaty, zapalamy lampki, spotykamy się z rodzinami, a potem wracamy do domu, jemy kolację. Zastanawiam się, na ile jest to przeżycie duchowe? Albo mistyczne? Śmierć mieśza się z Halloween, z zabawą w strasznie, zaczyna się kojarzyć z rozdawaniem dzieciom cukierków i śmiechem. To jest osvajanie, ale dosyć zewnętrzne, powierzchowne. Nie o to chyba chodzi?

**Wybór, o którym mówisz, oznacza kolizję z dekalogiem, życie to dar od Boga.**

Dlatego to temat tabu i lepiej go nie tykać. Równie zawily i skomplikowany, co spór o aborcję, który tak podzielił Polki i Polaków. Katolicy uważają oba zjawiska za grzech śmiertelny. Ja jestem za pełną odpowiedzialnością człowieka za swoje życie. Los, fatum, wyższa instancja, jakkolwiek to nazwiemy, nie może odpowiadać za to, co nam się w życiu przydarza. Oczywiście to, jak dokonujemy wyborów, zależy od różnych czynników, na które nie mamy wpływu, takich jak geny, wychowanie, przypadek. Ale jednostce nie można odebrać sprawczości. O swoich narodzinach nie możemy decydować, lecz o narodzinach swojego dziecka już tak. O własnej śmierci, w moim odczuciu, również.

**Donald Tusk jeszcze przed startem kampanii wyborczej zapowiedział legalną aborcję do 12. tygodnia ciąży, ale Władysław Kosiniak-Kamysz już po wyborach stwierdził, że ta sprawa nie będzie przedmiotem umowy koalicyjnej, gdyż kwestie światopoglądowe nie powinny być ograniczane wpisaniem w umowę koalicyjną. Więc jeśli to budzi takie kontrowersje, to co dopiero eutanazja.**

Wszystko wymaga czasu. Ja bym zaczęła od podstaw. Polskie społeczeństwo odczuło się otwartości, chęci niesienia pomocy np. niepełnosprawnym czy ludziom o innym niż biały kolorze skóry. Potrzebujemy drobnych kroków prowadzących do nowoczesnego, liberalnego państwa na miarę XXI w. Trzeba zacząć ze sobą współpracować, nauczyć się być razem, aby tematy takie jak eutanazja stały się sprawami wspólnotowego zrozumienia i akceptacji. Jeśli podamy sobie ręce, sadząc drzewa na skwerze, łatwiej nam będzie przyjąć, że ktoś myśli inaczej niż my. Że nie trzeba go za to karać ani odsądzać od czci. Ludzie chcą żyć na własnych zasadach. Jeśli nie wyrządzają nikomu krzywdy, powinniśmy to uznać. Wołę patrzeć z ciekawością na to, że ktoś jest inny niż z lękiem i nienawiścią.

**Pomoc przy umieraniu jest etyczna?**

Kolejny trudny problem. Nie chciałyby się znaleźć w sytuacji, w której mam podjąć za kogoś decyzję o odejściu ani sama być zdana na czyjąś wolę. Znam osoby, które przewidując, że mogą stracić świadomość lub poczytalność, uprzedzają bliskich o swojej woli. Wyjaśniają, czego chcą, a czego sobie nie życzą. Nie wszystko bywa potem łatwe, legalne, bo wielu rzeczy nie da się zrobić. Weźmy film Hanekego. Ktoś powie, że „Miłość” opowiada o mordercy, ja wołę interpretację, że mówi o empatii i oddaniu. Na tym to polega. Nie rozstrzygałabym jednoznacznie tych kwestii.

**Wierzysz, że w katolickim kraju takim jak nasz, nawet w dalszej perspektywie, możliwa jest legalizacja eutanazji?**

Wielu Polaków nie uczestniczy w życiu Kościoła, dokonało apostazji. Zachowuję jednak pewną ostrożność, gdyż w sprawie eutanazji nie czuję się autorytetem. Osobiście nie przeżyłam sytuacji przedstawionej w filmie „Lęk”. Próbowałam jedynie ją sobie wyobrazić.

**Do jakich wniosków doszłaś?**

Że rozumiem bohaterkę. Jej siostra, grana przez Martę Nieradkiewicz, ma trudniej. Bo asystuje przy akcie wspomaganego samobójstwa. To ona ją zawozi, bierze na siebie ciężar i odpowiedzialność za emocje towarzyszące im w trakcie kilku ostatnich dni. A potem musi z tym żyć. Trudniej mają ci, co zostają, niż ci, co odchodzą. Gdyby moja mama długo cierpiała, była umierająca i poprosiła mnie o taką pomoc, nie wiem, jak bym się zachowała. Chciałabym jej ulżyć. Nie potrafię jednak odpowiedzieć, co bym zrobiła.

**Chorem chodzi o skrócenie bólu, o prawo do godnej śmierci.**

A gdybym ze strachu przed konsekwencjami odmówiła? Wyrzuty sumienia z powodu bólu bliskiej mi osoby znokautowałyby mnie. To są bardzo złożone sytuacje.

**Może prawo powinno dokładnie precyzować, kto może dokonać eutanazji?**

To niemożliwe. Jak zdefiniować takie przypadki? Każdy jest inny. Poza samą chorobą i wrażliwościami natury moralnej w grę wchodzi powiązania rodzinne, rodzaj związku, relacje z bliskimi. Kto ma mieć do tego prawo? Tylko mąż i żona? Na pewno nie. Nie sposób tego rozstrzygnąć.

**O eutanazję zabiegają tylko silne psychicznie jednostki?**

Budując postać Małgorzaty, nie chciałam, aby ona od początku do końca zachowała pewność. Decyzja o jej samobójstwie nie została podjęta w afekcie, nie jest wołaniem o pomoc. Była spokojna

i przemyślana. Jednak instynkt przetrwania jest na tyle mocny, że potrafi zaprzeczć logice i rozumowi.

**Scena wypijania trucizny na hotelowym łóżku jest odduchowiona, a przez to upiorna. Jakbyście dawali widzom przestrozę: nie róbcie tego, bo czeka was pustynia emocjonalna.**

W filmie nie poruszamy aspektu duchowości. Nie pojawia się wątek wiary. Trzeba by spytać reżysera Sławka Fabickiego, dlaczego tak to ustawił. Mnie to akurat odpowiadało. Podoba mi się, że porozumiewamy się na płaszczyźnie wyłącznie ludzkiej, nie mieszając w to Boga.

**Nie był to unik?**

Gdyby bohaterka przyznawała się do religijności, powstałby zupełnie inny film. Tematem naszego jest relacja dwóch sióstr w krańcowej sytuacji, a nie głód sacrum, jak u Zanusiego w „Spirali”. Zaś co do wydzwieńki wspomnianej sceny – takie są procedury. Oglądałam sporo materiałów z klinik oferujących zabieg eutanazji i tak to mniej więcej wygląda. Trzeba samodzielnie wypić przygotowany napój, bo inaczej akt nie zostanie zakwalifikowany jako samobójstwo. Oczywiście ludzie różnie reagują, niemniej ten warunek musi być spełniony. Nawet w takich krajach jak Szwajcaria ten, kto pomógłby wypić truciznę, może być oskarżony o zabójstwo albo usiłowanie zabójstwa. Sama mikstura jest wyjątkowo odpychająca, więc ostatnia walka odbywa się na poziomie czysto biologicznym. Stąd atmosfera paniki, chaosu, bo jeśli nie wypije się do końca, konsekwencje będą straszne, ale nie będzie to śmierć. Natomiast wrażenie pustyni emocjonalnej, o której mówisz, bierze się stąd, że nie ma w tej scenie miejsca na rozmowę, pytania, płacz. Wszystko, co miało się stać między siostrami, wydarzyło się wcześniej.

**Dla ciebie jako aktorki to był ciekawy eksperyment?**

Nie nazwałabym tego eksperymentem, raczej wyzwaniem aktorskim, pozwalającym się zanurzyć w świecie, do którego szczęśliwie nie mam dostępu. Nie powiedziałabym też, że to było jakieś przeżycie duchowe, traktowałam to jako podróż w głąb postaci i tematu.

**Abstrakcyjne doświadczenie.**

Bardzo cieleśne, fizyczne. Zanim rozpoczęliśmy zdjęcia, przez kilka miesięcy musiałam dostosować swój wygląd do wychudzonego ciała kobiety w ostatnim stadium choroby nowotworowej. Zrzuciłam osiem kilogramów. Nie poświęciłam się, czułam się w tym bezpiecznie. Każdy poszukujący aktor czy aktorka rzuca się na takie wyzwania. Dzięki przemianie ►

► fizycznej udaje się zmienić swój wizerunek. We mnie ta przemiana uruchomiła proces myślenia o postaci. Znasz mnie, jestem osobą witalną, energetyczną, macham rękami, jak gadam, i – odpukać – jestem zdrowa, a przeistaczając się w Małgorzatę, z tygodnia na tydzień słabłam, stawałam się wolniejsza, miałam zadyszkę, ciszej mówiłam.

### **Ryzykowałeś. Nie proszciej było się oprzeć na charakterystyce i efektach specjalnych?**

Zawierając swojemu ciału, mogłam lepiej pracować. Ale nie przekroczyłam granicy. Robiłam wszystko, żeby uwiarygodnić grę. Widz ma uwierzyć, że moja postać naprawdę umiera, oraz w to, że jedyną metodą pozbycia się bólu jest poddanie się eutanazji. Efekty specjalne pomagają w niektórych scenach, jednak autentyczność gwarantowała obecność żywego aktora.

### **Jakie są koszty psychiczne takiego zaangażowania?**

Przykro mi było, że przez pół roku nie mogłam jeść rzeczy, które lubię. (*śmiech*) Żyłam w ascezie, to mnie napędzało. Jeśli po obejrzeniu „Lęku” ktoś z niedowierzaniem spyta, czy to ja, w teatrze zobaczy mnie w jeszcze innym anturazie i porówna to z wystylizowaną kreacją na czerwonym dywanie, wahając się, czy to ta sama osoba – fantastycznie. Na tym polega aktorstwo, by widząc graną przeze mnie hipiszkę, zakonnice czy chorą na raka, widział o postaci, przejął się nią, a nie widział stale mnie.

### **Uprawiasz kaskaderkę.**

To zupełnie inny zawód. (*śmiech*) Z podobnymi wyzwaniem mierzą się najwybitniejsi artyści, więc przyjąłam to jak dar! W Polsce nie ma wielu takich propozycji. Co mi z tego, że w każdej roli będę identyczna, a zmieniać się będą jedynie kostiumy i dialogi? To mnie nie interesuje. Mam 51 lat. Od trzech dekad uprawiam ten zawód. Myślę, że to świetny moment, by pozwolić sobie na szaleństwo.

### **Ciężko mi uwierzyć, że tak dewastujące role, jak Małgorzata w „Lęku” czy samobójczyni Sarah Kane w spektaklu „4:48” Grzegorza Jarzyny, nie pozostawiają żadnego śladu.**

Grając ekstremalne postaci, ponoszę pewne konsekwencje, głównie na planie albo w teatrze. Dochodzi do rozwibrowania emocji, człowiek staje się bardziej wyczulony na ciemne strony życia. Mój wewnętrzny radar automatycznie ustawiony zostaje na smutek i takie informacje zbiera. Natomiast nie zdarzyło mi się, abym z tego powodu wyłączyła się z codzienności, nie widywała się z partnerem, uniikała przyjaciół, nie oglądała komedii itd.

Po nakręceniu sceny eutanazji w „Lęku” nie chodziłam jak zombie, zakończyliśmy dzień kąpielą w jeziorze.

### **Odrutką potrafia być inne role?**

Tak. To jeden ze sposobów, by siebie chronić. Kolejne zadanie pozwala odpocząć od poprzedniego i odwrotnie. W warunkiem jest zmienność: inne środowisko, nowy temat, ciągła sinusoida nastrojów. Sarah Kane, Małgorzata – one z mną zostają. Trzymam je w bezpiecznej odległości. Zawsze mogę do nich wrócić. Pozytywną są takie, że intensywna praca pomaga uporać się z własnymi demonami. Różne niepowodzenia, frustracje, kryzysy często, czasem nieświadomie, spalają, krzycząc, płacząc, wyklócając się na scenie albo przed kamerą. Czuję się potem jak po dobrej terapii. Emocje są moje, choć odreagowuję nie swoim życiem. Prywatne przeżycia, doświadczenia, wspomnienia wywołują we mnie reakcje, które dla widza stają się reakcjami bohaterki.

### **Boisz się przemijania?**

### **Odpędzasz wizję starości?**

Coraz częściej myślę, ile jeszcze... nie życia w ogóle, tylko sprawności, aktywnego uczestnictwa, głodu nowych doświadczeń. Nazywam to jogą mózgu. Trenuję życie. Mój partner ostatnio wysnuł myśl, że umrę w wieku 86 lat. W sumie super. Jeszcze trzydzieści parę lat. Nie jest źle. Sam proces starzenia mnie nie przeraża. Widzę, że się zmieniam, zmienia się twarz, mam gorszą kondycję, inne ciało – to oczywiste. Obserwuję starsze koleżanki, wiem, co mnie czeka.

### **Jesteś z tym pogodzona.**

Nie ma od tego odwrotu. Operacje plastyczne, botoks nie rozwiązują przecież sprawy. Jestem aktorką i nie chcę, osiągnąwszy 60, 70 lat, nie wyglądać na swój wiek. Straciłabym wiarygodność. Wyobrażasz sobie, jak gram babcię albo prababcię z twarzą niezdradzającą wieku i doświadczenia? Chcę zostać w tym zawodzie skuteczną i wiarygodną do końca.

### **Mówi się, że kobieta w pewnym wieku przestaje być atrakcyjna.**

### **To nieprawda?**

Chciałabym być atrakcyjna również jako staruszka. Danusia Szaflarska nawet po przekroczeniu dziewięćdziesiątki wyglądała wspaniale. Imponuje mi kobiecość Andy Rottenberg czy Mai Komorowskiej. Dla mnie one są piękne.

### **Często robisz bilans?**

W ogóle nie robię. W zeszłym roku obchodziłam hucznie 50. urodziny, udzielałam okolicznościowych wywiadów, więc siłą rzeczy też mnie o to pytano. Dzisiaj również bym odpowiedziała, że jestem zadowolona. O tych najbardziej intymnych

doznaniach nigdy publicznie nie opowiem. Wiem, co składa się na mnie. Im bardziej ta mozaika jest złożona, różnorodna, tym chyba ciekawszym, bardziej interesującym jestem człowiekiem. I aktorką. Dlatego nie boję się życia. Mimo popełnionych błędów uwielbiam je i zamierzam jeszcze długo z niego czerpać.

### **Opowiedz o swoim lęku przed śmiercią.**

Śmierć jest nieunikniona, wszystkich nas to czeka. Ponieważ jestem bliżej tej granicy, niż mając 20 lat, tym bardziej się jej nie boję. Nigdy poważnie nie chorowałam. Postrzegam siebie jako szczęściarę. Oczywiście rozmaite dołki są nieuniknione. Zawodowo byłam odrzucana, krytykowana, nigdy jednak do tego stopnia, żeby się poddać. Mam spory багаż doświadczeń, mnóstwo wzlotów i upadków, ale bez podejmowania ryzyka nie czułabym, że żyję. Wiem, że każde niepowodzenie kiedyś minie. Bo wszystko przemija – jeśli oczywiście doczeka się tej zmiany.

### **No właśnie. Jesteś kobietą spełnioną, szczęśliwą, docenianą. W każdej chwili jednak to wszystko może zostać przerwane.**

Gdy sobie wyobrażam taki moment, pojawiają się dwie opcje. Jestem 86-letnią panią leżącą w łóżku. Zbliża się nieuniknione. Rozglądam się, kto jest wokół mnie. Nie chciałabym umierać w samotności. Z drugiej strony chodzi mi po głowie nagła śmierć w wypadku. Albo świadoma, jak w „Melancholii” Triera. Nie wiem, co jest lepsze. Najbardziej chyba w tej ostatniej chwili bałabym się samotności i opuszczenia.

### **Modlisz się, żeby ciebie to nie spotkało?**

Nie mam potrzeby modlenia się. Moje drogi z Kościołem rozeszły się dawno temu. Zwracam się do czegoś, co jest moje. Wewnątrz mnie. Możesz to nazwać tajemnicą, absolutem, energią, wibracją we mnie. Wierzę w dobro, że to, co robimy, wraca do nas. Ile włożymy, tyle dostaniemy z powrotem. Słowem – wierzę w życie.

### **Którego rewersem jest śmierć.**

### **Co jest po niej?**

Chyba nic.

### **Chrześcijaństwo wierzy w zmartwychwstanie.**

No ale jak? Że z grobu? Musiałabym się dobrze ubrać. (*śmiech*) Przykro mi, no nie, nie wierzę. Pewności, oczywiście, mieć nie można. Wszyscy mamy tę samą zagwozdkę o tej krainie, „skąd żaden jeszcze odkrywca nie wrócił”, jak mówi Hamlet. A jeśli zmartwychwstanę i Bóg, wskazując mnie palcem, powie: nie wierzyłaś! – co wtedy?

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
Kuby Wojewódzkiego

Jest nowe boomerskie słowo roku. Zostały nim trzy słowa: „Proszę ja ciebie”. Wygrały z „facetką” oraz z „za moich czasów”. Klawo. Trochę kaszana, ale generalnie tenteges i gites. Całość, w dechę.

Z list PiS próbował startować także inny muzyk, Henryk Czich, wokalista zespołu Universe. Dostał 1072 głosy. Sporo. Jak widać, głosowali na niego nie tylko fani.

Niestety do Sejmu nie dostała się także Dorota Stalińska. Aktorka kandydowała z list Trzeciej Drogi z okręgu podwarszawskiego. Szkoda. Przydałaby się Trzeciej Drodze jakaś wyrazista osobowość.

George Soros zainwestował w portal Wirtualna Polska, co ma służyć utrzymaniu niezależnych mediów. Każdy chyba pamięta, jak WP nachalnie promowała Zbyszka Ziobrę. Lubię takie medialne duety. W 1939 r. Człowiekiem Roku magazynu „Time” został Józef Stalin.

39 tys. osób ogląda nowe *late night show* „Rogalska show” w TVN Style. Prowadzi je Marzena Rogalska. Chciałem zaprosić autorkę do siebie, aby uchronić ją przed błędami. Udało się. Popelniła wszystkie.

Wokalistka (sic!) Maja Hyży wypowiedziała się na temat wyborów. „Daliśmy radę, możemy być z siebie dumni. Zadbaliśmy o swoją przyszłość i przyszłość swoich dzieci”. Maja zadbała o to już wcześniej. Występując w TVP od Sylwestra do Opola.

Sensacja roku. Krzysztof Stanowski, założyciel, lider i najmocniejsza postać Kanału Sportowego, rzucił tę robotę. Szkoda. On udowodnił, że dziennikarstwo to nie zawód, tylko charakter. Paskudny. Ale jednak.

Tomasz Kammel z TVP też zmienia orientację. Podczas „Royal Concert” w niedzielę 15 października prezenter stwierdził: „Dokonałi państwo bardzo dobrego wyboru... przychodząc tutaj”. Znakomite. Tomku, mała szansa, aby twój następni pracodawcy byli głupszy od aktualnych.

Stuart Burton, główny podejrzany w pedofilskiej aferze youtuberów Pandora Gate, został zatrzymany przez policję w Wielkiej Brytanii. Od czasu brexitu Wielka Brytania wreszcie do czegoś się przydała.

Niecałe 400 tys. widzów średnio śledziło „Doda. Dream Show” o 20.00 w Polsacie, co jest wynikiem dużo poniżej średniej stacji. To chyba ostatni moment, aby przyznać, że Doda jest zjawiskiem, ale takim pokazywanym zwykle w późniejszych porach.

Maciej Orłoś stwierdził, że prawdopodobieństwo jego powrotu do „Teleexpressu” w TVP jest dziesięcioprocentowe. Ale może sobie taki powrót wyobrazić. 10 proc. to świetny wynik. Wystarczy zapytać Konfederację.

„Jarosław Kaczyński jest potwornie złożoną postacią. On i Adam Michnik są jak Batman i Joker polskiego życia publicznego. I są takim swoim rewersem”. To Jakub Żulczyk w podkaście Onetu. Różnica jest taka, że Batman walczył z przestępczością, a nasz ją organizował.

Samuela Górską, była dziewczyna Antka Królikowskiego, startowała z list Konfederacji z hasłem, że nie chce żydostwa ani LGBT. Dostała w Krakowie 1387 głosów. 1387 ludzi lubi rozum, tylko nie wie, jak zagadać.

„Z artystami jest taki problem, że oni muszą mieć koło siebie kogoś, komu ufają. Jeśli takiej osoby nie ma, to artysta staje się karykaturą samego siebie”. To Janusz Józefowicz o karierze Edyty Górniak. To trudna sztuka napisać czyjaś biografię w dwóch zdaniach.

„Stworzyliśmy propagandę na gorszym poziomie niż lata 70. Ten naród został upokorzony. Zwyciężyła logika stalinowska: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”. To Marcin Wolski z TVP. Czysta prawda. Taka jak fakt, że baseny na „Titanicu” są dalej wypełnione.



© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

**Mariola Bojarska-Ferenc** wypowiedziała się na temat TVP. „Myślę, że dziennikarze powinni być jak najszybciej odsunięci, szczególnie ci polityczni, bo to był bełkot”. Monako ma podobno „najsmutniejszą księżniczkę świata”. Od 15 października TVP ma to samo z dziennikarzami.



# Nowe otwarcie

„To deszczowy i przepiękny rzeczywistości

KATARZYNA CZARNECKA

**P**odczas obrad Kapituły zastanawialiśmy się, w jakiej atmosferze równo tydzień po wyborach spotkamy się na rozdaniu Nagród Naukowych – kontynuował redaktor naczelny POLITYKI. – Pogoda jest jednak kontrastem dla naszych szampańskich nastrojów”. Po ośmiu złych latach jest bowiem nadzieja, że zaczną się spełniać życzenia, które naszym laureatom – ale też badaczom w ogóle – złożył Miłosz Bembinow, prezes partnerującego NNP Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Brzmiały one: „Żeby rozwój nauki nie był skrzepowany ani sytuacją polityczną, ani ekonomiczną. Żeby limitem waszej pracy była po prostu wyobraźnia. Żebyście mieli nieograniczone możliwości prowadzenia badań”.

W ostatnim czasie przykładów blokad wolności naukowej stawiano tak dużo, że trudno je wszystkie tu wymienić. Szczególnie oburzające były działania wobec badaczy zajmujących się tak niewygodnymi dla władzy tematami, jak stosunek Polaków do obcokrajowców czy mniejszości etnicznych i seksualnych oraz historia, szczególnie Holocaustem. Najjaskrawsze wydają się dwa.

Andrzej Duda od stycznia 2019 r. odmówił podpisania nominacji profesorskiej Michała Bilewicza z Centrum Badań nad Upředzeniami Uniwersytetu Warszawskiego. Kancelaria Prezydenta RP stwierdziła w 2020 r., że „ma wątpliwości co do bezstronności recenzentów”. Przemysław Czarnek przypuścił zaś w kwietniu bezprecedensowy atak na prof. Barbarę Engelking, kierowniczkę Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu

Filozofii i Socjologii PAN, do którego ochoczo przystąpili inni przedstawiciele władzy. Badaczka naraziła się władzy stwierdzeniem, że „Polacy mieli potencjał, by stać się sojusznikami Żydów i można było mieć nadzieję, że będą się inaczej zachowywać, że będą neutralni, że będą życzliwi, że nie będą do tego stopnia wykorzystywać sytuacji i nie będzie tak rozpowszechnione szmalcownictwo”. Minister edukacji i nauki zagroził naukowcy – oraz jej instytutowi: „Będę rewidował swoje decyzje finansowe, bo ja nie będę finansował na większą skalę instytutu, który utrzymuje tego rodzaju ludzi, którzy po prostu obrażają Polaków”.

## Powody do dumy

Środowisko naukowe nie pozostało w obu tych sytuacjach bierne. W grudniu 2022 r. psycholingwistka prof. Ewa Haman z UW odebrała swoją nominację w maseczce z napisem „Michał Bilewicz profesorem”. Zaapelowała też do prezydenta o zakończenie tej obstrukcji. Ponad 1300 badaczy wystosowało list poparcia dla prof. Engelking: „Uważamy za niezwykle niebezpieczne i niedopuszczalne zapędy cenzorskie i pomysły uzależnienia finansowania instytucji naukowych od tego, czy badania zatrudnionych w nich naukowców spełniają oczekiwania polityków”.

Ani indywidualne, ani zbiorowe protesty nie przyniosły natychmiastowych rozwiązań. Nikt zresztą nie miał co do tego złudzeń. Stało się jednak coś ważniejszego, o czym podczas gali powiedziała dr Maria Ferenc z Działu Naukowego Żydowskiego Instytutu Historycznego: „Podpisy pod listem w obronie prof. Engelking złożyli i fizycy jądrowi, i chemicy, i przedstawiciele różnych dziedzin humanistyki. Te osoby, które robiły to w obronie



Od lewej: Paweł Rajwa, Łukasz Okruszek, Adam Okniński, Monika Szopińska-Mularz, Piotr Skowron, Maria Ferenc, Paweł Nowakowski, Damian Jacenik, Marta Sylla, Marek Muszyński, Marcin Lindner. W drugim rzędzie: Kamil Mamak, Michał Koza i Maciej Cieśla oraz członkowie kapituły i fundatorzy.

## słoneczny dzień” – powiedział Jerzy Baczyński. W odmienionej poznaliśmy laureatów 23. edycji Nagród Naukowych POLITYKI.



wolności słowa. To, co ze mną już zostanie, to myśl, że solidarność naszego środowiska jest ważna”. I dodała: „Zagrożenie dla badaczy Zagłady się wreszcie oddala i nie sposób się z tego nie cieszyć”.

O kolejnym będącym powodem do dumy porozumieniu – tym razem na poziomie instytucjonalnym – opowiedział prof. Tomasz Szapiro, przewodniczący Kapituły profesorskiej NNP. Urzeczywistnia się ono w inicjatywie „Uniwersytety Europejskie”, z którą w 2017 r. wyszła Komisja Europejska. To część ogólnej wizji utworzenia do 2025 r. wspólnego obszaru edukacji. Chodzi o długoterminową współpracę uczelni wyższych, m.in. programy międzyuczelniane, w których mogą swobodnie uczestniczyć studenci, kadra akademicka i badacze ze wszystkich zakątków kontynentu. W tej chwili w inicjatywie uczestniczy już 430 uczelni z 35 krajów, w tym 23 z naszego. Także dzięki niej polska nauka szybko będzie mogła potwierdzić, że zasługuje na miano wiarygodnej i nowoczesnej oraz umiejącej stawić czoło problemom współczesności.

### Powód do nadziei

Tacy właśnie są nasi laureaci. Pracują nad aspektami etycznymi i rozwiązaniami prawnymi dotyczącymi relacji człowieka z technologią: robotami, sztuczną inteligencją. Zastanawiają się, w jaki sposób społeczeństwa mogą poradzić sobie z niszczącą je epidemią samotności. Dokładają

swoje cegiełki do walki z nowotworami, doprowadzając jednocześnie do zmian w procedurach i zaleceniach medycznych. Pomagają opracować narzędzia usprawniające uczestnictwo obywateli w decydowaniu o kwestiach politycznych i społecznych. Tworzą nowe metody pozbywania się odpadów – także tych, które są efektem podboju kosmosu.

Wybranie 15 finalistów spośród wielu pretendentów nie jest łatwe dla Kapituły Profesorskiej. Dla tej Obywatelskiej, która z tej 15 wybiera pięciu laureatów głównych nagród, być może jeszcze bardziej skomplikowane. „To paradoksalnie bardzo łatwe i niezwykle trudne – mówił prof. Tomasz Nałęcz. – Łatwe, bo jakkolwiek byśmy wybrali, wybierzemy dobrze. Musimy jednak wskazać osobę, która będzie *primus inter pares*. I większość naszych wyborów – a głosujemy tajnie – odbywa się decydującą większością głosów lub nawet jednomyślnie. Kierujemy się –

na zawa Kapituły zobowiązuje – obywatelską, społeczną użytecznością. Jak inaczej wybrać jednego w każdej z pięciu kategorii? Chyba trzeba właśnie laika. Bywało, że najbardziej skomplikowane problemy rozstrzygano w ten sposób, że kiedy specjaliści nie mogli, to dzieciom powierzano znalezienie pomysłu, w jakim kierunku szukać. My więc występujemy trochę w charakterze dorosłych dzieci, ale chyba z trafnymi wyborami”.

Takimi, które w nowej radości dają też nową nadzieję. ▶

### NNP 2023 w liczbach:

Kandydaci:	<b>344</b>
Płeć kandydatów:	<b>186</b> kobiet, <b>158</b> mężczyzn
Płeć finalistów:	<b>3</b> kobiety, <b>12</b> mężczyzn
Płeć laureatów:	<b>5</b> mężczyzn

Od początku akcji nagrodziliśmy **377** badaczek i badaczy kwotą **7** mln zł

## Laureaci Nagród Naukowych POLITYKI 2023

### NAUKI HUMANISTYCZNE



**Dr Kamil Mamak**  
Rocznik 1988. Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Helsingfors Universitet

Zainteresowania naukowe dr. Kamila Mamaka, asystenta w Katedrze Prawa Karnego, wiążą się także z filozofią, etyką oraz technologią. Próbuje on bowiem odpowiedzieć na pytania o etyczny i filozoficzny wymiar

technologii oraz określić, jak powinno być zorganizowane prawo, aby jak najlepiej chronić ludzkie wartości. W swoich tekstach porusza również kwestie związane z rozwojem sztucznej inteligencji. W wydawnictwie Routledge ukazała się niedawno jego książka rozpoczynająca się od pytania: „Czy można kopnąć robota?”

### NAUKI SPOŁECZNE



**Dr hab. Łukasz Okruszek**  
Rocznik 1986. Instytut Psychologii Polskiej Akademii Nauk

„Epidemia samotności” to diagnoza, która została postawiona na długo przed 2020 r. Później wybuchła pandemia i liczba osób, które mają poczucie niewystarczającej liczby lub jakości więzi z innymi ludźmi, jeszcze wzrosła. Ich problemami – na poziomie fizjologicznym – zajmuje się w swoim kilkuletnim

Projekcie Samotność dr hab. Okruszek z Pracowni Neuronauki Społecznej. W efekcie wskazał nieoczywiste związki między indywidualnym poczuciem samotności a postawami i zachowaniami społecznymi (współpraca, wrogość, nieufność) oraz dowiódł ich neuropsychologicznych źródeł.

### NAUKI O ŻYCIU



**Dr hab. n. med. Paweł Rajwa**  
Rocznik 1991. Wydział Nauk Medycznych w Zabrzu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego

Lekarz w Klinice Urologii, gdzie zajmuje się urologią onkologiczną, szczególnie rakiem prostaty. Współautor ponad 150 prac naukowych. Zaangażowany w prace kilku europejskich komitetów i grup badawczych, m.in.

Europejskiego Towarzystwa Urologicznego ds. raka prostaty. Współpracuje z ponad 50 ośrodkami na świecie, koncentrując się na poprawie diagnostyki i efektów leczenia tej choroby, z uwzględnieniem spersonalizowania terapii i metody tzw. aktywnego nadzoru.

### NAUKI ŚCISŁE



**Dr hab. Piotr Skowron**  
Rocznik 1985. Instytut Informatyki Uniwersytetu Warszawskiego

Pojęcia związane z ideą demokracji, takie jak sprawiedliwość, proporcjonalność i reprezentatywność, ujmując w karby informatyki, matematyki i ekonomii teoretycznej. Jest autorem nowatorskiej metody liczenia głosów podczas uchwalania budżetów obywatelskich. Prowadził pionierskie badania nad metodami wyłaniania organów reprezentacyjnych.

### NAUKI TECHNICZNE



**Dr inż. Adam Okniński**  
Rocznik 1990. Centrum Technologii Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytutu Lotnictwa

Dyrektor CTK. Zajmuje się technologiami raketowymi, a przede wszystkim napędami pojazdów kosmicznych wykorzystującymi ekologiczne i wysoko wydajne materiały pędne. Jego celem jest wycofanie stosowanych dziś w sztucznych satelitach toksycznych paliw i utleniaczy, które stanowią zagrożenie zarówno na etapie produkcji, jak i eksploatacji.

Wycofanie paliw i utleniaczy, które stanowią zagrożenie zarówno na etapie produkcji, jak i eksploatacji.

Poza pięcioma stypendiami (po 15 tys. zł) przyznaliśmy 10 nagród finałowych (po 5 tys. zł), które otrzymali:

**dr MACIEJ CIEŚLA**, Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN; **dr inż. MICHAŁ DZIADEK**, Wydział Inżynierii Materiałowej i Ceramiki Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie; **dr MARIA FERENC**, Dział Naukowy Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma oraz Katedra Judaistyki Uniwersytetu Wrocławskiego; **dr DAMIAN JACENIK**, Wydział Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego; **dr MICHAŁ KOZA**, Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego; **dr MARCIN LINDNER**, Instytut Chemii Organicznej Polskiej Akademii Nauk; **dr MAREK MUSZYŃSKI**, Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk; **dr PAWEŁ NOWAKOWSKI**, Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego; **dr MARTA SYLLA**, Wydział Gospodarki Przestrzennej i Architektury Krajobrazu Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu; **dr inż. arch. MONIKA SZOPIŃSKA-MULARZ**, Wydział Budownictwa, Inżynierii Środowiska i Architektury Politechniki Rzeszowskiej im. I. Łukasiewicza.

Więcej na stronie: [polityka.pl/stypendia](http://polityka.pl/stypendia)

# Jak głupia do sera



**N**ie odkładaj radości na później (*Don't postpone joy*) – taki napis znajduje się na drzwiach niewielkiego różowego pawilonu przy ulicy Zachodniej Dwunastej w dzielnicy parków rozrywki Coney Island w Nowym Jorku. Pawilonik to własność Benny'ego Harringtona. To jedna z trzech parterowych budek z gramy – pomalowanych na niebiesko, różowo i miętowo. Na zapleczu nie ma jak się ruszyć, bo Benny niczego nie wyrzuca. To dziś jeden z niewielu niezależnych operatorów gier. Niegdyś wąska alejka zwana Jones Walk była ich pełna. Musieli się wynieść, kiedy weszli duzi gracze, którzy operują franczyzami od Disneya czy firmy Mattel. Benny to kolekcjoner dziwacznych przedmiotów: zabawek, figurynek, durnostojek, kiczowatych obiektów, które na pewno pokochałaby Wisława Szymborska. Z tych obiektów konstruuje miniparki rozrywki – przez kolorowe krajobrazy jadą kolejki i samochodziki. Pastelowe pawilony to projekt życia ich właściciela – malutkie przyczółki frajdy.

Benny to jeden z mądrzejszych mistrzów uważności, jakich w życiu spotkałam – a jego plansza z hasłem o radości wypisanym na różowych drzwiach – została ze mną jako jedno z najcenniejszych nowojorskich wspomnień. I przekonanie, że radość, zabawa, frajda jest rzeczą egzystencjalnie istotną i właściwą. Także w sprawach najpoważniejszych.

Radość nie zbija niczego z piedestału – choć takie stwierdzenie często zbija ludzi z pantafelku. Tak jakby niepisana zasadą w sprawach istotnych było utrzymanie marsowej miny, minorowego tonu, czarnowidztwo, sceptycyzm – w takiej postawie widzi się symptomy inteligencji, refleksyjności. Radość, optymizm, entuzjazm – w tym widzi się symptomy głupoty i żenady. Jak szły te przysłowia? Nadzieja matką głupich. Cieszy się jak głupi do sera. Tańcz, głupia tańcz.

Kiedy wieczorem 15 października okazało się, że PiS najprawdopodobniej został odsunięty od władzy, zerwałam się z kanapy i pomyślałam, że na pewno wszyscy wyszli gdzieś świętować – ale ulice były puste, knajpy podobnie. Rano otwieram media społecznościowe i widzę od razu posty – że wcale nie jest tak dobrze, w sumie tak sobie, mogło być lepiej, zobaczymy, co będzie, lepiej poczekać.

Jak to lepiej poczekać? *Don't postpone joy!* Ale nie – od razu rozdzielone na czworo włosy, wątpliwości, że przecież długo to zajmie – i tak dalej. Czy naprawdę zdrowy rozsądek kłóci się z chwilą radochy? Czy dobrze zacząć przepisywać społeczny scenariusz od uniesionych ironicznie brwi i cmokania z powątpiewaniem? To nas połączy?

Zrozumiałabym, jeśli ktoś uznałby, że radość jest przeciwko tej połowie Polski, która głosowała na PiS – ale nie widzę takiej empatii. To po prostu nie jest w dobrym tonie, żeby tak się radować. No bez przesady!

Chyba że wygrywamy mecze – im bardziej błaha sprawa, tym bardziej przystoi się cieszyć. Im rzecz poważniejsza

– tym musi być mniej radości, bo ona od razu przywołuje naiwność i płochość.

Niedawno, na kilka dni przed wyborami, odbyła się w Muzeum POLIN konferencja Business Fashion Environment Summit. Tematy niewesołe – kryzys klimatyczny, zaśmiecanie świata, łamanie praw pracowniczych, odzieżowe niewolnictwo.

Na scenę wchodzi modelka i aktywistka Arizona Muse, właścicielka fundacji DIRT, i opowiada o tym, czym jest dla niej rolnictwo regeneratywne. Merytorycznie, ale z humorem, z uśmiechem na twarzy. Publiczność przeżywa dysonans poznawczy – modelka mówi i to, co proponuje, to ciekawe innowacje w obszarze gospodarki, a jednocześnie jako aktywistka nie jest gniewna, nie straszy końcem świata. Arizona tłumaczy, że według niej konieczna dziś zmiana stylu życia na mniej konsumpcyjny nie jest żadnym poświęceniem. Oburza się na takie stawianie sprawy. Mówi o radości, jaką jest dla niej codzienne życie w zgodzie z wartościami takimi, jak dobro planety, innych ludzi i czas dla bliskich i dla siebie samej. Czym ma być ten fajniejszy świat, jeśli mamy się umęczać? Ona chce się cieszyć.

**J**a też chcę się cieszyć. Chcę być obywatelką, ale nie chcę wpisywać w to martyrologii, nie chcę niczyich za to pokłonów, nie chcę być matką Polką ani „wolnością wiodącą lud na barykady”. Chciałabym żyć z radością, jak Arizona i Benny. Kiedy się cieszysz – nie boisz się. Kiedy masz więcej pogody ducha, to większa jest szansa, że dojdiesz do porozumienia z bliźnimi. Radość jest twórcza i wspólnotowa. To najbardziej demokratyczna emocja. Wszyscy się cieszymy – niezależnie od wieku, klasy społecznej – wszyscy potrzebujemy prostych radości. Nigdy z nich nie wyrośniemy. Nieprzypadkowo plaże i parki rozrywki Coney Island od 150 lat nazywa się najbardziej demokratycznym skrawkiem ziemi na świecie – od końca XIX w. przyjeżdżają tam, żeby spędzać ze sobą czas rozmaici migranci, robotnicy, czarni, biali, Latynosi, Żydzi, Arabowie, Polacy, Rosjanie, turyści, nowojorczyki, celebryci, bogacze i osoby w kryzysach. Wszyscy tam przychodzą, rzucać lotkami czy kulkami. Przedstawiciele wszystkich baniek bawią się tam w zgodzie, wszyscy są zrelaksowani. Dziecięca radość jest za darmo, każdego na nią stać.

Jestem przekonana, że jeśli będziemy pogodniejsi i zauważymy w sobie to dawne dziecko z placu zabaw, spotkamy się ze sobą jako dorośli, mając większy luz i otwartość. Także z tymi, którym teraz bardzo mało do śmiechu. To więc mój obywatelski postulat – nie odkładajmy radości na później.

KAROLINA SULEJ



## Jaka Polska?

**Z**eby tylko nie zape-  
szyć! Ale czyż nie  
ogarnia nas prze-  
czucie, graniczące  
z pewnością, że czar-  
na karta w historii ojczyzny  
właśnie się obraca i za chwilę  
wejdziemy w nową epokę?  
Wierzę w to, a nawet poczuwam  
się do obowiązku w to wierzyć,  
aby tym więcej mieć sił i entuzjazmu,  
by jeszcze coś dobrego zrobić  
zamiast zajmować się wyłącznie  
sobą. Tylko co? Każdy z osobna  
i wszyscy razem musimy mieć  
jakiś plan. Wprzód jednak  
trzeba by mieć marzenie.  
O jakiej Polsce śmiemy  
marzyć u progu nowej politycznej  
epoki?

Bądźmy realistami! Nigdy  
Polska nie była jakoś szcze-  
gólnie szczęśliwym i dobrze  
rządzonym krajem. Było kilka  
dobrych lat po pierwszej wojnie,  
kilka niezłych dałoby się  
wyłuskać z autorytarnego PRL,  
a w nie tak już młodej III RP  
z ręką na sercu przyznalibyśmy  
się może do tuzina. No ale  
teraz musi być jakoś wyjątkowo!  
Czyż nie uczymy się na błędach?

Nie, nie uczymy się, niemniej  
wyrośliło nowe pokolenie,  
którego nie da się już zamknąć  
w ponurych biurach ani  
zakładach produkcji i przetwórstwa,  
nie mówiąc już o za-  
władnięciu jego duszą z pomocą  
świętych obrazków i narodowych  
tromtadacji. Młodzi są gwarancją,  
że z grubsza będziemy się  
posuwać po tym samym torze,  
co reszta szeroko rozumianego  
Zachodu. A to oznacza, że  
państwo i jego instytucje będą  
w naturalny sposób pozbywać się  
ideologicznej fasady, za którą  
uprawia się bezwstydny i  
śmieszny anachronizm,  
przeistaczając się w profesjo-  
nalne i dobrze wyposażone  
centra usług publicznych,  
zarządzane pragmatycznie  
i trzeźwo, w ramach resorto-  
wych polityk importowanych  
z krajów, które wyprzedzają  
nas na niekończącej się  
nigdy drodze postępu.

Popatrzmy, ile wciąż  
zmienia się na lepsze, jak-  
by nie oglądając się na cały  
polityczny horror, który był  
naszym udziałem przez ostatnie  
osiem lat. Nowe technologie  
i nowe formy organizacji,  
nic nikomu nie mówiąc,  
po cichu do nas przenikają  
i zmieniają nasze życie.  
Mamy już prawie wszystko  
przez internet, poruszamy się  
po kraju niemalże o połowę  
szybciej niż ćwierć wieku temu,  
grzeją nas jakieś tajemnicze  
pompki, a nasze wakacje są  
coraz bardziej ciepłomorskie  
i taniobiletowe. Nawet udało  
nam się zapomnieć o  
tragicznej zarazie, która  
pochłonęła 200 tys. naszych  
rodaków. Bo na cóż  
wspominać? Trzeba iść do  
przodu, czyż nie? No i  
pomyślcie tylko! Już  
nie będzie jakaś normalna  
władza, która nie będzie  
wszystkiego wokół siebie  
psuć i rozkradać. Bank  
centralny pilnować będzie  
waluty i inflacji. Sądy  
będą sądzić, i to niezawisłe!  
W publicznej telewizji  
znowu będą się kłócić  
posłowie różnych partii,  
dziennikarze będą  
zadawać kłopotliwe  
pytania rządzącym.  
Kobiety nie będą się  
bały ginekologów i  
policji, a ginekolodzy  
fanatyków. Politycy  
nie będą podsłuchi-  
wani, a twórcy nie  
będą prześladowani  
przez ministrów.  
Stanowiska w gospodarce  
będą obsadzone przez  
kompetentne osoby,  
które wygrały konkurs.

Dyplomacja znajdzie się  
w rękach dyplomatów,  
a służby będą zajmo-  
wać się ochroną  
państwa, nie zaś  
umacnianiem  
wszechwładzy  
rządzącej partii.  
Nawet policja  
będzie

ścigać przestępców  
zamiast tłuc  
demonstrantów  
i wystawać  
pod domem  
prezesa Polski.

Itak dalej. Nuda,  
panie, nuda! Od  
jakiegoś czasu  
modne jest  
jedno słówko,  
które to  
wszystko  
trafnie opisuje:  
normalność.  
Ma być  
normalnie,  
czyli nie  
uroczyście,  
bez  
egzaltacji,  
lecz za to  
sprawnie,  
uczciwie,  
komfortowo  
i racjonalnie.  
Normalny kraj!  
Nawet  
dyktatorzy  
znają tę  
tęsknotę  
i czasami  
nazywają  
swoje rządy  
normalizacją –  
odpoczynkiem  
po czasie  
przemocy.  
Nie żeby  
zaraz odwilż,  
co to, to nie,  
ale zawsze  
jakiś rodzaj  
spokoju.  
Tak było w  
Czechosłowacji  
po Praskiej  
Wiosnie.  
Takiej  
normalności  
oczywiście  
nie chcemy.  
Ale to,  
czego  
pragniemy,  
to także  
pewnego  
rodzaju  
normalizacja.  
To coś  
takiego  
niezbyt  
wielkiego,  
niezbyt  
efektownego,  
lecz  
opartego  
na jasnych  
i prostych  
zasadach.  
Normalna  
sprawa:  
elementarna  
sprawiedliwość,  
równe  
traktowanie,  
pilnowanie  
procedur,  
przestrzeganie  
ustalonych  
reguł.  
W parlamencie  
jak w parlamencie  
jak w szkole –  
wszystko na  
swoim  
miejscu.

**A**właśnie dlatego,  
że chcemy tak  
niewiele,  
mamy do tego  
prawo. Jak ma  
się rozsądne  
oczekiwania  
i ma się do nich  
prawo, to  
zwykle życie  
tak się jakoś  
układa, że  
te oczekiwania  
się spełniają.  
I chyba  
właśnie  
nadmuchodzi  
ten czas  
spełnienia  
prostych i  
niewygórowanych  
oczekiwań.  
Tych od „normalności”.  
Ot, chcemy  
wolności i  
praworządności.  
Chcemy  
sprawnych i  
wiarygodnych  
instytucji.  
Chcemy  
cywilizowanego  
życia  
publicznego.  
Chcemy,  
by rządzący  
wiedzieli,  
co to wstyd,  
a co honor.  
Chcemy,  
aby chory  
mógł liczyć  
na leczenie,  
a nie musiał  
zbierać na „prywatne”.  
Chcemy,  
by nie  
zatruchał nas  
smog,  
a przyroda  
była  
szanowana  
i chroniona.  
Chcemy,  
żeby w  
szkołach  
uczono,  
a nie  
indoktrynowano.  
Chcemy,  
żeby teatry  
i galerie  
wystawiały  
to, co chcą,  
a nie to,  
co podoba  
się władzy.  
Chcemy,  
żeby  
publiczne  
środki  
wydawano  
w sposób  
przejrzysty  
i zrozumiały,  
a wysokie  
i wymagające  
kompetencji  
stanowiska  
obsadzano  
w konkursach,  
a nie  
rozdawano  
z partyjnego  
klucza.  
Chcemy  
szacunku  
dla  
samorządności  
terytorialnej  
i zawodowej.  
Chcemy  
ochrony  
praw  
pracowniczych  
i sensownych,  
stabilnych  
przepisów  
dla  
przedsiębiorców.  
Chcemy  
być  
przyjaciółmi  
i partnerami  
dla  
pozostałych  
państw  
Unii  
Europejskiej  
i oparciem  
dla  
walczącej  
Ukrainy.  
Chcemy,  
aby świat  
widział  
w nas  
poważną,  
utrwaloną  
demokrację  
i traktował  
jako  
integralną  
część  
Zachodu.

Czy to  
wszystko  
nie za dużo?  
Czy nam się  
we łbach  
nie  
poprzewracało?  
Ależ nie!  
Jeśli już  
rządzą  
przyzwolici  
ludzie,  
to  
wystarczy  
zatrudnić  
dobrych  
fachowców  
i naśladować  
dobre  
wzorce.  
Właśnie  
w tym  
nasza  
nadzieja,  
że tak  
naprawdę  
to  
wszystko  
wcale  
nie jest  
takie  
trudne!  
A bo my  
gorsi?

JAN HARTMAN



# Wydech

**N**ie przypominam sobie, żebym w 1989 r. była tak zestresowana jak przy tych ostatnich wyborach.

Może dlatego, że wtedy do lokalu z urną jechałam wcześniej rano z pomaturalnej domówki. Nasz rocznik miał szczęście do symboli: egzamin dojrzałości i zaraz po nim pierwsze wybory, przy czym nie tylko nasze pierwsze, ale też pierwsze wolne. Trzydzieści cztery lata temu do nowej Polski wchodziłam tanecznym krokiem, z głową szumiącą od spożywanym podczas całonocnej imprezy bułgarskich win i Bóg wie czego jeszcze. Z lokalu wyborczego, który mieścił się w państwowej szkole na naszym robotniczym osiedlu, bez zbędnej zwłoki przewędrowałam do własnego łóżka i w czasie, gdy moi rodzice zaczęli się zbierać, żeby pójść zagłosować na Solidarność, ja spałam już głębokim snem szczęśliwej i sprawiedliwej.

Tym razem było inaczej. Przedwyborcza noc minęła mi bez szaleństw, lecz mimo to niespokojnie – napięcie psychiczne nie dawało spać. Wstałam wcześniej niż zwykle i do wyborów pobiegłam prosto z łóżka – na czczo i w kapciach. Brzmi to jak obłąd, ale nie wszystko jest tym, czym się wydaje: do lokalu z urną mam teraz przez ulicę, ledwie kilkadziesiąt kroków. Wskoczę na chwilę, wrócę i wreszcie się uspokoję – myślałam. Ale nie poszło tak gładko.

Wiatr zmian szarpał mnie za bluzę, zarzucał mi włosy na twarz jak łysemu pożyczkę i kiedy dotarłam pod drzwi komisji, zorientowałam się, że chyba zgubiłam dowód. Musiał wypaść mi po drodze, kieszeń była pusta. Więc zamiast szczęśliwego finału szybkiej akcji z urną – cofka do punktu wyjścia: powrót do domu po własnych śladach, desperackie wypatrywanie bez okularów zaginionego prostokątka z plastiku, próby zgadywania, gdzie go wywiało, i deprymująca dezorientacja w przestrzeni, a w końcu głosowanie z paszportem, na szczęście jeszcze ważnym. Później dowód się odnalazł – okazało się, że został na kanapie – ale co przez niego przeżyłam w tę ostatnią niedzielę, to moje.

Lokal z urną również dostarczył mi mnóstwa emocji, co wypłynęło bezpośrednio z faktu, że moja obwodowa komisja mieściła się teraz w prywatnym zakładzie edukacyjnym siostr niepokalanek, którego progę nigdy wcześniej nie przestąpiłam. Wkraczając tam jako queerówka i apostatka, nie mogłam pozbyć się uczucia, że kalam niepokalane. Święty przybytek wywołał we mnie poczucie wyobcowania i niesamowitości, mieszanek emocji, jaka towarzyszy niektórym snom i horrorom: bo wchodzę sobie niby na normalne wybory, a tu nie dość, że w tle snują się zakonnice, to już od progę atakuje mnie wielki krucyfiks i portret błogosławionej niewiasty całej na biało, podobnej do wielkiej księżnej Elżbiety Fiodorowny

Romanowej. Jeżeli to miało być miejsce neutralne światopoglądowo, to ja chyba jestem niepokalanką – kościelny wystrój lokalu wyborczego odebrałam jako rodzaj

presji wywieranej na mą skołowaną głowę. Ostatecznie jednak dokonało się: odmówiłam udziału w referendum, oddałam głos na dwie wybrane przez siebie polityczki, podziękowałam skromnej starszej pani, która pilnowała dla nas wyborów z ramienia KOD-u, i pomknęłam do domu na zasłużoną kawę.

Jak łatwo zgadnąć, spokój nie powrócił, wręcz przeciwnie – dopiero teraz się zaczęło. Czekanie na wyniki – najpierw te pierwsze, jeszcze niepewne, potem coraz bardziej potwierdzone – to była okrutna tortura. A ponieważ niepokój bywa fenomenalnym źródłem energii odnawialnej, tuż przed dwudziestą pierwszą, kiedy miały zostać ogłoszone pierwsze egzitypole, dokonałam niemożliwego: zmieniłam pościel, która bezskutecznie prosiła się o to od wielu tygodni, krzycząc do mnie niemo jak człowiek z mostu na obrazie Muncha. Kiedy niosłam stare poszwy do pralki, ukochana popatrzyła na mnie wzrokiem, w którym uznanie mieszało się z trwogą.

Napięcie rozbrajały oznaki wspólnoty i solidarności, takie jak wywieszony przez załogę naszego osiedlowego sklepiku plakat wspierający wyborczy sukces kobiet albo relacje z kolejek do głosowania – w Jagodnie, na warszawskiej Woli, w Palermo. Zachwycające było to, że w kolejkach nie śpiewano już „Murów” Kaczmarekiego, tylko „Krakowski spleen” Maanamu. To były wybory, które pokazały, że zmienił się styl polskiego patriotyzmu. Do głosu doszło pokolenie, które nie chce leżeć na styropianie ani klęczeć u Stanisława Kostki. Wolą śmiać się i tańczyć – tak jak od lat robi to walcząca o swoją demokrację muzyka techno i tańcem na ulicach gruzińska młodzież.

Jednak najdziwniej było po wszystkim, kiedy wyniki nie pozostawiały już żadnych wątpliwości. Czułam gigantyczną ulgę i jednocześnie niedowierzanie, że ten koszmar naprawdę się skończył. Radość z miażdżącej wygranej – opozycja dostała aż o 4 mln głosów więcej niż PiS – do tej pory jest dla mnie niedostępna. Najpierw muszę zrzucić z siebie ciężar ośmiu lat wylewanych na mnie obelg, zastraszania, politycznej przeciwrajonalności i złodziejstwa bez precedensu. To taka wielka zmiana: znowu można oddychać i nie trzeba już stąd uciekać. Wrzeszcząca na nas przez dwie kadencje upiorna woskowa kukła z Żoliborza zmieniła życie w Polsce w piekło jak terroryzujący rodzinę przemocowiec. Wyniki wyborów są jak wyrok sądu, który zabrania mi się do nas zbliżać.

Proszę Państwa, czas na wydech.

RENATA LIS

†  
Opozycja dostała  
aż o 4 mln głosów  
więcej niż PiS.  
Znowu można  
oddychać i nie trzeba  
już stąd uciekać. †



# Wybudzeni z narkozy

**N**a jubileusz 75-lecia urodzin trenera Kazimierza Górskiego, uwielbianego przede mnie lwowianina, napisałem monolog „Sprawozdawca sportowy”. Był rok 1996. Nie żebym się chwalił, ale zacytuję kawałeczek: „Włoski napastnik przerzuca na lewą nogę, strzał, genialny, prosto w okienko, gol, gol, gol! Trybuny szaleją, ale... bramkarz radziecki nie uznał tej bramki i pokazuje, że wybijać będą Włochów po zewnętrznej stronie linii autowej”. No i proszę, jak to historia lubi się powtarzać.

Państwo wiedzą, który to bramkarz radziecki? Bo ja się waham. Jednemu tylko peron odjechał, a temu drugiemu cały dworzec. Który jest który? To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że bardzo się lubią i zawsze będą sobie wzajemnie pomagać. Właściwie co nam zależy, zamknijmy oczy i zaciśnijmy zęby (jak mówiła przed wyborami Beata Szydło), półtora roku szybko zleci.

Szybciej, mam nadzieję, polecą głowy 112 członków rządu PiS. Najliczniejszego w III RP. Z własnymi biurami, limuzynami, 24-godzinną ochroną, służbowymi mieszkaniami, podkomisją smoleńską i innymi oznakami dobrego samopoczucia. Ach, jak chętnie sobie przypominę tę radosną twarz prezydenta podpisującego ustawę, nazwaną dumnie ustawą, wypichconą przez koło politycznych hobbystów, że każdego, kto czytał Puszkina, będzie można oskarżyć o współpracę z rosyjską agenturą. A ile siły, talentu, pomysłów i czasu – już o pieniądzach nie mówię – włożył w kampanię wyborczą Zbigniew Ziobro. Tu zafundował dwa miksery, tu przeciął cztery wstęgi na teksturowych pudłach z mikrofalówkami i podczas uroczystego otwarcia lodówek, wszystkie sfinansowane z Funduszu Sprawiedliwości. Podobnie jak Pegasus do podsłuchiwania opozycji, niemal symbol pisowskiego państwa. No a te wielkie niczym plakaty czeki wręczone przez tzw. premiera samorządom wspierającym PiS. Sumy były potężne, oszustwo jeszcze większe. Za to baloniki

dla dzieci z napisem 800+ i kiełbaski dla dorosłych dawano za darmo na rządowych piknikach. Rządowych, czyli

ufundowanych przez nieświadomych tego obywateli. Konia z rządem (nie mylić z rządem), kto zgadnie, ile niepotrzebnych instytucji powołał do życia PiS do 2022 r. Jest ich ok. 40. Choćby Instytut Spraw Wojennych (kasa dla Arkadiusza Mularczyka za rolę pajacyka upominającego się o reparacje od Niemców) i mój faworyt – Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi. W kampanii wyborczej można było od niego dostać 10 tys. na zorganizowanie... potańcówki. Miały one „pokazać młodemu pokoleniu wartość rodzimych tradycji oraz ponadczasowość jej elementów”. Jakaż to bieda umysłowa, jakże tandetne przekupstwo z urzędniczą pieczęcią.

**T**ak, zdaję sobie sprawę z tego, że opisuję tu tylko groteskowe imponderabilia, ale to one miały zadziałać na nas jak narkoza. Zagłuszyć zło. Kobiety umierały z powodu kościelnych dogmatów, łamano im ręce na demonstracjach, zamykano szpitale, rosły kolejki do lekarzy, a MSZ polskie wizy przyznawał za łapówki. Wojsko, policję i służby specjalne wprzęgnięto w polityczną doraźność, zaś rosyjska rakietka cichutko spała w podbydgoskim lesie.

W dodatku, a ten dodatek jest najważniejszy, o wszystkim i o wszystkich chciał decydować jeden korpulentny w garniturze, rechoczący z własnych mizogicznych – a właściwie wulgarnych – żarcików. Uważał się za właściciela Polski i tego nie ukrywał. Przerznął wszystko, nawet sznurowadła. Oczywiście nietrudno przewidzieć, że dalej będzie ludzi, konfliktował, napuszczał, ale jego bezczelność stanie się jałowa. Uschnie po prostu.

My będziemy pisać zupełnie inną książkę. Już zaczęliśmy.

STANISŁAW TYM

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżili ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

## POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA  
ADRES ul. Słupecka 6  
02-309 Warszawa

### RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;  
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY [www.polityka.pl](http://www.polityka.pl)

POCZTA ELEKTRONICZNA [polityka@polityka.pl](mailto:polityka@polityka.pl)

### PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński  
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

### CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,  
Wiesław Władysław

### Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),  
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03  
Łukasz Lipiński (*wydania cyfrowe*)

### BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37

e-mail: [reklama@polityka.pl](mailto:reklama@polityka.pl)

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),  
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń w rubrykach wskazanych

odpowiedzialność w granicach wskazanych  
w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

### PRENUMERATA PAPIEROWA

[www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)  
Infolinia: tel. 67 210 86 30,  
e-mail: [infolinia@polityka.pl](mailto:infolinia@polityka.pl)

Monika Grabowska,  
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: [prenumerata@polityka.pl](mailto:prenumerata@polityka.pl)

### PRENUMERATA CYFROWA

[www.polityka.pl/cyfrowa](http://www.polityka.pl/cyfrowa)  
Infolinia: tel. 22 336-79-16,  
e-mail: [cyfrowa@polityka.pl](mailto:cyfrowa@polityka.pl)

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA

BGZ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.  
Kontakt: Justyna Sadowska,  
tel. 22 451-61-50,  
e-mail: [przedruki@polityka.pl](mailto:przedruki@polityka.pl)

DRUK Quad

[www.lzbrapras.pl](http://www.lzbrapras.pl)

PBC

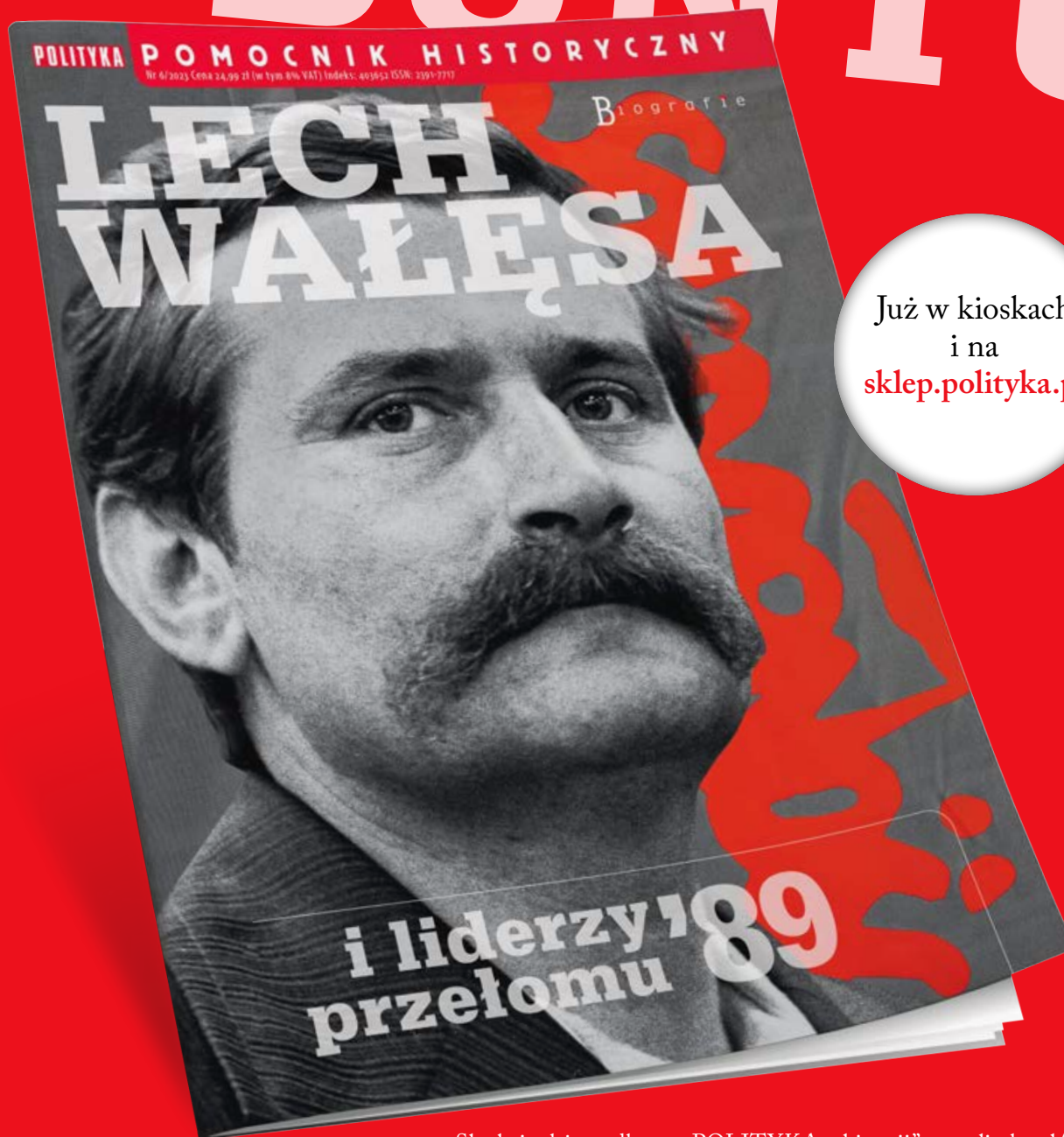
lepa

passion process technology

PRINTED IN POLAND

SAKAL CONTROL

# IKONY BUNTU



Już w kioskach  
i na  
[sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)

Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty)  
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektimpulsar>

Partner główny wydania



Partner wydania





## Chłopcy źli i samotni

Pozostawieni sami sobie i źli na stereotypy o „byciu mężczyzną” – taki obraz współczesnych dojrzewających chłopców ukazuje się w najnowszych badaniach.

**P**rzez ostatnie lata coraz więcej mówimy o umocnieniu się kobiet w wybranych rolach życiowych. Licznie pojawiają się badania i publikacje dotyczące kobiecości, w tym trudności w procesie dojrzewania dziewcząt. To naturalne i potrzebne. Jednak wydaje się, że równocześnie zaniedbujemy refleksje nad trudnościami związanymi z dojrzewaniem współczesnych chłopców.

Mamy swoje wyobrażenia na ich temat, zlepiamy ich obraz z różnych kawałków popkultury i treści z mediów społecznościowych, czasami obserwujemy ich zachowania wśród członków rodziny czy dalszych znajomych. Jest to obraz niepełny oraz dość smutny. Takie wnioski pochodzą z badania „Dojrzewanie polskich chłopców”, przygotowanego przez Fundację moonka i Infuture.Institute.

Blisko połowa badanych zadeklarowała, że z trudnościami nastoletniości musiała sobie radzić samodzielnie. Łatwo można to skojarzyć z jednym z najważniejszych powodów, które skłaniają do położenia się na terapeutycznej koczetce (wiem to z własnego zawodowego doświadczenia), którym jest poczucie osamotnienia i samotnego „dawania rady”. Tim Hawkes, autor jednej z bestsellerowych pozycji na temat wychowania chłopców „Dziesięć rozmów, które musisz przeprowadzić ze swoim synem”, wskazuje, że okres dojrzewania jest czasem, gdy pojawiają się kluczowe pytania o tożsamość. Wtedy też kształtuje się rodzaj psychicznej odporności na przyszłe kryzysy życiowe, w tym ten związany z różnymi rolami żywymi i społecznymi.

Trudno znaleźć odpowiedź na pytanie o to, kim jestem i kim będę bez spotkania z mądrymi dorosłymi oraz



**Marcin Grudziń**

– psychoterapeuta i trener oraz badacz męskości. Współpracuje z Fundacją Masculinum oraz Pracownią Bliskich Relacji, prowadzi warsztaty i szkolenia dla mężczyzn.

rówieśnikami. Tymczasem wspomniany raport wskazuje, że źródłem osamotnienia jest niechęć dorastających chłopców do mówienia o swoich sprawach dorosłym. To zrozumiałe, gdy dorosłym brakuje ciekawości, delikatności i zrozumienia. Podobnie jest z konstruktywnymi relacjami rówieśniczymi realizowanymi tam, gdzie np. pojawiają się wspólne pasje czy zainteresowania. Brakuje ich, bo jak wiadomo system edukacji oparty jest na tym, żeby opanować ogromne partie niepotrzebnego nikomu materiału, a następnie zdać je bez potrzeby i możliwości wyrażenia własnego zdania.

**P**o lekturze wspomnianego raportu można odnieść wrażenie, że jedną z niewielu istotnych zmian, jakie pojawiły się w procesie dojrzewania młodych chłopców, jest wszechogarniające znaczenie internetu. Jest on nie tylko źródłem wiedzy o samym dojrzewaniu, zmieniającym się ciele czy mózgu nastolatka, ale również seksualności czy relacjach. Z jakim skutkiem – wiadomo. Może jeszcze mocniej niż poprzednie pokolenia dojrzewający chłopcy muszą się mierzyć zarówno z brakiem jasnego wzorca męskości, jak i wyobrażeniami na temat własnej płci. Próbuąc zdefiniować męskość, chłopcy konfrontują się głównie ze znanymi im stereotypami czy zastanymi normami (związanymi m.in. z rolą mężczyzny dominującego w związku i będącego głową rodziny) czy z brakiem przyzwolenia na popełnianie błędów i okazywanie uczuć. W badaniu sprawdzono, jakie emocje wywołują w chłopcach określone stereotypy. Z danych wynika, że w przypadku tego dotyczącego ukrywania emocji (które wyraża się m.in. w określeniu „chłopaki nie płaczą”) badani mają najwięcej emocji (75 proc.) negatywnych (złość, zniechęcenie i bezsilność). Złość zaznaczył co trzeci badany, przy czym w żadnym innym przypadku odsetek wskazań na tę odpowiedź nie był tak wysoki.

Wyzwaniem jest więc wzmacnianie chłopców w taki sposób, żeby wspierać postawę „i-i”. Mężczyzna może być zarówno silny, jak i emocjonalny. Może podjąć decyzję, ale też może nie być jej pewny. Bycie męskim nie jest w tym ujęciu jednoznaczne z wybieraniem cech przeciwstawnych, a raczej świadomością, że te cechy leżą w pewnym spektrum, w którym mogą się przemieszczać.

MARCIN GRUDZIŃ

# Zdjęcie czy AI

TECHNO

Nie zatrzymuje rzeczywistych chwil jak fotografia, choć na pierwszy rzut oka wygląda jak ona. Obrazy wygenerowane za pomocą sztucznej inteligencji zalewają internet. I zyskały nową nazwę – promptografia.

„Więcej ludzi powinno zwracać uwagę, czy używając słowa »fotografia«, rzeczywiście mają na myśli zdjęcie” – stwierdził Sam Hurd, amerykański fotograf, w rozmowie z Borisem Eldagsenem, niemieckim fotografem i twórcą sztuk wizualnych. Eldagsen wygrał w tym roku konkurs Sony World Photography Awards za „**zdjęcie**”, które stworzył za pomocą AI. Do wszystkiego się przyznał, nagrody nie przyjął. Jak stwierdził, zrobił to, żeby przyspieszyć dyskusję o tym, co dziś jest fotografią, a co nie.

Po to też stworzył słowo *promptography*, od *prompt* (pol. odpowiedź) i *photography* (pol. fotografia). Czy jest prompt? To komenda służąca opisaniu tego, jak ma wyglądać „zdjęcie” wygenerowane przez program taki, jak Midjourney, Stable Diffusion, DALL-E 2 czy Leonardo AI: słowo albo fraza, którymi opisujemy kolorystykę, styl, świat



przedstawiony i bohaterów, parametr określający proporcje etc. Jak to działa? W uproszczeniu: programy AI analizują zbiory grafik dostępne w sieci i na tej podstawie, w oparciu o zapytanie użytkownika, generują obrazy. Jednak, jak zaznacza Eldagsen, prompt to tylko początek. „Sześć miesięcy zajęło mi stworzenie serii dziesięciu obrazów” – komentował własną twórczość.

W mediach społecznościowych amatorzy AI chwala się promptami i wygenerowanymi obrazami, ale i szukają odpowiedzi u innych twórców. Coraz częściej da się zauważyć, że nie wszyscy chcą się dzielić pomysłami na komendy i wskazówkami, jak uniknąć wpadek, np. nadprogramowej liczby palców u ludzi, co było zmorem wielu takich pierwszych „zdjęć”.

W rozmowach o AI nie cichnie temat praw autorskich, etyki, plagiatu i nowej potrzeby kategoryzacji prac, jeśli mają być poddawane ocenie. Dyskusja, którą chciał rozpocząć Eldagsen, trwa – i końca nie widać. Tak jak pomysłów fanów AI, którzy co rusz rozpowszechniają nowe trendy – już np. powstają obrazy, które pozwalają zaszyć napis lub logotyp, widoczny dopiero po zmrużeniu oczu.

JOANNA TRACEWICZ

# O pakowaniu mandżurów

SŁOWO

Trwa głosowanie na Młodzieżowe Słowo Roku. A w zorganizowanym po raz drugi plebiscycie na Boomerkie Słowo Roku zwyciężyła właśnie fraza „proszę ja ciebie” (obok „facetki” i „za moich czasów”). Są w potocznej polszczyźnie wyrazy, które spokojnie mogłyby trafić do obu. Przypomina o tym nieustająca popularność hasła „pakuj mandżur”. A łatwo było sobie o niej przypomnieć tuż po ogłoszeniu prognozowanych wyników wyborów, kiedy to twitterowy profil Tygodnika NIE apelował: „Mati, pakuj mandżur”. Podobnych apeli było więcej. Zresztą już „pakujcie kuwety” Szymona Hołowni – najmocniejszy bodaj szlagwort przedwyborczej debaty w TVP, skierowany do „tłustych kotów” obozu władzy – wyraźnie do tej frazy nawiązywało.

Kojarzące się z historycznym regionem Chin słowo to synonim XVIII-wiecznych „manatków” (pochodzenia włoskiego), jeszcze starszego „tobołka” (o prasłowiańskich korzeniach) i trudniejszego do klasyfikacji wiekowej, wieloznacznego „tłumoka”. W pewnym momencie mandżury (rzeczy osobiste) pakowali tylko kończący wyrok więźniowie, ale z gwary więziennej wyraz trafił – jak wiele innych

– do slangu ulicznego i tekstów rapowych. Bywało, że wróżył czyjś koniec („Brak lasek w pierwszym rzędzie? Pakuj mandżur, panie raper!” – rapował Peja), ale hasło „pakujemy mandżury” coraz częściej oznaczało coś mniej istotnego, np. ostentacyjne wyjście z nudnej imprezy. Raperzy powtarzali je tak często, że stało się dla nich synonimem niematerialnego tobołka własnego stylu, zestawu narzędzi muzycznych i lirycznych („Pakuję swój muzyczny mandżur” Gangu Albanii). „Nieraz zaglądam tam na dno, może coś złowię, do wersu się przyda/Biorę do studia ten mandżur marny, ale ostatnio nieczęsto tam bywam” – rapuje Taco Hemingway na najnowszym płycie. Wszystkim pakującym polityczne mandżury wypada życzyć, żeby mogli to potraktować jako wyjście z imprezy albo zebranie bagażu doświadczeń, a nie element przyspieszonego kursu gwary więziennej.

BARTEK CHACIŃSKI

## MÓWIĄ RYMY

Nie mam czasu, idę robić sianko,  
Zawijam mandżur, czeka pod klatką cierpus  
**Belmondo, Telefony, 2015 r.**  
cierpus = taksówkarz





TREND

## Biegiem po schodach

Można po wieżowcach, po mieście albo po własnych klatkach schodowych – byle szybko w górę i w dół. Oto nowy popularny sposób na budowanie formy i ściganie się.

**N**ie ma chyba takiej aktywności fizycznej, której nie dałoby się zamienić w sport, konkurencję i/lub sztukę. Nic w sumie w tym dziwnego, już od najwcześniejszych czasów lubiliśmy jako gatunek ulepszać nasze, czasem celowe, czasem przypadkowe osiągnięcia. I tak, koślawo zaostrzone kamyczki stały się eleganckimi strzałami, prymitywne stopy – odlewany w brązie rzeźbami, a pogoń za dziką zwierzyną lub ucieczka przed nią – dyscypliną nagradzaną medalami. Teraz sportowo chodzimy po schodach, aby wzmocnić kondycję, wcisnąć kilka minut ruchu w zabiegany, nomen omen, dzień oraz nie komplikować sobie życia złożonymi pozycjami robionymi w salonie na macie do wtóru komend z YouTube'a.

Wystarczy wyjść przed drzwi mieszkania i po prostu zrobić kilka kroków w górę, kilka kroków w dół i powtórzyć tę czynność wielokrotnie. Zdaniem cytowanego przez „The Guardian” biegacza i badacza Brady'ego Holmera: „Wchodzenie po schodach jest



### Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

dużo bardziej dynamiczne od chodzenia i można to robić w ciągu dnia, w krótkich seriach aktywności o wysokiej intensywności”. Ameryki pan nie odkrył, ale to jest właśnie w tym nowym sporcie najlepsze: jest diabelnie prosty, można dozować wysiłek i nie trzeba inwestować w niego ani czasu, ani pieniędzy (np. w specjalne stroje czy kije).

Chodzenie po klatkach biur czy mieszkań to oczywiście pierwszy krok; potem można po nich truchtać, a na końcu biegać. Celem – jeśli ktoś tak potrzebuje motywować się do ruchu – może być odegranie słynnej sceny z filmu „Rocky”, w której tytułowy bohater grany przez Sylvestra Stallone'a wbiega do Muzeum Sztuki w Filadelfii po dokładnie 72 stopniach. Obecnie te wysokie schody są nazywane nie inaczej jak „Rocky Steps”, a zdjęcia i filmy z osobami wbiegającymi po nich na szczyt tłoczą się po Instagramach i Tik-Tokach we wszystkich krajach świata. Ten filmowy adres to dopiero początek drogi w górę dla tych, którzy poważnie chcą uprawiać *tower running*, czyli brać udział w zawodach w bieganiu po schodach. Organizowane są one najczęściej w wysokich biurowcach i hotelach, a przodują w nich te w azjatyckich miastach – w Singapurze, na Tajwanie czy w Kuala Lumpur. W Ameryce Północnej biega się po Empire State Building w Nowym Jorku, Willis Tower w Chicago czy CN Tower w Toronto. Europa to oczywiście wieża Eiffla, gdzie pierwszy odnotowany bieg po schodach odbył się w 1905 r. Brali w nim udział zawodowi sportowcy, jak biegacze, piłkarze czy cykliści, a także amatorzy. Wyścigi organizowane są do dziś, a ci, którzy nie chcą wspinąć się na czas, mogą wchodzić na wieżę turystycznie.

**N**ie trzeba się zresztą wybierać za granicę, bo w Polsce też mamy wieżowce – komunistyczne bloki liczące ponad 18 pięter, a także niedawno otwarte Varso Tower, gdzie we wrześniu już odbył się bieg – 1382 stopnie i 230 m w górę. Zawody liczyły się do prestiżowej klasyfikacji Towerrunning Tour 2023 i, jak podaje organizator, do rankingu Towerrunning World Association. Jak każda dyscyplina i ta ma swoich mistrzów – obecnie najlepszy na świecie w bieganiu po schodach jest pochodzący z Malezji Soh Wai Ching. Zaś Polak Piotr Łobodziński pierwszy tytuł mistrza świata wywalczył w zawodach w katarskiej Dosze w 2015 r.

Co jest pociągające w tej wydawałoby się męczącej i niewdzięcznej formie ruchu, która wszak doprowadziła do wynalezienia windy osobowej? Jak opowiada Suzy Walsham w „The Guardian”, jest to prostota. „Inaczej niż w przypadku wyścigów na torach czy przełajowych, nie ma tu za wiele miejsca na taktykę, bo wbiegając po schodach, bardzo trudno jest choćby zmienić tempo wspinaczki. Ustalenie właściwego tempa na początku jest kluczowe, bo jeśli zaczniesz biec za szybko, szybko przekroczyś maksymalny próg kwasu mlekowego i będzie ci bardzo trudno się po tym odbić”. Dodaje też, że część z zawodników uwodzi świadomość, że ich przeciwnikami są tylko czas i budynek. Czyli trawestując manifest Tadeusza Peipera, bieganie po schodach to miasto, masa mięśniowa i maszyna, czyli zegarek.

OLA SALWA

# Fantastycznie zbędne

We wzornictwie wraca tęsknota za kolorem, szaleństwem form, posiadaniem czegoś „jedynego w swoim rodzaju”.



**Lidia Pańków**  
– dziennikarka,  
reporterka, autorka  
książki „Błoki  
w słońcu. Mała  
historia Ursynowa  
Północnego”  
(Wydawnictwo  
Czarne), asystentka  
społeczna osób  
uchodźczych.

**N**a stronie sklepu Gohar World jednym z wciąż prezentowanych, ale już wyprzedanych artykułów jest przedmiot w dzisiejszych czasach raczej zbyteczny: niewielki gwizdek na krótkim rzemyku, które na oko może być tylko porożem. Autorski sklep założony przez Lailę i Nadię Gohar w epidemicznym 2020 r. ogłasza się jako „uniwersum wszystkiego, co związane z kulturą stołu”, stworzone z poszanowaniem tradycji, rzemiosł i poczuciem humoru. To jeden z wielu niszowych biznesów sprzedażowych ostatnich lat, które oferują proste przedmioty domowego użytku z innej półki niż te oczywiste, dostępne w najbliższym markecie. Nie są to rzeczy pierwszej potrzeby. Przypominają znaleziska z pchlich targów, witryn i kredensów naszych przodków.

Założycielki marki zachęcają, by niekoniecznie trzymać się sztywno przypisanych akcesoriom stołowym ról. Przykładem może być **kandelabr na jajka** (na fot. powyżej) czy seria białych haftowanych kapturków z kieszonkami na owoce i stodcycze. Gdyby nie zdemontowano, jak ich używać, byłoby to niejasne – kto

bowiem dziś serwuje owoce w lnianych czy bawełnianych kieszonkach?

Tęsknota za kolorem, szaleństwem form, posiadaniem czegoś „jedynego w swoim rodzaju”, skupiającego uwagę i wywołującego komentarze, jest częścią szerszego zjawiska w świecie wzornictwa. Nie tylko niszowego i niskonakładowego. Można je określić jako odejście od racjonalności ku temu, co ekscesywne, ekspansywne i teatralne. Meble i akcesoria wybiera się tak, by stworzyć wrażenie osobliwych światów, zaprosić bliskich, by zadawali pytania o ich pochodzenie, sprawić, by znajomi zapragnęli czegoś równie unikatowego lub podjęli grę postulowaną przez Gohar World, czyli użyli przedmiotów po swojemu.

Dopiero co odreagowywaliśmy dekady ekstrawagancji. W architekturze i w akademiach wzornictwa przemysłowego zaczęto pielęgnować pojęcie zasadności estetycznych wyborów, promować krytyczne podejście do chęci zadziwiania, epatowania formą, tymczasem znów lądujemy w bajce? Oto na pokazie włoskiego domu mody Bottega Veneta oglądamy stworzoną specjalnie dla niego linię **krzesel w kolorach łazienkowych kafelków** (fot. na dole), landrynek i deserów, wykonanych z żywicy, według projektu tuza dizajnu, architekta i urbanisty Gaetano Pescego. Sprzedawane są za od 6,5 tys. do 9,8 tys. dol. i od razu stały się obiektem muzealnym, objężdżającym kolejnie wystawy, a wkrótce polecą do Miami na targi sztuki.



**A**w sferze prywatnej? W magazynach o architekturze i dekorowaniu możemy podglądać, jak wygląda połączenie kolekcjonerskiej wiedzy, fascynacji historią i kapitału w wydaniu „sky is the limit”. We wrześniowym numerze „Architectural Digest” przedstawiono np. kilkopiętowy apartament zamówionej męskiej pary, żyjącej pomiędzy londyńską dzielnicą Marylebone i Nowym Jorkiem. Jeden z bohaterów w momencie zakupu rezydencji pracował dla domu aukcyjnego Sotheby’s, a więc na pewno dysponuje estetycznym rozeznanieciem ponad przeciętną. W artykule zatytułowanym „Spacer po całkowicie odmienionej unikatowej edwardiańskiej rezydencji z 1912” oglądamy wnętrza przypominające XVIII i XIX-wieczne gabinety osobliwości: jadalnia w tonach błękitu i indygo, w „pokoju śniadaniowym” postawiono sofę odziedziczoną przez jednego z właścicieli domu, Juliana Dufoura, po babci, tapicerowaną tkaninami od założonego w 1935 r. francuskiego domu Pierre Frey, ściany obito tapetami w bajkowe leśne desenie od de Gournay, a całość puentuje obraz Alexa Israela „w odcieniu koralowego ombre”.

Psychologowie społeczni i komentatorzy trendów zmianę postaw i gustów łączą z reakcją na znużenie, niepewność przyszłości i z lękiem, że racjonalne decyzje wcale nie muszą przynieść przewidywanych efektów. Mało co może zapewnić nam utrzymanie status quo, a więc przynajmniej się bawmy.

LIDIA PAŃKÓW



## PODRÓŻE

# Ku pamięci himalaistów

Formy upamiętnienia zmarłych wspinaczy różnią się w zależności od regionu. W przypadku Everestu i pobliskiego Lhotse to zwykle kamiennie-betonowe pomniczki zwane czortenami.

**C**o się robi ze zwłokami na ośmiotysięcznikach? – jestem często pytana na prelekcjach, w trakcie których opowiadam o swoich wyprawach. Wiadomo, himalaizm to aktywność wysokiego ryzyka i często się zdarza, że ktoś w górach niestety ginie. O podjęcie decyzji o tym, co zrobić z ciałem, zazwyczaj prosi się bliskich wspinacza. Są rodziny, które upierają się przy sprowadzeniu zwłok docelowo do rodzinnego grobu, częściej jednak wydawana jest zgoda na pochówek w lodowcowych szczelinach albo u podstawy góry, której wspinacz poświęcił swoje życie. Gorzej, jeżeli do wypadku doszło w trudno dostępnym rejonie. Wówczas zdarza się, że zwłoki się zostawia, bo nie ma wyboru. Ale decyzje rodzin bywają niekiedy zaskakujące. Przykładem jest żona pewnego rosyjskiego wspinacza, który zmarł w obozie drugim na Evereście, gdy leżał częściowo w namiocie, a częściowo na zewnątrz. Kiedy rząd nepalski w ramach akcji oczyszczenia góry ze zwłok, bez obciążania rodziny zwiózł go do Katmandu do skremowania, wdowa miała pretensje, że nie zostawiono jej męża w świecie, który tak kochał. Rezultat jest taki, że nierzadko się zdarza, iż podczas



**Monika Witkowska** – podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór”) i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalaje. Prowadzi stronę monikawitkowska.pl.

wspinania mijamy pozostawione na widoku zwłoki. Tuż pod szczytem Lhotse (czwarta góra świata) leży na przykład zmumifikowany Czech, zaś przy ataku szczytowym na K2 mijają się wiszące na poręczówkach Islandczyka. To John Snorri Sigurjónsson, który zginął w 2021 r., a jego żona dopiero rok później zdecydowała, że chciałaby pochować go tam, gdzie spoczywają dwaj jego koledzy. Problem w tym, że teraz wykonanie tej woli mocno się skomplikowało. Formy upamiętnienia zmarłych wspinaczy różnią się w zależności od regionu. Przykładowo w przypadku Everestu i pobliskiego Lhotse są to zwykle kamiennie-betonowe pomniczki zwane czortenami albo przytwierdzone do kamieni tablice, rozsiane w różnych miejscach przy szlaku do bazy pod Everestem. Największe ich nagromadzenie jest w okolicach przełęczy Thukla. „Polskie” czorteny są nieco na uboczu. Jeden to zlokalizowany koło wioski Chukung tzw. czorten Kukuczki, drugim jest odsłonięty pięć lat temu na obrzeżach miasteczka Namche Bazar czorten upamiętniający wszystkie polskie ofiary wypraw na szczyty Himalajów i Karakorum. Dla odmiany w Karakorum czortenów się nie buduje.

Najbardziej znanym miejscem poświęconym pamięci tych, którzy tam zginęli, jest tzw.

Memoriał koło bazy pod K2. Jego początkiem był kamienny wzgórek nazwany kopcem Gilkeya, zrobiony w 1953 r. przez kolegów zmarłego na wyprawie Arthura Gilkeya. Ciało porwanego przez lawinę 27-letniego chłopaka nie udało się wtedy odnaleźć. Od tej pory chowano tam też innych wspinaczy, jak również przynieszone znalezione, niezidentyfikowane szczątki ludzkie. W miarę upływu lat przyległe wzgórze zostało obwieszane dziesiątkami epitafiów po wspinaczach, którzy na okolicznych górach stracili życie. Wiele tablic jest artystycznie wykonanych, ale nie brak też prostych aluminiowych tac i talerzy zabranych z wyprawowych kuchni, na których towarzysze zmarłych spontanicznie ryli nazwiska i datę śmierci. Przy niektórych wiszą zdjęcia pokazujące twarze szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi, czasem są też zdjęcia ich dzieci, zawieszane koszulki czy elementy ekwipunku.

**Z**Memoriałem pod K2 wiąże się ciekawy przesąd: wspinacze zdobywający okoliczne ośmiotysięczniki (Broad Peak i K2) z jego odwiedzeniem czekają do zakończenia swojej – jak się żargonowo mówi – akcji górskiej. Uważają, że wcześniejsze jego odwiedzenie mogłoby przynieść pecha. E, zabobon... – uważałam kiedyś. Do momentu, kiedy podczas jednej z moich wypraw, w 2021 r. na Broad Peak, zginął koreański wspinacz Kim Hong-bin i w pograżonym w smutku obozie bazowym padły znamienne słowa: „A mówiliśmy mu, żeby przed atakiem szczytowym nie szedł na Memoriał. I nie posłuchał”. Za przesadną nadal się nie uważam, ale przyznaję, że kiedy zdobywałam K2 z odwiedzinami na Memoriale profilaktycznie się wstrzymałam. Poszłam tam dopiero po powrocie ze szczytu.

MONIKA WITKOWSKA



## Więcej niż zero

„Nie ma czegoś takiego jak wino bezalkoholowe” – odpowiedział niedawno jeden z weteranów polskiej publicystyki winiarskiej na pytanie o perspektywę win 0 proc. w Polsce. Pomylił się.

**C**hoć formalnie miał rację – według unijnych przepisów „wino” musi być zrobione z winogron i zawierać minimum 8,5 proc. alkoholu. (Dla lżejszych win, jak Moscato d’Asti zawierające 5–5,5 proc., robi się specjalne wyjątki). Jednak podobnie jak kolokwialnie mówimy o „winie owocowym”, tak istnieje też wino bezalkoholowe. W dodatku to – paradoksalnie – coraz popularniejsza kategoria win.

Przyczyn jest wiele. Przede wszystkim pijemy coraz mniej. Nie w Polsce – tu akurat konsumpcja wina od 30 lat stale rośnie, choć, jak powiedzieliby statystycy, z małej bazy. Z powodu silnej konkurencji piwa i mocnych alkoholi pozycja wina w koszyku alkoholi jest bowiem w naszym kraju najniższa w całej Unii Europejskiej, a szacowane 7 litrów wina na głowę mieszkańca sytuuje nas w europejskim ogonie (we Francji pije się go przeszło 45 l, a nawet w ościennych, rozmiłowanych w piwie Czechach – ponad 20). Jednak na dojrzałych europejskich rynkach spadki są znaczące, z przyczyn zdrowotnych lub lajfstajlowych coraz większa grupa dorosłych nie sięga w ogóle po alkohol. Prędzej



**Wojciech Bońkowski**

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winiatywa i pisma o winie „Ferment”.

czy później trafią jednak na wieczorną imprezę albo do dobrej restauracji i zechcą się napić czegoś innego niż sok owocowy albo herbata. Do tego dochodzi grupa, owszem, pijących, ale nie codziennie, a w zależności od sytuacji z chęcią próbujących napoje bezalkoholowe, pod warunkiem że są ciekawe; po angielsku określa się ich jako „sober curious”.

Branża alkoholowa ma dla tych dwóch grup coraz więcej propozycji, od moktajli nieraz bardzo zbliżonych do procentowych pierwowzorów po piwo bezalkoholowe. Piwo to akurat dobry przykład dla wina. Jeszcze dekadę temu chmielowy trunek 0 proc. był synonimem obciachu – cienkusz o smaku pomyj. Od tej pory jednak piwowarzy odrobili lekcję i na rynku pojawiło się mnóstwo interesujących produktów, od podrasowanych owocowymi syropami radlerów aż po zupełnie odjechane kraftowe receptury, takie jak kwaśne marmakujowo-czekoladowe Gose 0 proc., które nabyłem tego lata w supermarkecie. Te piwa są nie tylko pijalne, ale wręcz przesmaczne, a do tego arcyciekawe.

**K**rytycy argumentują, że z piwa łatwiej jest usunąć 5 proc. alkoholu bez naruszania jego jestestwa niż w przypadku wina, któremu zabieramy 12–14 proc. treści. Alkohol w winie pełni ważniejszą rolę strukturalną niż w piwie: podbija owocowe smaki, zagęszcza fakturę, dodaje nutę słodyczy i goryczy, które równoważą naturalnie dominującą w winie kwasowość i cierpkość. Z tego względu wszystkie obecnie wina bezalkoholowe zawierają 3–8 proc. cukru jako „wypełniacza”, czyli są technicznie półsłodkie lub słodkie.

To jednak dopiero początki. Do niedawna różnymi technikami dealkoholizacji wina parady się duże przemysłowe rozlewnie w Niemczech i Francji, a ludzie kupowali to, co było na półkach, bez względu na jakość. Od paru lat winiarze z wyższej półki, tacy jak Leitz i Dr Loosen w Niemczech czy kataloński Torres, wzięli się na poważnie do produkcji win bezalkoholowych i od razu podnieśli poprzeczkę. Gdy podaje Eins-Zwei-Zero Leitza, nie mówię, że ma 0 proc. alkoholu i gościom zwykle kilka chwil zajmuje zorientowanie się – smak jest bowiem bardzo zbliżony do klasycznego rieslinga. Jeszcze lepiej wypadają wina czerwone, są bowiem bardziej intensywnie owocowe, a taniny pozwalają obniżyć dawkę cukru.

Przyszłość przed „winami” bezalkoholowymi rysuje się różowo, bo pojawiają się na rynku coraz ciekawsze produkty, oparte często na niesfermentowanym soku z winogron, innych owocach i... herbacie. Pisałem już o 0-procentowym różu Kylie Minogue, zaś duńska firma Blå produkuje z białej i czarnej herbaty... wino musujące. Piłem je w Wilnie w drogiej restauracji Džiaugšmas i do wyszukanego menu degustacyjnego pasowało nie gorzej niż prawdziwy szampan. Uświadomienie sobie, że wina bezalkoholowe są właśnie czymś więcej niż zerem, to przełomowy moment.

WOJCIECH BOŃKOWSKI

- Château Ish Sparkling White**, 15 zł (puszka 0,25 l, Wina.pl)
- Torres Sangre de Toro Tinto 0,0o 2021**, 29–35 zł (Zabka)
- Leitz Riesling Eins-Zwei-Zero**, 73 zł (Vinify.pl)
- Jukes Cordalities No. 1–8** (internety zagraniczne)
- Blå Sparkling Tea** (internety zagraniczne)

**W** tym samym numerze „Do Rzeczy” w okładkowym materiale o synodzie Kościoła katolickiego Paweł Chmielewski przestrzega: „Obrona autonomii narodowej w wymiarze religijnym to bardzo poważne i zarazem niezwykle trudne zadanie. Ostateczna stawka rozgrywki jest przecież następująca: czy Kościół w Polsce będzie mógł głosić wiarę katolicką w zgodzie z Tradycją i nauczaniem wszystkich papieży? Czy będzie zmuszany do przyjmowania wytycznych europejskiej synodalnej większości?”. Autorom „Do Rzeczy” marzy się Polska bardzo wielka i bardzo samotna.

**W** „Przeglądzie” Wojciech Kuczok, jakby przewidując słowa prezesa z wieczoru wyborczego „Uczynimy wszystko, co możliwe, aby nasz program mimo koalicji, która jest przeciw nam, był dalej realizowany i to nie jest w tej chwili droga zamknięta”, przypominał: „Wykluczanie ze wspólnoty, wynaradawianie, a w ostateczności odczłowieczanie – to jest retoryka PiS, której ta ponura sekta nie porzuci z dnia na dzień tylko dlatego, że siła jej oddziaływania procentowo spadła w stosunku do poprzednich wyborów”. Ale dobrze, że spadła.

**M**aciej Strzembosz, jeszcze rozemocjonowany wyborczym wieczorem, komentował w „Rzeczpospolitej”: „Przyszłość Polski zależy jednak od tego, w jaki sposób nowy rząd podejdzie do wyborców PiS i ich potrzeb. Zakończenie wojny polsko-polskiej jest dla niego najważniejszym zadaniem strategicznym, a nie jest możliwe bez zrozumienia tego, dlaczego 7,5 mln ludzi zagłosowało na władzę, która kłamie, kradnie, wzbudza nienawiść, nazywa miliony Polaków zdrajcami (co samo w sobie jest zdradą wobec narodu polskiego), jest nieudolna, pokłócona z wszystkimi od Unii po Ukrainę, która w praktyce urąga zasadom chrześcijańskim itp., itd. Trzeba będzie to zrozumieć, bo bez tego rządzenie Polską nie może się udać”.

## K O Z A



© JAN KOZŁA

Tak, zgadzam się, nie powtarzamy brytyjskiego błędu. Wyjdźmy z Unii Europejskiej naprawdę, nie tylko formalnie – Rafał A. Ziemkiewicz, „Do Rzeczy”.

**O**tóż te 7,5 mln ludzi najwyraźniej posłuchało „zachęty” byłej premier Beaty Szydło, która tuż przed wyborami na spotkaniu w Skarżysku-Kamiennie mówiła, jak przekonywać niezdecydowanych sąsiadów: „Zagłosuj, co ci szkodzi? No co ci szkodzi człowieku, to tylko cztery lata. Więc na te cztery lata spróbuj, zamknij oczy, zaciśnij zęby, jak nie możesz, i zagłosuj na Prawo i Sprawiedliwość”. Mistrzyni perswazji.

**J**ak relacjonowała Gazeta.pl, Paweł Kukiz, który startował w wyborach z list PiS (i znów będzie posłem): „Na pytanie o nastroje w sztabie po ogłoszeniu pierwszych sondaży mówił o tym, że niektórzy zdobywali się na refleksję, a inni do refleksji zdolni nie są. – A może naród się po prostu tak po ludzku wnerwił, widząc, jakie cyrki się wyprawia w tych wszystkich spółkach skarbu państwa – dodał. Wspominał o kluczowych błędach, jakie popełniło Prawo i Sprawiedliwość. – To aborcja i piątka dla zwierząt, i te składki dla przedsiębiorców – wskazywał”. Mistrz lojalności i autorefleksji.

**P**rzemysław Czarnek objawił się nagle jako polityk odmienny, elastyczny, koncyliacyjny. Na antenie Polsat News – zauważa OKO.press – minister edukacji zapewniał: „Jeździłem do tych działaczy PSL, którzy niejednokrotnie mówili mi, że mają dokładnie takie same poglądy, a ja im mówiłem otwarcie, że gdyby nigdy nie powstało Prawo i Sprawiedliwość i gdybym nie był członkiem Prawa i Sprawiedliwości, pewnie bym rozważał funkcjonowanie w ramach takiej partii, jak Polskie Stronnictwo Ludowe, partii chłopskiej, ludowej, konserwatywnej, chrześcijańskiej, bo taka ona jest, pomimo błędów, które robiła w przeszłości”. To Czarnek w ogóle wyobrażał sobie Polskę bez PiS? Rzykant.

**K**rzysztof Feusette („Sieci”) źle obstawił wynik wyborów i napisał felieton, który miał być śmieszny, ale wyszło mu jak zwykle. Tekst przedstawia domniemany monolog Donalda Tuska po klęsce: „Najważniejsze, że wygraliśmy. W pewnym, oczywiście, sensie. Ale to ma sens, gdyż pokonałszy własne obciążenia, próbując przebić głową sufit, być może czasem nierówny. Nie muszę dodawać, że gdyby urny nie zostały sfałszowane, Rafał byłby prezydentem, a ja premierem. Niestety, w obecnej sytuacji jest zmuszony, wprowadzić uroczyście, ale z nieskrywaną przykrością, unieważnić te wybory. Spotykamy się jutro pod ambasadą. Wiecie, którą, danke”. Żalność.pl.

**K**rzysztof Varga („Newsweek”) nie zmyśla cudzych myśli, tylko odnotowuje prawdziwe wypowiedzi z wystąpienia prezesa na partyjnych mityngach: »[W Busku-Zdroju] Kaczyński wołał: »Przekonujmy ludzi, żeby głosowali w referendum. I to jak głosowali? Cztery razy TAK!«. Wówczas zgromadzony tłum zaprotestował: »Cztery razy NIE!«, bo w istocie gensekowi wszystko się pomieszało (...). Kaczyński się histerycznie zmitygował: »O przepraszam! O Jezu, Maria, Panie Boże. Wybacz mi! Przepraszam bardzo. Już człowiek jest stary i zmęczony«. (...) Były to najważniejsze słowa, jakie wypowiedział od lat, i wreszcie prawdziwe”.



# CHRIS BOTTI

NARODOWE FORUM MUZYKI  
SOBOTA 4 MAJA  
WROCŁAW

TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA  
PONIEDZIAŁEK 6 MAJA  
WARSZAWA

NOSPR  
NIEDZIELA 5 MAJA  
KATOWICE

ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE  
WTOREK 7 MAJA  
KRAKÓW

SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER  
PIĄTEK 10 MAJA  
POZNAŃ



GOODTASTE.PL | CHRISBOTTI.COM

# Matt Dusk

A VERY SINATRA CHRISTMAS

10.12 \* BIELSKO-BIAŁA  
CAVATINA HALL

16.12 \* ŁÓDŹ  
WYTWORNIA

11.12 \* WARSZAWA  
TEATR MUZYCZNY ROMA

18.12 \* WROCŁAW  
NFM

12.12 \* OLSZTYN  
FILHARMONIA WARMIŃSKO-MAZURSKA

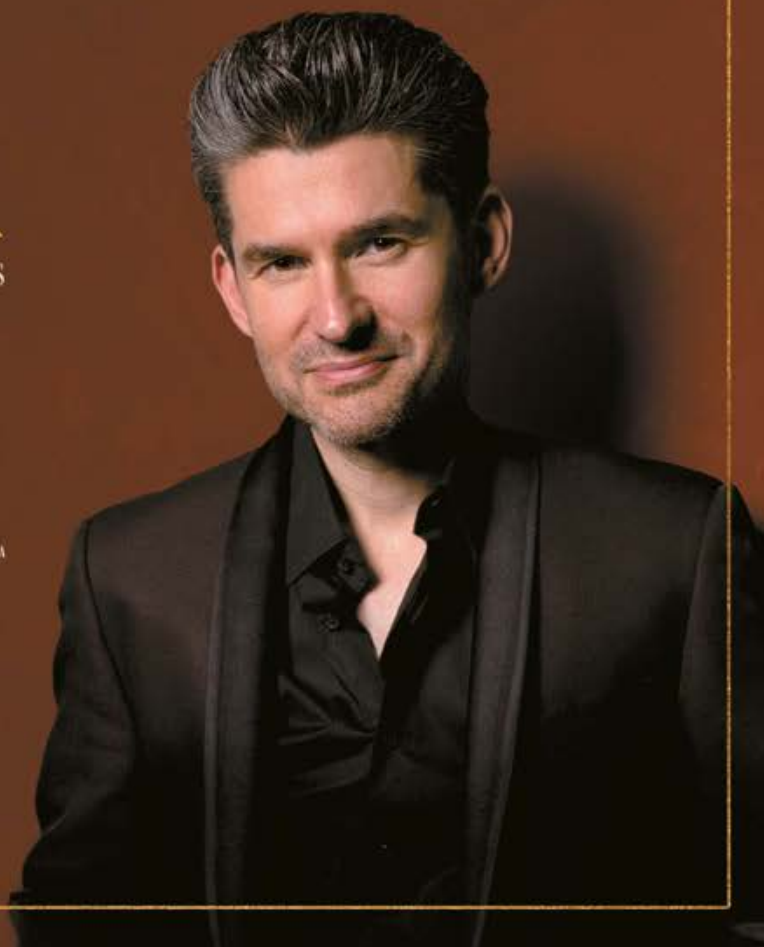
19.12 \* SZCZECIN  
FILHARMONIA IM. M. KARŁOWICZA

13.12 \* GDAŃSK  
POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA

09.12 \* KATOWICE  
KATOWICE MIASTO OCRODÓW

15.12 \* KRAKÓW  
ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE

17.12 \* POZNAŃ  
SALA ZIEMI POZNAŃ  
CONGRESS CENTER



BILETY DOSTĘPNE NA WWW.GOODTASTE.PL



# Botanica

JELITKOWO

**Apartamenty w harmonii z przyrodą**

**INVEST**  
KOMFORT

28 LAT DOŚWIADCZENIA  
50 ZREALIZOWANYCH PROJEKTÓW

58 585 95 81  
[investkomfort.pl](http://investkomfort.pl)